





Stolica

„RỒI“



-2-
9369

BIBLIOTEKA NAUKOWA I BELETRYSTYCZNA
A. GUMPUŁOWICZA, Kraków, Bracka 9.

[Handwritten signature]

U P T O N S I N C L A I R

STOLICA

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
S T. S T A N D E G O

W A R S Z A W A — 1932

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

BIBLIOTEKA NAUKOWA I BELETRYSTYCZNA
A. GUMFLOWICZA, Kraków, Bracka 9.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

— Proszę powrócić o pół do jedenastej, — powiedział generał do szofera. Następnie wszedł ze swym towarzyszem do hotelu.

Montague rozejrzał się, drżąc lekko z oczekiwania. Nie dlatego, że wywarł na nim wrażenie przepych rozpostarty dookoła, jakkolwiek niedawno dopiero przybył ze wsi i cichy, elegancki hotel wydał mu się wspaniałym. Nie widział jednak ani marmurowych kolumn, ani połączanych sztukateryj, lecz wyłącznie i jedynie myślał o ludziach, których miał teraz zobaczyć. Zbyt wiele spadło na niego w ciągu tego jednego dnia: z początku podniecające, kipiące życiem, rozgorączkowane miasto, stanowiące centralny punkt wszystkich jego nadziei na przyszłość, a następnie, wieczorem, to spotkanie, które wywołało w nim szereg wspomnień o tem, co było najlepsze i najdroższe w jego przeszłości.

W korytarzach stały grupy mężczyzn w spłowiałych mundurach. Generał Prentice, rozdając pozdrowienia, szedł ku windzie, wiodącej do sal przyjęć. W przejściu zetknęli się z okrągłym małym człowieczkiem, o krótkich siwych włosach. Generał przystanął:

— Hallo, majorze! — Następnie dodał: — Pozwoli pan, że przedstawię mu pana Allana Montague. Montague, to jest major Thorne.

— Syn generała Montague? — zawołał. Porywczo chwycił obiema rękami dłoń młodzieńca i potrząsając nią, wykrzyknął: — Mój chłopcze! Mój chłopcze! Cieszę się, że pana poznałem.

Allan Montague nie był już bynajmniej chłopcem, lecz trzydziestoletnim mężczyzną o statecznym wyglądzie i obejściu. Z jego postaci sześć stóp wysokiej można było bez trudu wykroić dwóch okrągłutkich, rumianych, maleńkich majorów. A jednak wydało mu się całkiem naturalnem, że tamten zwrócił się do niego z takimi słowami. Tego wieczoru czuł się przecież znowu chłopcem, kiedy wymówiono przy nim nazwisko majora Thorne'a.

— Ojciec pański wspominał może czasem o mnie? — zapytał major skwapliwie.

— Oczywiście, tysiące razy!

Miał ochotę dodać, że często staje przed nim obraz grubego dżentelmena, który zawisł na gałęzi winogrodowej i stał się tarczą dla strzałów baterji artyleryjskiej.

Być może było w tem zamało szacunku, lecz Montague często myślał o tej scenie, od czasu, gdy po raz pierwszy śmiał się z tego opowiadania ojca. Zdarzyło się to w południowej porze pewnego styczniowego dnia w „Gęstwinie Leśnej“, podczas strasznej bitwy pod Chancellersville, gdy ojciec Montague'a był dopiero początkującym młodym oficerem sztabowym i przypadło mu w udziale zakomunikować majorowi Thorne'owi jeden z najstraszniejszych rozkazów, jakie kiedykolwiek otrzymał oficer kawalerji. Nastąpiła krytyczna chwila bitwy, gdy armja Potomaca drgnęła pod naciskiem kolumn Stenewalla i Jackensa. Wydawało się, że nic nie było w stanie powstrzymać ich, — jednak było to konieczne, — gdyż w przeciwnym wypadku zginęłoby całe prawe skrzydło armji. A więc pułk kawaleryjski pomknął przez gęstwę krzaków do ataku na piechotę i artylerję,

stojącą zwartym murem. Salwa ich była straszna, — ludzie i konie rozrywani byli na kawałki; koń majora Thorne'a, ranny odłamkiem kartacza w dolną szczękę, rzucił się jak oszalały w bok, i jeździec zawisł na najbliższej gałęzi winogrodowej. Gdy się wyswobodził, znalazł się na polanie, gdzie ludzie i konie biegali jak oszaleli pod gradem kul i kartaczy. Wśród tego piekła dzielny major schwytał konia i, zebrawszy resztki swego rozbitego oddziału, trzymał się, póki nie nadeszły posiłki i aż do ostatniej chwili odpierał wściekle ataki nieprzyjaciela. — Montague stał i patrzył na tego grubego, małego człowieka o czerwonym nosie i przypominał sobie jego bohaterskie czyny. Podczas gdy ścisnął jego rękę, wyrażając swą radość, major odszukał oczyma kogoś z pośród obecnych w pokoju i zawołał szybko:

— Pułkowniku Anderson! Pułkowniku Anderson!

A więc to był ów słynny Jack Anderson, „pastor“ Anderson, jak go nazywano, ponieważ zawsze modlił się, zanim coś przedsięwziął. Modlił się podczas każdej mszy, modlił się wieczorem, — opowiadano, że pułkownik modlił się i w nocy, podczas gdy jego ludzie spali. Wraz ze swą baterją wyćwiczoną do doskonałości podczas trzech lat wzorowego dowództwa, dzielny pułkownik trzymał się w bitwie pod Cold-Harbor — straszna nazwa! I chociaż nieprzyjacieli zbił z pozycji i odrzucił całą linię wojsk jego na tyłach, — baterja jego stała jak skała wśród wzburzonego oceanu, wytrzymując jednocześnie ataki z dwu stron, i w przeciągu pół godziny, póki nie nadeszła mu na pomoc piechota, pułkownik przejeżdżał wolno tam i z powrotem wzdłuż swoich szeregów, spokojnie i pogodnie powtarzając: — Poślijcie ich do diabła, chłopcy, poślijcie ich do diabła! — Teraz ręka pułkownika drżała, gdy ją wyciągnął, mówiąc swym chrapliwym, nadszarpniętym głosem, że cieszy się nie-skończenie, widząc syna pułkownika Montague'a.

— Dlaczego to widzimy pana dziś po raz pierwszy? — zapytał major Thorne.

— Montague odpowiedział, że całe swe życie spędził w stanie Mississippi; ojciec jego ożenił się po wojnie z dziewczyną ze stanów południowych. Generał Montague miał zwyczaj przyjeżdżać raz do roku do New-Yorku, aby brać udział w zebraniu „Loyal Legionu“; ale Allan zostawał wówczas zawsze przy matce.

W sali znajdowało się do stu osób i Allan podchodził od jednej grupy do drugiej. Wielu z tych ludzi było zaufanymi przyjaciółmi jego ojca. Allanowi wydawało się prawie niesamowitem, że widział ich tak przed sobą z krwi i kości, postarzałych, słabych, siwych, pomarszczonych. We wspomnieniach jego żyli oni jako młodzieńcy, silni, promienni bohaterowie, których czas nie mógł dotknąć.

Życie na wielkich plantacjach było samotne, szczególnie dla człowieka ze stanów południowych, który walczył po stronie Północy. Generał Montague, człowiek spokojny, znajdował upodobanie w tem, aby kołysząc na kolanie obydwu swych synów, przeżywać na nowo swe boje. Kolekcjonował sobie całą literaturę w sprawie korpusów, któremi dowodził, całą bibliotekę, w której Allan nauczył się orjentować, gdy tylko zaczął czytać. Wychowany był dosłownie na wojnie, — całemi godzinami leżał zatopiony w jakimś historycznym ilustrowanym tomie, dopóki ktoś nie przychodził i nie odwoływał go.

Przestudjował mapy pochodów i bitw, ożywały w jego oczach obrazy namiętnej walki; znał wszystkie brygady i dywizje armji Potomaca, znał je z nazwisk ich dowódców, ich działaczy i metod walki; stały przed nim jak żywe i lista ich nazwisk mówiła mu wiele. I oto teraz ci ludzie znajdowali się naprawdę przed nim; rój scen i wspomnień z ich życia i bohaterskich czynów ożył w je-

go pamięci. Nic dziwnego, że był zlekka oszołomiony i z trudem szukał odpowiedzi, gdy zwracano się do niego.

Wtem zaszło coś, co sprowadziło go odrazu zpowrotem do świata teraźniejszości.

— Oto jest sędzia Ellis, — powiedział generał.

Sędzia Ellis! Sława jego umysłu i jego krasomówstwa dotarła nawet do dalekiej Missisipi; nie było prawie miejscowości w Ameryce, gdzie nie wiedziano o talencie krasomówczym sędziego. — Zjednaj go sobie! — radził, śmiejąc się, Oliver, brat Montague'a, gdy dowiedział się, że sędzia obecny będzie na zebraniu. — Obrób go sobie, Allanie. Może ci się przydać.

Nietrudno było pokazać się z najlepszej strony takiemu miłemu człowiekowi, jakim był sędzia. Stał w drzwiach gładki, wytworny, wypielęgowany, jego frak skrojony bez zarzutu odcinał się dziwnie od starych mundurów. Sędzia był gruby i jowialny; uśmiechniętą twarz jego zdobiły bokobrody. — Syn generała Montague'a! — zawołał i uściśnął rękę młodego człowieka. — To przyjemna niespodzianka! Dlaczego to dopiero teraz pana widzę?

Montague wyjaśnił, że sześć godzin temu przybył do New-Yorku. — Rozumiem, — odpowiedział sędzia. — Czy długo pan tu zostanie?

— Chcę zostać tu na stałe, — brzmiała odpowiedź.

— To słusznie. W takim razie będziemy pana częściej widywali. Zajmie się pan interesami?

— Jestem adwokatem. Chcę tu praktykować.

Sędzia objął badawczem spojrzeniem wysokiego ładnego mężczyznę o kruczoczarnych włosach i poważnej twarzy. — Pozwoli pan nam, że pana wypróbujemy, — powiedział. Zanim zwrócił się do innych, położył przyjaciennie rękę na ramieniu Montague'a i szepnął z chytrym uśmieszkiem: — Mówię to zupełnie serjo.

Serce Montague'a zabiło trochę mocniej. Rada jego brata nie była mu przyjemna, nie umiał podchlebiać, ale chciał pracować, osiągnąć powodzenie i wiedział dobrze, co znaczyć mogła dla niego przychylność sędziego. Sędzia Ellis był ulubieńcem arystokracji politycznej i przemysłowej New-Yorku; uścisk jego ręki był w stanie otworzyć wrota bogactwa i powodzenia.

W jednym z pokoiów stały szeregi krzeseł. Zebrało się tu od dwustu do trzystu osób. Po kątach stały grupy chorągwi, z których każda stanowiła w oczach wtajemniczonych stronicę w historii wojny. Wzrok Montague'a błakał się po nich, podczas gdy sekretarz odczytywał protokoły zebrań i inne, zwykle w takich wypadkach oświadczenia. Następnie Allan zaczął przypatrywać się zebraniu. Byli tu inwalidzi — o jednej ręce, o jednej nodze; nawet niepewny w nogach dziewięćdziesięcioletni żołnierz, zupełnie ślepy i podtrzymywany przez dwóch przyjaciół przywłókł się tutaj. „Loyal Legion“ był organizacją oficerską i dlatego arystokratyczną, lecz powodzenia życiowe nie były tu brane pod uwagę, i choć niektórzy z jego członków wiedli skromny żywot na pensji oficerskiej, nie przeszkadzało to, by odnoszono się do nich z niemniejszym szacunkiem, niż na przykład do generała Prentice'a, który był przewodniczącym jednego z największych banków w City i człowiekiem bogatym, nawet w new-yorskiem pojmowaniu tego słowa.

Przewodniczący oficer zapowiedział:

— Pułkownik Robert Selden przeczyta swe „Wspomnienia o kampanji Spottsylwańskiej“.

Montague drgnął usłyszawszy to nazwisko, gdyż „Bob“ Selden był jednym ze spółtowarzyszy jego ojca i przeszedł całą kampanję u jego boku.

Był to człowiek o jastrzębim nosie i siwej napoleońskiej bródce.

Wszyscy ucichli, gdy pułkownik wstał i przetarłszy okulary zabrał się do czytania. Rozpostarł przed nimi kartę z historii armji Potomaca, dotyczącą wiosny roku 1864; w przeciągu trzech lat armja ta posuwała się naprzód i walczyła, ponosząc klęskę za klęską. Potężne narzędzie, któremu brakło jedynie prawdziwego wodza. Wreszcie znalazł się taki człowiek, który potrafił poprowadzić armję do walki i natchnąć ją wiarą w zwycięstwo. Szli przez „Gęstwinę Leśną“, gdzie Lee wymierzył im okrutny cios. Przez trzy dni zagłębiali się w nieprzebyte gęszcze, walcząc ręka w rękę wśród duszącego dymu. Pułkownik czytał spokojnym, niewzruszonym głosem, lecz sądząc z ożywienia, jakie przemknęło po wszystkich twarzach, można było zauważyć, że zawładnął uwagą swych słuchaczy, szczególnie wówczas, gdy opowiadał, jakto armja podniosła się na duchu i jak triumfowała, gdy wziąwszy kierunek na lewo, przekonała się, że już nie odstępuje. Tak doczekali się dwunastodniowej bitwy Spottsylvaniańskiej.

Działo się to wciąż jeszcze w „Gęstwinie Leśnej“. Okopy nieprzyjaciela rozciągały się półkolem na przestrzeni ośmiu mil i zakończone były rowem i ostrokołami z ciężkich pali, przeplatanych gałęziami. Miejsce to było punktem oparcia wojsk federacyjnych i nosiło nazwę „Kąta“. — „Krwawego Kąta“. — Montague słyszał, jak człowiek siedzący obok niego z trudem oddychał, jakgdyby spazm ścisnął mu gardło.

Nieprzyjaciel nacierał zapomocą szeregu ataków, i w przeciągu dwudziestu godzin obie armje walczyły, rzucając pułk za pułkiem i brygadę za brygadą do okopów; ulewny deszcz lał jak z cebra, czarny dym wisiał nad głowami, i tylko ogień karabinów oświeślał od czasu do czasu twarze wrogów.

Pułkownik opisywał obrazowo natarcie swego pułku. Nie na długo znaleźli się w bagnie; kule świsnęły, jak ro-

je pszczoł, podcinając wokół łodygi traw. Atakowali następnie miejsce zlane krwią ludzką. W okopach ciała zabitych i umierających leżały trzema warstwami, wdeptywane w błoto nogami walczących. Chcieli schować się za temi okopami, trzymając strzelby wysoko nad głowami i strzelając w nieprzyjaciela. Znowu i znowu ludzie skakali przez okopy, strzelali i padali martwi. Ciągnęli armatę za armatą, torując drogę i zasypując ziemię gradem kartaczy.

Podczas gdy pułkownik czytał dalej swym spokojnym, rzeczowym głosem, niektórzy słuchacze pochylili się naprzód na swych fotelach, zaciskając pięści i zęby. Znali to. Znali dobrze. Czy kto znał taki przykład, aby artylerja atakowała okopy? Dwadzieścia cztery osoby z dowództwa przy jednej armacie i tylko dwóch ocalało! I grad kartaczy, wymiatający okopy, rozbijający na drzazgi żywych i umarłych. A w tem piekle salw — nowe pułki, atakujące w cztery szeregi. Oddział za oddziałem nieprzyjacielskim czynił próby poddawania się i ostrzeliwany był przez własnych towarzyszy, podczas gdy ludzie wspinali się na okrwawione szańce. Grube pale rozlatywały się na wióry. Gigantyczne dęby — jeden z nich o średnicy 24 cali — waliły się na walczących, przebite kulami karabinów. Czy zdarzało się kiedykolwiek, by ludzie walczyli w takich warunkach?

Następnie pułkownik opowiedział o swej własnej ranie w ramię i o tem, jak upadł wśród zmroku, zabłądził, znalazł się w szeregach nieprzyjacielskich, przyłączony został do grupy jeńców, których odsyłano na tyły. Jak spędził noc obok jednego ze szpitali w „Gęstwinie Leśnej“, gdzie setki rannych, leżąc w rozmięklej przez ulewę ziemi, wśród jęków i wycia błagali, by ich zabito. Jeńców skierowano w drogę z rozkazem, by szli ku linii kolejowej. Podczas drogi pułkownik oślepl wskutek cierpień i wyczerpania i zachwiaawszy się, padł na drogę.

Można było słyszeć upadek kapitana w pokoju podczas przerw w jego opowiadaniu o tem, jak straż popędzała go, by szedł dalej; wydano rozkaz zabicia go, gdyby nie chciał iść, lecz nikt nie odważył się wypełnić rozkazu. Wreszcie powierzono to pewnemu żołnierzowi, który stał, przeklinając go; ostatecznie strzelił w powietrze i uciekł, zostawiwszy pułkownika na drodze.

Następnie opowiadał o tem, jak go znalazł stary murzyn, jak leżał w malignie, i został wreszcie zabrany przez swą własną armję. Zakończył swe opowiadanie prostym zdaniem: „Udało mi się przyłączyć do mego oddziału dopiero podczas oblężenia Pittsburgu“.

Szmer pochwały pokrył jego słowa, a następnie zapanowało milczenie. Nagle z głębi pokoju rozległy się dźwięki pieśni — „Oczy me ujrzały chwałę przyjscia pana“. Stary hymn bojowy odpowiadał widać nastrojowi całego zebrania, gdyż wszyscy obecni podjęli go i prześpiewali zwrotka za zwrotką. Pieśń rozległa się, jak potężne dźwięki organów.

Potem zapanowała cisza; przewodniczący zebrania wstał i powiedział, że z powodu obecności zaszczytnego gościa świadomie łamie jedno ze swych prawideł i prosi sędziego Ellisa o powiedzenie kilku słów.

Sędzia wystąpił naprzód i ukłonem powitał zebranie. Następnie, czując widocznie potrzebę podniesienia nastroju po smutnej opowieści, sędzia poprosił o wybaczenie za swą śmiałość wobec zebrania wojaków i opowiedział historję o pewnym mule wojskowym i drugą, nie mniej zajmującą; gdy skończył i usiadł, rozległy się gorące oklaski.

Następnie wszyscy udali się na obiad. Montague siedział obok generała Prentice'a, z drugiej strony generała sędziego, który opowiadał jedną anegdotę po drugiej, wywołując powszechny śmiech. Wreszcie i Montague wziął się na odwagę i opowiedział anegdotę, która sędziemu

tak się podobała, że prosił o pozwolenie powtórzenia jej innym. Nachylał się kilka razy nad stołem i rozmawiał z Montague'em; ten ostatni, myśląc o cynicznej radzie swego brata „obrób go sobie“, odczuwał lekkie wyrzuty sumienia. Ale ostatecznie sędzia tak mu ułatwiał to obrabianie, że sumienie mogło się uspokoić.

Po obiedzie powrócili wszyscy do sali posiedzeń, utworzyły się grupy, zapalono fajki i cygara, wyciągnięto z kątów stare drogocenne chorągwie. Ktoś przyniósł trąbę i dwa bębny i całe towarzystwo zaintonowało marsz wojenny z wojny secesyjnej. Ludzie nie byli muzykalni, umieli tylko głośno śpiewać, lecz oczy ich błyszczały, kołysali się w takt tej pieśni i śpiewali całym sercem starą bojową pieśń. Drgnęły ściany sali, gdy cała kompanja podchwyciła:

„Towarzysze, przynieście róg! inną pieśń zaśpiewamy wam teraz...“.

Z jakim zdumiewającym zapalem śpiewali tę pieśń.

Montague obserwował ślepego starca, który wybijał nogą takt i którego twarz przypominała człowieka, zapatrzonego w wizję. Jeszcze jeden człowiek zwrócił uwagę Montague'a, jeden z doboszów, mały o czerwonej twarzy irlandczyk. Wydawało się, że wszedł w niego duch bębna, w jego ręce, nogi, oczy, w jego głowę i całą okrągłą postać. Pomiędzy każdą zwrotką wybijał długi werbel i wydawało się, że tony porywają go. Oczy jego napotkały spojrzenie Montague'a; z uśmiechem kiwnął mu głową. Od czasu do czasu pozdrawiali się oczyma. Gdy śpiew umilkł na chwilę, mały dobosz, porucznik O'Day, podszedł i zapoznał się z Montague'em. Gdy się znów oddalił, generał Prentice opowiedział: — Ten mały człowiek rozpoczął jako dobosz w moim regimencie i przeszedł z moją brygadą całą kampanję. Przed dwoma laty, pewnego mroźnego dnia zimowego spotkałem go na ulicy zmarzniętego, w cienkim palcie letnim.

Zaprosiłem go na posiłek i gdy ujrzałem w jaki sposób je, zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Zmusiłem go, żeby mnie zaprowadził do swego mieszkania i wykryłem, że bliski był śmierci głodowej. Posiadał mały sklep z tytoniem, wpadł w długi; trust zniszczył jego egzystencję. I odtąd wraz z żoną żyli z zarobku córki, sześć dolarów tygodniowo.

Generał opowiedział dalej, z jaką trudnością przyszło mu skłonić małego człowieka do przyjęcia zapomogi. — Wreszcie znalazłem dla niego posadę w moim banku i teraz widać już po nim, że ma dosyć do jedzenia.

Śpiew rozpoczął się na nowo, a Montague zamyślił się nad historją, którą usłyszał przed chwilą. Myślał o tem, co było najcharakterystyczniejsze w tem zebraniu i co go pociągało — o duchu braterstwa i wzajemnego szacunku, jaki tu panował. — Śpiewali: „Tej nocy stawiamy namioty na polu walki“, „Niema już żołnierzy“; śpiewali i inne pieśni, tęskne i smutne i głosy ich drżały, a mgła pokrywała oczy. Montague siedział, jak zaczarowany.

Śpiew rozpoczął się na nowo i Montague słuchał w zachwyceniu. Nad tymi ludźmi i ich życiem unosiła się jakaś tajemnica, coś niezwykłego, co rzadko tylko objawia się śmiertelnikom i jedynie tym, którzy umieją marzyć i narażać swe życie. Ludziom tym nie łatwo przyszło wypełnić swój obowiązek. Posiadali swe domostwa, żony, dzieci i przyjaciół; a jednak porzucili wszystko, aby służyć Republice. Poznali nowe życie, wykuli ze siebie stalową broń. Maszerowali i walczyli w pyle, w żarze słonecznym, pod ulewnemi deszczami, wśród lodowatych wichrów. Stali się okrutni i nieprzejednani, ludzie z żelaza i stali. Nauczyli się śmierci w oczy patrzeć, jej płonące spojrzenie wytrzymywać, w jej obecności maszerować, jeść, spać, śmiać się i śpiewać, nauczili się dzierżyć swe życie w ręku, igrać niem, jak żon-

gler kulami. A wszystko to dla wolności, owej bogini w gwiaździstej koronie, o płonących oczach, która wznosiła się nad wierzchołkami gór i wzywała ich wśród ognia, utarczek i niehumanitarnych bitew. Postępowali za nią, za jej szatami powłóczytami, wskroś pyłu i dymu armatniego; aby na chwilę ujrzeć jej świetlane oblicze, spędzali bezsennie długie noce, zasypiali w ciągu dnia z karabinami w rękach; za jedno dotknięcie jej świetlnych szat gotowi byli ginąć w więzieniach, gdzie głód, okropne epidemie i dziki obłęd czyhały na nich ze wszystkich stron.

Teraz ta armja wolności z jej powiewającymi sztandarami i parszającymi końmi odeszła w świat cieniów, ziemia, wydeptana przez nią jest święta; drzenie i mimowolna cześć ogarniają każdego, kto czyta o bohaterskich czynach tych ludzi. Fala wspomnień ogarnęła Montague'a, siedział, ukrywając twarz w dłoniach, jak w latach chłopięcych, gdy spływało na niego objawienie. Ludzie ci cierpieli za Republikę, za niego i jego dzieci — poto, aby rządy ludu rękoma ludu i na jego korzyść zapanowały na ziemi. I natchnione słowa manifestu z Gettysburga znalazły oddźwięk w duszy wrażliwego chłopca i pobudziły go do złożenia swej duszy na ołtarzu ojczyzny. Oni uczynili dla niego tyle, — a teraz nadeszła kolej na niego. Dwanaście lat minęło od tego czasu, a jednak wiedział wciąż, że głęboko w jego duszy, głębiej od innych dążeń i myśli żyła świadomość, że powinien stać się godnym tych ludzi, którzy zginęli za Republikę.

Śpiew umilkł. Sędzia Ellis stanął przed Montagu'em i powiedział z właściwą sobie uprzejmością, iż ma nadzieję zobaczyć go wkrótce. General Prentice podszedł również; Montague otrząsnął się z oczarowania, któremu uległ, uściśnął rękę małemu doboszowi, Seldenowi i Andersonowi, jak również i innym bohaterom swych ma-

rzeń. Kilka chwil później stał przed hotelem i głębokimi haustami wdychał zimne powietrze listopadowe.

Major Thorne wyszedł wraz z nim; zaproponował Montague'owi, że odprowadzi go do hotelu.

Po drodze Montague przypomniawszy majorowi o figurze, która zawisała na gałęzi winogrodowej. Major roześmiał się i opowiedział, jak to się odbyło. Okazało się, że miał jeszcze szereg przygód; podczas gdy starał się schwytać konia, natknął się na dwa muły, naładowane zapasami wojennymi i zaczepione grzywami o drzewa; rzucił się ku nim, gdy nagle silny wybuch naboju powalił drzewo, spowodował wybuch prochu w zapasach niesionych przez muły i rozerwał zwierzęta na kawałki. Następnie opowiadał o nocnym ataku, który zwrócił im utracone pozycje, o utarczce, w której brał udział Stonewall Jackson aż do swej tragicznej śmierci.

Dalej następowało opowiadanie o Andersonville i ucieczce z więzienia. Montague mógłby spędzić całą noc, słuchając wspomnień majora.

Zatopieni całkowicie w rozmowie doszli do alei, prowadzącej ku uboższym dzielnicom; nad głowami dudniły koleje, po obu stronach ulicy ciągnęły się drobne sklepiki. Montague zauważył gęsty tłum na jednym z rogów i zapytał, co to znaczy.

— Jakiś wiec, — odpowiedział major.

Podeszli bliżej i ujrzeni oświetlonego, nad tłumem sterczącego człowieka.

— Wygląda, jak zgromadzenie polityczne, — zauważył Montague. — Ale to nieprawdopodobne teraz, dopiero niedawno odbyły się wybory.

— To muszą być socjaliści. Ci nigdy nie dadzą spokoju.

Przeszli przez ulicę i teraz mogli przyjrzeć się mówcy. Był chudy, wyglądał na wygłodniałego i miał długie ramiona, któremi dziko wymachiwał. Silnie podnieco-

ny, kołysał się wtył i naprzód, nachylał się nad tłumem. Pociąg zagrzemiał nad nimi i nie można było rozróżnić ani słowa.

— Socjaliści? — zapytał Montague zdziwiony. — A czegoż ci chcą?

— Sam dobrze nie wiem. W każdym razie chcą obalić rząd.

Pociąg odjechał i słowa mówcy stały się wyraźne i zrozumiałe.

— Zmuszają was do budowania pałaców, a wam samym każą mieszkać w domach czynszowych! Zmuszają was do tkania delikatnych materiałów, a każą wam nosić lachmany! Zmuszają was, byście wznosili więzienia, do których was wrzucają! Zmuszają was do wyrabiania karabinów, któremi was rozstrzelują! Posiadają partje polityczne, wystawiają kandydatów, oszukaństwem zyskują wasze głosy i nazywają to prawem! Napędzają was do wojska, wysyłają was na mordowanie waszych braci — i zwą to porządkiem. Biorą kolorowy gałgan, nazywają go sztandarem, uczą was, byście umierali w jego imieniu — i zwą to patriotyzmem! Zawsze i wiecznie pracę dajecie WY, ale owoce jej zabierają ONI! Posiadacze! Panowie! Wy głupcy! Wy głupcy! WY GŁUPCY!

Głos mężczyzny nabrzmiał aż do krzyku, wyrzucił w górę ramiona i wybuchnął szyderczym śmiechem. Szum nadjeżdżającego pociągu znowu pochłonął dalsze jego słowa, ale Montague widział, że wciąż jeszcze wykrzykiwał swe oskarżenia.

Montague stał, jak skamieniały; wstrząśnięty był do głębi i ledwo zdołał się opanować. Chciało mu się wystąpić przeciwko temu człowiekowi, przekrzyczeć go, zawstydzić przed tłumem. Major zauważywszy jego wzburzenie, wziął go pod rękę i odciągnął nabok.

- Chodźmy. Nic przeciwko temu nie poradzimy.
- Ale... ale... policja powinna go aresztować.
- Od czasu do czasu aresztuje ona tych ludzi, ale to nic nie pomaga.

Szli przed siebie. W oddali zamarły dźwięki przenikliwego głosu.

- Niech pan mi powie, — dowiadywał się Montague, — czy tego rodzaju rzeczy zdarzają się często?

— Na rogu mojej ulicy co sobotę.

— I cóż? Ludzie słuchają?

— Czasem przepelniona jest cała ulica.

Szli dalej w milczeniu. Wreszcie Montague zapytał:

— Co to ma oznaczać?

Major wzruszył ramionami:

— Być może drugą wojnę domową.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Ojciec Allana Montague'a umarł przed pięciu laty. W dwa lata po jego śmierci młodszy syn, Oliver, oznajmił, że ma zamiar spróbować szczęścia w New-Yorku. Nie miał ani określonego zawodu, ani też określonych planów; lecz przyjaciele jego ojca byli ludźmi zamożnymi o wielkich wpływach i wszystkie drzwi stały przed nim otworem. Zamieniwszy swoją część majątku na gotówkę, udał się w drogę.

Oliver był wesołym, żądnym życia chłopakiem ze wszystkimi zadatkami na syna marnotrawnego; brat jego przekonany był, że po roku lub dwóch powróci z pustemi kieszeniami. Lecz najwidoczniej New-York przyjął Olivera gościnnie. Nigdy nie pisał o tem, co robi — pisał jedynie, że wszelkimi sposobami stara się uchronić od nędzy; zresztą na gwiazdkę i na urodziny kuzynki Alicji posyłał podarunki, wywołujące zachwyt całej rodziny.

Montague sądził, że pozostanie na zawsze prowincjonalnym adwokatem, właścicielem plantacji, lecz dwa miesiące temu pożar zniszczył ich rodzinną siedzibę, a wkrótce zjawili się nabywcy na ziemię; Oliver posyłał gorące depesze, namawiając do przyjazdu. Wówczas zdecydowali się szybko na zlikwidowanie swoich spraw i wyruszyli do New-Yorku.

Rodzina składała się z Montague'a, jego matki, dwiętnastoletniej kuzynki Alicji i starej „matki Lucy” — służącej pani Montague. Oliver spotkał ich w Jersey City, promieniejąc ze szczęścia. Wyglądał na młodzieńca więcej niż kiedykolwiek, był taki sam ładny, tylko trochę blady. New-York nie zmienił go ani trochę. Oczekiwał ich służący hotelowy w liberji, aby przewieźć bagaż, i wielki czerwony samochód, aby zawieźć ich samych. Wkrótce znaleźli się w zacisznie urządzonej nowym mieszkaniu, mając w osobie Olivera doświadczonego doradcę i kierownika.

Montague przyjechał, aby rozpocząć życie na nowo. Przywiózł swoje pieniądze, mając nadzieję ulokować je i żyć z procentów, póki nie zacznie sam zarabiać. Pracował wiele i uporczywie w swoim zawodzie, i miał nadzieję, że dostanie praktykę w New-Yorku i osiągnie oczekiwany rezultat. Nie znając prawie stolicy, patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma dziecka.

Mając poczucie człowieka, którego unosi prąd potoku, musiał się do wszystkiego przyzwyczaić: z początku ruchliwy i hałaśliwy tłum na promie, krzyki woźniców i gazeciarzy, dudnienie wagonów, następnie przejazd pędzącym samochodem, prześlizgującym się pomiędzy wozami i karetami, mijającym rogi ulic, na których wysocy policjanci rozciągali opiekę nad gorączkowo spieszącym tłumem. Następnie, Piąta Avenue z jej gigantycznymi hotelami, rzędami magazynów i, wreszcie, szybki skręt na rogu — ich dom.

— Wybrałem dla was spokojny rodzinny kącik, — powiedział Oliver, i słowa te spodobały się bardzo bratu. Lecz przeraził się, gdy wszedł do tego najnowocześniejszego „hotelu z apartamentami“, przeznaczonego na użytek dwustu — trzystu osób z pośród wybranej arystokracji stolicy, i zobaczył olbrzymią arkadę z drzwiami z masywnego bronzu, hallem, wyłożonym włoskim marmurem, ze sklepieniem sufitem, ozdobionym obrazami najlepszych współczesnych malarzy. Ludzie w liberjach zdjęli z nich płaszcze i przeprowadzili ich wśród głębokich ukłonów. Wielka winda z bronzu zawiozła ich na odpowiednie piętro i skierowali się do swych pokojów przez korytarz o ścianach z krwawo czerwonego marmuru, wysłany dywanami, miękkimi jak poduszki. Było tu sześć pokojów, urządzonych z przepychem, który przeraził Montague'a.

Gdy tylko służący, niosący ich płaszcze wyszedł z pokoju, zwrócił się do brata z zapytaniem:

— Oliver, ile mamy za to płacić?

Oliver uśmiechnął się. — Nic nie zapłacicie, staruszk, — odpowiedział. — Będziecie moimi gośćmi w przeciągu jednego lub dwu miesięcy, dopóki nie załatwisz swoich spraw.

— To bardzo ładnie z twojej strony, ale o tem pomówimy później, a tymczasem powiedz mi, ile kosztuje taki apartament?

I tutaj Montague otrzymał pierwszy ładunek new-yorskiego dynamitu.

— Sześćset dolarów tygodniowo, — odpowiedział Oliver.

Montague podskoczył, jak oparzony. — Sześćset dolarów tygodniowo? — wyszeptał.

— Tak, — odpowiedział brat spokojnie.

Minęła cała minuta, zanim Montague złapał oddech. — Oliver, słuchaj, tyś zwarjował!

— To są jeszcze dogodne warunki. Mam tu pewne wpływy.

Znów nastąpiła pauza, podczas której Montague szukał słów. — Oliver, ja ci nie wierzę, jak mogłeś sądzić, że będziemy w stanie płacić takie ceny?

— Wcale tego nie myślałem, — powiedział Oliver, — powiedziałem ci, że mam zamiar płacić sam.

— Ale my nie możemy pozwolić na to, żebyś płacił za nas. Czyż ty przypuszczasz, że będę kiedykolwiek w stanie tyle zarabiać, żeby wydawać takie sumy?

— Naturalnie, że będziesz, — powiedział Oliver. — Nie bądź głupi, Allan, — zobaczysz, że w New-Yorku łatwo jest robić pieniądze. Pozostaw to mnie, a tymczasem uzbrój się w cierpliwość.

Ale Allanowi nie wystarczyła taka odpowiedź, usiadł na wyszywanej jedwabiem kapie łóżka i niespodziewanie zapytał:

— Jaki będzie podług ciebie mój roczny dochód?

— No, tego oczywiście nie wiem, — zaśmiał się Oliver. — Nikt nie traci czasu na obliczanie swego dochodu. Będziesz zarabiał tyle, ile ci będzie potrzeba. Jedno tylko powinieneś dobrze zrozumieć: — im więcej pieniędzy będziesz wydawał, tem więcej możesz osiągnąć.

Ale widząc, że troska nie schodzi z twarzy brata, Oliver usiadł, założył nogę na nogę i zaczął rozwijać paradoksalną filozofję ekscentryczności. New-York jest miastem milionerów; mieszka w niem określona grupa osób — „właściwa klika“ — jak ją określił Oliver, i pieniądze są dla niej tak samo dostępne, jak powietrze. Co się tyczy jego kariery, to on jest zdania, że nic w New-Yorku nie wypada tak drogo, jak oszczędność.

On sam, gdyby nie żył, jak przystoi dżentelmenowi, okazałby się wykluczonym z kręgu wybranych i jak zdołałby wówczas żyć — to zagadka nie do rozwiązania. Tymczasem, przyswoił sobie szybko ten sposób myśle-

nia, przy którym człowiek nie dziwi się niczemu; robił to, co robią inni, z pogodą ducha i spokojem człowieka, postępującego tak przez całe swe życie. Wkrótce i on, Allan, znajdzie swe miejsce w otaczającym go życiu, powinien tylko poddać się opiece brata.

— Przekonasz się wkrótce, że trzymam wszystkie nici w ręku, — dodał. — Traktuj życie lekko i pozwól, bym cię wprowadził w odpowiednie środowisko.

— Wszystko to brzmi bardzo ponętnie, ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, poco ja tu przyjechałem; nie poto, żeby wchodzić do kręgu „czterystu“, ale żeby się zająć praktyką adwokacką.

— Po pierwsze, nie opowiadaj o czterystu, bo to jest strasznie wulgarne i głupie. Po drugie, masz mieszkać w New-Yorku i powinieneś zawrzeć znajomość z pożytecznymi osobami. Jeśli do nich przystąpisz, to możesz zajmować się pracą adwokacką, lub grą w bilard, albo czem ci się zechce. W przeciwnym razie, możesz z równem powodzeniem praktykować w Dahomeju w pierwszym lepszym dostępnym dla ciebie zawodzie. Mógłbyś i tutaj pracować samodzielnie, ale nawet za dwadzieścia lat nie osiągniesz tego, co możesz osiągnąć przy mej pomocy po dwóch tygodniach...

Allan był o pięć lat starszy od swego brata i przyzwyczaił się traktować go po ojcowsku, a teraz role ich zamieniły się i zmuszony jest ustąpić mu i w pierwszym okresie zająć się poważnie przestudjowaniem wszystkich tajemnic stolicy.

Postanowili nie mówić nikomu z rodziny o tych sprawach. Niech wszystko idzie po dawnemu; pani Montague była napół ślepa, niech więc w dalszym ciągu prowadzi swój odosobniony tryb życia wraz z „matką Lucy“; co się tyczy Alicji, to sprawy gospodarcze nie będą jej zajmowały; jeśli dobre wróżki zechcą obdarzyć ją podarunkami, to je przyjmie. Alicja stworzona jest na to,

by żyć w pałacu, tak przynajmniej orzekł Oliver. Krzyknął z zachwytem, gdy ją zobaczył. Miała szesnaście lat, gdy wyjechał; była wysoką i smukłą dziewczyną; teraz jest w pełnym rozkwicie swych dziewiętnastu lat i na jej twarzy i włosach odbijają się blade tony zorzy porannej. Siedząc w samochodzie, Oliver zachwycił się nią i swój krytyczny sąd o niej wyraził w słowach: — Ty zajdziesz daleko!

Teraz kręciła się po pokojach, dając wyraz swemu zachwytowi; wszystko było tu tak spokojne i harmonijne, przy pierwszym spojrzeniu rzucała się w oczy prostota, lecz prostota dziwna, starannie obmyślona i przyprawiająca o zdumienie. Przepych, jakgdyby ze spokojną pewnością siebie i „z arystokratyczną pogardą“ spoglądał wokoło. Lecz zwykły śmiertelnik wkrótce zaczynał go sobie uświadamiać i przenikać go zaczynało uwielbienie. W samej rzeczy, trudno pozostawać długo w mieszkaniu z meblami z najrzadszego orzechu kaukaskiego, o ścianach obitych jedwabiem, ręcznie haftowanym i nie poczuć pewnego podniecenia, nawet gdyby wam nikt nie powiedział o tem, że to urządzenie kosztowało osiem tysięcy dolarów za pokój, a jedwabne tapety, przywiezione z Paryża, były w cenie siedemdziesięciu dolarów za metr.

Montague zaczął również rozglądać się wokół; zwrócił uwagę na wielkie podwójne okna z rączkami z brązu, na brązowe ogniotrwałe drzwi, na żyrandole i kandelabry z brązu, które miękkim, elektrycznym światłem zalewały cały pokój; na fotele o różnorodnych kształtach, obite barwą, harmonizującą z kolorem ścian, olbrzymie fotele skórzane z przyśrubowanymi oparciami, lampami i t. p. Gdy otwierało się drzwi do garderoby, automatycznie zapalało się w niej światło; było tam lustro o trzech skrzydłach, w którym można było studjować swą postać ze wszystkich stron. Przy łóżku, opar-

ta o ścianę, stała mała szafka dla obuwia, której tylne drzwiczki wychodziły na korytarz, skąd korytarzowy mógł zabierać obuwie do czyszczenia, nie niepokojąc gości.

W olbrzymiej łazience podłoga i ściany zrobione były ze śnieżno-białego marmuru, a drzwi były lustrzane. Stały tam olbrzymie wanny porcelanowe, przyczem do ścian przymocowane były kryształowe klamry, za które można było się trzymać, wychodząc z wody, a za płóciennymi kotarami, które codzień zmieniano, znajdowały się prysznice i marmurowa ławka, na której można było poddać się masażowi przez masażystę, zjawiającego się za pierwszym naciśnięciem elektrycznego guzika.

Montague przekonywał się, że cudownościom tej instytucji nie było końca. Starożytny zegar na kominie nie mógł wskazywać fałszywej godziny, gdyż regulowano go za pomocą elektryczności z kantoru hotelowego. Nie trzeba było otwierać okna, aby przewietrzać pokój, a tem samem wpuszczać kurz z ulicy, gdyż pokój wentylowany był automatycznie, a temperaturę regulowało się przesunięciem rączki według strzałki „zimno“ i „gorąco“.

Kantor dostarczał przewodnika dla zwiedzania hotelu i można było obserwować, jak na szklanym stole za pomocą elektryczności miesi się ciasto na chleb i przeświećta jajka.

Można było zajrzeć do ogromnych chłodni, przewietrzanych elektrycznymi wentylatorami, gdzie każdy kawałek mięsa leżał w oddzielnej przegródce; na wszystkich piętrach były spiżarnie z zimnemi i gorącemi działami i hermetycznymi szafami.

Każdy z gości mógł mieć na życzenie własną bieliznę, naczynia, jak również swoją własną służbę.

Jednak dzieci gości nie zostałyby dopuszczone do tego przybytku, nawet, gdyby ich rodzice umierali, — to niewielkie ustępstwo trzeba było okazać gospodarzowi,

który wydał na samo umeblowanie półtora miliona dolarów.

W kilka minut potem zadzwonił telefon, i Oliver, odpowiadając komuś, powiedział:

— Proszę go przysłać na górę.

— Jest już krawiec, — zauważył, zawiesiwszy słuchawkę.

— Czyj krawiec? — zapytał brat.

— Twój, — odpowiedział Oliver.

— Czyż potrzebne mi są nowe ubrania? — zapytał Montague.

— W obecnej chwili nie masz żadnych ubrań, — brzmiała odpowiedź.

Montague stanął przed wysokiem lustrem, gdy ukończono wybór fasonów. Obejrzał siebie i przeniósł wzrok na brata. Ubranie Olivera miała w sobie coś analogicznego z meblami z drzewa orzechowego: — na pierwszy rzut oka wydawało się proste, nawet zlekka niedbale — i dopiero stopniowo można było się przekonać, że jest oryginalnie dobrane i drogo kosztuje.

— Być może twoi new-yorscy przyjaciele odniosą się do mnie pobłaźliwie, biorąc pod uwagę, że przyjechałem niedawno ze wsi? — zapytał drwiąco Montague.

— Być może, — brzmiała odpowiedź. — Znam setki osób, które pożyczą mi pieniądze, gdybym je o to poprosił. A jednak tego nie robię.

— Kiedyż w takim razie będę w stanie pokazać się gdziekolwiek? — zapytał Montague, widząc się w myślach zamkniętym w pokoju na tydzień lub dwa.

— Będiesz miał jutro rano trzy ubrania, — powiedział mu Oliver. — Genet mi to obiecał.

— Ubrania, szyte na zamówienie? — zapytał zdumiony brat.

— On nie słyszał nigdy o jakimś innym rodzaju ubrań — powiedział Oliver, tonem surowej wymówki.

Pan Genet miał minę wielkiego księcia rosyjskiego i maniery szambelana. Przyszedł on z pomocnikiem, który miał zdjąć z Allana miarę, podczas gdy on sam zajął się wyborem odpowiednich barw materiałów. Montague dowiedział się z ich rozmów, że następnego ranka weźmie udział w wycieczce za miasto, i że potrzebny mu będzie w tym celu strój wizytowy, myśliwski i poranny, a z pozostałymi można poczekać aż do jego powrotu. Obaj obrabiali go na wszystkie strony, jakby był koniem; „powierzchnowość ma dobrą, posiada wykształcenie i przy pewnych staraniach i doświadczonych rękach można z niego zrobić wybitną figurę“. Chociaż jego znajomość francuskiego języka nie była świetna, zdołał jednak pochwycić wyrażenie monsieur Geneta, że new-yorscy mężowie powinni drżeć przy jego pojawieniu się.

Gdy krawiec wyszedł, weszła Alicja, promieniejąc świeżością po zimnej kąpieli.

— To wy się stroicie, — zawołała. — A co będzie ze mną?

— Z tobą będzie trudniejsza sprawa, — powiedział Oliver, śmiejąc się, — ciebie weźmiemy w południe. Reggie Mann weźmie cię ze sobą i wybierze ci kilka sukien.

— Co? — zdumiała się Alicja — mężczyzna będzie wybierał dla mnie suknie?

— Oczywiście, — brzmiała odpowiedź, — z rad Reggie'ego Manna korzysta dobra połowa kobiet w New Yorku.

— Kto to jest? Krawiec? — zapytała dziewczyna.

Oliver siedział na krawędzi kanapy, założywszy nogę na nogę i kołysząc się zlekka; zatrzymał się nagle, wytrzeszczył oczy, a potem pochylił się w tył, wybuchając śmiechem.

— O mój Boże! — zawołał. — Biedny Reggie! — Następnie, zorientowawszy się, że nie uniknie wyjaśnień,

zaczął opowiadać, że Reggie Mann jest najlepszym wodzirejem kotyljonowym, bożyszczem kobiet z towarzystwa; jest ulubieńcem i protegowanym znakomitej pani de Graffenried, powszechnie uznanej za królową towarzystwa w Newport, która z pewnością zajmie wkrótce to stanowisko wśród towarzystwa New-Yorku. Reggie i Oliver byli bliskimi przyjaciółmi, i tamten ujrzawszy fotografię Alicji, pozostał w mieście, aby pomóc w wyborze tualet, przytem zaklinał się, że stworzy z niej dzieło sztuki. I wówczas pani Robbie Walling wyda na jej cześć bal i cały świat padnie do jej stóp.

— My we dwójkę jedziemy jutro do „Black Forest”, myśliwskiego zamku Wallingów, — dodał Oliver, zwracając się do brata. — Spotkasz tam pana Robbie. Mam nadzieję, żeś słyszał o Wallingach?

— Tak, — odpowiedział Montague, — nie jestem na tyle nieuświadomiony.

— Wspaniale, — odpowiedział Oliver. — Pojedziemy moim samochodem wyścigowym. To będzie twoje pierwsze doświadczenie. Wyruszymy wcześniej. O godzinie jedenastej będę przed twymi drzwiami.

Montague zaobserwował nową zabawną cechę new-yorskich obyczajów. Do opłaty za zajmowany przez nich apartament wchodziły usługi lokaja i pokojówki dla każdego z osobna. Gdy więc przywieziono ich kufry, nie pozostało im samym nic do roboty. Udali się na lunch do jednej z głównych sal jadalnych hotelu — sali o zielonych kolumnach marmurowych i mnóstwie kwiatów i palm. Oliver zamawiał potrawy, a brat jego, zauważywszy, że najprostsze danie kosztuje około 15 dolarów, zapytywał się w duchu, czy zawsze będą tak drogo jadał. Tutaj przypomniało się Allanowi, że wychodząc z mieszkania otrzymał depeszę od generała Prentice.

Zawiadomił więc brata, że generał Prentice zaprosił

go telegraficznie na zebranie „Loyal Legionu“ i pytał się żartując, czy przy tego rodzaju okazji może nosić swoje dotychczasowe ubranie. Oliver odpowiedział, że to wszystko jedno w co będzie ubrany, z wyjątkiem Prentice'a spotka tam bowiem samych ludzi bez znaczenia.

Prentice i jego rodzina znani byli w towarzystwie i dlatego należało utrzymywać z nim stosunki, ale narażenie Oliver surowo zabronił mu zabierać się do tego, wiedząc, że brat i tak będzie rozmawiał z generałem o dawnych dobrych czasach, a to był najpewniejszy sposób zdobycia sobie jego względów.

Po lunchu zjawił się Reggie Mann ożywiony, wytworny, krygujący się, o delikatnych rękach i miękim kobiecym głosie. Ubrany był w elegancki strój spacerowy z purpurową orchideą w butonierce. Na wysokości swego ramienia potrząsnął Allanowi rękę; lecz ujrzawszy wchodzącą Alicję, stanął, patrzył i patrzył na nią, uniósł nieco ręce z nadmiaru wrażenia i szepnął: — Wspaniała! Wspaniała! — I dodał z przejęciem: — Widzisz, Ollie, miałem rację, do jej wzrostu nadaje się atlas. Musi otrzymać jasno-niebieską suknię empirową; choćbym miał sam za to zapłacić. Co to się da zrobić z tych włosów! A postawa! Rêval wścieknie się poprostu!

Tak mówił Reggie, chwycił Alicję za rękę, studjował ją, następnie obrócił aby zbadać dokładnie jej postać. Dziewczyna zaczerwieniła się i śmiejąc się, próbowała ukryć swe zakłopotanie.

— Droga panno Montague, — zapalał się Reggie, — składam całe miasto u pani stóp. Ollie, bitwa rozstrzygnięta jest na twoją korzyść! Bez jednego strzału! I mam już odpowiedniego człowieka dla niej; ojciec jego jest umierający, i odziedziczy po nim cztery miljony. Pozatem jest piękny jak Antonjusz i czarujący jak Don

Juan. Allons! Już dziś po południu możemy rozpocząć kupowanie wyprawy.

BIBLIOTEKA NAUKOWA I BELETYSTYCZNA
ROZDZIAŁ TRZECI.
A. GUMPOWICZ, Kraków, Bracka 9.

Oliver nie mieszkał razem z nimi. W klubie miał swoje mieszkanie, którego nie chciał opuścić i następnego dnia o dwadzieścia minut po umówionej godzinie stał przed drzwiami hotelu, a Allan schodził na dół.

Samochód Olivera był francuskim samochodem wyścigowym; była to długa i niska maszyna, o bardzo niezgrabnych kształtach, z dwoma siedzeniami z przodu i miejscem dla mechanika z tyłu. Podczas postojów na ulicach przyciągała uwagę tłumu, który wypatrywał na nią oczy.

Oliver był w długim futrze niedźwiedziem, zakrywającym mu nogi, w futrzanej czapce i rękawicach. Na czole miał okulary, jakich używają automobiliści. Obok niego leżał taki sam strój dla brata.

Zamówione ubrania dostarczone zostały na czas, niósł je lokaj.

— Nie możemy zabierać ich ze sobą, — powiedział Oliver, — niech je lokaj zawiezie pociągiem. — Podczas, gdy Montague zapinał futro, Oliver dawał lokajowi adres, następnie Montague zajął swoje miejsce w samochodzie. Rzuciwszy szybkie spojrzenie przez ramię, Oliver nacisnął przekładnię, przekręcił kierownicę i samochód pomknął przez ulicę.

Czasami w domu, w Missisippi, zdarzało się Montague'owi brać udział w wycieczkach samochodowych, ale wycieczki te kończyły się zazwyczaj połamaniami samochodami i zepsutym nastrojem. Aż do tego dnia, gdy zeszedł z promu, nie zdarzało się Montague'owi jechać dobrym samochodem. Jazda tym samochodem wydawała mu się czemś fantastycznym. Samochód sunął bez

najmniejszego dźwięku, bez najmniejszego wstrząsu; mknął naprzód, przerzucał się z jednego kierunku w drugi, zwalniał biegu i zatrzymywał się, jakgdyby z własnej woli, jakby nim nikt nie kierował. Szyny tramwajowe nie okazywały nań najmniejszego wpływu, a większe uszkodzenia jezdni sprawiały, że wznosił się tylko zlekka; i dopiero wówczas, gdy pędził w największym biegu, jak żywe stworzenie, czuło się jego siłę.

Montague'owi wydawało się, że pędzili z zawrotną szybkością, lawirując pomiędzy wozami ciężarowymi, samochodami i tramwajami, ryzykując chwilkami w szalony sposób. Oliver jakgdyby zawsze umiał zgadywać zamiary przechodniów, ale myśl, że może się omylić, wywoływała przyspieszone bicie serca u jego brata. Raz nawet Montague krzyknął na widok człowieka, który zaledwie zdążył odskoczyć nabok. Oliver roześmiał się tylko i powiedział bratu, nie odwracając głowy:

— Przyzwyczaisz się zczasem do tego.

Mknęli teraz po Czwartej Avenue i skręcili na Bowery. Nad ich głowami grzmiały pociągi kolei nadziemnej, rzędy domów czynszowych, sklepy, szynki migwały im przed oczyma. Od czasu do czasu, gdy jastrzębi wzrok Olivera dostrzegał zdaleka granatowe mundury, przechodzili natychmiast na normalną szybkość. Tutaj Montague miał sposobność ujrzeć biedotę podmiejską. Był zimny dzień listopadowy i okres bezrobocia; biedni nie-szczęśliwi ludzie o wpadniętych piersiach wałęsali się po ulicach z rękami w kieszeniach.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Montague.

— Na Long Island, to djabelna droga, przynajmniej ta jej część, ale, niestety, to narazie jedyna droga; wkrótce będziemy mieli własną szosę automobilową i nie będziemy musieli przejeżdżać przez te kocie łby.

Zbliżając się do mostu Williamsburskiego spostrzegli, że przejazd został zamknięty z powodu remontu. To

zmusiło ich do okrażenia. Skręciwszy gwałtownie, wpadli w samo centrum dzielnicy robotniczej: wąskie, cuchnące ulice, olbrzymie niezgrabne domy z drabinami pożarnymi z zardzewiałego żelaza, ozdobionymi skrzyniami od mydła, wiadrami, schnącą bielizną; ciasne placyki przepelnione bawiącymi się dziećmi, sklepiki korzenne, składy z taniemi ubraniami, knajpy, labirynt plakatów i szyldów w językach angielskim, francuskim i niemieckim.

Oliver pędził poprzez tłum, marszcząc brwi i dając niecierpliwe sygnały.

— Wolniej, wolniej, — protestował Montague, na co otrzymywał tylko odpowiedź:

— Głupstwo!

Dzieci z piskiem uciekały z drogi, a mężczyźni i kobiety ustępowały mrucząc przekleństwa. Kiedy zator z wozów i platform zmuszał ich do zatrzymania, dookoła zbierały się dzieciaki, i szczerzyły zęby, a grupa uliczników, stojących przed knajpą, zasypała ich wyzwiskami. Ale Oliver nie odrywał oczu od drogi. Wreszcie wjechali na most i ujrzeli napis: „Samochody ciężarowe — prawą stroną“. Musieli więc skręcić na lewo. Pomknęli po równi pochyłej, a chłodne powietrze smagało ich z siłą huraganu. W dole płynęła rzeka, holowniki i promy orały szarą wodę, a po obu brzegach rozciągało się miasto — gęszcz dachów i kominów, wyrzucających kłęby dymu. Następnie droga szła wdół i znaleźli się w Brooklynie.

Auto mknęło po asfaltowanej alei, okolonej na przestrzeni wielu mil mnóstwem maleńkich will w jednakowym stylu, jakby z jednej bryły ulanych. Montague nigdy nie widział takiej mnogości domów.

Wiele innych aut mknęło po tej alei, ścigając się nawzajem. To, które pozostawało w tyle, musiało wdychać cały pył i zapach benzyny; dlatego każdy starał się

złapać chwilę i wysunąć się naprzód, ale tuż po udanym skoku znowu dawał się słyszeć ztyłu szum i sapanie, i szczęśliwy współzawodnik prześlizgiwał się naprzód. Oliver trzymał się tylko jednej reguły: wszystkich przegonić.

Wkrótce wjechali na wielką Ocean Driveway, gdzie mnóstwo samochodów brało udział w tych wyścigach. Dwa z nich nie ustępowały Oliverowi, i nie chciały pozostać w tyle — pierwszy, drugi, trzeci, — pierwszy, drugi, trzeci, — mijaly się raz po raz. Pył oślepiał i ustawiczny zapach benzyny wywoływał mdłości. Oliver siedział z zaciśniętymi mocno zębami, mała strzałka na indykatorze zaczęła się obracać, i jak wichur popędzili drogą.

— Teraz nas złapcie, — mruknął Oliver. Ale w kilka sekund później pojawił się zza krzaka policjant, krzyknął na nich, i wskoczywszy na motocykl rzucił się za nimi w pogoń.

— Za sznur! — krzyknął Oliver mechanikowi. Brat jego zdziwiony i osłupiały ujrzał, jak mechanik pochylił się szybko na dno samochodu, a prześladowca ich pozostał w tyle i zniknął w obłokach kurzu.

Przez kilka minut pędzili naprzód wśród napięcia i milczenia, z szybkością, której Montague nie mógłby nawet porównać z szybkością ekspresu.

Pojazdy, biegnące im naprzeciw, jechały zda się wprost na nich, lecz zbliżając się, prześlizgiwały się obok, omaloby ich nie zaczepiając.

Montague zdecydował, że jedna taka podróż wystarczy mu na całe życie, gdy nagle zauważył, że zmniejszają szybkość.

— Można już opuścić sznur, — powiedział Oliver do mechanika, — już nas teraz nie złapie.

— Co to za sznur? — zapytał brat.

— Przywiązany jest do blachy z naszym numerem, i tak ją przekręca, żeby numer był niewidoczny.

W tym momencie wjeżdżali na szeroką szosę zamiejską. To, co zaszło, tak rozśmieszyło Montague'a, że śmiał się do łez.

— Czy to jest często używany trick?

— Tak. Pani Robbie ma stale w swoim garażu wiadro pełne błota ulicznego i szofer zamazuje numer przed każdym wyjazdem. Musimy się bronić, inaczej zapisywano by nas stale.

— Byłeś już kiedy aresztowany za szybką jazdę?

— Przed sądem byłem tylko raz jeden. Zatrzymywano mnie oczywiście częściej.

— I co się stało? Czyś otrzymywał ostrzeżenie?

Oliver zaśmiał się. — Policjant jechał ze mną, póki nie dojeżdżaliśmy do pustej ulicy, wówczas wsadzał do kieszeni dziesięć dolarów i wszystko było w porządku.

— Rozumiem.

Skręciwszy, znaleźli się znowu na szerokiej wybrukowanej szosie; było tu jeszcze więcej samochodów, więcej kurzu i większe współzawodnictwo.

Przejeżdżali chwilami przez linje kolejowe lub przecinali krzyżujące się drogi, przed którymi widniał zawsze napis ostrzegawczy, lecz Oliver posiadał widocznie okultystyczne przeczucia, że droga jest wolna, gdyż nigdy nie zmniejszał szybkości. Dopiero gdy podjeżdżali do wsi, zwalniał biegu, co jednak było mało dostrzegalne, sądząc z szybkości, jaką jechali w dalszym ciągu.

Ale oczekiwała ich nowa przygoda.

Jadąc wolno przez szosę, którą naprawiano, ujrzeli nagle człowieka, który zeszedłszy z trotuaru, stanął przed nimi i zaczął machać czerwoną chustką: Oliver mruknął jakieś przekleństwo.

— Co się stało, — zaniepokoił się brat.

— Jesteśmy aresztowani.

— W jaki sposób, przecież się ledwo wleczeni?

— Pewnie, — odpowiedział Oliver. — A jednak wpadliśmy.

Oliver zdawał się traktować sprawę zupełnie beznadziejnie, gdyż nie próbował nawet uciekać, pozwoliwszy młodemu człowiekowi podejść, gdy się z nim zrównali.

— Co się stało? — zapytał Oliver.

— Zostałem wysłany z Klubu Automobilistów, aby panów uprzedzić, że w następnej wsi jest zasadzka. Bądźcie ostrożni.

Oliver odetchnął z ulgą i podziękował młodzieńcowi, który oddalił się natychmiast, a obaj bracia oparli się o poduszki, zanieśli się śmiechem.

Jechali dalej wolno, i podjeżdżając do wsi, jechali z szybkością konduktu pogrzebowego, a samochód dygotał, jakby protestując.

Koło wiejskiego sklepu stała gromada ludzi, obserwujących ich wyraźnie.

— To awangarda zasadzki, — powiedział do brata Oliver. — Mają telefon, zapomocą którego łączą się z innymi ludźmi, znajdującymi się gdzieś niedaleko i gotowymi na dany sygnał przeciągnąć wpoprzek drogi linę.

— Jakby się to mogło zakończyć? — zapytał Montague.

— Pociągnęliby mnie do sądu, gdzie sędzia pokoju wlepiłby mi karę wysokości od 50 do 250 dolarów, — to istni rabusie. Są okręgi, które szczycą się tem, że znieśli wszystkie podatki, a całe pieniądze z nas ściągają.

— Jednak spóźniliśmy się dzięki tym przeszkodom, — powiedział Oliver, spojrzawszy na zegarek i zwiększył szybkość.

Po upływie pół godziny podjeżdżali do ogromnej tablicy z napisem: „Droga do Sokolego Gniazda“. Wzniosłszy się na górę i wyjechawszy z sosnowego lasu, ujrzeli

hotel, uczepiony u skały, z której rozlegał się widok na cieśninę morską. Obok hotelu było ogromne podwórze, gdzie pod szopą wyciągnął się długi szereg aut.

Z pół tuzina służby rzuciło się im na spotkanie, gdy zajechali. Wszyscy znali Olivera. Dwuch z nich czyściło mu palto, trzeci wziął od niego kapelusz, podczas gdy mechanik odwoził samochód do garażu.

Każdemu z nich dawał Oliver napiwki. Montague zauważył, że w New-Yorku trzeba mieć pełne kieszenie drobnych, aby rozdawać naprawo i nalewo.

Hotel przepelniony był publicznością w najbardziej ekscentrycznych kostjumach automobilowych. Większość z nich wywarła na Montague'u wrażenie ludzi pustych i źle wychowanych. Mężczyźni mieli ordynarne czerwone twarze, a kobiety ostre głosy. Jedna z nich była w niebieskiem palcie z czerwonymi wyłogami.

Przyszło mu do głowy, że gdyby kobiety nie nosiły takich wielkich kapeluszy, niepotrzebneby im było to mnóstwo barwnych woalek, któremi opasywały swe kapelusze, zawiązując je pod brodą i rozpuszczając końce na wiatr.

W sali restauracyjnej część szklanej ściany od strony morza można było na żądanie odsuwać. Sufit zawieszony był różnokolorowemi japońskimi lampjonami i chorągiewkami. Palmy, drzewa pomarańczowe, sztuczne strumyczki dopełniały urządzenia sali.

Wszystkie stoły były zajęte. W pokoju unosił się zmieszany szmer głosów, wybuchy śmiechu, brzęk talerzy; grzmiała murzyńska orkiestra z bandžo, mandolin i gitar. Kelnerzy-murzyni mknęli od stolika do stolika. Wysoki tęgi maitre d'hotel zauważywszy wchodzącego Olivera przywitał go ukłonem.

— Proszę pan pozwoli, już wszyscy przyjechali, — mówił prowadząc ich wgląb sali, gdzie stał stół nakryty na piętnaście do osiemnastu osób.

Gdy ich spostrzeżono, rozległy się głosy:

— Hallo, Ollie! Spóźniłeś się, Ollie, co się stało?

Montague przygotowany był na męczące przedstawienia się kolejno szesnastu osobom, na szczęście oszczędzono mu tego. Uściśnął rękę Robbie Wallingowi, wysokiemu młodemu człowiekowi o wpadniętej piersi i jasnych włosach, i pani Robbie, która przywitała go w imieniu wszystkich obecnych.

Znalazł się przy stole pomiędzy dwiema młodemi paniami. Za jego plecami lokaj oczekiwał rozkazów w sprawie napojów.

Trochę niezdecydowanie poprosił o whisky, gdyż przemarzył zlekka w drodze, na co młoda dziewczyna z prawej strony zauważyła:

— Niech pan się lepiej napije koktailu z szampana, prędzej się pan rozgrzeje, — i zwracając się do lokaja, powiedziała:

— Proszę przynieść dwie porcje, tylko prędko. Pan pewno zmarł w tem wyścigowym aucie, — dodała, zwracając się do Montague'a. — Dlaczego się panowie spóźnili?

— Mielśmy pewne przeszkody i o mało nas nie aresztowano.

— Aresztowano! — zawołała.

Inni podchwycili to słowo i zasypali pytaniami Olivera, który zaczął opowiadać o tem, co zaszło.

Przez ten czas brat jego miał możność przyjrzeć się otaczającym go osobom.

Zdecydował, że jest najstarszym pośród nich. Chociaż stroje zebranych nie rzucały się w oczy swym przepychem, nie trudno było przekonać się, że wszystko to są ludzie bogaci.

Zdążyli już trochę wypić i byli weseli. Montague zwrócił uwagę na to, że wszystkie imiona kończą się na

„ie“. Byli tu Robbie, Freddie, Auggie, Clarrie, Bertie i Chappie; gdy nie udawało się nadać tej końcówki, wynajdywano przezwiska.

Ollie opowiedział, jak prześcignęli policjanta. Clarrie Mason (jeden z młodszych synów potężnego ongiś króla kolejowego) opowiedział podobną swoją przygodę. Sąsiadka jego opowiedziała zkolei, jak pewnego razu o mało nie przejechała grubej Irlandki na skrócie drogi, i jak ta zasypała ją przekleństwami, stojąc już na tro-tuarze.

Maitre d'hotel powrócił z likierem i Montague po-dziękował swej sąsiadce, pannie Price. Nazywała się Anabel Price, lecz zwano ją Billy. Było to smukła, prześlicznie zbudowana dziewczyna. Dowiedział się póź-niej, że była słynną amatorką sportu lekkoatletycznego. Domyśliwszy się, że Montague czuje się nieswojo w tem intymnem kółku, gdzie wszyscy znali się dobrze, posta-nowiła dołożyć wszelkich sił, aby czuł się jak u siebie w domu, jednak niezupełnie jej się to udało.

Billy zapytała go, czy lubi polowanie. Montague od-powiedział, że lubi i że polował przeważnie na bazar-ty i jelenie.

— O, w takim razie pan jest prawdziwym myśliwym i z pewnością odniesie się pan z pogardą do naszego spo-sobu polowania, — odpowiedziała panna Price.

— A na czem polega wasz sposób? — zapytał.

— Zobaczy pan wkrótce. Gdy pan nas bliżej pozna i ujmie pan w swe ręce „cugle“, to zobaczy pan, że nie nadążymy za panem.

Montague zmieszał się i nie wiedząc, co narazie od-powiedzieć, wypalił, że tak właśnie przypuszczał, a po-tem dopiero spostrzegł się, że odpowiedział ni w pięć ni w dziewięć.

Tymczasem sąsiadka jego z lewej strony zakomuniko-wała mu, że Robbie zamawia nowy lunch „nawywrót“,

czyli jak sam to nazywa: ćwiczenie żołądka. Były to jedyne słowa, jakimi zaszczyciła go Gladys de Mille w przeciągu całego lunchu.

Gladys była córką bankiera; w kole bliskich przyjaciół zwano ją „Baby“. Była to tęga blondynka o pełnej twarzy, lubiąca bardzo dobre jedzenie i poświęcająca się wyłącznie temu zajęciu. Montague zauważył, że pod koniec lunchu oddychała głośno i że jej duże wypukłe oczy stały się jeszcze okrągłejsze.

Przy stole panowała ogólna rozmowa, lecz trudno było ją podtrzymywać, gdyż obracała się ona przeważnie wokół intymnych szczegółów różnych zdarzeń i wokół osób. Lecz trudność tę łagodziły wesołe wystąpienia jego brata, które wywoływały powszechny śmiech. Teraz widział w nim prawdziwego Olivera. W domu zdarzało się, że nie było końca jego wesołości i żartom i trudno było zmusić go, aby odniósł się do czegośkolwiek poważnie. Ale teraz całą swą wesołość zachowywał dla towarzystwa, — pozostając sam, bywał zabójczo poważny. Widocznie wesołość była dla niego teraz ciężką pracą.

Teraz, na przykład, musiał zużyć niemało wysiłku na to, żeby w lunchu „nawywrót“ osiągnąć maksymalne powodzenie.

Rozpoczął od lodów śmietankowych, przygotowanych w dziwacznych formach i obłożonych zapiekanyą sufletem z białek, następnie szła zupa żółwiowa, zielona, tłusta i gęsta, a potem, co za okropność! — wielki dymiący plumpudding. Podany został na wymyślnym półmisku z sześciu długimi srebrnymi nożami. Maitre d'hotel postawił go przed Robbie Wallingiem, uniósłszy zręcznie pokrywę. Następnie zaczął obnosić go dookoła stołu.

Montague przygotowany był na to, że to już koniec, i wziął sobie kawałek chleba z masłem, ale w tej chwili

zjawiły się zimne szparagi, podane w specjalnych srebrnych naczyniach, podobnych do trójnogów używanych do pieczenia na rożnie. Gdy apetyty zostały dostatecznie podniecone, podano przepiórki w rozżarzonych srebrnych rondelkach, następnie danie z zamrożonych na lodzie winogron, polanych winem, później młodziutkie kaczki pieczone w szpiku i karczochy; potem kawę czarną i wreszcie, jako uwieńczenie odwagi... ogromny kawał rozbefu.

Montague dawno się już poddał. Stracił już rachubę ilości potraw, które przewinęły się przez stół, tem bardziej, że pomiędzy daniami lało się chaotycznie wino: sherry, portwein, szampan, claret i likiery.

Montague obserwował cichaczem biedną Baby de Mille i żał mu jej było, gdyż widział, że nie była w stanie oprzeć się pokusie zjedzenia wszystkiego, co przed nią stawiano i cierpiała wyraźnie. Zastanawiał się nad tem, czy nie powinien rozerwać jej rozmowę i w ten sposób odwlec jej uwagę od jedzenia, lecz nie odważył się na tę próbę.

Lunch skończył się o godzinie czwartej.

W tym czasie wielu z gości było już daleko w drodze ku New-Yorkowi i restauracja opustoszała. Ubrawszy się i wzięwszy swoje rzeczy, goście Robbie Wallinga udali się w dalszą drogę. Samochody ich, jeden za drugim, pomknęły ku „Black Forest“.

Montague słyszał, że był tam „domek myśliwski“. Wyobrazził go sobie, jako wiejską chałupę i dziwił się niemało, jak taka ogromna ilość osób będzie się tam mogła pomieścić.

Gdy skręcili na główną drogę i brat powiedział mu: — Nareszcie jesteśmy, — Montague zdumiał się na widok ogromnego budynku z granitu z arkadą, przerzuconą przez drogę. Lecz zdziwienie jego wzrosło, gdy minąwszy ją, jechali dalej.

- Dokąd my jedziemy? — zapytał.
- Do „Black Forest“.
- A co minęliśmy przed chwilą?
- To był dom odźwiernego, — brzmiała odpowiedź Ollie'ego.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Jechali po szerokiej, ubitej szosie, jak strzała przecinającej las na przestrzeni trzech mil. Donosił się do nich szum morza, w zmroku wieczornym zarysowały się ponure kontury olbrzymiego gmachu z granitu, okolonego rowem, z czterema wieżami i mostem zwodzonym. „Black Forest“ wybudowany był według wzoru słynnej starej twierdzy w Prowancji, z tą różnicą, że w starej twierdzy były cztery małe pokoje, a współczesna jej kopja posiadała siedemdziesiąt wielkich pokojów, i wszystkie okna błyszczały teraz jaskrawem światłem. Człowiek, który to ujrzał nie mógł już być wprowadzony w błąd i odwiedzwszy „domek myśliwski“, który kosztował trzy ćwierci miljona dolarów, i mieścił się w lesie o przestrzeni dziesięciu tysięcy akrów, nie zdziwi się już na widok „obozów“ w Adirondack, kosztujących pół miljona, will w New-Porte, z których każda kosztuje jeden lub dwa miljony.

Służba w liberjach zajęła się odprowadzaniem aut, podczas gdy inni otwierali drzwi i zdejmowali palta. Przedewszystkiem ujrzeli olbrzymi kominek, szerokości dwunastu stóp, w którym płonęły całe pnie sosen. Podłoga z twardego, lśniącego drzewa wyłożona była futrami niedźwiedzi i bawołów, a na dębowych kolumnach widniały tarcze, buzdygany i szpady, oświetlone czerwonymi płomieniami płonących kłód. Na ścianach wisiały gobeliny, wyobrażające bitwę pod Roncevalle i bohaterskie czyny Rolanda. Szerokie schody o dębo-

wych kolumnach prowadziły ku szklanej galerji, okalającej hall.

Montague podszedł natychmiast do kominka i zaczął zacierać ręce, grzejąc się u przyjaznego ognia. Natychmiast podszedł do niego lokaj.

— Czy pan sobie życzy szkockiej, czy irlandzkiej wódki?

Zaledwie zdążył dać polecenie, gdy zjawiała się w drzwiach następna partja gości. Śmiejąc się wesoło, lecz najwidoczniej przemarznięwszy w drodze, stłoczyli się koło ognia. Wszyscy otoczyli Baby de Mille, wypytując ją o to, jak jej samochód przejechał jamnika.

Wkrótce wszystkie stoły w sali zostały zastawione tacami z przeróżnemi napojami w karafkach i syfonach, co szybko pomogło wszystkim do ogrzania się, poczem rozbiwszy się na grupy goście udali się na rozrywki. Grano w różne gry, w których brali udział i mężczyźni i kobiety: Montague nie znał żadnej z tych gier, lecz zainteresowała go gra „Poło na wodzie“ na basenie pływakim, i z zajęciem przyglądał się tej części budynku. Basen, zarówno jak otaczające go ściany i podłoga, zrobiony był z marmuru, okolony galerją o poręczach z brązu, skąd można było patrzeć w ciemną toń wody. Były tu z przepychem urządzone kabiny dla pań i panów z gorącemi i zimnemi prysznicami, z łaźnią parową i masażystami, gotowymi do usług; przybory do wżenia się, elektryczne aparaty z promieniami ultrafioletowemi i aparaty do suszenia włosów kobiecych. W kilka minut później Montague wszedł do jednej z wind i zaprowadzony został do swego pokoju, w którym znalazł swą walizę już rozpakowaną i strój wieczorowy rozłożony na łóżku.

Była mniej więcej dziewiąta godzina, gdy całe towarzystwo udało się do jadalni, wychodzącej na granitowy taras, zwrócony ku morzu. Sala wyłożona była jakimś

rzadkiem czarnem drzewem, którego nie znał. Zalewalo ją miękie światło elektryczne, a stół oświetlony był elektrycznymi świecami w srebrnych kandelabrach z jedwabnymi abażurami. Stół błyszczał mnóstwem kryształów i srebra i przystrójony był pękami orchidej i pachnącej paproci. Południowy posiłek był wszak tylko lunchem, a teraz podawano starannie obmyślony obiad, przyrządzony przez słynnego kucharza z pensją dziesięciu tysięcy dolarów. Silny kontrast z hałaśliwym hotelem stanowiła klasztorna cisza tej jadalni, gdzie milczący lokaje, poruszali się jakby w pantoflach na watowanych podszewkach, a półmiski zjawiały się i znikwały, jak by za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Montague starał się przyzwyczaić swój wzrok do głębokich dekolatów kobiecych, jakich jeszcze nigdy w życiu nie zdarzało mu się widzieć. Za każdym razem, gdy zwracał się w rozmowie do damy, siedzącej obok niego, czuł się zażenowany, gdyż nie wyobrażał sobie, by nie widziała, jak głęboko wzrok jego sięga.

Rozmowa podobna była do poprzedniej, tylko miała charakter bardziej ogólny, a gdy drogocenne wina Robbie Wallinga zrobiły swoje, goście byli trochę odurzeni. Naprawo od Montague'a siedziała panna Vincent, wnuczka jednego z królów cukru, wysmukła i zgrabna dziewczyna. Na pewnym balu zjawiała się w kostjumie Indianki, i teraz całe towarzystwo zabawiało się wynajdywaniem dla niej indyjskiego imienia. Proponowano najrozmaitsze bezsensowne imiona w zależności od różnych jej cech i nawyczek. Robbie rozśmieszył wszystkich, proponując nazwać ją „Małą kropelką rosy”: przyjaciele jej dowiedzieli się, że pisze poemat o kropli rosy. Ktoś odpowiedział: „kropla deszczu“. Wówczas Ollie odrazu pobił wszystkich krzyknawszy: „mała kropelka wody w bagnie“. Niepowstrzymany śmiech opłynał całe towarzystwo, które przez długi czas nie mo-

gło się uspokoić. Aby zrozumieć ten dowcip trzeba było wiedzieć, że na ostatniem polowaniu w Long-Islandzkim klubie jachtowym pannę Vincent wyciągnięto z trzęsawiska głębokości kilku stóp.

Montague dowiedział się tego od młodej damy, siedzącej po jego lewej stronie, tej samej, która swym napółrozebranyim wyglądem wprowadzała go w zakłopotanie. Miała około dwudziestu lat. Jej szczerą wesółą twarz z szopą złotych włosów miała wyraz niewinnego dziecka; nie znał jeszcze jej imienia, gdyż wszyscy nazywali ją „cherubinkiem“. Trochę później powiedziała coś przez stół do Baby de Mille — był to jakiś dziwny zbiór sylab, podobny do języka angielskiego. Panna de Mille odpowiedziała jej i wielu przyłączyło się do tej dziwnej rozmowy. „Cherubinek“ wyjaśniła Montague'owi, że Baby wynalazła tajemny język, zapomocą przestawiania liter, i że Olive i Bertie chcą znaleźć klucz do niego i nie mogą.

Obiad trwał długo. Kieliszki opróżnione napełniały się na nowo, jak zaczarowane. Śmiech stawał się coraz głośniejszy, chwilami słychać było śpiewy, a kobiety siedziały, rozwaliwszy się niedbale na poręczach krzeseł. Ładny młodzieniec patrzył na Montague'a sennym wzrokiem, zamykając oczy i siląc się otworzyć je znowu. Służba, jak przedtem, w milczeniu i obojętnie przesuwała się wokół stołu. Nikt nie spostrzegał nawet jej istnienia, ale Montague, patrząc na nich, zapytywał się w duchu, co oni sobie o tem wszystkim myślą.

Wreszcie towarzystwo wstało od stołu, ustępując prósbom zapalonych graczy w bridża, którzy natychmiast rozpoczęli swą partję. Pozostali zebrali się wokół kominka i palili. W domu, w Mississippi, w przeddzień polowania, wszyscy kładli się wcześniej spać, aby nazajutrz wstać przed świtem, ale tu gra szła całą parą i myśliwi troszczyli się tylko o swoje własne przyjemności.

Grano w „sali broni“. Montague przechadzał się po niej, oglądając rozwieszone na ścianach gablotki ze wszystkimi rodzajami broni palnej, znanej myśliwym. Montague nie bez zakłopotania przypomniawszy sobie o swym zamiarze zabrania ze sobą broni.

Przyłączywszy się do jednej z grup w kącie pokoju, zaczął obserwować Billy Price, której rozmowa tak go zaintrygowała.

Billy była córką bankiera i namiętną miłośniczką koni — prawdziwą amazonką. Jedyne jej marzeniem było zdobyć na tem polu sławę. Widząc ją siedzącą w tej grupie, palącą papierosy, pijącą mocne napoje i słuchającą drastycznych anegdot, nietrudno było wytworzyć sobie najbardziej niepocholebną opinię o Billy Price. Ale w rzeczywistości była ona jak z marmuru, i mężczyźni zamiast ubiegać się o jej względy, czynili ją powiernicą swych trosk i szukali u niej współczucia i rady.

Wyjaśniła to Montague'owi pewna młoda dama, która w końcu wieczoru przysiadła się doń ze słowami:

— Nazywam się Betty Wyman i powinniśmy zostać przyjaciółmi, gdyż ja i Ollie jesteśmy partnerami.

Tego wieczoru Montague nie miał możliwości zastanowić się nad tem, co oznacza to wyrażenie „być partnerem“. Betty była zachwycającem małym stworzeniem, ubranem w ciemno-czerwoną suknię z miękkiej układającej się ładnymi fałdami wzorzystej materji; we włosach miała ciemnoczerwoną różę, a na policzkach jej błyszczały jaskrawe rumieńce. Ruchliwa i błyskotliwa jak motylek, pełna była nastrojów i impulsów, wyzywające ogniki przelatywały w jej oczach, chytry uśmieszek igrał na prześlicznych koralowych wargach. Dziwny zapach jej perfum wprowadzał w zakłopotanie upatrzoną ofiarę.

— Mam list polecający do niejakiego pana Wymana

w New-Yorku, — powiedział Montague, — czy to nie pani krewny?

— Czy jest on prezesem kolei żelaznej?

Allan potwierdził.

— Czy jest królem kolei? — szepnęła z udaną czcią.

— Czy jest bogaty... bogaty, jak Salomon...? Okropny człowiek, który żywcem pochłania ludzi?

— Tak, to powinienby być mój pan Wyman.

— Uczynił mi ten zaszczyt, że jest moim dziadkiem. Ale niech pan nie idzie do niego z żadnymi listami polecającymi.

— Dlaczego? — zdziwił się Montague.

— Bo pana z pewnością pożre. On nienawidzi Ollie'ego.

— O, Boże!

— Czyżby Ollie nic panu o mnie nie opowiadał?

— Nie, — odrzekł Allan. — Przypuszczał widocznie, że pani sama to uczyni.

— To podobne do bajki, — opowiadała Betty. — Była sobie pewnego razu piękna królewna. Rozumie pan?

— Tak, z czerwoną różą we włosach.

— I piękny, wesoły młody rycerz. Oboje zakochali się w sobie. Ale zły stary król żądał, żeby córka poczcakała jeszcze, póki on nie zwycięży wszystkich nieprzyjaciół. Wówczas odda swą córkę jakiemuś królewiczowi albo może smokowi, który pustoszył jego kraj. Rozumie pan?

— W zupełności. Czy piękna królewna bardzo cierpiała?

— Hm, niezupełnie — odpowiedziała Betty, zaciśnawszy usteczka. Ale musiała bardzo dużo tańczyć, żeby nie myśleć o tem. Potem, roześmiewszy się, dodała: — mój Boże, wpadliśmy w pójzę! — Potem znowu spokojnie dodała: — Wie pan, trochę się pana bałam. Ollie mi mówił, że pan jest okropnie poważny.

— Nie wiem, — zaczął Montague, ale ona przerwała mu ze śmiechem.

— Mówiliśmy o panu niedawno przy obiedzie. Podawano bitą śmietaną w pociesznych małych miseczkach. Ollie wtedy powiedział: „Jeśliby tu był mój brat Allan, pomyślałby zaraz o kucharzu, który ten krem przygotował, ile czasu na to stracił, i jakby się ustosunkował do książki „Prostota życia“. Czy to prawda?

— To już kwestja krytyki literackiej, — odpowiedział Allan.

— Nie chcę mówić o literaturze, — zawołała. W rzeczywistości chciała tylko poznać jego słabe struny, na których możnaby zagrać. Z czasem Montague przekonał się, że czarująca panna Elżbieta — to róża o bardzo ostrych kolcach, podobna raczej do pstrej osy o zdobywczym temperamencie.

— Ollie mówił, że chce pan przenieść się do miasta i tam pracować. Uważam, że to jest zupełnie bez sensu. Czy nie o wiele przyjemniej spędzać czas w takim pałacu, jak ten?

— Możliwe, ale ja nie posiadam pałacu.

— Ale może go pan zdobyć. Pożyje pan wśród nas i ożenimy pana z jakąś miłą dziewczynką. Wszystkie będą wkrótce u pańskich stóp. Pan ma taki przepiękny, miękki głos, i wygląda pan romantycznie i podniecająco.

Montague postanowił koniecznie dowiedzieć się, czy w New-Yorku przyjęto mówić podobne rzeczy wprost w oczy.

Betty patrzyła nań z drwiącym uśmiechem.

— Może zresztą pan boi się młodych dziewcząt. Wobec tego będą się w panu kochać mężatki. Proszę się mieć na baczności.

— Słyszałem już o tem od mojego krawca, — zaśmiał się Allan.

— W ten sposób mógłby pan szybciej zrobić majątek. Nie sądzę jednak, by pan nadawał się do roli domowego kota.

— Do czego? — zawołał Montague.

Panna Betty roześmiała się.

— Pan nie rozumie, co to znaczy? Boże, jaki pan czarująco naiwny. Może Ollie panu to lepiej wytłómaczy.

To skierowało rozmowę na temat żargonu. Montague w nagłym przypływie szczerości poprosił o wyjaśnienie mu tajemniczych słów panny Price.

— Powiedziała mi, — powtórzył półgłosem — że jeśli wezmę cugle w swoje ręce, to zrozumie, że ona nie nadąży.

— Tak, ona rozumiała to w ten sposób, że jeśli pan ją bliżej pozna, to się pan rozczaruje. Widzi pan, ona zawsze używa żargonu stajni wyścigowych. W zeszłym roku wyjechała do Anglii i tam przyswoiła sobie cały ten żargon angielski. Nawet nam trudno ją czasem zrozumieć.

Potem Betty, chcąc go zabawić, w ogólnych rzutach charakteryzowała pozostałych gości. Montague był zdumiony tą niezwykłą swobodą, z jaką newyorczycy mówią nawzajem o sobie. Zdawało się, że nie znają wogóle innego tematu rozmowy, nie oszczędzali również tych ludzi, u których spożywali chleb i sól, lubowali się w opowiadaniach na tematy najbardziej bezwstydnym i drastycznym spraw. A więc Betty opowiadała o Clarrie Mason'ie, który z gorączkowo podnieconą, bladą twarzą siedział przy stole karcianym. Biedny Clarrie przegrywał systematycznie i krwawiło mu to serce, jakkolwiek posiadał dziesięć milionów. Lamentował również po całych dniach nad swym „uwiedzionym“ bratem. Czy Allan nie o tem nie słyszał? Było to uwiedzenie, jakkolwiek prasa nazywała to zaślubinami. Biedny Larry Mason jest dobroduszny, ale słaby, i okropna

istota, trzy razy większa od niego, o charakterze, jak — nie, na to niema określenia — aktorka, porwała go. Kazała wybudować olbrzymi zamek, w którym trzymała Larry'ego, jak w więzieniu, gdyż i on posiada dziesięć milionów.

Ten ładny chłopak, który siedział naprzeciw Allana przy obiedzie, to Bertie Stuyvesant, syn króla węglowego. Nikt nie wie dokładnie, ile mu stary pozostawił pieniędzy. Bertie był człowiekiem wesołym. W zeszłym tygodniu zaprosił swoich przyjaciół na śniadanie z pstrągiem rzeczonym — w listopadzie — to było strasznie zabawne. Ktoś mu powiedział, że tylko pstrąg własnego połowu jest smaczny. Bertie natychmiast postanowił zająć się połowem na to śniadanie.

— W ich dobrach koło Adirondacks — opowiadała Betty — znajduje się ogromny staw. Bertie, zamówiwszy specjalny pociąg, tej samej jeszcze nocy udał się tam razem z Chappie de Peysterem. Nie wiem, ile mil przejechali, ale nałowili mnóstwo pstrągów, które podano nam na śniadanie. Najśmieszniejszym było to, że pstrągów było tak wiele, iż musiano je łowić sieciami. Biedny Bertie — jakby go odciągnąć od butelki?

Z hallu rozległy się głośne śmiechy, krzyk i hałas:

— Oddajcie mi to!

— To jest Baby de Mille — wyjaśniała Betty Wyman. — Robbie o mało nie oszalał ostatnio, kiedy ona tu była: rzucała poduszkami z kanapy i stłukła wazon.

— Czy wy to nazywacie dobrymi manierami? — zapytał Montague.

— Robbie nie. Czy nie miał pan sposobności porozmawiać z nim? Spodobałby się panu, taki poważny, jak pan.

— Pod jakim względem poważny?

— Pod względem wydawania pieniędzy. To jedyna rzecz, do której odnosi się poważnie.

— Czy jest taki bogaty?

— Trzydzieści do czterdziestu milionów; należy do ścisłego koła towarzystw kolejowych, a to mu daje bajeczne dochody. Jego żona ma również dużo pieniędzy; pochodzi z Masonów, jej ojciec jest jednym z potentatów stalowych. My w New-Yorku dzielimy ludzi na milionerów, multimilionerów i milionerów pittsburskich. Oboje wydają wszystkie swoje pieniądze na przyjemia; marzeniem Robbie'go jest stać się nieprześcignionym w urządzaniu przyjęć i być stale otoczonym znajomymi. Niestety ma takie surowe poglądy. Większość jego gości idzie o wiele chętniej do pani Jack Warden; ja byłabym tam również dziś wieczór, gdyby nie to, że chciałam się zobaczyć z Ollie'm.

— Kto to jest ta pani Jack Warden?

— Nigdy pan o niej nie słyszał? Była przedtem panią van Ambridge; następnie rozwiodła się i wyszła za Wardena, wielkiego przedsiębiorcę drzewnego.

Urządza wieczory dla młodzieży na sposób angielski. Gdy my tam jesteśmy, robimy wszystko, co się nam podoba — bawimy się w chowanego po całym domu, obrzucaamy się poduszkami, wypróżniamy szafy i urządzamy maskarady. Pani Warden jest dobroduszna, jak stara krowa. Pan ją z pewnością pozna. Tylko niech pan nie oszaleje od jej tkliwych oczu. Przekona się pan, że ona wcale na to nie leci. Lubi tylko otaczać się pięknymi mężczyznami.

O pierwszej w nocy niektórzy goście Robbiego udali się na spoczynek. Allan poszedł w ich ślady. Przeszedł mimo dwóch stołów bridżowych, przy których siedzieli nieruchomo zapaleni gracze; kobiety z rozgorączkowanymi twarzami i drżącymi rękoma, mężczyźni z tkwiącymi w ustach papierosami. Obok stołów stały tace z likierami, a w hallu troje młodych ludzi, trzymając się pod ręce, zataczało się z kąta w kąt i wyśpiewy-

wało słabym głosem pieśni murzyńskie. Ollie i Betty we dwójkę gdzieś zniknęli.

Montague zapisał w księdze rozporządzeń, żeby go obudzono o godz. 9. Człowiek, który go obudził, przyniósł kawę i śmietankę na srebrnej tacy i zapytał, czy nie życzy sobie czegoś bardziej konkretnego. Gdyby sobie życzył, to może otrzymać śniadanie do pokoju. Ale Allan zeszedł nadół, starając się swobodnie poruszać w swym eleganckim stroju myśliwskim. Nikogo z gości jeszcze nie było, ale Montague nie zauważył nawet śladów wczorajszej nocy. Śniadanie, podane na sposób angielski, było już przygotowane, kawa i herbata stały na bufecie. Starszy lokaj i jego pomocnicy gotowi byli do spełnienia najwybredniejszych jego życzeń. Montague jednak wołał przed śniadaniem przejść się po tarasie i spojrzeć na morze, zalane promieniami słońca. Ranek był cudowny, wszystko dokoła było tak piękne, że dziwił się, jak ludzie mogą żyć tutaj i nie odczuwać otaczającego ich czaru.

Wkrótce pojawiła się Billy Price w kostjumie myśliwskim koloru khaki, w krótkiej szkockiej spódniczce z wielkimi kieszeniami, z kozacką ładownicą. Znalazła go spacerującego po tarasie i rozpoczęła z nim rozmowę o nadchodzącym sezonie zimowym, o ludziach, którzy wezmą w nim udział, o pokazie koni, operze i przyjęciu u pani de Graffenried. Kiedy wrócili, była godzina jedenasta, i większość gości była już obecna. Bezłitosne poranne słońce oświeślało ich blade i pomięte twarze. Przy wejściu na salę zauważyli, że Bertie Stuyvesant stojąc przy bufecie dopijał kieliszek wódki.

— Bertie przyswoił sobie zwyczaj nie śniadać — rzekła Billy z ironicznym uśmiechem.

Potem rozpoczęło się polowanie.

Wśród zabudowań „Blac Forest“ znajdował się kamienny budynek, ogrzewany parą, wspaniale urządzone,

w którym specjalista angielski ze sztabem pomocników hodował bażanty — wspaniałe ptaki o barwie brązu z długimi rozwiewającymi się ogonami. Tuż przed początkiem sezonu wypuszczano je tysiącami na wolność, tłuste i tak oswojone, że brały pokarm z rąk — i wtedy przychodzili „myśliwi“.

Z początku rzucali losy, ponieważ polowanie odbywało się parami — mężczyzna i kobieta. Allanowi do stała się panna Vincent — „małeńka kropla deszczu w bagnie“. Ollie, który był mistrzem ceremonji, ustawił gości w długim szeregu i dał niezbędne wskazówki. Na dany sygnał wszyscy podążyli w stronę lasu. Za każdym myśliwym szło dwoje służących, którzy nieśli strzelby zapasowe i ładowali je, a na przedzie naganiacze rozsuwali krzaki i płoszyli ptaki.

Allan przyzwyczajony był do polowań innego rodzaju, do przedzierania się przez gęste lasy, wysledzania dzikich indyków i strzelania do nich kulami. Teraz, kiedy jeden z ptaków wyleciał na niego, strzelał spokojnie, i ptak padał. Mógłby to robić, ile razy by zechciał. Ale była to bezmyślna rzeź i wkrótce ogarnął go wstręt. Pomyslał jednak, że gdyby w nie nie strzelał, zginęłyby niezawodnie w śniegach zimowych, pozatem słyszał, że Robbie upolowaną zdobycz miał ofiarować szpitalom.

Panna Vincent była dobrym strzelcem i uważała na Allana, płonąc żądzą przewyższenia Billy Price i Chap-pie de Peystera, którzy uchodzili w tem towarzystwie za szampionów strzeleckich.

Baby de Mille, stojąca na prawo od niego i nie umiejąca zupełnie strzelać, stale chybiała i z zawiścią patrzyła na Montague'a. Służący, stojący za nim, drżeli z zachwytu i półgłosem wyrażali swoje uznanie. Trwało to podczas całego spaceru. Niekiedy ptaki unosiły się parami, i wtedy udawały się Allanowi świetne dublety,

a dwa razy, kiedy spłoszone stado leciało wprost na niego, chwycił zapasową strzelbę i zabijał drugą parę.

W końcu dnia wyprzedził swego najbliższego współzawodnika o piętnaście punktów, okazawszy się w ten sposób razem ze swą partnerką bohaterem dnia.

Wszyscy skupili się koło niego z gratulacjami. Z początku jego partnerzy, potem rywale, gospodarz i gospodyni. Montague poczuł, że nagle stał się ważną osobą. Ci, którzy przedtem nie zwracali na niego żadnej uwagi, teraz dowiedzieli się o jego istnieniu. Dumne i piękne damy z tego towarzystwa zniżyły się do rozmowy z nim, a Clarrie Mason, nienawidzący de Peystera, zanudzał go swemi pełnemi zachwyty wynurzeniami.

Oliver promieniał radością.

— Wiedziałem dobrze, że będziesz miał powodzenie, gdy tylko będzie chodziło o konie lub polowanie — spełnił bratu.

Po skończeniu zabawy, przed odjazdem, weszli do domu, gdzie obu zwycięzcom wręczono nagrody. Nagroda męska składała się z kompletu do golenia w masywnem złotem etui, wysadzanem brylantami. Montague był wprost przerażony, gdyż nagroda miała wartość nie mniejszą, niż dwa tysiące dolarów. Nie czuł się wprawie przyjmować dar, za który nigdy nie potrafiłby się zrewanżować. Potem zrozumiał, że Robbie tak mu nadskakiwał, żeby podrażnić ambicję swoich przyjaciół.

Po lunchu towarzystwo zaczęło się rozjeżdżać. Jedni odjechali swojemi autami, inni, otrzymawszy zaproszenie na obiad, powrócili razem z gospodarzem jego prywatnym pociągiem, odsyłając swoich szoferów do domu. Montague wraz ze swym bratem był wśród tych ostatnich. Przybyli pod wieczór; z fabryk i warsztatów powracały tłumy robotników do domów.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Apartament wyglądał tak, jakby stubarwna burza śnieżna przezeń wionęła. Przez cały dzień krawcy i modystki pielgrzymowali do pokojów Alicji. Na łózkach, sofach i krzesłach stały pudła tekturowe, a w nich, otulone jedwabnem pierzem, błyszczały wspaniałe symfonje barw. Wpółrodku tego przepychu stała Alicja z błyszczącemi oczyma.

— O, Allanie! — zawołała, gdy weszli obaj. — Jak ci mam podziękować?

— Podziękowanie należy się nie mnie, lecz Oliverowi.

— Ollie! Jak ty będziesz mógł... Skąd weźmiesz pieniędzy, żeby za to wszystko zapłacić?

— To już moja sprawa. Ty masz tylko być piękną.

— Jeśli mi się to nie uda, to nie z powodu braku sukien. Przez całe swoje życie nie oglądałam tylu pięknych rzeczy, co dzisiaj.

— Istotnie, mamy tu całą wystawę, — zgodził się Oliver.

— Ale jakie to było dziwne, Allanie, te zakupy z Reggie Mannem. Nigdy nie jeździłam po sklepach z mężczyzną. On ma tyle doświadczenia! Wiesz, przecież on to wszystko sam wybierał.

— Tak powinno było być. Podoba ci się Reggie?

— Nie wiem doprawdy, dziwny on jest, ale był niezwykle uprzejmy dla mnie i w sklepach literalnie przewracano wszystko do góry nogami dla nas. Pięć czy sześć osób naraz zajmowało się nami, starając się nam dogodzić.

— Przyzwyczaisz się do tego wszystkiego, — powiedział Oliver. — A teraz pokaż-no, coście nakupowali.

— Nie przyniesiono jeszcze wielu sukien, które wymagały poprawek. A to jest na dzisiejszy wieczór, —

dodała Alicja, pokazując prześliczną suknię z różowego szyfonu jedwabnego.

Oliver przyjrzał się jej dokładnie i spojrzawszy na dziewczynę, powiedział:

— Jestem przekonany, że będzie ci w niej ładnie, ale gdzież jest płaszcz do tego?

— O, co za płaszcz! — powiedziała Alicja, — tylko księżniczki nosiły takie rzeczy!

Pokojówka przyniosła płaszcz z pokoju panny Montague. Zrobiony był ze srebrzystego brokatu, podbity gronostajami, — przepych ten oszołomił Montague'a.

— Czy widzieliście kiedy coś podobnego? Słuchaj Oliver, czy to prawda, że do każdej sukni muszę mieć specjalne rękawiczki, pantofle i pończochy?

— Oczywiście, — odpowiedział Oliver, — żeby być elegancką, musisz też mieć do każdej sukni odpowiedni płaszcz.

— To mi się wydaje nieprawdopodobne! Ale czy to jest słuszne, żeby wydawać tyle pieniędzy na gałganki?

Oliver nie miał zamiaru roztrząsać zagadnień etycznych. Z wielkiem zainteresowaniem oglądał jedwabne reformy i bieliznę z crepe de chine.

Pudła stały jedne na drugich, a w szafach nie mieściła się już na półkach nieskończona ilość najcieńszej bielizny o bogatych ręcznych haftach, najróżniejszych chusteczek do nosa, woalek, peignoirów i szlafroczków, nocnych koszul z drogich batystów i jedwabiu, przybranych koronkami, a nawet futerkiem.

— Musiałaś chyba dużo czasu stracić na to wszystko, — powiedział Oliver z uśmiechem.

— Nigdy nie zdarzyło mi się oglądać tylu rzeczy, co dzisiaj. A Reggie Mann ani razu nie zapytał o cenę.

— Nie przyszło mi nawet na myśl prosić go o to, — zaśmiał się Oliver.

Gdy tylko Alicja odeszła do swego pokoju, Montague z trwogą w głosie zapytał brata:

— Na Boga, powiedz mi, ile to wszystko kosztuje?

— Skąd ja mogę wiedzieć, — odpowiedział Oliver spokojnie. — Nie widziałem jeszcze rachunków. Sądzę, że od piętnastu do dwudziestu tysięcy dolarów.

Montague siedział nieruchomo, zacisnąwszy pięści, wstrząśnięty odpowiedzią brata.

— Na jak długo starczy jej tego wszystkiego? — zapytał wreszcie.

— Jak będzie miała wszystko, czego potrzeba, może jej to starczyć do wiosny, pod warunkiem, że nie pojedzie tej zimy na południe

— Ileż więc będą kosztowały rocznie jej toalety?

— Przypuszczam, że ze trzydzieści albo czterdzieści tysięcy, zresztą nie mam zamiaru obliczać tego.

Montague zamyślony milczał w dalszym ciągu, wreszcie Oliver przerwał ciszę:

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz zamknąć jej w domu?

— Chcesz powiedzieć, — przewał mu Montague, — że i pozostałe kobiety wydają tyleż na swoje stroje.

— Bezwątpienia, wiele z nich dochodzi i do pięćdziesięciu tysięcy, ale znam również takie, które wydają więcej niż sto.

Montague nie mógł powstrzymać się od powiedzenia:

— To już potworne.

— Nonsens, — brzmiała odpowiedź, — przecież tyśiące ludzi z tego żyje. Bez tego nie mieliby co jeść.

Montague nie znajdował argumentu.

— Ale czy starczy ci pieniędzy, żeby pozwolić Alicji rywalizować bez końca z temi kobietami? — zapytał znowu.

— Nie liczę na to, aby to miało trwać bez końca. Prostu chcę jej tylko dać szansę. Gdy wyjdzie zamaż, mąż będzie opłacał jej rachunki.

— Więc wszystko to robi się po to, aby ją wystawić na pokaz?

— Jeśli koniecznie chcesz użyć tego wyrażenia — tak. Ale wiesz doskonale, że rodzice, którzy wprowadzają swe córki w świat, nie mają zwykle ani środków, ani chęci ponoszenia tych wydatków bez końca.

— Nie mamy przecież zamiaru wydawać Alicji zamaż natychmiast, za wszelką cenę?

— Doświadczeni lekarze pozostawiają przyrodzie jej bieg rzeczy, a sami dopomagają jej tylko. Wprowadzając Alicję do odpowiedniego dla niej towarzystwa, damy jej możliwość bawienia się, a następnym krokiem będzie oczywiście małżeństwo.

Montague siedział w dalszym ciągu milczący i rozmyślał. Zaczął teraz pojmować plany brata.

— Czy nie sądzisz, — zapytał nagle, — że stawiamy w tej grze za wysoką stawkę?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał brat.

— Czy będziesz w stanie przetrwać do końca tego pokazu, to znaczy dotąd, póki ja lub Alicja nie zaczniemy przynosić dochodu?

— Nie troszcz się o to, — odpowiedział Oliver ze śmiechem.

— Czy nie zechciałbyś wtajemniczyć mnie w swoje zamiary, — nalegał Montague, — przez ile tygodni będziesz w stanie opłacać nasz pobyt tutaj i czy masz pieniądze na zapłacenie tych wszystkich zakupów?

— Pieniądze mam, ale to nie oznacza jeszcze, że mam zamiar płacić za wszystko.

— Nie będziesz płacił swoich rachunków i wszystko to dostajemy na kredyt!?

Oliver śmiał się w dalszym ciągu.

— Badasz mnie, jak sędzia śledczy. Obawiam się, że będziesz zmuszony przeprowadzić wywiad co do uczciwości swego brata i nauczysz się szanować go choć trochę, — żartował Oliver. — Widzisz, Allanie, tacy ludzie, jak ja i Reggie mogą dostarczać kupcom wielu klientów i dlatego oni tak starają się nam dogodzić. Stają się sami naszymi dłużnikami za prowizje i dlatego nie może być mowy o płaceniu gotówką.

— Teraz zrozumiałem, — powiedział brat, otwórzysz szeroko oczy. — Więc wy w ten sposób zarabiacie pieniądze?

— To jest jeden ze sposobów oszczędzania ich, co sprowadza się do tego samego.

— I wszyscy o tem wiedzą?

— Oczywiście. Dlaczegożbym miał to ukrywać?

— Nie wiem, — odpowiedział Montague, — ale mnie wydaje się to dziwnem.

— Ani trochę, zajmują się tem ludzie z najlepszego towarzystwa w New-Yorku. Przypuśćmy, że przyjeżdża tu cudzoziemiec i potrzebni mu są najlepsi dostawcy. Zwraca się do mnie, a ja mu ich wskazuję. Albo na przykład, Robbie Walling, prowadzący jednocześnie pięć czy sześć domów i wydający kilka miljonów rocznie, — nie jest w stanie zajmować się sam wszystkimi zakupami, bo zajęłoby mu to cały jego czas. Dlaczegoż nie ma zwrócić się do swego przyjaciela, żeby zajął się tem zamiast niego? Albo, wreszcie. nowa firma otwiera swój magazyn i chciałaby dla celów reklamy mieć panią Walling za swą klientkę. Mnie proponują prowizję, a jej dają rabat. Czemu nie skorzystać z takiej propozycji?

— To jest dość skomplikowane, — zauważył Montague, — w takim razie sklepy powinny mieć kilka cen.

— Sklepy mają tyle cen, ilu klientów. Nie mogłoby być inaczej. New-York pełen jest ludzi bogatych, którzy

szacują rzeczy według ich ceny. Dlaczegoż im nie dogodzić, podając im wysoką cenę. Weźmy choćby dla przykładu płaszcz Alicji; Réval sprzedała mi go za dwa tysiące dolarów, a założę się z tobą, że klientka z Montany zapłaciłaby za zupełnie taki sam płaszcz trzy tysiące pięćset.

Montague wstał pośpiesznie. — Dosyć tego, — powiedział, — zdmuchujesz cały pyłek ze skrzydeł motyla.

Zapytał, gdzie spędzają wieczór. Oliver odpowiedział, że zaproszeni są na skromny „niecieremonjalny“ obiad do pani Winnie Duval. Owa dama wyszła niedawno po raz drugi zamąż za założyciela wielkiego domu bankowego Duval i Sp. — tak objaśniał Ollie. Była jego przyjaciółką i spotkają u niej interesujące towarzystwo. Między innymi, kuzyna jej, Charlie Cartera, którego wciąż stara się ożenić, — dodał.

Telefonicznie rozkazał swemu słudze, by mu przyniósł strój wieczorowy i obaj bracia zaczęli się przebierać.

Gdy weszła Alicja, podobna do bogini jutrzeńki w swej wspaniałej różowej sukni, rumieńce na jej policzkach płonęły jaskrawiej niż zwykle, a oczy błyszczały ze wzruszenia. Krępowało ją zbyt głębokie wycięcie sukni i niepokoiła myśl, że popełnia „faux pas“.

— Powiedźcie mi, — przemówiła, jaskając się, — Matka Lucy uważa, że powinnam koniecznie włożyć szal koronkowy, albo przypiąć kwiaty.

— Matka Lucy nie jest paryskim krawcem, — powiedział Oliver, ubawiony jej zakłopotaniem. — Poczekaj, zobaczysz zaraz panią Winnie!

Pani Winnie przysłała im uprzejmie swą limuzynę, która stała z dygocącym motorem przed bramą hotelową, rzucając snop światła na ulicę. Dom pani Winnie znajdował się na Fifth Avenue, naprzeciwko parku. Zajmował cały blok i kosztował włącznie z urządzeniem

dwa miljaridy dolarów. Nosił nazwę „Pałacu Śnieżnego“, gdyż zbudowany był całkowicie z białego marmuru.

Przed bramą pałacu służący w liberji otworzył drzwi-
czki auta. Na stopniach pałacu drugi służący wskazał
im ze sztywnym ukłonem drogę. W hallu stał szeregiem
cały zastęp lokajów w imponujących liberjach, w pur-
purowych fraczkach i aksamitnych bufiastych spod-
niach, w upudrowanych perukach na głowie, ze złotemi
sprzączkami na lakierowanych pantoflach. Uprzejme te
istoty zdjęły z nich płaszcze i okrycia, podały Allanowi
i Oliverowi na srebrnej tacy kwiaty do butonierki, a na
drugiej srebrnej tacy minjaturowe koperty, zawierające
nazwisko sąsiadki przy stole podczas tego ściśle „niece-
remonjalnego“ obiadu. Następnie odstąpili nabok
i odsłoniли widok na olśniewający przepych Pałacu Śnież-
nego. Olbrzymie schody marmurowe wznosiły się z hal-
lu ku górnym piętróm, okolone marmurową galerją u gó-
ry i marmurowem centralnem ogrzewaniem u dołu. Dla
udekorowania tego „domu“ zakupiono w Pendżabie
cały pałac i obrabowano go z jego wspaniałości. Była
tu mozaika jaspisowa, cudowny czarny marmur, rzad-
kie drzewa i osobliwe, groteskowe rzeźby.

Starszy lokaj, stojący u wejścia do salonu, wymienił
ich nazwiska. Przeszedłszy kilka kroków, ujrzeli panią
Winnie.

Montague nie zapomniał nigdy pierwszego wrażenia,
jakie na nim wywarła. Mogłaby być prawdziwą księż-
niczką z pałacu w Pendżabie. Była brunetką o śniadej
cerze, o cudownej szyi i ramionach, o purpurowych
wargach, czarnych włosach i oczach. Suknia jej zro-
biona była ze srebrnego brokatu, a pantofle z białej skó-
ry ozdobione były drogocennemi kamieniami.

Pani Winnie zbierała od wielu lat turkusy. Z kamieni
tych nosiła djadem, naszyjnik obsypany brylantami i pa-
sek. Każdy turkus oprawiony był w djament. Kamie-

nie oprawione były w ten sposób, że gdy się poruszała, lśniły i promieniały niesamowitym przepychem, co wywierało onieśmielające wrażenie.

Musiała zauważyć, jakie wrażenie wywarła na Allanie, gdyż obdarzyła go lekkim gorącym uściskiem dłoni i powiedziała:

— Cieszę się bardzo, że pan przyszedł. Ollie mi już o panu dużo opowiadał. — Głos jej był łagodny i czuły, nie onieśmielał tak, jak jej ubranie.

Allan zawarł znajomość z innymi gośćmi: Charlie Carterem, pięknym ciemnowłosym młodzieńcem o rysach greckiego boga, ale cerze bladej i niezdrowej; majorem Bob Venable, tęgim małym panem o czerwonej twarzy i tępym podbródku; panią Frank Landis, młodą wdową o wesołych oczach, z dołeczkami na policzkach i ciemnymi włosami, Willie Davis'em, najmłodszym współwłaścicielem pewnego domu bankowego, jak również z dwoma młodemi małżeństwami, których nazwisk nie dosłyszał.

Nazwisko jego sąsiadki, wypisane na bilecie, brzmiało: Alden. Weszła wkrótce po nim. Była to kobieta koło pięćdziesiątki, majestatyczna i dumna. Nosila suknię z brokatu, jak przystoi matronie, która jest wdową. Na jej pełnym biuście zwisał klejnot wielkości dłoni, cały obsypany brylantami. Montague był dosłownie przerażony tem niespotykanem dotychczas upiększeniem. Podała mu rękę, obejrzawszy go spokojnie od stóp do głów.

— Obiad podany, — zameldował starszy maitre d'hotel i cała połyskliwa procesja gości ruszyła do jadalni, wielkiej sali, wyłożonej hebanem, ozdobionej malowidłami w ramach z czarnego bursztynu, przedstawiającymi sceny ze średniowiecznego „Romansu Róży“. Stół, nakryty obrusem z ręcznym haftem francuskim, zastawiony był kryształami i złotymi tacami, wśród których

wznosiły się upiększenia z orchidej i konwalij, dobrych barwami do abażurów, spoczywających na kandelabrach z masywnego złota.

— To dobrze, że pan nie przyjechał do New-Yorku w młodszym wieku, — mówiła do niego pani Alden. — Większość naszej młodzieży rozczarowuje się przedtem, zanim się nauczy korzystać z dobrodziejstw życia. Niech pan mnie posłucha i niech pan nie idzie w ślady swego wesołego brata.

Przed panią Alden stała karafka ze szkocką whisky.

— Chce pan się napić? — zapytała, sięgnawszy ręką po karafkę.

— Nie, dziękuję, — odpowiedział Montague, lecz natychmiast pomyślał, że należało być może powiedzieć „tak“, gdyż pani Alden, wybrawszy największy kieliszek, napełniła go po brzegi.

— Czy pan już obejrzał miasto? — zapytała, wychyliwszy całą zawartość kieliszka i nie mrugnawszy okiem.

— Nie, nie dano mi sposobności, zawieziono mnie za miasto do Roberta Wallinga... — i, chcąc podtrzymać rozmowę, Montague zapytał, czy sąsiadka jego zna Wallingów.

— Bardzo dobrze, — odpowiedziała ze spokojem, — sama nosiłam to nazwisko.

— Ach tak, — powiedział Montague, trochę zdziwiony. — Przed zamążpójściem?

— Nie, — jeszcze spokojnie odpowiedziała pani Alden, — przed rozwodem.

Nastąpiła martwa cisza. Montague stropił się ostatecznie. Nagle usłyszał lekkie, stłumione chichotanie, które przeszło w głośny śmiech. Spojrzawszy szybko na panią Alden, ujrzał jej śmiejące się oczy i sam się roześmiał. Śmieli się tak zgodnie, że pozostali goście zaczęli przyglądać się im z ciekawością. W ten sposób, lody zostały pomiędzy nimi na szczęście przełamane,

lecz w głębi duszy Montague czuł się skrępowany, gdyż zrozumiał, że sąsiadka jego była znaną panią Alden, której zaręczyny z księciem Londyńskim stanowiły temat powszechnych rozmów. Ogromny brylantowy klejnot na jej piersiach stanowił część słynnej kolekcji klejnotów Aldena, wartości stu milionów dolarów!

Dostojna dama wybaczyła mu łaskawie niezręczność i dodała nawet, że gdy zechce sprawić jej przyjemność i przyjdzie do niej na obiad, postara się zapoznać go wcześniej ze wszystkimi zaproszonymi osobami.

— To krępuje obcego człowieka, ja to rozumiem... czasami rozwód bywa rezultatem sprzeczki, która nie zawsze kończy się z chwilą rozwodu. Inni kłócą się, jakgdyby byli mężem i żoną... Wiele pań domu popsuło sobie reputację, nie biorąc tego wszystkiego pod uwagę!

Montague przekonał się, że słynna pani Billy, tak niedostępna z pozoru, mogła być, gdy chciała, dobroduszną i bardzo niegłupią. Była to kobieta z mocnym charakterem, oryginalna, umiejąca zająć wszędzie przodujące stanowisko i postępować tak, jak jej się spodoba. W ciągu całego obiadu często sięgała po karafkę z whisky, proponowała Montague'owi, — i za każdym razem wypijała pełen kieliszek.

— Nie lubię pańskiego brata, — powiedziała mu później, — wyczerpie się prędko, ale powiedział mi, że nie jesteście do siebie podobni, możliwe więc, że pana polubię. Niech pan mnie odwiedza od czasu do czasu, będę panu mówiła, czego nie należy czynić w New-Yorku.

Montague zwrócił się do gospodyni domu, która była jego sąsiadką z prawej strony.

— Czy pan gra w bridża? — zapytała pani Winnie swym miękkim pieszczotliwym głosem.

— Brat dał mi książkę, żebym się tej gry nauczył, ale jeśli będzie mnie tak wprowadzał w świat po całych

dniach i nocach, to wątpię, żebym znalazł czas na zapoznanie się z nią.

— Niech pan przyjdzie do mnie na naukę, nie mam co robić, boję się tylko, że nie będzie pan musiał uczyć się długo tej niewielkiej znajomości gry, jaką posiadam.

— Czy pani jest złym graczem? — zapytał Montague.

— Wydaje mi się, że nikt nie chciałby, żebym się nauczyła grać. Oni wszyscy wolą mnie ogrywać, czy nie tak, majorze?

Major Venable, który siedział z drugiej strony pani domu, nie doniósłszy do ust łyżki zupy, odłożył ją na talerz i roześmiał się dziwnym śmiechem, od którego trzęsły mu się policzki i podbródek.

— Mogę śmiało powiedzieć, że istnieją ludzie, których ten stan rzeczy zadowala.

— W tej liczbie i pana, — powiedziała pani Winnie, wydymając zlekka usta. — Ten niedobry człowiek wygrał odemnie zeszłej nocy sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów, a dzisiaj cały dzień przesiedział w oknie swego klubu, żeby mieć satysfakcję i pośmiać się ze mnie, gdy będę przechodziła. Dzisiaj nie mam już zamiaru grać, postaram się zająć pana Montague'a, a panu pozwolę dla rozmaitości ograć Virginie Landis.

Major odłożył znowu łyżkę i powiedział:

— Moja droga pani Winnie, ja mogę żyć przez wiele dni za sto sześćdziesiąt tysięcy.

Montague dowiedział się później, że major był znany jako gracz klubowy i bon vivant.

— To wuj Robbie Wallinga, — szepnęła mu na ucho pani Alden. — A pozatem, nienawidzą się nawzajem.

— Pani mi to mówi po to, żebym znowu nie zadał niezręcznego pytania? — zapytał ze śmiechem Montague.

— Oni nienawidzą się nawzajem, ale pan mógłby o tem nie wiedzieć. Chce pan whisky?

Montague tak był zajęty obserwowaniem obecnych, że nie zwracał wiele uwagi na jedzenie. A jednak zauważył ze zdumieniem pieczone z wiosennego jagnięcia i to w środku listopada. Nie wiedział, że w tym celu małe sześciotygodniowe istoty hodowano w wacie i karmiono mlekiem z łyżki i że ich mięso kosztowało półtora dolara za funt. Następnie, postawiono przed nim pieczone ze słodkiego mięsa na złotym talerzu. Od tej chwili zaczął zwracać uwagę na sam obiad. Pani Winnie miała herb. Zauważył go i na jej samochodzie i na kracie bramy, zrobionej z brązu i na karafce z wódką. A teraz z niezwykłym zdumieniem ujrzał, że herb ten wypalony jest na kawałku pieczonego mięsa!

Po takim odkryciu nie można było nie obserwować dalej! Były tu złote półmiski wypełnione owocami, przywiezionymi w specjalnych lodowniach ze wszystkich stron świata. Otulone w watę leżały: brzoskwinie z południowej Afryki po dziesięć dolarów za sztukę, ciemno-purpurowe grona winogron, soczystych i mięsistych, które dojrzewały pod parą, owinięte w papierowe woreczki. Najrzadsze gatunki śliw, granatów i brzoskwiń z Japonji, i wreszcie malutkie talerzyki z poziomkami, przywiezionymi w doniczkach.

Po przepiórkach z Egiptu nastąpiło niezwykle danie, zwane „crab-flake a la Dewey“, podane w specjalnych rondelkach wraz z grzybami, zbieranymi w opuszczonych kopalniach Michiganu. Następnie pojawiła się sałata laktuka, hodowana przy pomocy światła elektrycznego, zielony bób z Porto Rico i karczochy z Francji, po dolarze sztuka.

Wszystkie te nadzwyczajne mięsiwa zapijano ośmioma czy dziesięcioma gatunkami win z piwnic znawcy, kolekcjonującego je przez trzydzieści lat, posiadającego własne pola winogronowe we Francji dla wina szampańskiego i przechowującego w swych piwnicach dwa-

dzieścia tysięcy claretu. Otrzymywał on wino reńskie z piwnic cesarza niemieckiego, po dwadzieścia dolarów za butelkę.

Przy stole siedziało dwanaście osób. Po obiedzie utworzono dwa stoły bridża, pozwoliwszy Charlie Cartrowi rozmawiać z Alicją, a pani Winnie zająć się, zgodnie z jej obietnicą. Montague'em.

— Wszyscy lubią oglądać mój dom, — powiedziała do niego, — chce pan, to panu pokażę.

Z sali jadalnej przeszli do zimowego ogrodu, znajdującego się w pośrodku gmachu i sięgającego wzwyż aż do dachu budynku. Pani Winnie nacisnęła guzik elektryczny i ogród zalany został miękkim światłem, a ona stała wśród niego, jak prawdziwa bogini ognia, połyskując swemi klejnotami. Montague gotów był spędzić cały wieczór w tym ogrodzie, wypełnionym najrzadszymi gatunkami roślin.

— Zebrane są ze wszystkich końców świata, — powiedziała pani Winnie, widząc jego zdumienie. — Mój mąż polecił specjaliście, by je dla niego wybrał. Uczynił to przed naszym ślubem, chcąc mi sprawić przyjemność.

W pośrodku ogrodu stał basen z kararyjskiego marmuru, z fontannami wysokości do czternastu stóp. Wystarczyło nacisnąć guzik, aby zajaśniał podwodnym światłem, dzięki czemu można było ujrzeć niezliczone mnóstwo pięknych, pływających w nim ryb.

— Czy to nie piękne! — wykrzyknęła pani Winnie i dodała: — Wie pan, przychodzę tu czasami w nocy, kiedy nie mogę spać, i przypatruję się całymi godzinami. Każde z tych żywych stworzeń o dziwacznych kształtach ma swą specyficzną fizjonomję, przypominającą mi istoty ludzkie. Często chciałabym wiedzieć, co one myślą i czy życie wydaje im się taksamo dziwne, jak mnie!

Usiadła na krawędzi basenu i patrzyła w wodę.

— Tę rybę podarował mi mój kuzyn Carter, ten którego nazywają Buzzie. Pan go jeszcze nie zna?... To brat Charlie'ego, kolekcjonuje przedmioty z dziedziny sztuki i wszystkie osobliwości. Zapalił się kiedyś do złotych rybek. Niektóre z nich są bardzo rzadkie i cenne. Kosztują od dwudziestu do pięćdziesięciu dolarów za sztukę. Zebrał wszystkie gatunki, jakie istnieją, ale gdy się dowiedział, że to jeszcze nie wszystko, pojechał do Japonji i Chin, mając nadzieję dostać je tam. Pan wie, tam hodują różne gatunki złotych rybek. Niektóre z nich uważane są za święte i sprzedaż ich oraz wywóz poza granice kraju jest zabroniony. Mój kuzyn wywiózł je w rozmaitych przedmiotach z kości słoniowej, posiadających zagłębienia, wywiózł również białe marmurowe akwarjum, ukradzione cesarzowi.

Nad głową Montague'a wisiała orchidea, ciekawy twór przyrody — cały snop ognistych języków.

— To jest „odontoglossum“, — powiedziała pani Winnie, — pan nigdy nie słyszał o niej?

— Nigdy, — odpowiedział Montague.

— Doprawdy? — Przecież to jest niezwykła rzadkość. Gazety wiele o tem pisały. Wie pan, Winton, mój mąż, zapłacił dwadzieścia pięć tysięcy dolarów hodowcy, który wyhodował ten nowy gatunek. Wiele o tem mówiono i zewsząd przychodzili ludzie, żeby ją zobaczyć. Ja ją bardzo lubię, bo przypomina mi koronę na moim herbie. Zauważył pan to?

— Tak, — odpowiedział Montague, — to dziwne.

— Jestem z niej bardzo dumna. Naturalnie, są bogacze, którzy zamawiają je sobie i są przez to śmieszni, ale nasz herb jest prawdziwy. To jest herb mój, a nie mojego męża. Duval to jest stare francuskie nazwisko, ale nie szlacheckie. A moje nazwisko jest Morris, i nasza linja wywodzi się od książęcego rodu Montmorency. Zeszłego lata, podczas jednej z naszych wy-

cieczek samochodowych, odnalazłam jeden z ich zamków i niech pan spojrzy, co stamtąd przywiozłam.

Wskazała na zbroję rycerską, wiszącą u wejścia do sali bilardowej.

— Oświetlę ją, — powiedziała pani Winnie, naciśnawszy guzik. Całe oświetlenie zgasło z wyjątkiem jasno czerwonego światła, padającego na manekin w pancerzu. Przyłbica jego była spuszczone, a w pomalowanej ręce trzymał buzdygan.

— Wygląda, jak żywy, prawda? Lubię wyobrażać sobie, że to jest mój pradziad w dwudziestym pokoleniu. Przychodzę tutaj i patrzę na niego z drżeniem. Niech pomyśli, co to były za straszne czasy, kiedy ludzie nosili tego rodzaju zbroje i czuli się jak kraby!

— Pani lubi, zdaje się, silne wrażenia?

— Być może. Lubię wszystko stare i romantyczne, wszystko co daje możność zapomnienia o tem „towarzystwie“, w którym żyjemy.

Stała, patrząc w zamyśleniu na postać w zbroi i nagle zapytała:

— Co pan woli, malarstwo czy pływanie?

— Lubię jedno i drugie w swojej porze.

— Chciałam poprostu zapytać, co pan woli zobaczyć przedtem, galerję obrazów, czy basen. Obawiam się, że pan się zmęczy, zanim zdążymy wszystko obejrzeć,— wytłomaczyła.

— Zaczniemy od galerji obrazów, jeśli pani chce, przecież basen nie stanowi nic nadzwyczajnego?

— Ale nasz basen jest zupełnie specjalny, — zaprzeczyła. — Kiedyś, jeśli mi pan obieca nie opowiadać o tem, pokażę panu moją wannę. Wykuta jest z jednego kawałka najrzadszego zielonego marmuru.

Montague ku zadowoleniu pani domu wyraził swoje zdumienie.

— Dało to naturalnie tym wstrętnym gazetom jeszcze jeden powód do plotkowania, — powiedziała żałośnie, — i już cena jej stała się powszechnie wiadomą.

Oczekiwała najwidoczniej, że Montague zada również to pytanie, a widząc, że go unika, pani Winnie dodała sama:

— Ta wanna kosztuje nas pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Podeszli do windy, przy której stał chłopak w czerwonej aksamitnej liberji.

— Wydaje mi się czasem, że to niemoralnie wydawać tyle pieniędzy. Czy pan zastanawiał się kiedyś nad tem zagadnieniem?

— Zdarzało mi się, — odpowiedział Montague.

— Oczywiście, to daje ludziom zarobek. I wydaje mi się, że im samym przyjemnie jest wyrabiać ładne rzeczy. A jednak, kiedy myślę o całej tej nędzy, jaka istnieje, czuję się nieszczęśliwą. Mamy na południu dom, jeden z tych olbrzymich zamków, gdzie można gościć sto osób. Jeżdżę tam czasem sama powozem, bywam w osadach fabrycznych i rozmawiam z dziećmi na ulicy. Niektóre znam już osobiście. Nieszczęśliwe dzieciaki!

Wyszedszy z windy, weszli do galerji obrazów.

— Było mi bardzo ciężko patrzeć na tę biedę, próbowałam mówić o tem z mężem, ale on nie chciał mnie słuchać. „Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz postępować tak jak inni?“ — powiada mi stale i cóż mu miałam odpowiedzieć?

— Dlaczegożby inni nie mieli być tacy, jak pani?

— Jestem niedość domyślna... Jak ciężko jest kobiecie być samotną... niezrozumianą przez nikogo. Pewnego razu odwiedziłam kolonję robotniczą, — czy pan ma jakieś pojęcie o nich?

— Najmniejszego, — odpowiedział Montague.

— Istnieją ludzie, którzy postanowili żyć wśród biedaków, żeby przekształcić ich życie. Mnie się zdaje, że trzeba mieć do tego dużo odwagi. Daję im czasem pieniądze, ale nie jestem przekonana, czy przynoszę przez to pożytek. To straszne, że tak wiele jest nędzy.

— Tak, jest jej dużo,—odpowiedział Montague, przypominawszy sobie, co widział podczas przejażdżki do Black Forest.

Przy wejściu do nieoświetlonej jeszcze galerji pani Winnie usiadła w fotelu.

— Dawno tu nie byłam. Czuję raczej skłonność do okultyzmu i mistycyzmu. Czy pan słyszał kiedyś o Babbitach?

— Nie, — odpowiedział Montague.

— Jest to sekta religijna, zdaje się, że z Persji. Wszystko, czego uczą, jest piękne i tajemnicze. To zmusza do uświadomienia sobie, jaką straszną i niepojętą rzeczą jest życie. Oni uczą, że świat pochodzi od Boga, że realną jest tylko dusza, a materja nie ma znaczenia. Gdybym była babbitką, mogłabym czuć się szczęśliwą, nawet pracując w fabryce. Ale pan pewno woli obejrzeć obrazy, — powiedziała pani Winnie, wstając nagle. Nacisnęła guzik i sklepioną galerję zalało jaskrawe światło.

— To jest nasza duma, — mówiła dalej. — Mój mąż postawił sobie za cel posiadanie po jednym obrazie każdego artysty światowej sławy. Nabywaliśmy arcydzieła gdzie tylko było można. W tym kącie są obrazy mistrzów starych szkół. Chce pan obejrzeć?

Montague chciał je oczywiście zobaczyć, ale nie w obecności pani Winnie. Zbyt często pokazywała je swym gościom, ale teraz myśli jej były pochłonięte perskimi transcendentalistami.

— Oto obraz świętego, pędzla Botticelli'ego, — powiedziała, — ta pomarańczowa szata przywodzi mi na

myśl Swami'ego. Swami Babubanana to mój nauczyciel. Ma zadziwiająco delikatne ręce, wielkie brązowe oczy, podobne do oczu gazeli w naszym południowym majątku.

W ten sposób szczebiotała pani Winnie, przechodząc od obrazu do obrazu, podczas gdy wielkie dusze starych mistrzów unosiły się nad nią w swym wiecznym spokoju.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Krawiec Montague'a uznał oficjalnie, że Montague jest całkowicie zaopatrzony we wszystko niezbędne dla sezonu, a Réval odesłała Alicji jej pierwszą suknię wizytową. Wyglądała w niej zachwycająco, a wytworna prostota sukni odpowiadała jej cenie. W ten sposób oboje przygotowani byli do złożenia wizyty pani Devon.

Montague, oczywiście, słyszał o pani Devon, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, co to znaczy mieć zaszczyt odwiedzenia tej damy. Dopiero, gdy Oliver, który zjawiał się wcześniej niż zwykle, zaczął oglądać brata od stóp do głów i dawać mu rozmaite wskazówki i nalegał, by Alicja zmieniła fryzurę, — Allan zrozumiał, że jest to zdarzenie wyjątkowej wagi.

Oliver był jaknajwidoczniej podniecony. Gdy wyszedłszy z hotelu przejeżdżali przez aleję, wyjaśnił mu, że ich przyszła sytuacja w „towarzystwie“ zależy od rezultatów tej wizyty. Być dopuszczonym do salonu pani Devon oznacza w Ameryce to samo, co „być przedstawionym u dworu“. W przeciągu dwudziestu pięciu lat owa dama światowa była powszechnie uznaną królową towarzystwa stolicy, i jeśli potrafią spodobać się jej, to zostaną zaproszeni do niej na doroczny bal w styczniu, a po tym fakcie sytuacja ich w towarzystwie zabezpieczona będzie na zawsze. Bal u pani Devon był głównem

wydarzeniem sezonu. Około tysiąca osób bywa zaproszonych, podczas gdy pozostałym dziesięciu tysiącom sądzone jest pozostać w cieniu i zgrzytać zębami.

Wszystko to przyprawiało Alicję o drzenie.

— A co będzie, jeśli się jej nie spodobamy, — powiedziała.

Oliver odpowiedział na to, że grunt jest przygotowany przez Reggie Manna, który był jednym z ulubieńców pani Devon.

Przeszło sto lat temu założyciel rodu Devonów przyjechał do Ameryki i ulokował swoje kapitały w ziemi na wyspie Manhattan. Później pracą innych ludzi wybudowane zostało w tem miejscu miasto, a pokolenie Devonów zaczęło otrzymywać olbrzymie dochody dotąd, póki majątek ich nie osiągnął czterystu lub pięciuset milionów dolarów. Był to najstarszy i najbogatszy ród w Ameryce oraz najznakomitszy. A pani Devon, jako najstarszy członek tej dynastji była wcieleniem jego doskonałości i wielkości. Nikt nie oglądał jej inaczej, niż siedzącej w wysokim fotelu, a klejnoty swe nosiła nawet przy śniadaniu.

Pani Devon rozstrzygnęła o wielu losach w wielkim świecie. Reggie Mann opowiadał o jej obszernej korespondencji, o tem, jak żony i córki najbogatszych ludzi korzystały się przed nią, starając się uniżeniem zaskarbić jej łaski. Całemi miesiącami oblegały jej dom, intrygując na wszystkie sposoby i nawet przekupując jej służbę. Jeśli wierzyć Reggie Mannowi, to z powodu tych starć towarzyskich rozpoczynały się wielkie walki finansowe i nieraz chwiały się giełdy całego świata.

Podjechali do starożytnego feodalnego pałacu. Przywitał ich starszy lokaj o pańskim wyglądzie, który poprowadził ich po szerokich schodach do pierwszej sali przyjęć. Po pięciu minutach powrócił i otworzył drzwi do następnego salonu, gdzie ujrzeli starą siwowłosą da-

mę, pokrytą całą brylantami, siedzącą jakgdyby na tronie. Podeszli do niej. Oliver przedstawił ich. Dama wyciągnęła ku nim swą starczą rękę i usiadła. Pani Devon zadała im kilka pytań, czy widzieli już dużo w New-Yorku i kogo spotykali, ale przeważnie oglądała ich tylko poprostu, pozostawiwszy Oliverowi podtrzymywanie rozmowy. Montague siedział milcząc i czuł się niezręcznie. Zapytywał się w duchu, jak w Ameryce może dziać się coś podobnego.

— Umysł jej słabnie, — objaśniał Oliver, gdy wracali samochodem. — Trudno jej już przyjmować wizyty.

— Szczęśliwa jestem, — mówiła Alicja, — że nie potrzebujemy już składać jej więcej wizyty. Kiedyż dowiemy się o wyroku?

— Jak otrzymacie bilecik z napisem „Pani Devon przyjmuje...” — powiedział Oliver.

Zaczął opowiadać o wojnie, która wybuchła w towarzystwie, gdy pewna potężna dama podawać zaczęła w wątpliwość prawa pani Devon. Opowiedział im również o jej zadziwiającym serwisie chińskim, który kosztował trzydzieści tysięcy dolarów i był chrupki jak skrzydło kolibra. Na każdej sztuce serwisu znajdował się jej herb. Trzymała specjalistę do mycia i chowania tego serwisu i żadnej innej ręce nie wolno było go dotknąć. Opowiedział im również jak długo zarządzający domem pani Devon męczył się nad tem, aby nauczyć pokojówki takiego sprzątania i rozstawiania mebli w głównych salach przyjęć, które zgodne było z życzeniem pani domu. Wreszcie zrobiono fotografie, które pokojówki kierowały się przy swej pracy.

Alicja powróciła do hotelu, gdyż oczekiwała panią Robbie Walling, która miała zabrać ją ze sobą na śniadanie, a Montague pojechał z bratem do Reggie Manna, aby opowiedzieć mu o swej wizycie. Reggie przyjął ich w jedwabnej pyjamaie, przybranej taśmą i pętlami, w wy-

szywanych jedwabiem i perłami pantoflach, które otrzymał w podarunku od jednej ze swych wielbicielek.

Montague zauważył z przerażeniem, że ten mały człowieczek nosił na lewej ręce bransoletkę. Reggie wyjaśnił im, że tej nocy, a słuszniej tego rana, gdyż powrócił o g. piątej, prowadził kotyljona. Twarz jego była biała i trochę zmięta. Na stole stały resztki śniadania: whisky i woda sodowa.

— Widzieliście starą? No i cóż ona?

— Wygląda jednak na dość zmęczoną, — powiedział Oliver.

— Było mi djabelnie trudno wprowadzić was do niej, z każdym dniem staje się to trudniejsze... Wybaczcie mi, muszę się ubierać... Jestem zaproszony.

Usiadł przed swą toaletą, zastawioną kosmetykami najróżniejszych rodzajów, i zabrał się do upiększania swej twarzy. Służący kręcił się w milczeniu po pokoju, zajęty przygotowaniem jego ubrania, a Montague mimowoli wodził za nim oczyma. Cały galanteryjny sklep mógłby istnieć dość długo na podstawie zawartości szaf Reggie'ego. Ubrania jego znajdowały się w specjalnym pokoju, sąsiadującym z tym, w którym się ubierał. Montague, stojąc przy drzwiach, mógł przypatrzeć się szafom z różowego drzewa, przeznaczonym na różnego rodzaju ubrania. W jednej z nich spoczywały na ruchomych, wysuwanych półkach koszule z wszystkich możliwych materiałów i wszelakich barw. Była tam szafa, która wyglądała, jak mały sklep z obuwiem: znajdowały się w niej buciki wysokie i niskie, żółte, białe, czarne, wszystkie na prawidłach, żeby nie traciły fasonu. Zamawiane były według wskazówek Reggie'go. Ze trzy-cztery razy do roku przeprowadzano rewizję i buciki, które wyszły z mody stawały się zdobyczą jego „człowieka”. Stał tam również safe z klejnotami Reggie'go.

Sypialnia jego wyglądała, jak damski buduar. Meble

obite były jedwabiem, haftowanym w wyszukane desenie, a łóżko zawieszone było draperją z tego samego materiału. Na stole w środku pokoju stał wazon z ogromnym bukietem róż, rozsiewających duszący zapach.

Lokaj trzymał w ręku całą kolekcję krawatów, z których Reggie wybrał odpowiedni do koloru swego ubrania.

— Czy weźmiecie ze sobą Alicję do Havensów? — zapytał Reggie. — Spotkacie tam Vivie Patton. U niej w domu był nowy skandal.

— Nie może być, — zawołał Oliver.

— Frank oczekiwał jej całą noc. Płakał, rwał sobie włosy i zaklinał się, że zabije hrabiego. A Vivie posłała go do wszystkich djabłów.

— Boże mój!... Któż ci to powiedział?

— Alfons, któremu można wierzyć, — powiedział Reggie, — wskazując na służącego. — Jej pokojówka opowiedziała mu o tem. Frank chce podać do sądu. Myślałem nawet, że przeczytam dziś o tem w gazetach!

— Spotkałem wczoraj Vivie na ulicy, wyglądała weselej niż kiedykolwiek.

— Reggie wzruszył ramionami i zmienił temat rozmowy.

— Czytałeś ten tygodnik? Pomieścił jeszcze jeden zabroniony poemat Izabelli.

W tem miejscu Reggie zaczął wyjaśniać Montague'owi, że „Izabella“ jest to pseudonim początkującej poetki, znajdującej się pod wpływem Baudelaire'a i Oskara Wilde'a, która wydała tomik wierszy o takim dzikim erotyzmie, że rodzice jej wykupili wszystkie egzemplarze za wściekle pieniądze. Następnie rozmowa przeszła na pokaz koni i zajęli się roztrząsaniem tego, kto i w jakiej tualecie tam wystąpi.

Wreszcie Oliver wstał i oświadczył, że muszą przekąsić przedtem, zanim pojedą do Havensów.

— Spędzicie tam przyjemnie czas, — powiedział Reggie, — ja sam pojechałbym tam chętnie, ale obiecałem pani de Graffenried, że pomogę jej urządzić obiad. Do miłego zobaczenia!

Montague nie wiedział jeszcze nic w sprawie wyjazdu do Havensów, ale teraz, gdy mknęli samochodem przez aleję, Oliver wyjaśnił mu, że mają zakończyć tydzień w zamku, gdzie zebrała się cała kompanja, która oczekuje ich na dworcu. Narazie zaś nie mają nic do roboty, gdyż lokaj zajmie się pakowaniem rzeczy, a Alicja z pokojówką spotka się z nimi na stacji.

— Zamek Havensów to jedna z najciekawszych miejscowości w okolicy, — dodał Oliver, — zobaczysz, że jest tam na co popatrzeć.

Przy lunchu opowiedział mu kilka szczegółów na temat miejscowości i jej właścicieli. John odziedziczył niedawno lwią część ogromnego majątku Havensów i jako spadkobierca swego ojca wstąpił do trustu stalowego. Przyjdzie czas, że któryś z wielkich bogaczy trustu połknie go, ale tymczasem John zabawia się prowadzeniem drobnych spraw przedsiębiorstwa. Pani Havens zachciało się prowadzić wiejski tryb życia. W tym celu wybudowali wielki zamek na wzgórzach Connecticut. Pani Havens pisała wiersze, w których przedstawiała siebie, jako zwykłą pasterkę; była stale zazdrosna o męża, wskutek czego często się kłócili, ale nikt nie zwracał na to uwagi, gdyż zbyt wiele spraw działo się w tym wielkim domu. Posiadali około pięćdziesięciu ponny do gry w polo, co stale przyciągało na wiosnę moc graczy.

Przed dworcem kolejowym ujrzeli Charlie Cartera w jego wielkiem aucie wyścigowym.

— Jedziecie do Havensów, — krzyknął im, — powiedzcie tam, że zajedziemy po drodze po Chauncey'a.

— To Chauncey Venable, siostrzeniec majora, — wy-

jaśnił Oliver, gdy podchodzili do wagonów własnego pociągu Havensów. — Biedny Chauncey jest na wygnaniu...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Montague.

— Nie ma prawa przyjeżdżać do New-Yorku. Nie czytałeś o tem w gazetach? Kilka dni temu przegrał w domu gry sto czy dwieście tysięcy dolarów w ciągu jednej nocy i sędzia poszukuje go teraz.

— Żeby go wsadzić do więzienia? — zapytał Montague.

— Ach Boże! Nie! — powiedział Oliver. — Wsadzić Venable do więzienia! Potrzebny im jest jako świadek przeciwko właścicielom domu gry, i biedny Chauncey jeździ teraz z przyjaciółmi po okolicach New-Yorku i złości się, bo ryzykuje, że przepuści pokaz koni.

Weszli do wspianego wagonu Havensów i przyłączyli się do pozostałych gości. Znajdował się wśród nich major Venable i podczas gdy Oliver pogrążył się w czytaniu świeżo wydanego pisma w fantastycznej okładce, w którym wydrukowano erotyczny poemat „Izabelli“, brat jego rozmawiał z majorem.

Majorowi spodobał się wysoki ładny przybysz, któremu wszystko w stolicy wydawało się tak nowe i zajmujące.

— Niech mi pan powie, jak się panu spodobał „Pałac śnieżny“? — zapytał. — Zdaje mi się, że miał pan tam wielkie powodzenie. Niech się pan strzeże pani Winnie, drogi panie. To bardzo niebezpieczna kobieta. Zobaczysz pan, że obiady u pani Winnie drogo kosztują.

Gdy pociąg ruszył, major obstawił się butelkami z różnemi gatunkami wódek i zasiadł wygodnie w fotelu.

— Czy widział pan „pijane koźle“ na promie? — zapytał. — Nasz niepijący okręgowy sędzia śledczy

ochrzcił w ten sposób mego drogocennego jedyne go następcę. Pozna go pan w zamku. Havensowie odnoszą się do niego dobrze, czują, że są wobec niego trochę winni: gdy John chodził jeszcze do szkoły, jego piratujący ojciec w przeciagu sześciu miesięcy ukrywał się w Jersey przed surową ręką prawa. Pan nie o tem nie wie? — mówił dalej major, pociągając wódkę. — Sic transit gloria mundi. Było to wówczas, gdy sławny kapitan Kidd Havens gromadził swe miliony, które potomkowie jego marnotrawią z taką czarującą beztroską. Organizował towarzystwo kolei żelaznej, a ojciec Wallinga starał się przeszkodzić mu, skupując większość akcyj. Havens zaś, przeprowadziwszy w krótkim terminie bezprawną emisję na przeszło dwadzieścia milionów, znikł prawie z całą kasą. Wszystko to brzmi jak farsa. Posiadał prawdziwy obóz wojenny z drugiej strony rzeki w przeciagu sześciu miesięcy i wszystko to trwało dotąd, aż mógł pojawić się w Albany z pół miljonem dolarów w portfelu i skłonić władze sądowe, by uznały prawomocność tej awantury. Było to wkrótce po wojnie, ale ja pamiętam wszystko doskonale i dziwię się, że nikt o tem nie wie.

— Słyszałem o Havensach tylko bardzo ogólnikowo, — powiedział Montague.

— A ja, — odpowiedział major, — ja znam wszystkie szczegóły. Posiadałem niemało akcyj tej kolei, ale od tych czasów nie dawały ani razu dywidendy. To mi jednak nie przeszkadza cenić gościnność Johna.

Montague przypomniał mu w tem miejscu słowa cesarza rzymskiego, że pieniądze nie śmierzdzą.

— Być może, — powiedział major, — ale gdyby ktoś był przesądny, to mógłby dopatrzeć się w wypadku Havensów potwierdzenia przysłowia o nieuczciwie zdobytym majątku. Choćby małżeństwo córki...

I tu major zaczął opowiadać całą historję o zakoń-

czeniu tego małżeństwa, które kilka lat temu wywołało sensację na obu półkulach. Całe towarzystwo obecne było na tym wspaniałym ślubie. Nabożeństwo odprawił arcybiskup, gazety poświęciły całe kolumny na opisy tualet, klejnotów i posagu. Sam baron był nieszczęsnym malutkim degeneratem, który przez całe życie bił swoją żonę, chwalił się jej w oczy swoją kochanką i w ciągu kilku lat wydał czterdzieści milionów z jej pieniędzy.

Trudno wyliczyć wszystkie orgje tej napół normalnej istoty. Na jeden tylko bankiet wydał dwieście tysięcy dolarów, a na szafę zrobioną z żółwi, należącą do Ludwika XVI — sto tysięcy. Zmusiwszy swoją żonę do kupna kolji brylantowej, wyjął połowę kamieni, zanim ją oddał żonie. Płacił sto tysięcy jockeyowi, którym zachwycał się tłum paryski. Jeden pałac w Weronie kosztował go moc pieniędzy, lecz zrujnował go, aby wyciągnąć stamtąd jedenaście plafonów z obrazami. Pewnego razu przyszła mu fantazja urządzić uroczystość na świeżem powietrzu. Zużył na to dziesięć tysięcy weneckich lampjonów, dziesięć tysięcy metrów dywanów, trzy tysiące połączanych krzeseł i trzystu lokajów w kostjumach. Na środku jeziora, w którym pływały delfiny, wybudowano dwa małe pałace. Na uroczystości tej przygrywało sześć orkiestr, a w przedstawieniu brało udział przeszło trzysta baletnic.

Kupiwszy sobie miejsce w parlamencie, wygłaszał płomienne mowy w obronie świętego kościoła katolickiego i posyłał artykuły do naszej „żółtej prasy“ i oto gdzie podziały się wszystkie dywidendy, — zakończył major.

Na stacji oczekiwało gości kilka samochodów. Przejechawszy długą aleją na szczyt płaskowzgórza i przeprawiwszy się przez niewielkie jezioro, znaleźli się wreszcie przed wrotami zamku Havensów. Był to wielki gmach, którego fasada zajmowała dwieście stóp

długości. Weszli do ogromnego hallu, na pięćdziesiąt stóp szerokiego, z ogromnemi kominkami i marmurowymi schodami, prowadzącemi na górne piętra. Ściany pokryte były freskami, wyobrażającemi podbicie Meksyku. Każdy pokój umeblowany był w stylu różnych epok: Ludwika XIV, Ludwika XV, Marji Antoniny i t. d.

Na górze w głównej amfiladzie pokoiów znajdowała się sypialnia z królewskim łóżem, które kosztowało dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, połączane meble z najrzadszego orzechu kaukaskiego, lecz według słów majora najbardziej przyciągało gości kasyno. Był to prawdziwy klub atletyczny, z areną i ringiem, wielkości Madison Square Garden, ze szklanym dachem i girlandami lamp elektrycznych dla ćwiczeń wieczornych. Znajdowały się w nim pokoje bilardowe i pokoje dla odpoczynku, place do tenisu, gry w piłkę, sala gimnastyczna ze wszystkimi możliwemi przyrządami i basen do pływania z łaźnią turecką i rosyjską. W samym kasynie było czterdzieści pokoiów dla gości.

Wszystko tu było wspaniałe. Zamek kosztował cztery miliony dolarów, a za jego ścianami grubemi na dwa naście stóp mieszkaly dwie zmęczone życiem istoty, które niczego się tak nie obawiały, jak samotności. To też w zamku bywali stale goście, a w specjalnych wypadkach liczba ich mogła być pomnożona trzy — cztery razy. Jeździli po całej posiadłości w swych automobilach, powozach i konno, grali w rozmaite gry na powietrzu i w kasynie, odpoczywali, zajmowali się plotkowaniem, jednym słowem robili wszystko, co im się tylko zachciało. Życie w takim zamku nie różniło się niczem od pobytu w wielkim hotelu, z tą jedynie różnicą, że było tam tylko doborowe towarzystwo i że przy wyjeździe zamiast płacenia rachunku, wystarczało nagrodzić służbę kilkoma dziesiątkami dolarów. Był to pałac uciech i elegancy mężczyźni i kobiety zabawiali się wytwornie

w najrozmaitszy sposób. Wieczorami w zamku płonęły w kominkach ognie i każdego dnia można było urządzać wieczory tańcujące, gdyż nigdy nie brakło muzyki. Od czasu do czasu dawano oficjalne bale, na których damy lśniły przepysznyimi tualetami i brylantami, sale zalane były światłem, grała pełna orkiestra. Specjalne pociągi przywoziły gości z New-Yorku.

Czasami zapraszano całą trupe dla przedstawień w sali teatralnej. Zjawiali się akrobaci, zwierzyniec z tresowanemi zwierzętami, przyjeżdżali znani pianiści, chironanci, okultyści, medja. Przyjmowano z zadowoleniem każdego, byleby tylko potrafił dać nowe wrażenia, za jakąkolwiek cenę, choćby to miało kosztować kilka setek dolarów na minutę.

Montague przedstawiony został panu i pani domu i wielu innym gościom. Znajdowała się wśród nich Bily Price, która gadała z nim bez przerwy i zaprowadziła go do strzelnicy, gdzie Montague wzięwszy do rąk strzelbę zabawiał ją swem mistrzostwem. Dała mu sposobność do zawarcia znajomości z Siegfriedem Harvey, słynnym graczem w polo. Ojciec jego posiadał olbrzymie kopalnie rudy i nadał mu imię konia wyścigowego. Był to wysoki barczysty chłopak, powszechny ulubieniec. Gdy następnego rana ujrzał, że Montague siedzi na koniu tak, jakby był urodzony dla tego, zaprosił go do siebie do Long Island na polowanie na lisy. Przebrawszy się do obiadu, Montague zeszedł na dół i ujrzał Betty Wymann, błyszczącą jak jutrzeńka w pomarańczowym obłoku. Przedstawiła go pani Vivie Patton, tej samej co to posłała swego męża do diabła. Była to ładna, wysoka i zgrabna kobieta, o czarnych, połyskliwych i bystrych oczach. Przypominała gejzer w stanie nieustannego wytrysku. Montague pomyślał mimowoli, że nie rozmawiałaby z nim tak wesoło i z takim ożywieniem, gdyby wiedziała, że znane mu są jej niesnaski rodzinne.

Całe towarzystwo ruszyło do sali jadalnej, gdzie podano jeden z tych wymyślnych i cudacznie drogich obiadów, które, jak mu się wydawało, sądzono mu już jadać do końca życia. Tylko że sąsiadką jego zamiast pani Billy Alden z jej szkocką wódką, była pani Vivie, pochłaniająca nieprawdopodobne ilości szampana. Po obiedzie rozpoczął się nieunikniony bridge.

W liczbie zaproszonych znajdowała się obca osoba — człowiek o dziwnym wyglądzie z długimi włosami, „bohater wieczoru“, który siedział, otoczony grupą wielbicieli. Zaprowadzono go do sali koncertowej. Okazało się, że był to skrzypek wirtuoz. Repertuar składał się z tak zwanej salonowej muzyki, skomponowanej specjalnie dla dam i mężczyzn z wielkiego świata, którzy słuchają jej po obiedzie. Następnie zagrał koncert, dziwny zbiór dźwięków, pozwalający grającemu w najkrótszym czasie przejawić zręczność palców. Aby wyczyniać te sztuczki, człowiek musi poświęcać całe swe życie na ćwiczenia, jak to czynią akrobaci cyrkwini. W ten sposób umysł podlega atrofji i wirtuoz wypełnia się tylko bezgraniczną i naiwną zarozumiałością.

Montague słuchał z podziwem kilka minut. Potem zaczął obserwować obecnych, którzy w dalszym ciągu śmiali się i rozmawiali w czasie gry. Następnie przeszedł do sali bilardowej, gdzie Billy Price i Chauncey Venable prowadzili ząartą grę. Stamtąd przeszedł do palarni, gdzie mały major zebrał wokół siebie grupę gorących głów dla gry w „Klondike“. Dziwna ta gra interesowała najwidoczniej otaczających ich widzów, śledzących za nią z natężoną uwagą, podczas, gdy gracze siedzieli milczący i obojętni.

Rano Charlie Carter odwiózł Alicję i Olivera w swym samochodzie, a Montague spędzał czas, poddając próbie niektóre konie wyścigowe. Pokaz koni w New-Yorku rozpocząć się miał w poniedziałek. Wydarzenie to po-

wodowało podnieconą atmosferę wśród niektórych gości. Pani Karolina Smythe, czarująca młoda wdowa, zakomunikowała mu wszystko, co wiedziała o pokazie i osobach, które będą tam brały udział.

Po obiedzie major Venable zabrał go na przechadzkę w celu pokazania mu posiadłości. Olbrzymie sumy wydane na jej rozplanowanie i rysunki, były niczem w porównaniu z ich prawdziwym stanem. Były tu wzgórza, skały i nieskończone łańcuchy łąk i ogrodów, upstrzonych oślepiającą bielą marmurowych schodów, posągów, fontann. Olbrzymia aleja włoska prowadziła stopniowymi tarasami ku fontannie elektrycznej z basenem o średnicy sześćdziesięciu stóp i ku rydwanowi z brązu z końmi z białego marmuru. Były tu ogrody wiszące z fontannami, przywiezionymi z południowej Francji, greckie perystyle, ławki marmurowe, wazy i inne skarby sztuki.

Następnie obejrzelі stajnie — olbrzymi gmach w stylu renesansu, wzorową farmę z pastwiskami dla krów dojnych, następnie boisko dla gry w polo, ogrodzony plac do jazdy konnej dla dzieci, oranżerje, psiarnie, gołębnik, park z jeleniami. Brakowało tylko jam niedźwiedzi i zwierzyńca.

Wreszcie, w powrotnej drodze zaszli przed kasyno, gdzie co kwadrans grały kuranty. Montague zatrzymał się, patrząc na wieżę, z której płynęły dźwięki. Im dłużej na nią patrzył, tem więcej dochodził do przekonania, że jest na co patrzeć. Ostro zakończony dach był w stylu królowej Anny, a na środku jego wznosiła się ośmiokątna wieżyca w stylu normandzkim. Ozdobiona była płaskorzeźbami, przedstawiającemi girlandy i rozmaitemi ornamentami, podobnemi do pozłacanych sznurów i chwastów na aksamitnych kotarach. Na wierzchołku wieży widniała kopuła tureckiego meczetu. Nad kopułą widać było coś podobnego do gołębnika, nad któ-

rym wznosiło się zkolei wąskie białe ostrze wiejskiego kościoła metodystów z umieszczonym na niem posągim Djany.

— Na co pan tak patrzy? — zapytał major.

— Tak sobie, — odpowiedział Montague. — Niech pan mi powie, czy w rodzinie Havensów byli warjaci?

— Nie wiem, — odpowiedział zdumiony major. — Opowiadają, że stary nie sypiał całemi nocami. Sądzę, że musiał mieć coś na sumieniu.

Poszli dalej, i major opowiadał:

— W New-Yorku mieszkał stary kupiec, który był osobistym sekretarzem Havensa. Ponieważ Havensa prześladował strach, że zostanie zabity, więc podczas swych podróży zamieniał się rolami z sekretarzem. Stary jest wysokiego wzrostu i dobrze się prezentuje. Zabawne było słuchać jego opowiadań o tem, jak przyjmował interesantów, jak przypatrywały mu się tłumy, podczas gdy Havens, mały i niepozorny, starał się udawać gorliwego pomocnika. Pewnego razu wszedł do ich kancelarji człowiek wysokiego wzrostu ze wzburzonemi włosami, o podejrzanym wyglądzie. Człowiek ten zaczął rozwijać pakunek, w którym znajdował się okrągły metalowy przedmiot. W mgnieniu oka Havens i jego sekretarz znaleźli się na podłodze, ale ponieważ nic nie nastąpiło, unieśli głowy i ujrzeli interesanta, spoglądającego na nich ze zdumieniem z za barjery. Okazało się, że przyszedł zaproponować miedziany przyrząd własnego pomysłu do wyrabiania masła.

Montague zgodziłby się chętnie na spędzenie w zamku całego tygodnia, zamiast dwóch dni. Zaciekało go życie osób, które tu spotkał. Wszyscy oni znani byli w towarzystwie i w świecie interesów. Trudno było znaleźć wygodniejszą sposobność do zawarcia z nimi znajomości.

Montague nie spieszył się i powoli macał grunt. Zają-

ty grami i rozmowami, nie zapominał ani na chwilę o swym rzeczywistym celu — o wywalczeniu sobie stanowiska w życiu. Najbardziej starał się wejść w styczność z osobami, związanymi z kołami przemysłowemi i finansowemi.

Dowiedziawszy się od pani Smythe, że wśród zaproszonych znajduje się główny administrator jednego z największych towarzystw ubezpieczenia na życie, pan Vandam, postanowił, że może dużo skorzystać na znajomości z nim, ponieważ „Freddie” Vandam był jednostką posiadającą wielkie znaczenie w świecie finansowym. Montague był zachwycony, gdy Siegfried Harvey zaznajomił go z nim, ale oczekiwało go wielkie rozczarowanie.

Nie o to chodziło, o czem „Freddie” Vandam mówił. Bezsprzecznie miał powody do interesowania się pokazem koni, jeśli sam wystawiał kilka wspaniałych egzemplarzy. Nie miał też potrzeby rozmawiać o sprawach poważnych z obcym człowiekiem. Ale w nim samym, w jego sposobie mówienia, w całej jego postaci było coś, co przestraszało Montague’a.

Freddie był człowiekiem mody, z całem przesadnem zmanierowaniem dandysa z pisma humorystycznego. Ubrany był w ekstrawagancki kostjum i pozował, wywijając swą laseczką. Bezustanku skubiąc swemi wąskimi palcami ostrą bródkę i wąsy, przeplatał rozmowę francuskimi zdaniami. Wychowany zagranicą, pogardzał z całego serca wszystkim, co amerykańskie, dyktował swe listy urzędowe po francusku i pozostawiał swemu stenografiście tłumaczenie ich.

Koszule jego wyhaftowane były fijołkami i uperfumowane temiz perfumami, aby podczas jazdy czuć było ich zapach!

Ustaliło się o nim powiedzenie: — Gdyby Freddie był mniej głupi, możnaby go było nazwać półgłówkiem. —

Patrząc na jego krygowanie się i słuchając jego głupich rozmów, Montague nie wiedział zupełnie, co ze sobą począć. Gdy zdołał się wreszcie oddalić od niego, owładnęły nim trwożne myśli o komplikacjach oczekującego go zadania. Jak wytłumaczyć sobie zagadkową tajemnicę środowiska, które powierzyło słabym rękom Freddie Vandama zarządzanie półmiliardem powierzonych mu pieniędzy?

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Mające się wkrótce odbyć współzawodnictwo koni było powszechnym i jedynym tematem rozmów. Publiczność, powracająca w niedzielę z porannego nabożeństwa, mówiła o koniach. O tem samym mówił tłum, oczekujący wyjścia z kościoła eleganckich dam i panów, aby popatrzeć na ich tualety. Wieczorem wszyscy pograżali się w czytaniu gazet, opisujących niedalekie widowisko. Część gości pani Havens rozjechała się w niedzielę. Pozostali, w tej liczbie i Montague, pojechali w poniedziałek rano. Allan jadł lunch u pani Robbie Walling z Oliverem i Alicją. Po lunchu, w żakiecie i w cylindrze siedział w pierwszym rzędzie łoży pani Robbie.

Arena, na którą wyprowadzono konie, była wielka. Otoczona była sztachetami, a za sztachetami znajdowało się szerokie przejście dla publiczności. Dalej, o kilka stóp wyżej, umieszczone były łoże, w których znajdowało się całe towarzystwo. Pokaz koni zajmował ważne miejsce w życiu towarzystwa. W zeszłym roku podróżujący ksiązę cudzoziemski odwiedził taki pokaz, znajdując to widowisko godnem swej osoby, i tego roku „wszyscy“ musieli być obecni.

Montague przyzwyczajał się szybko do istniejącego stanu rzeczy. Przywykał do tego, że dopuszczalne by-

ło posiadanie haftowanej bielizny, pościelowej i stołowej, ściennych malowideł, własnych wagonów kolejowych i złotych półmisków. Z początku wydawało mu się rzeczą dziką, aby mu usługiwała biała kobieta i tylko w rzadkich wypadkach przyjmował usługi białego człowieka. Jednak przyzwyczaił się szybko do tego, by mieć wokół siebie milczących obojętnych lokajów, oczekujących najmniejszego znaku. Pomyślał sobie, że czasem przyzwyczai się zapewne i do koni z podciętemi ogonami, krótko ostrzyżonemi grzywami, wytresowanych do takiego dziwnego i zabawnego podnoszenia nóg, jak również do wędzideł, niepokojących nieszczerśliwe zwierzęta.

Były tu konie do ćwiczeń, konie wyścigowe, ponny do polo i t. d. — wszystkie rodzaje koni, istniejących dla rozrywek. Jury oglądało je i przyznawało im niebieskie i czerwone wstążki. Najwidoczniej te właśnie nagrody przyciągały publiczność. Widzowie drżeli z podniecenia i burzliwie oklaskiwali swych ulubieńców. Istniały nawet specjalne umowne wyrażenia i terminy dla koni, jak naprz. „uroczyste“, „szlachetne“ i t. d. A jednak nie konie były główną przynętą wystawy. Montague doszedł do wniosku, że była to wystawa samego „towarzystwa“. W przeciągu sześciu — siedmiu godzin szerokie przejścia do tego stopnia zatłoczone były publicznością, że trudno było się przepchać. Cały ten tłum nie zwracał prawie uwagi na to, co odbywało się na arenie, lecz patrzył w górę ku łozom.

W przeciągu całego roku ludzie ze średniej klasy wiedzieli tylko z gazet o życiu wielkiego świata. A tutaj mieli sposobność ujrzeć ten świat w najwspanialszych tualetach. Na programach zaznaczone były nazwiska obecnych z wielkiego świata, dzięki czemu łatwo było niektórych odróżnić. Na widowisko to zjechały z rozmaitych miast do New-Yorku dziesiątki tysięcy cieka-

wych. Przyszły tu również w poszukiwaniu natchnienia w modach paryskich kobiety mieszkające w umeblowanych pokojach, które same szyły sobie suknie. Dzięki tej wystawie zebrały się tu również wszystkie krawcowe. Wszędzie widać było reporterów z notesami w rękach. Następnego ranka naśladowcy wielkoświatowego tonu przeczytają w gazetach następującą wzmiankę: Pani Chauncey Venable ubrana była w zachwycający kostjum liljowy, obszyty jedwabną taśmą i bluzkę z drogocennych koronek. Kapelusz w kolorze sukni z masą liljowego i pomarańczowego tiulu i rajskimi ptakami w tym samym odcieniu. Futro srebrnego lisa dopełniało toalety“. Najpoważniejsze gazety stolicy drukowały całe kolumny podobnych bredni. Co zaś dotyczy żółtej prasy, to zagadnienie tualet omawiane było na stronicach tych gazet przez specjalistów, przyczem zamieszczano fotografie znanych osób.

Montague z panią Walling zostali sfotografowani parę razy, a pewien młody człowiek zatrzymał się przed ich lożą i nie krępując się zupełnie, zaczął zapisywać uwagi w swym notesie. Na tego rodzaju rzeczy pani Walling reagowała rozmaicie: publiczności ukazywała twarz pełną znudzonej obojętności i pogardy, przyjaciółom dawała do zrozumienia, że jest oburzona takim zachowaniem, w rzeczywistości zaś triumfowała nad rywalkami, których opisy tualet i fotografie nie ukażą się w gazetach. Ci, którzy nie chcieli być ostatni, musieli wydać przynajmniej 10 tysięcy dolarów na toalety na przeciąg całego tygodnia. Niezbędne było nowe ubranie na każdy dzień i wieczór. Niektóre damy, szczytujące się umiejętnością szybkiego przebierania, zmieniały toalety po trzy — cztery razy na dzień, i musiały mieć po dwa — trzy tuziny sukien z odpowiednieniami pantoflami, rękawiczkami i kapeluszami. Wspaniałe futra przetrzucone były niedbale przez balustradę loży, aby utwo-

rzyć odpowiednie ramy. Wieczorami damy demonstrowały „pirotechniczne“ efekty swych klejnotów. — W uszach pani Wirginji Landis błyszczały proste perłowe kolczyki, które, jak oznajmiła reporterom, kosztowały 20 tysięcy dolarów. Dwie inne damy nałożyły na siebie brylantów na sumę 400 tysięcy dolarów. Każda z nich posiadała swego detektywa, dla ochrony od napadu złodzieiów.

Co zaś tyczy koni, na które nie zwracano prawie uwagi, wartość ich była niemała. Była tu czwórka młodych koni, wartości czterdziestu tysięcy, a także konie po 40 tysięcy każdy. Wszystkie te konie nadawały się tylko do wystawy i na rozplód. Niektóre z nich pochodziły ze stajni, przeznaczonej wyłącznie dla trenowania na arenę. Również bezużyteczne były kosztowne, lecz bardzo łamliwe i niewygodne powozy.

A tymczasem znajdowali się tu ludzie, których głównem zajęciem było otrzymywanie na tych pokazach niebieskich wstążek. Wielu z nich, jak na przykład Robbie Walling i Chauncey Venable posiadali olbrzymie hodo-
wle koni i dwukołowe wózki wyścigowe. Pewnego lata jeden z Wallingów urządził wyprawę do Londynu, aby pokazać miejscowemu towarzystwu swego rodzaju zabawę. Zawiózł ze sobą dwadzieścia czy trzydzieści koni pod nadzorem specjalisty zarządzającego oraz tuzin koniuszych, szesnaście różnorodnych pojazdów i wiele uprzęży. Dla transportu tego wszystkiego potrzebny mu był cały pokład. Podróż ta pomogła Wallingowi ulżyć swym kieszeniom o 600 tysięcy dolarów.

Robbie spędził cały dzień na arenie ze swymi tren-
rami i konkurentami. Montague zabawiał tymczasem jego żonę. Wiele osób przychodziło winszować pani Robbie powodzenia i wyrazić pani Chauncey Venable współczucie z powodu nieszczęśliwej ofiary zbyt gorliwego sędziego śledczego.

Montague uchwycił z rozmów tych osób, że pokaz koni posiadał swą ujemną stronę — nie było możliwości pozbyć się niepożądanego żywiołu, który brał w nim udział. Najwidoczniej w New-Yorku było wielu bogatych ludzi, nie należących do wyższych sfer, których istnienie ignorowane było z pogardą przez towarzystwo. Tymczasem ludzie ci byli w stanie wystawiać na pokaz konie, otrzymywać nagrody, posiadać łoża i błyszczeć wspaniałemi tualetami. Mogli zmusić gazety, aby mówiły o nich. Oczywiście nieświadomy tłum nie znał różnicy i patrzył na nich z taką samą ciekawością jak na panią Robbie, lub panią Winnie.

W przeciągu całego tygodnia ludzie ci mogli żyć złudzeniem, że znajdują się w „towarzystwie“.

— Skończmy już prędko z temi pokazami, — powiedziała pani Vivie Patton, błysnąwszy swemi czarnemi oczyma. Obecna tu była naprzykład panna Yvette Simpkins, której samo nazwisko przyprawiało „towarzystwo“ o shoking. Panna Yvette była siostrzenicą bardzo bogatego maklera i uważała, że należy do wielkiego świata. Takie było przekonanie głupiej publiczności. Panna Yvette zawdzięczała swój rozgłos przedewszystkiem gazetom. Często pojawiały się jej fotografie w modnej toalecie od Wortha z napisem „Panna Yvette, najelegantsza kobieta w New-Yorku“, lub też „Panna Yvette, najlepsza amazonka towarzystwa“. Opowiadano, że panna Yvette, osoba niewielkiego wzrostu, dosyć tęga, o niemieckim typie twarzy, zapłaciła pewnego razu 5 tysięcy dolarów za fotografie, które zostały następnie rozesłane tuzinami do wszystkich redakcyj New-Yorskich. Panna Yvette posiadała samych brylantów za milion dolarów i jeśli wierzyć gazetom, były to najpiękniejsze brylanty w Stanach Zjednoczonych. W ciągu obecnego roku wydała na tualety 126 tys. dolarów. W swoim wywiadzie z reporterami wyraziła pogląd, że

w naszych czasach wytworna kobieta nie może ubrać się za mniej, niż 100 tysięcy rocznie. Chwaliła się również, że ani razu w życiu nie jeździła wynajętym pojazdem.

Montague czuł pewnego rodzaju sympatię do nie-
szczęsnej miss Yvette, która tak się wysilała, aby zdobyć
rozgłos. Podczas, gdy na arenie pokazywała swą sztukę
kierowania zaprzęgiem, Allan zawarł brzemiennej
w następstwa znajomość. Wspominając w przyszłości
te dni, nie pojmował, jak mógł tak spokojnie i beztro-
sko odnosić się do wszystkiego, co go otaczało, podczas,
gdy los gotował mu tyle niespodzianek.

Było to we wtorek. Siedział w łoży wraz z panią Ve-
nable, bratową majora. Znajdował się z nim i major,
beztroski grubas, i Betty Wyman. Drzwi otworzyły się
i do łoży wszedł Chappie de Peyster, w towarzystwie
młodej damy. Montague przelotnie tylko na nią spoj-
rzał. Zauważył jedynie jej wysoką i zgrabną figurę.
W tym momencie na arenie zjawił się pojazd zaprzęzo-
ny w kilka par koni. Montague w żaden sposób nie mógł
zrozumieć sensu tego rodzaju zaprzęgu. Rozmowa prze-
szła na pannę Yvette, kierującą tym zaprzęgiem. Pani
Betty zwróciła uwagę obecnych na grację, z jaką panna
Yvette używała długiego bicia.

— Czy państwo czytali, co piszą o niej dziś gazety? —
zapytała Betty. — „Panna Simpkins była czarująca
w aksamitnej sukni lila i t. d. Wyglądała jak Wenera na
hipodromie“.

— Czyż ona nie należy do towarzystwa? — zapytał
z zaciekawieniem Montague.

— Ona? — zawołała Betty, — przecież to maskara-
da. — Potem nastąpiła pauza.

— Ja sądzę, że nie dostała się do towarzystwa z po-
wodu swego starego wuja, ona go bardzo kocha! — za-
uważyła młoda dama.

Montague spojrział szybko na mówiącą, która obserwowała uważnie to, co się działo na arenie.

Usłyszał cichy śmiech majora.

Wkrótce młoda panna wstała i pochwaliwszy tualetę pani Venable, opuściła łóżę.

— Kto to jest? — zapytał Montague majora.

— To Laura Hegan, córka Jima Hegana.

— Ach tak, — rzekł zwolna Montague. — Jim Hegan — napoleon finansowy, król kolei żelaznych, wpływający na losy polityczne wielu stanów.

— A przytem jedyna jego córka! — dodał major.

— Tak, łakomy kasek. Kasek, za który drogo zmuszony będzie zapłacić ten, kto go otrzyma, — zauważyła złośliwie Betty.

— Pani jej nie lubi — zapytał Montague.

— Tak, nie lubię jej, — odpowiedziała szybko Betty.

— Ojciec panny Hegan i dziadek Betty są stale na noże, — wstawił major.

— Na czemże polega вина panny Hegan? — zapytał Montague.

— Ona uważa, że jest zbyt doskonała dla tego świata, w którym żyje. W jej obecności człowiek czuje się, jak przed sądem.

— Bezsprzecznie, przykre uczucie, — zauważył major.

— Ona nic nie powie poprostu, wszystkie jej słowa posiadają odwrotny sens. Ja lubię, gdy ludzie mówią jasno to, co myślą.

— W każdym razie jest ładna, — zauważył major.

— Możliwe, — odpowiedziała Betty, — góra Jungfrau też jest ładna, ale ja wolę wygodniejsze drogi.

— Dlaczego Chappie de Peyster tak ją emabluje? To też jeden z pretendentów? — zapytała pani Venable.

— Być może. Wierzyście znów go napastują: jest w rozpaczliwej sytuacji. Państwo słyszeli, że Jack Audubon oświadczył się o nią? — zapytała pani Betty.

— Jack oświadczył się? — krzyknął major.

— Tak, to prawda, brat mi o tem mówił. — Betty wyjaśniła Montague'owi, że Jack Audubon, siostrzeniec majora, jest uczonym, który całe swe życie spędza na kolekcjonowaniu żuków.

— Cóż on jej powiedział? — zapytał zaniepokojony bardzo major.

— Powiedział jej, że wie, iż ona go nie lubi, ale ponieważ jej wiadomo, że on nie leci na pieniądze, to być może przyjmie jego propozycję, aby pozbyć się natręctwa innych mężczyzn.

— To wspaniałe! — zawołał zachwycony staruszek.

— Czy ona ma wielu wielbicieli? — zaniepokoił się Montague.

— Drogi panie, ona będzie miała z czasem 100 milionów.

W tym czasie zjawił się Oliver, i Betty wyszła z nim, aby przejść się po wystawie. Montague poprosił majora, by mu wytłumaczył słowa panny Hegan o Yvecie.

— Ona ma zupełną rację, — odpowiedział major. — Tylko, że rozdrażniła tem Betty. Widzi pan, bardzo wiele młodych dam, obracających się w towarzystwie, stara się ukrywać istnienie swych starych krewnych.

— Któż to taki, ten stary Simpkins? — zapytał Montague.

— Jest to dziwak. Człowiek bardzo bogaty. Uwielbiając swoją Yvette, przyczynia się sam do jej ośmieszania. Posiada swego własnego korespondenta, którego zasypuje czekami i drogocennymi przedmiotami poto, aby ten umieszczał w gazetach jej fotografie. — Major przywitał się z kimś i ciągnął dalej swe opowiadanie:

— Stary Simpkins był w młodości bardzo biedny i widocznie, nie może o tem zapomnieć. Panna Yvette wydaje za jednym zamachem pięćdziesiąt tysięcy dolarów na swe paryskie туаlety, a jej wuj chowa kawaleczki cukru, pozostałe z wystawnego śniadania, które zabiera do swego biura. Gdy nabiera mu się kilka funtów, posyła to przez służącego do domu.

Opowiadanie to jeszcze jaskrawiej oświeciło Montague'owi dziwactwa tego świata, w którym miał się obracać. Uznano, że panny Simpkins nie można „dopuszczać” do towarzystwa, a na przykład, u pani Winnie Duval spotkał pannę Landis. Sam słyszał, jak major i jego bratowa śmieli się, czytając w gazetach wzmiankę o tem, że „pani Virginia van Rensselaer Landis powróciła z dalekiego zachodu z pomyślnego polowania”. Montague nie widział w tem nic śmiesznego, dopóki nie opowiedzieli mu o innej wzmiance, która pojawiła się wcześniej i w której zawiadamiano, że pani Landis pojechała na południe Dakoty i wzięła ze sobą 35 kufrów oraz pudła, a znany z piękności „Leanie” Hopkins, młody makler, złożył obietnicę, że w przeciągu 6 miesięcy będzie żył w biedzie, cnocie i posłuszeństwie. Nie bacząc na to wszystko, pani Landis uważana była za damę „ich” towarzystwa. Malowała się przytem i podczerniała oczy, jak pierwsza lepsza chórzystka na scenie. Śmiała się zazwyczaj wiele i głośno i opowiadała takie rzeczy, że Montague miał ochotę wstać i wyjść.

Pani Landis z niewiadomych przyczyn powzięła sympatję ku Alicji, i młoda panna już kilka razy jadła u niej lunch w ciągu wystawowego tygodnia. Wieczorem, siedząc na swem łóżku, otuliwszy się w szlafroczek, Alicja opowiadała Montague'owi, jego matce i matce Lucy swoje wrażenia.

— Wydaje mi się, że ta kobieta nie ma innych trosk, prócz strojenia się. Posiada olbrzymie lustro, w któ-

rych ogląda się ze wszystkich stron. Tualety zamawia w Paryżu cztery razy do roku i powiada, że moje suknie są strojne i ładne, ale teraz widzę, że w porównaniu z jej toaletami to jest nic.

Następnie Alicja opowiadała o czterdziestu kufrach, otrzymanych dopiero co z komory celnej. Paryska krawcowa pani Landis posiadała jej barwną fotografię, oddającą w zupełności odcień jej skóry, oraz manekin, zrobiony ściśle według jej figury, i dlatego suknie leżały wspaniale. Każda z nich wypchana była jedwabnym papierem i umocowana tasiemkami do pudła tekturowego. Załączone były do nich kawałki materiału tej samej barwy na pantofle. Były tu kostjумы spacerowe, płaszcze do teatru, wspaniałe toalety na przyjęcia, obiady i bale. Niektóre suknie miały być wyszyte drogocennymi kamieniami, które narazie zastąpiono imitacją. Koronki i hafty kosztowały niebywale pieniądze, a były do tego stopnia cienkie i delikatne, że kobiety, które je wyrabiały, pracowały w wilgotnych piwnicach, aby nitki pod wpływem słońca nie wysychały i nie rwały się. W jednym łokciu takich koronek zawierało się czterdzieści dni roboczych! Jedna suknia pompadour, haftowana sztucznymi kwiatami, kosztowała tysiąc dolarów. Suknia balowa była z blado zielonego szyfonu jedwabnego, cała wyszyta ciemno srebrnymi nićmi i kosztowała sześć tysięcy dolarów, nie licząc drogocennych kamieni. Płaszcz automobilowy kosztował trzy tysiące, a za płaszcz, zrobiony w Lipsku z białych karakułów, podbity sobolami, zapłaciła dwanaście tysięcy i tysiąc za kapelusz do tego płaszcza. Pani Landis płaciła bez namysłu 35 dolarów za koronkową chusteczkę do nosa, 60 dolarów za pończochy jedwabne, dwieście dolarów za jedwabną parasolkę, ze złotą, ozdobioną perłkami, rączką, do koloru każdej sukni.

— I ona uważa, że wszystkie te drobiazgi warte są

tych pieniędzy, — powiedziała Alicja. — Mówiła mi, że kosztuje w nich nie tylko materiał, ale i pomysł. Każda suknia musi być stworzona, podobnie jak obraz: „płacę za fantazję artysty“, — tłumaczyła mi: „za jego zdolność zrozumienia mych nastrojów, gustu i zastosowania ich do moich włosów, oczu, barwy twarzy. Czasami ja sama szkicuję rysunki i dlatego wiem, jakie to skomplikowane“. Pani Landis pochodziła ze starej new-yorskiej rodziny i osobiście rozporządzała wielkimi sumami. Posiadała pałac na Fifth Avenue i cały czas, po wypędzeniu swego męża, wypełniała wyłącznie toaletami.

Alicja opowiadała, że pokój, w którym przechowywano suknie, obity był cennem drzewem i tak zbudowany, by nie przepuszczał kurzu. Przez cały pokój ciągnęły się kilkoma rzędami, jedna nad drugą, poręcze, na których wisiały miękkie ramiączka. Panował tu system i porządek. Każda spódnica wisiała pod odpowiednim numerem, a w szafie pod tym samym numerem znajdowały się pozostałe części damskiej toalety. Wszystkie półki w szafach obite były naperfumowanymi poduszkami, maleńkie uperfumowane saszetki umocowane były do każdego stanika i każdej spódnicy. Ona ma swoje ulubione perfumy *Coeur de Jeanette*, i opowiadała, że zrobione są według jej recepty.

Następnie Alicja opisała pokój do pracy dla pokojówek, również nie przepuszczający kurzu, z balkonem dla czyszczenia sukien, z zimną i gorącą wodą bieżącą, olbrzymim stołem do prasowania i elektrycznym piecem. Wątpliwe, czy mają dużo roboty. Pani Landis kładzie suknię za tysiąc dolarów dwa — trzy razy, a potem daruje ją komuś ze swych krewnych. Potworne!

Ale pani Landis powiada, że niema w tem nic dziwnego, że wszyscy tak robią. Są damy, które kładą suknię tylko jeden raz, a potem ją palą.

Alicja skończyła opowiadać.

— Niedobrze jest postępować w ten sposób, — uważała pani Montague. — Nie mogę zrozumieć, jak ludzie mogą znajdować w tem zadowolenie.

— Ja powiadam to samo, — odpowiedziała Alicja.

— Komu, czy pani Landis? — zapytał Montague.

— Nie, jej kuzynce, z którą rozgadałyśmy się na ten temat. Powiedziałam jej, że wątpię, czy potrafię przyzwyczać się do tego rodzaju bezmyślności.

— I cóż ona odpowiedziała?

— Odpowiedziała mi dosyć dziwnie: „Przyzwyczaj się pani, — powiedziała mi, — wszyscy tak robią, a jeśli pani będzie się starała postępować inaczej, to wszyscy będą pani unikać. Wątpliwe czy starczy pani sił na to, by żyć samotnie, bez przyjaciół. Każdego dnia ma się zamiar zmienić ten tryb życia, ale nie starcza odwagi, i tak trwa aż do samej śmierci“.

— Coś jej na to odpowiedziała?

— Nic, w tej chwili weszła pani Landis i panna Hegan wyszła.

— Panna Hegan? — zapytał Montague.

— Laura Hegan. Znasz ją?

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Wystawa koni urządzona była w Madison Square Garden, w olbrzymim gmachu zajmującym cały czworobok ulic. Montague'owi wydawało się, że w przeciągu czterech dni, spędzonych na wystawie, zaznajomił się z taką ilością nowych osób, iż możnaby było nabić niemi szczelnie ten gmach. Każdy z tych wyszukanych dżentelmenów i dam wyciągał do niego dłoń, obciśniętą rękawiczką, mówił o wspaniałej pogodzie, pytał jakiego zdania jest o New-Yorku i jak długo zamierza tu prze-

bywać. Następnie rozmowa przechodziła na publiczność, toalety i konie.

Montague mało widywał swego brata, który przez cały czas towarzyszył pani Walling. Alicja również znajdowała się zdala od niego, pod opieką znajomych. Montague nie pozostawał nigdy sam. Zawsze jakaś młoda dama zawoziła go w swym powozie na obiad lub lunch. Dziwiło go to często, że ludzie, dla których był zupełnie obcy, okazywali mu tyle względów, podczas gdy on nie mógł się odzwajemnić.

Pani Billy Alden próbowała objaśnić mu to, gdy siedział z nią pewnego razu w łoży. Istnieją ludzie, którym stale trzeba rozmaitości, nie czują bez tego zadowolenia.

— Pan jest nowicjuszem, — powiedziała mu, — posiada pan czarującą świeżość, zmusza pan kobiety do myślenia, że ostatecznie nie powinny się tak nudzić. Kobieta kupuje słynny obraz, bo powiedziano jej, że obraz jest dobry, ale sama nic z niego nie rozumie, wie tylko, że kosztuje sto tysięcy dolarów. A tutaj nasuwa się pan, dla którego to jest naprawdę obraz i zachwyca się pan nim. Czy pan nie rozumie, jakie to musi być dla niej przyjemne?

— Oliver mówił mi, że nie jest rzeczą przyjętą wyrażać swój zachwyt, — powiedział Montague ze śmiechem.

— Naprawdę? W takim razie niech pan nie daje się zepsuć przez swego brata. U nas w stolicy dosyć jest ludzi rozczarowanych. Niech pan pozostanie sam sobą.

Montague ocenił komplement, lecz odpowiedział, że przyzwyczaiwszy się do niego, ludzie zmęczą się nim.

— Znajdzie pan swe właściwe miejsce, — powiedziała pani Alden, — i ludzi, którzy spodobają się panu, tak jak pan im.

I zaczęła wyjaśniać mu, że w New-Yorku będzie mu-

siał zetknąć się z ludźmi z rozmaitych kół i różnych upodobań. Towarzystwo rozszczepiło się na drobne kółka i każde z nich odnosi się do innego z zazdrością i pogardą. Ponieważ są wiecznie ze sobą na noże, więc Montague może spotkać tu osoby, które nigdy nie widziały się nawzajem i nawet nie podejrzewają, że obok siebie istnieją.

Pani Alden wyjaśniała mu w dalszym ciągu różnicę pomiędzy temi „kołami“, poczynając od najbardziej wyszukanych i kończąc na „żółtych“. Toną one następnie w bezosobowym tłumie bogaczy, do którego należy i świat teatralny i sportowy i politycy. Następnie koła te, spuszczać się jeszcze niżej sięgają nizin przestępców i półświatka, wśród których spotyka się również ludzi bogatych.

— Mój brat wytłomaczy to panu kiedyś szczegółowo. Zajmuje się on polityką i posiada stajnię wyścigową.

Pani Alden opowiedziała mu również o drobnych, subtelnych różnicach w obyczajach tych wielorakich kół towarzystwa. Ot, na przykład, sprawa palenia papierosów przez kobiety:

— W obecnych czasach palą wszystkie, jedynie z tą różnicą, że niektóre palą tylko u siebie, inne robią to ciachaczem, a są i takie, które palą przy stole, narówni z mężczyznami. Wszystkie jednak, uznają jako prawo, aby nie palić wobec publiczności, t. zn. tam, gdzie mogą je widzieć ludzie nie z ich koła. Dotychczas przynajmniej było to powszechnem prawidłem. Niektóre pozwalają sobie na lekceważenie nawet tego prawidła.

Prawidło te było bardzo surowe. Ale czysto umowne.

Wszystko to pani Alden traktowała ze zwykłą sobie surowością. Kobieta zamężna lub niezamężna śmiało mogła podróżować po całej Europie z obcym sobie mężczyzną, choćby to było nawet powszechnie wiadome, ale w Ameryce było to niedopuszczalne.

Pewna młoda dama, z którą Montague spotka się może, uderzająca pięknosc, upijała się regularnie na proszonych obiadach do tego stopnia, że maitre d'hotel musiał wsadzać ją do karety. Obracała się w najbardziej wyszukanych kołach i wszyscy patrzyli na to, jak na żart.

Tego rodzaju postęпки nie szokowały nikogo, nie wychodziły poza ramy danego koła i nie dostawały się do gazet. Pani Alden miała kuzynkę, której nienawidziła z całego serca. Rozwiodła się ona ze swoim mężem i natychmiast wyszła za mąż za swego kochanka, za co została poddana ostracyzmowi. Pewnego razu przy jej zjawieniu się na pół towarzyskiem zebraniu, pięćdziesiąt dam wstało i opuściło salę. Mogła żyć z kochankiem zarówno przed, jak i po ślubie, — to nikogo nie obchodziło, ale „przyzwoitość“ wymagała, aby nie wychodziła za niego za mąż wcześniej, niż po upływie roku po rozwodzie.

Pani Alden doszła jednak do wniosku, że wszystkie te umowne obyczaje zaczynają tracić swe znaczenie i zaczyna je zastępować powszechne hasło: „Rób, co ci się podoba“. Dla wszystkich było jasne, że wpływ takich kobiet, jak pani Devcn, będącej przedstawicielką starych poglądów, surowych, pełnych godności i wyszukanych, ustępuje pod naciskiem nowych przybyszów, samowolnych, hałaśliwych i bezładnych. Młody element nie chce liczyć się z niczem, byle tylko spędzać wesoło czas.

Za dawnych czasów otrzymywało się zaproszenie na obiad piśmiennie w ustalonej formie. Niedawno pani Alden otrzymała telefonicznie zawiadomienie tego rodzaju: „Niech pani przyjeżdża na obiad, tylko proszę przyprowadzić ze sobą jakiegoś mężczyznę, bo inaczej będzie nas trzynaście osób przy stole“.

Podczas gdy uprzejmość odchodziła w dziedzinę le-

gendy, na pierwsze miejsce wysuwał się zbytek i rozrzutność.

— Dziwi pana to, co pan teraz widzi, — powiedziała pani Alden, — ale niech mi pan wierzy, za jakieś dziesięć lat wszystkie nasze współczesne prawidła i nasi prawodawcy mód okażą się dawno przestarzałymi. Zobaczy pan wówczas nowe teatry i hotele i podwójną drożyznę życia. Do niedawna jeszcze własny wagon uważany był za zbytek, a teraz stał się rzeczą podobnie niezbędną, jak łoża w operze, lub własna sala balowa. Ludzie o dużem znaczeniu posiadają nawet własne pociągi. Pamiętam czasy, gdy nasze dziewczęta nosiły batorytowe suknie i dawały je do prania. Teraz zaś noszą najcieńsze materiały, wyszyte jedwabiem, przybrane futrami i prawdziwemi koronkami, kosztujące tysiące dolarów, i suknie, których się nie pierze. Kilka lat temu zapraszałam kilku przyjaciół na obiad. Mój własny kucharz gotował go, a podawała moja własna służba. Teraz płacę specjalnemu kucharzowi dziesięć tysięcy rocznie i wszystko co posiadam nie jest dostatecznie dobre. Przyjmując u siebie czterdzieści lub pięćdziesiąt osób, muszę zamawiać dostawcę, który przychodzi ze sztabem swej służby, a moi własni służący upijają się i idą sobie, dokąd chcą. Dawniej każde danie obiadowe kosztowało dziesięć — piętnaście dolarów, teraz zaś może pan usłyszeć o obiadach z daniami po tysiąc dolarów i więcej.

— Nie wystarcza teraz już mieć ładne kwiaty na stole obiadowym, trzeba mieć całe dekoracje na tle krajo-brazu wiejskiego i sześciotysięczne ozdoby z orchidej. Róże dla gości kosztują po sto pięćdziesiąt dolarów za tuzin. Niedawno byłam na obiedzie w Waldorfie, kosztującym sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zapraszając takich gości do siebie, staram się dostać co tylko mogę najlepszego. Niedawno zapłaciłam tysiąc dolarów za obrus obiadowy!

— Ale czemu pani to czyni? — zapytał ostro Montague.

— Pan Bóg wie, dlaczego, — odpowiedziała pani Alden. — Czasami sama się temu dziwię. Najprawdopodobniej dlatego, że nie mam co robić. To coś w rodzaju historii mojego brata. Przegrywał pieniądze w domu gry w Saratoga i gdy go zapytano, czy wie, że gra prowadzona jest tam nieuczciwie, odpowiedział: „Do diabła, pewnie, że wiem, ale to jedyny dom gry w tem mieście!”

— To jakiś powszechny nacisk, przeciw któremu nie można się ostać, — przemówiła pani Alden, po krótkim namyśle: — nie można przecież płynąć przeciw prądowi. Pozostaje nam tylko płynąć z prądem i robić wszystko, czego oczekują od nas nasze dzieci, nasi przyjaciele i nasi dostawcy. Cały świat jakgdyby zmówił się przeciwko nam.

— To mnie naprawdę przeraża, — powiedział Montague.

— Tak, jest się czem przerażać, — powiedziała pani Alden. — I nie można przewidzieć końca temu. Pan sądzi, że pan wie wszystko, a tymczasem wie pan bardzo mało. Niech pan tylko pomyśli, ilu ludzi żyje takim tempem. Powiadają, że w naszym kraju jest siedem tysięcy milionerów, ale przekonana jestem, że w samym New-Yorku jest ich dwadzieścia tysięcy. W każdym razie, jeśli nie posiadają nawet miliona, to wydają tyle, ile wynosi dochód z miliona, a to jest jedno i to samo. Wyobraża pan sobie, że człowiek płacący za mieszkanie dziesięć tysięcy dolarów, musi wydawać pięćdziesiąt tysięcy na życie. Istnieje jeszcze Fifth Avenue długości dwóch mil, licząc jej część miejską i zamiejską. Następnie Madison Avenue, z pół tuzinem domów na każdej przyległej ulicy, prócz tego hotele i domy z umeblowaniem apartamentami, nie mówiąc już o zachodniej

części i Riverside Drive, gdzie spotyka się tę masę ludzi w magazynach, hotelach i teatrach, i wszyscy oni chcą być lepiej ubrani, niż inni. Według słów pewnej damy, którą spotkałem dziś po raz pierwszy, koronkowa chustka kosztowała ją dwa tysiące dolarów. To jest zupełnie możliwe, gdyż proponowano mi koronkową szarfę, która kosztowała okazjnie dziesięć tysięcy dolarów. Spotkać kobietę, spacerującą po Fifth Avenue w futrze za pięćdziesiąt tysięcy, to zjawisko zupełnie naturalne. Za płaszcz sobolowy płaci się pięćdziesiąt tysięcy, ale znam i takie, za które zapłacono dwieście tysięcy. Mogę wymienić damy, posiadające na zmianę tuziny futer: gronostaje, szenszille, czarne lisy, wydry, sobole. Pewnemu memu znajomemu szofer wymówił miejsce, gdyż ten nie kupił mu płaszcza za dziesięć tysięcy. Dawniej oszczędzano futra, ale teraz noszą je wszędzie na ulicach, na morskim brzegu i futra szybko tracą barwę lub fason ich wychodzi z mody, i wówczas kupuje się nowe.

Było nad czem zamyślić się, — wszystko to była prawda.

Usłyszawszy dzisiaj opowiadanie o bezsensownej rozrzutności, panującej w New-Yorku, można było następnego dnia usłyszeć coś jeszcze bardziej niewiarygodnego. Montague'a uderzyła cena dwustu tysięcy za płaszcz, ale wkrótce potem przybyła do stolicy utytułowana Angielka, właścicielka płaszcza za milion dolarów, ubezpieczonego w towarzystwie ubezpieczeniowem na pół miliona. Zrobione było z delikatnych piórek rzadkich ptaków hawajskich i pochłonęło dwadzieścia lat pracy. Każde piórko dobrane było w zadziwiającem zestawieniu kolorów: złotego, malinowego i czarnego. Każdego dnia w przypadkowych rozmowach ze znajomymi usłyszeć można było o tego rodzaju warjactwach. Wachlarz roboty słynnego artysty kosztował trzydzieści, czterdzieści

tysięcy dolarów, kubek kryształowy osiemdziesiąt tysięcy, artystyczne wydanie Dickensa — tysiąc dolarów; rubin, wielkości gołębiego gniazda — trzysta tysięcy. W niektórych pałacach New-Yorku działanie fontann kosztowało sto dolarów na minutę, a w porcie stały jachty, które wynajmowano za dwadzieścia tysięcy miesięcznie.

Zdarzyło się, że tego dnia Montague dowiedział się o nowym sposobie trwonienia pieniędzy. Jadł lunch u pani Winnie Duval i spotkał tam panią Karolinę Smythe, którą poznał już w zamku Havensów. Pani Smythe odznaczała się łagodnem obejściem i gadatliwością. Zaprosiła go do siebie na obiad.

— Zapoznam pana z mojami dziećmi, — powiedziała.

Montague dawno już zdążył się przekonać, że dzieci odgrywają bardzo nieznaczną rolę w życiu new-yorskich piękności, i dlatego zapytał nie bez zaciekawienia:

— Ile pani ma dzieci?

— O, tutaj jest ze mną tylko dwoje, dopiero wróciłam ze wsi.

— W jakim wieku są? — zapytał Montague przez grzeczność, i dowiedziawszy się, że mają dopiero dwa lata, zadziwił się, że nie śpią w porze obiadowej.

— O, nie! — odpowiedziała pani Smythe. — Te prześliczne maleństwa oczekują mnie. Zawsze skrobią do moich drzwi, machając swemi maleńkimi ogonkami.

— Niech pani mu nie mąci w głowie, — powiedziała wesoło pani Winnie i zaczęła tłumaczyć Montague'owi, że „baby“ Karoliny są to griffony brukselskie. Nie odpowiedziawszy nic, przyjął zaproszenie i tego samego wieczoru dowiedział się, że griffony brukselskie były niczem innem, jak dwoma maleńkimi puszystymi pieskami o długiej sierści. Przy tych dwóch bezcennych skarbach znajdowała się doświadczona niania, która

otrzymywała sto dolarów miesięcznie, i lokaj. Miały specjalną kuchnię dla przygotowywania skomplikowanego pożywienia. Własnego doktora i dentystę i jadły ze złotych półmisek. Pani Smythe trzymała również dwóch St. Bernardów o długiej szerści, krwiożerczego duńskiego doga, bardzo rzadkiej rasy, oraz bardzo tłustego szczeniaka Boston bulla, przyuczonego do samodzielnych wyjazdów na spacer w powozie ze stangretem i lokajem.

Opowiadania o domowych ulubieńcach nie zadziwiały już więcej Montague'a: większość kobiet z wielkiego świata sztucznie pozbawiała się płodności, aby uniknąć wszystkich niewygód, związanych z macierzyństwem, i przenosiła swe uczucia macierzyńskie na psy i koty. Wiele z tych zwierząt nosiło ubrania, rywalizujące w swej kosztowności z sukniami ich przybranych matek. Ubierano je w małe trzewiczki, których para kosztowała sto dolarów, domowe pantofle, sznurowane do kolan buciki. Do spacerów posiadały sweatry, grono-stajowe narzutki, płaszcze automobilowe, palta z kapturami i okulary. Kładziono im naszyjniki, przybrane rubinami, perłami i brylantami. Jeden z takich naszyjników kosztował dziesięć tysięcy dolarów! Istniały psie sypialnie, pokoje dla zabaw i gabinety dla manicuru kotów. Gdy ulubieńcy ci zdychali, balsamowano je i chowano w skrzyniach, obitych pluszem, na specjalnym cmentarzu w Brooklynie i stawiano im drogocenne marmurowe pomniki. Pewnego razu, gdy jeden z ulubionych szczeniaków pani Smythe zachorował na wątrobę, ulica przed jej domem wysypana została trocinami. Gdy pies zdechł, pani Smythe rozesłała swym przyjaciołom zaproszenia z żalobną obwódką.

Pani domu pokazała Montague'owi mnóstwo książek w drogocennych oprawach, traktujących o jedności i nieśmiertelności duszy kotów i psów. Sentymentalna pani

Smythe gotowa była najwidoczniej mówić w przeciagu całego obiadu o swych ulubieńcach. Taką samą była jej ciotka, kanciasta, chuda stara panna, siedząca obok Montague'a. Montague słuchał chętnie, gdyż chciał dowiedzieć się jaknajwięcej o tem wszystkim.

Zwierzęta miały swoje bilety wizytowe. Inwalidzi posiadali specjalne fotele, w których wożono je na spacer. Urządzano wystawy dla kotów i psów z nagrodami i świadectwami. Wystawy te cieszyły się takim samem powodzeniem, co wystawy koni. Każdy z St. Bernardów pani Smythe kosztował siedem tysięcy, a buldogi dwa razy drożej. Opowiadano, że pewna osoba przyjechała z wybrzeży Oceanu Spokojnego do specjalisty w celu operacji gardła swego teriera z Yorkshiru, inna wybudowała dla swego psa maleńki cottage w stylu królowej Anny, z pokojami, przybranemi dywanami i draperjami. Pewnego razu bardzo elegancki młodzieniec przyjechał do Waldorfu i zapisując się do księgi gości, zapisał siebie i „pannę Elsie Cochrane“. Gdy urzędnik zadał zwykłe pytania o stopniu pokrewieństwa z nim młodej lady, okazało się, że panna Elsie była psem w ładnej wizytowej sukni, i że potrzebny był dla niej pokój. Opowiedziano Montague'owi o pewnym kocie, który otrzymał w spadku posiadłość wiejską, ocenioną na czterdzieści tysięcy dolarów. Kot mieszkał w dwupiętrowym domu, siedział przy stole, jadał raki, kasztany włoskie, odpoczywał na aksamitnej kanapie, a spał w koszu, wysłanym futrami.

Cztery dni spędzone na wystawie koni, wydały się Montague'owi wystarczającemi, i gdy w piątek rano Siegfried Harwey zaproponował mu przejażdżkę wraz z Alicją do swego majątku „The Roost“, aby spędzić tam koniec tygodnia, z chęcią przyjął tę propozycję. Charlie Carter znajdował się również w liczbie zaproszonych i zaproponował mu miejsce w swym samochodzie.

Znów przejechali więc most Williamsburski i wjechali na Long Island.

Montague chciał poznać bliżej Charlie Cartera, lecz nieprzygotowany był do tego pośpiechu, z jakim Charlie znalazł się u nóg Alicji. Było to tak widoczne, że wszyscy uśmiechali się, widząc, jak towarzyszył jej wszędzie, gdzie tylko się zjawiała, jak nie przepuszczał żadnej okazji spotkania się z nią. Pani Winnie i Oliver odnosili się z jawną sympatją do jego uczuć dla Alicji, Montague jednak nie podzielał tego. Charlie wydawał mu się młodzieńcem dobrodusznym, lecz słabego charakteru, skłonny do melancholji. Nie rozstawał się nigdy z papierosem i według wszelkich oznak nie miał dość siły, aby oprzeć się pokusom, jakich dostarczało mu towarzystwo w postaci karafek i butelek. Prawdę powiedziawszy, w środowisku, gdzie panowały opary alkoholu i gdzie kobiety i mężczyźni pili z taką czarującą łatwością, trudno było ustalić granice nadużywania.

— Moja posiadłość nie podobna jest do posiadłości Havensów, — powiedział Hervey, — to jest prawdziwa wieś.

Istotnie, Montague uznał, że dom jest najbardziej pociągający ze wszystkich, w jakich bywał dotychczas. Był to wielki budynek w wiejskim stylu z olbrzymich ciosanych bierwion, z krętymi dębowymi schodami, z mnóstwem zacisznych kącików, z kanapami, i całymi górami poduszek na nich. Wszystko przystosowane było dla komfortu: była tu sala bilardowa i palarnia, prawdziwa biblioteka z lekkimi książkami do czytania, głębokimi fotelami, w których siedzący dosłownie tonął. Na ścianach wisiały obrazy z dziedziny sportu, — strzelby, rogi jelenie i nieskończona ilość trofeów myśliwskich.

Nie należy jednak sądzić, że ta ostateczna prostota wykluczała obecność służących w liberji, pierwszorzędnego kucharza i stołu obiadowego ze srebrem i kryszta-

łami, przybranego orchidejami i paprocią. Wreszcie, nie bacząc na to, że gospodarz nazywał swój dom „malutkim“, zaprosił dwadzieścia osób, przyczem w stajni znajdowała się dla nich dostateczna ilość koni myśliwskich.

Ale najdziwniejszą rzeczą w „The Roost“ było to, że za pomocą naciśnięcia guzika wszystkie ściany dolnego piętra unosiły się niespodziewanie w górę i całe piętro zamieniało się w jedną wielką oświetloną kominkiem salę, przyczem dźwięk skrzypiec wywoływał nieodparte pragnienie tańca. Tańce trwały do godziny trzeciej nad ranem. Rano zaś w towarzystwie groomów, ubranych w czerwone liberje, oraz psów myśliwskich jechali konno przez pola, pokryte szronem.

Montague przygotowany był na to, że ujrzy oswojone lisy, lecz szybko uspokoił się. Okazało się, że to prawdziwe polowanie. Gdy tylko psy zaczęły ujadać, wszyscy myśliwi pomknęli naprzód. Była to najdziwniejsza jazda, w jakiej Montague brał kiedykolwiek udział: pędzili przez parowy, strumienie i liczne ogrodzenia; mknęli poprzez gęstwiny leśne i zamieszkałe miejscowości. Wszystko to podobało się Montague'owi ogromnie. Alicja jechała za nimi w odległości kilku metrów, ku wielkiemu zachwytowi całego towarzystwa. Montague'owi wydawało się, że tu dopiero ujrzał po raz pierwszy prawdziwe życie i pomyślał sobie, że ci odważni ludzie stanowią to koło, do którego on nadawałby się pod każdym względem. Z wyjątkiem może tego, że musiał zarabiać sam na życie, podczas gdy oni nie potrzebowali niczego.

Po południu nie urządzano spacerów w pogodę listopadową, zato w domu rozpoczynały się gry w bridge'a, ping-pong, a specjalnie kwitła ruletka, przyczem gospodarz pełnił funkcje krupjera.

— Jak pan uważa, podobny jestem do zawodowego krupjera? — zapytał pewnego razu Montague'a, a gdy

ten odrzekł mu, że nie widział jeszcze new-yorskich graczy, młody Harvey opowiedział, jak mu się udało kupić ruletkę, której sprzedaż zabroniona jest przez prawo i jak sprzedający zapytał go, czy życzy sobie nabyć „prawidłową“.

Wieczorami przeważnie tańczono, a w niedzielę znów było polowanie.

Tego wieczoru całe towarzystwo, zda się, zaraziło się nastrojem gry: w jednym pokoju przy dwu stołach grano w bridge'a, a w drugim odbywała się najbardziej bezsensowna gra w pokera, w jakiej Montague brał kiedykolwiek udział. Skończyła się o godzinie trzeciej rano, i jeden z graczy wypisał Montague'owi czek na sześć tysięcy dolarów, co, oczywiście, nie mogło uspokoić sumienia Montague'a, ani też uśmierzyć żaru jego krwi. O wiele ważniejszym było dla niego to, że podczas gry dowiedział się, kim jest w rzeczywistości Charlie Carter. Charlie nie grał, gdyż był pijany, na co zwrócił mu uwagę jeden z graczy, który odmówił grania z nim. Biednemu Charlie nie pozostawało nic innego do roboty, jak pić w dalszym ciągu. Tak też postąpił i po powrocie, opierając się bezsilnie na ramionach grających, opowiedział im o sobie wszystko, co tylko mógł.

Montague nie wiedział oczywiście, jak wyglądają dzikie wybryki młodzieży, posiadającej niewyczerpane źródła pieniędzy, ale nigdy w życiu, nawet we śnie, nie byłby w stanie wyobrazić sobie młodzieńca, podobnego do Charlie. Jakieś pół godziny wałęsał się koło stołu i wyrzucał z siebie całe potoki nieprzyzwoitości. Wyobraźnia jego podobna była do błota ze wstrętnymi obrzydliwymi żmijami, które w nocy wyłaziły na powierzchnię i wysuwały swe płaskie głowy, pokryte lepkiemi łuskami. Ani w niebie, ani na ziemi nie istniało dla niego nic świętego. Wydawało się, że nic bardziej oburzającego nie mogły wydobyć z siebie usta ludzkie.

Obecni przyjęli to jednak jak najzwyklejsze w świecie zjawisko. Mężczyźni śmieli się i odpychając go, mówili:

— Wynoś się do diabła, Charlie.

Po skończonej grze Montague odciągnął nabok jednego z graczy i zapytał go, co to wszystko znaczyło, na co tamten odpowiedział:

— Boże mój! Czyżby panu nikt nie opowiadał o Charlie Carterze?

Okazało się, że Charlie należał do złotej młodzieży Tenderloinu, której wyczyny niejednokrotnie upamiętnione były przez gazety. Gdy już lokaje ułożyli Charlie'ego do łóżka, niektórzy mężczyźni siedli przy ogniu i, popijając gorący poncz, opowiedzieli Montague'owi coś niecoś o najglówniejszych wyczynach Charlie'go.

Charlie miał dopiero dwadzieścia trzy lata. Kiedy miał dziesięć lat, umarł mu ojciec, pozostawiając go na opiece pewnej głupkowatej ciotki, którą bez trudu można było owinąć sobie koło palca. Gdy miał dwanaście lat, ogarnął go jakiś demon palenia i zniknął w piwnicach pełnych wina. Gdy uczęszczał do jakiejś drogiej szkoły prywatnej, nabijał tornister szczelnie papierosami i koniec końców umknął do Europy, gdzie zabrał się do studjowania paryskich przybytków rozpusty. Następnie powrócił i wprowadził w zdumienie cały Tenderloin, przeszedłszy pewnego razu o godzinie trzeciej rano przez okno. W ten sposób dostał się do gazet. Wypadek ten otworzył odrazu nową perspektywę w życiu Charlie'ego — pragnienie sławy. Dawał olbrzymie napiwki czyścicielom butów i przegrał 40 tysięcy w pokera. Latem wyprawił wieczór dla półświatka z przystrojoną klejnotami choinką gwiazdkową i przepych ten kosztował go 40 tysięcy dolarów. Ale najwięcej hałasu zrobiło jego oświadczenie, że zbuduje jacht podwodny, i napełni go chórzystkami. Teraz Charlie zniknie z wi-

downie towarzyskiej, ugrzęźnię w jakimś „sportowym domku“, tonąc dosłownie w szampanie.

Montague zorjentował się, że brat jego musiał o tem wszystkim wiedzieć. Ale nie uronił w tej sprawie ani słowa z powodu ośmiu czy dziesięciu milionów, które Charlie miał otrzymać, gdy ukończy 25 lat.

BIBLIOTEKA NAUKOWA I BELETRYSTYCZNA
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.
A. GUMPLOWICZA, Kraków, Bracka 9.

W poniedziałek wieczór wraz z pozostałymi gośćmi powrócili w specjalnym pociągu do New-Yorku, gdyż nie mogło być nawet mowy o tem, aby Charlie był w stanie odwiedzić ich swoim samochodem. Tego wieczoru miało nastąpić otwarcie sezonu w operze i musieli za wszelką cenę być tam obecni. Całe towarzystwo miało się tam zebrać w oślepiającym przepychu i błysnąć swemi klejnotami, które nie miały sobie podobnych na całej kuli ziemskiej.

General Prentice wraz z żoną z powodu powrotu na zimę do miasta zaprosił Montague'a i jego rodzinę na obiad, z tem, że po obiedzie pojedą razem do opery. I oto Montague znalazł się koło godziny pół do dziesiątej na balkonie, posiadającym kształt olbrzymiej podkowy, pośród kilku setek osób, uchodzących za najbogatszych ludzi w mieście. Nad nimi znajdowało się jeszcze jedno piętro, a wyżej — trzy galerje. W dole, na parterze, siedziało przeszło tysiąc widzów. Odbywało się uroczyste przedstawienie z najlepszymi siłami artystycznymi, przy pełnej orkiestrze.

Montague nigdy dotąd nie słyszał opery, lecz lubił bardzo muzykę. Gdy wchodzili do loży, drugi akt rozpoczął się dopiero, i Montague stał nieruchomo aż do samej pauzy, słuchając w zachwyceniu muzyki. Nie zwracał uwagi na to, że pani Prentice z lornetką w ręku zajmowała się przedewszystkiem oglądzinami sąsiednich

łóż, podczas gdy jej córka i Oliver rozmawiali ze sobą najspokojniej w świecie.

Podczas przerwy Oliver podszedł w kuluarach do brata, i uchwyciwszy chwilę, gdy nikogo w pobliżu nie było, szepnął mu do ucha:

— Na Boga, Allanie, nie rób z siebie pośmiewiska!

— O cóż ci chodzi?

— Pomyśl tylko, co mogą o tobie powiedzieć, widząc, że stoisz nieruchomo, jak zahinotyzowany!

— Do diabła! Pomyślą, że słuchałem muzyki.

— Przecież do opery nie jeździ się poto, aby słuchać muzyki, — krzyknął Oliver, podnosząc w rozpacz ręce.

Mogło to wydawać się żartem, lecz w samej rzeczy powiedziane było zupełnie poważnie. Dla towarzystwa teatr był sprawą państwową wagi, wystawą, jeszcze bardziej wyszukaną i okazałą, niż wyścigi końskie. Towarzystwo miało zupełne prawo traktować operę w ten sposób, gdyż było ono jej właścicielem i opłacało przedstawienia.

Prawdziwi miłośnicy muzyki odepchnięci zostali na tylny plan: zajmowali oni albo miejsca stojące, albo siedzieli na galerji piątego piętra, gdzie było gorąco i duszno.

Okoliczność, że towarzystwo poświęcało tak niewiele uwagi samemu przebiegowi przedstawienia, wyrażała się również w tem, że śpiewano w językach obcych, przy czem artyści tak źle wymawiali słowa, że nawet słuchacze, którzy znali ten język, nie mogli ani słowa zrozumieć. Pewien bardzo znany poeta poświęcił całe swoje życie temu, aby z opery stworzyć sztukę. Lecz walka jego z towarzystwem zakończyła się tem, że umarł z głodu. Koniec końców, genjusz jego zatriumfował w pół wieku później, i w naszych czasach towarzystwo zniża się niekiedy do tego, aby przesiedzieć kilka go-

dzin w ciemnościach, przysłuchując się waśniom domowym dawnych bogów starogermańskich.

Ale „towarzystwo“ wołało sztuki ze zbyt kownemi kostjumami, pięknymi dekoracjami, balety z lekką muzyką, której można było słuchać pomiędzy rozmowami, lub też nieskomplikowaną intrygę miłosną z pantomina, czyniącą treść jeszcze bardziej zrozumiałą, naprz. tragiczną namietność pięknej wielkodusznej primadonny do eleganckiego szlachetnego amanta. Prawie wszyscy przynosili z sobą do opery lornetki, aby przyjrzeć się dokładniej obecnym pięknościom. Powiadano, że w New-Yorku było za dwieście miljonów dolarów brylantów, i wszystkie one, za wyjątkiem chyba tych, które znajdowały się w danej chwili u jubilerów, połyskiwały na widowni, świetnie spełniając swe jedyne przeznaczenie — wywoływanie zazdrości ludzkiej. Na dziewięciu damach wielkiego świata znajdowało się klejnotów za pięć miljonów dolarów. Szmaragdy, brylanty, rubiny i perły błyszczały na diademach tęgich i dostojnych matron, tworząc nad niemi coś w rodzaju połyskujących wianków. Moda noszenia tego rodzaju ozdób wprowadzona została przez jedną z Wallingów, i odtąd każda, choć trochę szanująca się dama z ich koła powinna była naśladować ją pokornie. Jedna z dam, której Montague został przedstawiony, słynęła ze swych pereł. Nosila kolczyki z czarnych pereł po 40 tysięcy dolarów, taki naszyjnik za 300 tysięcy dolarów, dwa pierścienie po ćwierć miliona dolarów każdy, i broszkę z różowej perły za 50 tysięcy dolarów!

Wstrętne było to stałe wysłuchiwanie cen każdego przedmiotu, a Montague w żaden sposób nie mógł się od tego uwolnić. Ludzie, należący do wyższego towarzystwa, marnotrawiący bajeczne sumy, chcieli pokazać, że nie zajmują ich bynajmniej te drobnomieszczańskie szczegóły i że interesują się jedynie pięknem przedmio-

tów i ich walorem artystycznym. Każdy z nich mógł bez końca opowiadać o tem, jakie ceny zapłacili inni, podczas gdy ci zawsze jakimiś sposobami dowiadywali się, po jakich cenach kupowali ci pierwsi. Wszyscy troszczyli się o to, aby publiczność i prasa uwiadomione były o wszystkich ich czynach i gestach. Dlatego też i w programach, które rozdawano w operze, znajdował się plan rozmieszczenia łóż z obowiązkowem zaznaczeniem ich właścicieli. Gdy dama w zbytkowej tualecie wychodziła z powozu, w otoczeniu strzegących ją agentów i wśród zachwyconego tłumu, serce jej zamierało słodko w oczekiwaniu tej chwili, gdy wejdzie do łoży, przyciągając uwagę przepelnionej sali, i zrzuciwszy płaszcz, stanie w całej okazałości połyskujących klejnotów wobec oślepionej jej blaskiem publiczności.

Niektóre z tych klejnotów rodzinnych znane były w New-Yorku wielu pokoleniom. Ale w ostatnim czasie zaczęło wchodzić w modę zastępowanie ich dokładnemi kopjami z fałszywych kamieni. Prawdziwe klejnoty zaś przechowywano w szafach ogniotrwałych, pod ochroną agentów, którzy z kolei znajdowali się pod obserwacją innych agentów. Pomimo to w gazetach pojawiały się stale opisy sensacyjnych kradzieży. Niestety, na których padało podejrzenie, dostawali się natychmiast w ręce policji i przechodzili przez badania „trzeciego stopnia“, jak je nazywano żartem, t. j. męki, które bynajmniej nie były łżejsze od wynalazków inkwizycji hiszpańskiej. Hałas, wywoływany wokół tych kradzieży był tak kuszący, że znane artystki, posiadające cenne klejnoty, symulowały u siebie podobne kradzieże w celach reklamy.

Tej nocy, gdy przyszli z opery do domu, Montague zaczął mówić ze swą kuzynką o Charlie Carterze. Wykrył jedną rzecz, która go zdumiała. Okazało się, że Alicja wiedziała, iż Charlie miewał pewne napady „hi-

sterji". Biedny młodzieniec był chory i bardzo nieszczęśliwy, lecz wzruuszony jej urodą i niewinnością — wstydził się sam siebie i opłakiwał błędy przeszłości. Montague pomyślał, że osoba Charlie, w ten sposób przeobrażonego, tajemniczego i romantycznego mogłaby wywołać zainteresowanie i sympatję.

— Charlie powiedział mi, że jestem zupełnie inna, niż wszystkie młode dziewczyny, który znał dotychczas, — powiedziała Alicja.

Usłyszawszy tak oryginalne zdanie, Montague nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Oczywiście, z jej strony nie mogło być nawet mowy o miłości do tego człowieka. Nie dopuszczała nawet tej myśli, że mogłaby go kiedykolwiek pokochać. Oświadczyła, że nigdy nie przyjmie ani jednego jego zaproszenia i nigdy nie zjawi się nigdzie z nim we dwójkę. Tem nie mniej Alicja nie widziała możliwości uniknięcia spotkania z nim u osób trzecich i Montague musiał przyznać, że w samej rzeczy było to niemożliwe.

General Prentice był tak uprzejmy, że wypytywał Montague'a o jego powodzenia w New-Yorku, dodając, że sam mówił już o nim z sędzią Ellis'em, u którego znajdzie się napewno sprawa dla niego, gdy tylko Montague zechce zabrać się do pracy. Usłyszawszy, że chce z początku załatwić swe sprawy osobiste, generał obiecał, że zarekomenduje go tymczasem i zapisze na członka dwóch lub trzech wielkich klubów.

Montague nie zapominał o tej obietnicy, lecz narazie nie miał na to czasu. Zbliżał się dzień „Dziękczynienia“ i w zamiejskich pałacach przygotowywano wszelakiego rodzaju rozrywki. Bertie Stuyvesant projektował wycieczkę do „obozu“ w Adirondaek i w liczbie dwudziestu młodych osób zaproszeni byli Alicja i Montague.

Wycieczka rozpoczęła się przedstawieniem teatral-

nem. Bertie zamówił cztery łoże, w których zebrali się wszyscy zaproszeni w godzinę po rozpoczęciu przedstawienia, co nie miało żadnego znaczenia, gdyż tego wieczoru dawano operę, t. j. tańce i śpiewy, rozwijające się na tle intrygi miłosnej. Jedyńm jej celem było pokazanie wspaniałych dekoracyj i kostjumów. Po skończonem przedstawieniu towarzystwo udało się na dworzec centralny, gdzie oczekiwał ich własny pociąg Bertie'ego i przed godziną dwunastą opuścili New-York.

Pociąg ten był istnym luksusowym hotelem. W skład jego wchodził wagon bagażowy, wagon kuchenny, wagon restauracyjny i wagon sypialny, — lecz nie był to zwyczajny sypialny wagon. Stanowił on szereg wspaniałych pokoiów, urządzonych z komfortem, z meblami z białego mahoni, z elektrycznem oświetleniem i kanalizacją. Wagony zbudowane były ze stali i zaopatrzone w automatyczną wentylację. Wnętrze ich urządzone było z tym przepychem, jakim odznaczało się wszystko, co należało do Bertie Stuyvensana. Naprzykład połowa wagonu-biblioteki pokryta była aksamitnym dywanem, meble zrobione były z brazylijskiego czerwonego drzewa, a na ścianach można było podziwiać obrazy, nad któremi wielcy mistrze pracowali przez całe lata.

Służba i kucharz Bertie'ego znajdowali się również w pociągu. Kolacja podana została w wagonie-sali jadalnej, gdzie goście jedli, patrząc na zatokę Hudsonską, zalaną światłem księżyca. Następnego ranka przybyli na miejsce przeznaczenia, na małą zagubioną w górach stacyjkę. Pociąg odstawiono na boczną linję i całe towarzystwo nie spiesząc się zjadło śniadanie, poczem otuleni w futra wyszli na peron, aby odetchnąć świeżem powietrzem, przesyconem zapachem sosn. Przed stacją oczekiwały na nich cztery wielkie sanie. Goście usadowili się w nich i w przeciągu trzech godzin

migaly przed ich oczyma niezwykle malownicze krajobrazy.

Przez cały czas droga ciągnęła się przez posiadłości Bertie'go tj. stanowiła własność prywatną, jak o tem zawiadamiały wielkie plakaty, rozmieszczone co 100 jardów. Wreszcie podjechali do dużego jeziora, wijącego się nakształt ogromnej żmii pomiędzy wzgórzami i pagórkami. Na skalistym brzegu wznosił się imponujący zamek feodalny.

Był to ów zamek, który Bertie nazwał „obozem“. Ojciec jego, który go zbudował, był w nim zaledwie parę razy. Sam Bertie przyjechał tu dopiero po raz trzeci. Zaprowadzono tam mnóstwo jeleni, lecz ginęły one masowo wśród mrozów zimowych. Trzydziestu leśniczych strzegło 1000 akrów ziemi. W głębi głuchych gór Adirondacku było wiele podobnych posiadłości, jak dowiedział się potem Montague. W jednym z majątków właściciel otoczył całą górę żelaznym parkanem i trzymał tam jelenie, łosie i nawet dziki. Co zaś tyczy „obozów“, to było ich tak wiele w tych górach, że wytworzył się tu specjalny styl architektury. Niektórzy architekci naśladowali średniowiecze, jak to miało miejsce z zamkiem Bertie'go. Jeden z przyjaciół Bertie'go posiadał szwajcarski dom monumentalnych rozmiarów, a inny, jeden z Wallingów, posiadał tam pałac japoński, zbudowany przez japońskich robotników według planów, naszkicowanych w Japonji. Meble, dywany i mozaika przywiezione zostały z Japonji, a służba zamkowa, kiwając głowami opowiadała o dziwnych małych miedziano-skórych człowieczkach, który mogli całemi dniami wypilowywać kawałeczek drzewa i zbudowali mały herbaciany domeczek w rodzaju pagody z takiego mnóstwa malutkich kawałeczków drzewa, że można je było liczyć przez cały tydzień.

Po śniadaniu, które składało się ze świeżej dziczyzny,

kuropatw i foreli, goście udali się na polowanie. Najbardziej zapaleni myśliwi zaczęli tropić jelenia po śladach. Większość zaś wolała oczekiwać na brzegu naganiaczy, podczas gdy leśniczowie puścili sfory psów na wolność. Ten sposób naganiania nie był dozwolony przez prawo, ale Bertie uznawał tu wyłącznie swe własne prawa, w najgorszym zaś wypadku, ryzykował jedynie niewielką karę, która mogła być nałożona na jednego z leśniczych. Myśliwi zagnali dziesiątkę jeleni ku jezioru, a ponieważ każdy myśliwy wypuścił po dwadzieścia strzałów na jedno zwierzę, więc czas przeszedł im bardzo wesoło. Z nastaniem nocy, podnieceni i nieco zmęczeni, powrócili na zamek. Wieczór spędzili na opowiadaniach myśliwskich, siedząc przy jaskrawo oświetlonym kominku.

W ten sposób goście spędzili dwa i pół dnia. Ostatniego wieczoru na cześć „Dziękczynienia“ ugoszczono ich dzikim indykiem, zabitym przez samego Bertie'ego zeszłego tygodnia w Wirginji, a po obiedzie — przedstawieniem, odegranem przez trupę ministrantów, którzy przyjechali w przeddzień z New-Yorku. Następnego dnia siedli do pociągu i po upływie jednego dnia byli u siebie w domu.

Rano, po przybyciu do domu, Alicja zastała liścik od pani Winnie Duval, zapraszający ją wraz z Montague'em na lunch, po którym mieli być obecni na wykładzie Hindusa Swami Babubanana, który odkryje przed nimi wielką tajemnicę poprzedniej wędrówki dusz. Udali się na zaproszenie wbrew protestom pani Montague, która twierdziła, że to jest „jeszcze gorsze niż Bob Ingersoll“.

Tegoż wieczoru mieli być u pani Graffenried na otwarciu sezonu zimowego. Było to jedno z największych wydarzeń w życiu wielkiego świata. Otrzymując ze wszystkich stron zaproszenia, Montague nie był w stanie zdać sobie dokładnie sprawę z ważności tego wieczo-

ru. Już od kilku tygodni Reggie Mann i pani Graffenried przygotowywali tę uroczystość. Pałac na Riverside w stylu maurytańskim zamieniony został na prawdziwą dżunglę z masą roślin podzwrotnikowych.

Rodzina Montague'ów przyjechała dość wcześnie i przedstawiona została pani Graffenried, tegiej kancianstej damie, o złej cerze, ale starannie wymalowanej. Miała nie mniej niż pięćdziesiąt lat, lecz starała się wyglądać na trzydzieści. Na czoło jej występował pot — coś nie udawało się jej tego wieczoru i Reggie nie mógł spotkać ich tak, jak zamierzał. Zaproszonych było przeszło sto pięćdziesiąt osób. Kolację podano na małych stolikach w wielkiej sali. Następnie goście rozeszli się po salonach, by dać służbie możność uprzątnięcia stolików i zamienienia sali na widownię teatralną. Trupa jednego z teatrów w Broadway'u miała przyjechać po ukończonem przedstawieniu, aby po północy powtórzyć swe przedstawienie w domu pani Graffenried. Montague przypadkowo obecny był przy przybyciu artystów. Zauważył, że goście nie pozostawili im dostatecznej ilości miejsca i reżyserowi przyszło na myśl, aby ich umieścić w małym przedpokoju. Dowiedziawszy się o tem pani Graffenried rzuciła się jak furja na biedaka, osypała go przekleństwami i dosłownie siłą zmusiła go, by wszedł do sali.

Montague przyjechał nie poto, aby zajmować się intrygami zakulisowemi, ale żeby popatrzeć na przedstawienie. Grano tę samą muzyczną komedję, którą widział zeszłego tygodnia. Ale wówczas rozmawiał przez cały czas z siostrą Bertie Stuyvesanta, podczas gdy tym razem nikt mu nie przeszkadzał i mógł spokojnie śledzić przebieg gry.

Była to bardzo popularna sztuka, szła z wielkiem powodzeniem przez szereg wieczorów i jeśli wierzyć gazetom, autor jej otrzymywał 200 tys. dolarów rocznie.

I teraz grano ją w obecności najznakomitszych osób stolicy. Wszyscy śmieli się, klaskali i najwidoczniej bawili się doskonale. Co to była za sztuka? Nazywała się „Kalif z Kamczatki“. Nie było tu już nawet cienia zwykłej intrygi. Kalif miał 17 żon, a amerykański do-bosz chciał mu sprzedać osiemnastą. Trudno było jednak wyłowić z całości jakikolwiekbażdz szczegół, gdyż nie wypływały one z poprzednich. W sztuce tej nie był zarysowany ani jeden charakter, nic co by dawało pojęcie o ludzkim uczuciu, nie było nawet najmniejszej powiązanej akcji, odsłony były krótkie i nieoczekiwane, jak grymasy na twarzy idjoty. A grymasów było poddo-statkiem. Bardzo często aktorzy jednocześnie i zupełnie nieoczekiwanie zaczynali gestykulować, jak szaleńcy. Rzucali się na wszystkie strony, wyli, śmieli się, śpiewali. Na scenie był przez cały czas ruch i niemożliwością było zrozumieć cel i przyczynę tego zamieszania. Podobnie nie można było stworzyć sobie pojęcia o osobach, które przedstawiali aktorzy. Można było tylko myśleć o samych aktorach i o tem jak okrutny był los tych biedaków, zmuszanych do przebierania się, strojenia min i pojawiania przed oczyma publiczności, aby tańczyć, skakać, tupać nogami, gestykulować i starać się za wszelką cenę wywoływać uśmiech.

Istniały dwa rodzaje kostjumów: pierwsze zupełnie fantastyczne, z pretensją na imitowanie wschodnich, drugie były parodją amerykańskiej mody: Młody pierwszy aktor, ubrany był w pasiasty kostjum, i bawił się małą trzcinką. Specjalność jego polegała na tem, aby przez cały czas zachowywać zabawną minę i mrugać usilnie wesołemi oczyma. Młoda primadonna po kilka razy w jednym akcie zmieniała stroje, ale bez zmiany pozostawiała ręce, piersi i plecy gołe, na nogach miała jaskrawe pończochy i pantofle z obcasami wysokimi na dwa cale. Nagle ni stąd ni zowąd robiła piruety,

obnażała biodra, przykryte niezliczoną ilością tiulowych falbanek. Gdyby kobieta ta nie miała na sobie nic więcej prócz podwiązek, podniecałaby nie więcej niż reklama bielizny damskiej. Odwrotnie zaś, pokazując swe ciało, zakryte częściowo suknią, — przykuwała do siebie spojrzenia.

Co kwadrans orkiestra przygrywała wesołe motywy, a aktor i jego partnerka, grający pierwsze role, śpiewali namiętny kuplet, następnie mężczyzna obejmował kobietę w pół, kręcił się z nią w kółko, tańczył, skakał, przeginał ją w tył, nachylał się nad nią, patrząc jej w oczy i odtwarzał w ten sposób ekstazę miłosną.

Następnie wychodziły na scenę jedna po drugiej statystki z wymalowanemi twarzami, w króciutkich kostjumach, za każdym razem nowych, lecz zawsze jaskrawych i z wielkim dekoltem. Dziewice te przestrzegały prawidła, by nigdy nie stać na miejscu. Gdy nie było tańców, przebierały w miejscu nogami, nachylały się naprawo i nalewo, kiwały w takt głowami, słowem, starały się w jakikolwiek sposób zabawić widzów.

Montague'a uderzyły bardziej nieprzystojne rozmowy, które słyszał wokół siebie, niż to, co widział na scenie. Rozmowy były bardzo „frywolne“, gdyż pełne były dwuznaczników, które jeszcze silniej podkreślały milczącą jednomyślność słuchaczy z aktorem. Ostatecznie błędem byłoby twierdzenie, że sztuka nie zawierała żadnej idei. Była tam jedyna idea i na niej skupiało się całe zainteresowanie.

Montague postarał się wyprowadzić ją zapomocą analizy. Istnieją pewne zasady życiowe, które możnaby było nazwać pewnikami moralności. Wypływają one z doświadczenia niezliczonych pokoleń ludzkich. Od uznania ich zależy przyszłość ludzkości. Ale dla tej publiczności zasady te były nietylko wątpliwe, podlegające dyskusji, lub bezwzględnie mylne. Nie, one były im

wrogie, i trudno było je wyrazić w prostych słowach, by nie obrazić ludzkiego słuchu; byli tu ludzie starsi i żonaci, wielu młodzieńców i młodych dziewcząt. Tem nie mniej wybuchnęli oni ogłuszającym śmiechem, gdy doszło do pewnej zamężnej kobiety, którą porzucił kochanek.

— Rozpaczała pewnie bardzo? — pytała primadonna.

— Tak, rozpacz jej była bez granic, — wyszczerzał zęby pierwszy aktor.

— No i jak postąpiła? Zastrzeliła się?

— Bynajmniej, poprostu powróciła do męża, i ma teraz od niego dzieci.

Po skończonem przedstawieniu Montague przeszedł do palarni i ujrzał tam majora Venabla, rozmawiającego z jakimś panem, którego dotąd nigdy nie spotykał. Na znak majora, podszedł do niego i zapoznał się z nieznanym. Był to człowiek wysokiego wzrostu i dobrze zbudowany, lecz głowę miał małą i dziwną twarz. Zaciśnięte wargi, nos cienki i zagięty, głęboko osadzone i przenikliwe oczy.

— Nie zna pan pana Hegana? — zapytał major. Pannie Hegan, niech pan pozwoli przedstawić sobie pana Allana Montague'a.

Jim Hegan, władca giełdy! Montague stłumił zdumienie i usiadł obok nich.

— Pozwoli pan cygaro? — powiedział Hegan, wyciągając cygarnicę.

— Pan Montague przyjechał dopiero do New-Yorku, — powiedział major. — Jest również południowcem.

— Czyżby? — zdziwił się Hegan.

Następnie zapytał z jakiego stanu pochodzi Montague. Ten ostatni odpowiedział, dodając, że miał zaszczyt być przedstawionym jego córce w zeszłym tygodniu na pokazie koni.

Rozpoczęła się ożywiona rozmowa. Hegan pochodził

z Texasu i zachwycony był, dowiedziawszy się, że Montague zna się dobrze na prawdziwych koniach. Wkrótce major odjechał z rodziną, a oni rozmawiali w dalszym ciągu we dwójkę. Rozmawiało się z Heganem bardzo przyjemnie, ale nawet w rozmowie z nim nie można się było powstrzymać od lekkiego wzruszenia na myśl, że ma się do czynienia z właścicielem pół miljarда dolarów.

Ale Hegan był człowiekiem prostym, o miękkich manierach, — zwyczajny człowiek, interesujący się najzwyczajszymi sprawami. W rozmowie z nim zauważyć można było odcień wstydlivości, co Montague'a bardzo zdziwiło. Później dopiero zrozumiał, że Hegan, który był w młodości prostym chłopem z południa, zachował dotychczas jeszcze instynktowny szacunek dla dżentelmenów z południa i rozmawiał z nimi, jakby przepraszając ich za swe miliony.

Nie bacząc na to, potęgą jego dawała się jednak odczuwać, nawet w zwykłej pogawędce. Wydawało się, że tylko część jego istoty oddaje się rozmowie, podczas gdy druga część była przez cały czas na straży. I dziwna rzecz, Montague'owi wydawało się, że za uśmiechniętą maską Hegana dostrzega inną twarz, obojętną i surową: przywidzenie to prześladowało go, dzięki czemu czuł się skrępowanym.

Następnie przyszła po męża ożywiona pani Hegan, ubrana „en grande dame“, z swoją córką, majestatyczną Laurą.

— Niech pan zajdzie do nas, — powiedział do Montague'a wielki człowiek, — inaczej wątpliwe, czy się zobaczymy, bo ja prawie nigdzie nie bywam.

Gdy wyszli, Montague zapalił jakby we śnie cygaro. Stał przed nim majestatyczny i groźny obraz. Nagle coś go oświeciło i mógł jasno odróżnić: była to głowa drapieżnego ptaka, głowa majestatycznego orła-pustelnika.

Widzieć go można często w klatce zoologicznego ogrodu, siedzącego na żerdzi spokojnie i milcząco, podczas, gdy duch jego unosi się w nieskończonych przestrzeniach, wypatrując zdobyczy, aby rzucić się na nią i pochwycić w swe okrutne pazury.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Okazało się, że Montague miał cały następny tydzień specjalnie zajęty. Rodzina Wallingów powróciła na sezon zimowy ze swej posiadłości wiejskiej i wznowiła swoje przyjęcia. Doroczny bal u nich miał być dla Alicji pierwszym debiutem w wielkim świecie. Nie ulegało wątpliwości, że wobec tak uroczystego wypadku tualeta jej powinna była prześcignąć wszystko, co mogło być najlepszego i najbardziej wytwornego w stroju młodej panny.

Brat wyliczył nawet raz z ciężkiem sercem, że obecność na balu Wallingów będzie ją kosztowała pięć dolarów na minutę. Sumy, którą wydadzą na ten bal sami Wallingowie, nie można było sobie nawet wyobrazić. Wielka sala miała być przekształcona na ogród kwietny. Przygotowano dla gości dwie kolacje na sto nakryć. Jedną przed balem, a drugą po jego ukończeniu. Podczas kotyljonów miały być rozdane kosztowne podarunki, których nabycie polecono Oliverowi. Montague dowiedziawszy się o ich cenie, przeraził się, lecz natychmiast otrzymał od brata wyjaśnienie, nie wymagające dyskusji. „Robbie nie może dopuścić do tego, aby go ktokolwiek prześcignął“.

Alicja dzieliła swój czas pomiędzy Wallingami a krawcową i opowiadała wieczorami w domu o odbywających się przygotowaniach. Entuzjazm jej, zrozumiały zupełnie u nowicjuszek, bawił panią Robbie. Uśmiechała się pobłaźliwie i odpowiadała na jej pytania. Sama, oczy-

wiecie, stała wyżej ponad tego rodzaju emocje i nie zajmowała się osobiście niczem, oddawszy raz na zawsze wszystkie polecenia swemu zarządcy, kwiaciarce i sekretarzowi: tak było przyjęte u wszystkich dam wielkiego świata. Majestatyczny pałac Robbie'go zajmował cały blok na Fifth Avenue. Był to jeden z pięciu czy sześciu olbrzymich domów, należących do Wallingów w New-Yorku. Domy te stanowiły osobliwość miasta.

Zresztą rodzina ta posiadała tak wiele domów we wszystkich częściach Stanów Zjednoczonych, że trzeba by całego katalogu, aby je wyliczyć: jeden w Północnej Karolinie, inny w Adirondacku, w Long Island, w New Jersey i w Newporcie — w tym ostatnim nikt nigdy nie mieszkał i pani Billy Alden nazywała go sarkastycznie „trzymiljonowym zamkiem na pustyni“.

Odprowadzając Alicję do Wallingów, Montague miał sposobność przyjrzenia się warunkom domowym pani Robbie. Pod rozkazami jej znajdowało się trzydzieści osiem osób służby. Całe maleńkie państewko, w którym ona była królową, a jej zarządca — pierwszym ministrem. Za nim następowała cała hierarchja rang, klas i kast tak skomplikowana, jak w państwie feudalnem. W pomieszczeniach dla służby znajdowało się sześć pokojów jadalnych dla sześciu kategorii służby, nienawidzących się nawzajem i pogardzających jedni drugimi. Służący posiadali swoich służących, którzy z kolei mieli znów służących i t. d. Pani domu zwracała się ze swemi bezpośrednimi rozkazami tylko do trzech osób: do maitre d'hotel'a, ekonoma i zarządcy. Nie знаła nawet imion pozostałej służby — zmieniali się tak często! Według jej słów, musiała pozostawiać swemu detektywowi odróżnianie sług od złodziejów.

Pani Robbie była kobietą zupełnie młodą, ale lubiła grać rolę pani domu, znużonej kłopotami, troskami i poważną odpowiedzialnością. Tylko nieświadomi mogli

wyobrażać sobie, że wolna jest od wszelkich obowiązków i rozkoszuje się wszelakimi wygodami, podczas gdy najzwyczajniejsza kucharka rozporządzała swobodnie swym czasem. Troski, jakie musiała dźwigać na swych barkach, przygniatały ją. Olbrzymia machina, którą kierowała, mogła rozpaść się i trzeba było cierpliwości Hioba i mądrości Salomona, aby podtrzymać jej bieg. Maitre d'hotel, nie bacząc na fantastyczną pensję, którą otrzymywał, kradł jeszcze ponadto i stale klócił się ze starszym kucharzem. Prócz tego podejrzewano go o zbytnią namiętność do butelek najkosztowniejszych win w piwnicy. A ostatnia pokojówka była ostatnim reporterem, podesłanym przez gazetę niedzielną! Zegarmistrz, który w przeciągu dziesięciu lat przychodził codziennie, aby nakręcać w domu zegary, umarł, a człowiek, który miał pieczę nad artystycznymi drobiazgami i porcelaną, zachorował. Zarządca był w rozpacz na samą myśl, że będzie musiał uczyć nowego.

Oprócz tych wszystkich trudności były jeszcze istotne zadania życia wielkiego świata, a było ich dosyć, aby zapełnić cały czas pani domu. Trzeba było umieć podejmować i wypełniać obowiązki damy z wyższych kół. Trzeba przeznaczyć pewien czas na pocztę codzienną, przynoszącą stosy listów z prośbą o pomoc pieniężną. W ciągu tego jednego tylko tygodnia otrzymano próśb na dwa miliony dolarów, nie mówiąc już o wynalazcach najróżniejszych opatentowanych ulepszeń. A za każdym razem, gdy wydawano bal, gromady anarchistów i krzykaczy wszczynwały zamęt. Wreszcie były listy, na które trudno było nie odpowiadać oraz wizyty, które trzeba było koniecznie oddawać. Stwarzało to takie ciężkie obowiązki, że kobiety wielkiego świata, mieszkające w jednej dzielnicy, umawiały się, aby ich dni przyjąć wypadały w jednym dniu. Naprz. mieszkanki Madison Avenue miały „czwartki“, ale mimo to trzeba

było całego dnia na samo zestawienie biletów wizytowych.

Należało myśleć o zaproszeniach, które trzeba było wysyłać i przyjmować, przyczem zachodziły nieuniknione pomyłki, dzięki którym zdobywało się zaciętych wrogów. Prócz tego trzeba było liczyć się z nieskończoną ilością rozwodów, nowymi ślubami i zmianami nazwisk, z mężami, którzy znali nazwiska kochanków swoich żon i nie byli w stosunku do nich zazdrośni, zarówno jak z tymi, którzy ich nie znali, lecz zazdrośni byli o swe żony. Gracz w szachy, grający jednocześnie 12 partyj, byłby mniej zaambarasowany.

Do tego wszystkiego należałoby dodać fryzjera, maniurzystkę, krawcową, szewca i jubilera. A jeśli nawet pozostawała wolna chwila, to należało ją poświęcić na przejrzenie gazet, jak również na to, aby zobaczyć swoje dzieci.

Wszystko to objaśniła pani Robbie przy lunchu. Takie były owe ciężkie żądania, ciążące na ludziach bogatych, żądania, o których zwykli śmiertelnicy nie mieli nawet pojęcia. Każdy kto rozporządza wielkim majątkiem przypomina beczkę z miodem, wokół której zlatują się z brzękiem wszystkie muchy z okolicy. Prostu nie do wiary, do czego dochodzili w swych wysiłkach ludzie, pragnący przedostać się do domu miljonera. Nie wystarczało im zasypywanie listami, ani to, że niepokoją mieszkańców domu, starali się ze wszelkich sił zahaczyć o ich interesy finansowe i dochodziło nawet do tego, że starali się przekupywać ich przyjaciół. Ale zato ludzie, którzy sądzą, że milioner ich potrzebuje, każą się prosić.

— Uwierzy mi pan z trudem, gdy panu powiem, że pewna angielska hrabina, na której cześć miałam wydać obiad, zażądała abym zapłaciła jej za udział w tym obiedzie! Ale najbardziej nie do wiary jest to, że wiele in-

nych pań zgodziło się na tę transakcję i marna znakomitość wielkiego świata potrafiła zabezpieczyć sobie niemały dochód w przeciągu zimowego sezonu. Podłość tych awanturnic wyższego rzędu jest bezgraniczna!

Wszystko to wydawało się w ustach pani Robbie bardzo pouczającym. Gdy Montague odwiedził ją po kilku dniach, usłyszał o nowej zbrodni.

Pewien cudzoziemski książę, który przybył dopiero do Ameryki, został ostatecznie zagarnięty przez panią Ridgley-Clieveden. Dama ta, pragnąc ubiec swą rywalkę, zdążyła wziąć pod swą wyłączną opiekę ową wysoko postawioną osobę i przyciągnąć powszechną uwagę. Pałając żądzą zemsty, pani Robbie rozpowszechniała o pani Ridgley-Clieveden najbardziej nonsensowne wiadomości i dodawała, że jeśli tylko pani Clieveden będzie zachowywała się w stosunku do księcia tak, jak do wielkiego księcia rosyjskiego, to drzwi domu Wallingów będą przed nią zamknięte. Gdyby przypuścić, że wszystko, co opowiadała pani Robbie było prawdą, to metody gościnności jej rywalki były powrotem do obyczajów dzikusów! Wszystkie te plotki były jedynym tematem rozmów wszystkich członków rodziny Wallingów.

Być może, że posiadanie wielu milionów było przyczyną takiego stosunku tych ludzi do wszystkich innych osób, lecz Montague'owi ciążyło ich towarzystwo. Panowały tam stale burze w szklance wody z powodu intryg wrogów. Albo musieli cierpieć pod ciężkiem brzemieniem wszystkich pasorzytów, żyjących na ich koszt i otaczających ich, albo też musieli odgradzać się od nacisku plebejskich mas, szturmujących do ich domu w nadziei przestąpienia zaczarowanego koła. Dla rozrywki przyjmowali ich przedstawicieli, owych ludzi z wielkimi nogami i sztucznymi zębami, noszących gotowe krawaty, potomków rzeźników i t. p.

Montague starał się polubić Wallingów za wszystko co robili dla Alicji, ale za każdym razem gdy zdarzało mu się jeść u nich lunch i wysłuchiwać ich rozmów, odczuwał pragnienie ucieczki, lub, słuszniej mówiąc, odetchnięcia świeżem powietrzem. Często zapytywał się w duchu, co ci ludzie sobie o nim myślą? Mówiąc źle o nieobecnych, mówili oczywiście tak samo i o nim za jego plecami. Pocóż mieliby dla niego odstępować od swoich poglądów, przyjmując go w swem intymnem kole i wydając nawet pieniądze poto, aby Alicję przedstawić towarzystwu? Z początku mógł myśleć, że czynili to z dobroci serca. Ale teraz, poznawszy ich bliżej, musiał odrzucić to przypuszczenie. Poświęcanie przyjezdnym nowicjuszom swej uwagi i opieki bynajmniej nie leżało w obyczajach Wallingów, którzy uważali siebie za powołanych do szczytnej misji odgradzania towarzystwa od wtargnięcia przechodniów, przepełniających stolicę w poszukiwaniu szczęścia i sławy. Szczycili się tem, co nazywali swem zamknięciem się, a co w młodszem pokoleniu Wallingów graniczyło już z wariactwem.

Osobisty czar i uroda Alicji nie mogły być kluczem do rozwiązania tej zagadki. Możliwe było wytłomaczyć ową sympatję pani Robbie do Alicji, gdyby pani Robbie podobna była do pani Winnie Duval, która potrafiła zapłonąć nagłą sympatją ku młodej dziewczynie i wyrzucać dla niej wszystkie swoje pieniądze.

Ale z wielu przyczyn Montague zaczynał myśleć, że Wallingowie, nie bacząc na swe bogactwo i wielkość, zainteresowani są w nich. Szczodrość Wallingów miała zawsze określone cele. Robbie znał cenę swych dolarów, miewał nawet napady skąpstwa, dochodzące do ostatnich granic. Montague widział go pewnego razu, jak targował się ze stangretem o pięćdziesiąt centów. Jedyłą troską Wallingów był ich osobisty zysk i wszyst-

kie ich postęпки skierowane były ku temu, aby zwiększyć potęgę i znaczenie rodziny Wallingów.

— Odnoszą się do nas tak serdecznie poprostu dlatego, że są moimi przyjaciółmi — tak tłumaczył Oliver, który wyraźnie nie chciał, aby brat doszukiwał się innych przyczyn. Ale argument ten nie rozstrzygał zagadnienia. Zmusiło to Montague'a do uważnego studjowania stosunku pomiędzy Robbie'im a Oliverem, aby pojąć przyczynę ich intymnej przyjaźni. Oliver był stosunkowo biedny, gdy przyjechał do New-Yorku. Teraz zaś był bogaty, albo przynajmniej żył bogato. Starszy brat, którego zmysł obserwacyjny zaostrzał się z każdym dniem, zaczynał podejrzewać, że Oliver czerpie swe dochody od Wallingów. Ale takie rozstrzygnięcie zagadnienia byłoby do przyjęcia wówczas, gdyby Robbie był innym człowiekiem. Wówczas Montague powiedziałby poprostu, że brat jego jest jednym z tych pasorczytów, których utrzymuje większość bogatych rodzin.

Siegfried Harvey, na przykład, otoczony był zawsze całym sztabem towarzyszy, żyjących na jego koszt. Byli to weseli, dobroduszni ludzie, lubiący polowanie i grę w bridge'a. Zajmowali się oni zabawianiem dam, których mężowie pochłonięci byli interesami. W chwilach krytycznych mogli zawsze liczyć na uprzejmość swego przyjaciela, który proponuje im czek, aby wybawić ich od natręctwa wierzycieli. Ale ludzie tego pokroju co Wallingowie podpisywali чеки tylko wzamian za równowartościowe przysługi.

Na czem polegały przysługi „Ollie“? Dandysi wielkiego świata uwielbiali go i jego gust był dla nich prawem. Jednak brat zauważył, że Oliver podporządkowuje się bezapelacyjnie gustom Robbie'ego, który, oczywiście, nie mógłby dopuścić, aby ktokolwiek nad nim przewodził. Oliver posiadał cięty dowcip i wszyscy bali się dostać na jego język, lecz Montague widział, że

brat jego nigdy nie zahaczał swemi dowcipami Robbie'ego. Nie było również podstaw do przypuszczeń, że Oliver potrzebny jest Wallingom tylko poto, aby wyśmiewał innych, — nie potrzebowali oni niczyjej pomocy, podobnie jak okręt pancerny nie potrzebuje pomocy łódki. Wydawało mu się nawet, że Oliver stara się nie przejawiać w obecności Robbie'ego swego dowcipu, aby nie wzbudzać zazdrości swego przyjaciela.

Tajemnica ta niepokoiła silnie Montague'a. Alicja była młoda i naiwna. Było mu przyjemnie opiekować się nią, lecz była to jego troska osobista, jako porządnego człowieka. Dotychczas spełniał swój obowiązek bez wtrącania się osób obcych. To też przysługi takich osób, jak Wallingowie, których nie lubił, ciążyły mu tembardziej, że i oni — czuł to instynktownie — nie mogli go lubić.

Ale jakkolwiek rzeczy się miały, dzień balu był już wyznaczony. Wallingowie byli uprzejmi i uprzedzający, Alicja drżała z podniecenia. Wreszcie nadszedł dzień balu. Figurowali na nim wszyscy wrogowie Wallingów. Zostali zaproszeni, gdyż byli zbyt wpływowi, by można było ich ominąć. Oni zaś przyjechali na ten bal dlatego, że sami Wallingowie byli zbyt potężni, aby się z nimi nie liczyć. Zresztą mścili się w ten sposób, że oddawali, jak tylko mogli, dań drogim posiłkom, któremi ich ugoszczono. Zachwycając się Alicją i ściskając jej rękę, porównywali ją za jej plecami do lalki, wystawionej w witrynie. Przyznali również jednogłośnie, że kuzyn jej jest jak kłoda i że cała rodzina Montague'ów to podejrzeni awanturnicy. A jednak, ponieważ Wallingowie opiekują się nimi, trzeba się z nimi liczyć i zapraszać ich z kolei do siebie.

Tak przynajmniej pojmował to Montague. Alicja zaś widziała we wszystkim wspaniałe święto, na którym piękne, czarujące osoby zachwycaly się sobą nawzajem,

święto, na którem nie brak było niczego. Były tu kosztowne toalety połyskujące klejnotami, oszałamiający zapach subtelných perfum, śpiewne dźwięki muzyki, zlewającej się z dźwięcznym śmiechem i, wreszcie, wirtuozów kawalerowie, zapraszający ją do tańca wśród dekoracyj, jakby z bajki. A następnego dnia wszystkie gazety, jakby pragnąc przedłużyć wspomnienie tego cudownego wieczoru, umieściły długie sprawozdania o balu, wymieniając nazwiska obecnych, opisując ich toalety i zamieszczając całkowite menu kolacyj.

Teraz bezsprzecznie należeli już do „towarzystwa“. Jeden z reporterów zjawił się u nich, aby poprosić Alicję o fotografię do niedzielnego numeru gazety. Otrzymano nowe zaproszenia, a wraz z niemi nowe troski i kłopoty, o których mówiła pani Robbie. Trzeba było wybierać, kogo można pozwolić sobie obrazić. Poczta przyniosła długi list wdowy bez środków utrzymania oraz propozycję hrabiego. Sekretarz pani Robbie posiadał całą listę setek nędzarzy i zawodowych prosieli tej kategorii.

Pani Winnie obecna była na balu i przyciągała spojrzenia swą zdumiewającą suknią z jedwabiu bleu électrique. Uderzywszy Montague'a wachlarzem po ramieniu, zawołała:

- Niedobry człowieku, pan obiecał mnie odwiedzić!
- Nie byłem w N.-Yorku — tłumaczył się Montague.
- No to niech pan przyjedzie jutro, zbierze się mała partyjka bridge'a.
- Pani zapomina, że nie nauczyłem się jeszcze grać.
- Niech pan przyjedzie, nauczę pana. Mąż będzie w domu i będzie zachwycony. Pozna pan mego brata Dana, zatrzymam go.

W ten sposób Montague odwiedził znowu Pałac Śnieżny. Poznał pana Wintona Duvala, bankiera, wysokiego człowieka lat pięćdziesięciu o wojskowej posta-

wie, siwych wąsach, gęstych brwiach i lwiej grzywie. Bank jego był jednym z największych w mieście. Obracał pieniędzmi kopalń południowo-amerykańskich i meksykańskich, i dlatego rzadko bywał w domu. Był to człowiek o surowych przyzwyczajeniach. Powracając do domu po miesięcznej nieobecności, żądał, aby wszystko było dlań przygotowane, zarówno w domu, jak i w biurze, tak jakby powracał tylko ze spaceru. Montague zwrócił uwagę, że na karcie ze spisem potraw zapisywał swoje uwagi i odsyłał je naczelnemu kucharzowi. Rzadko jadał obiady w domu, a gdy żona przyjmowała u siebie gości, szedł na obiad do klubu.

Tego wieczoru zniknął zaraz po obiedzie, tłumacząc się zajęciami. „Brat Dan“ nie zjawił się również, a pozostali goście zasiedli do gry w bridge'a. Montague rozmawiał z panią domu, grzejąc się u ogromnego kominka w dużym salonie.

— Widział pan Charlie Cartera? — Było to pierwsze pytanie, jakie mu zadała.

— Niedawno — odpowiedział — spotkałem go u Harvey'a.

— Wiem o tem — powiedziała. — Opowiadano mi, że się upił.

— Obawiam się, że istotnie tak było — odrzekł Montague.

— Biedny chłopak! — zawołała pani Winnie. — I Alicja widziała go! Musiało jej być ogromnie przykro. Montague nic nie odpowiedział.

— Wie pan — mówiła dalej — Charlie ma w gruncie rzeczy dobre chęci. To uczciwy i wrażliwy chłopak. Zamilkła. Montague odpowiedział wahająco:

— I ja tak sądzę.

— Pan go nie lubi — powiedziała. — I myślę, że Alicja będzie się teraz do niego źle odnosiła. A ja to sobie już tak postanowiłam, że ona go zmieni.

Montague uśmiechnął się przekornie.

— O, ja wiem — powiedziała — to nie byłoby łatwe. Ale nie ma pan pojęcia, co to był za wspaniały chłopak, zanim go te wszystkie kobiety nie doprowadziły do ruiny.

— Mogę sobie to wyobrazić — odrzekł Montague. — Ale on nie traktuje życia poważnie.

— Pan jest taki sam, jak mój mąż — powiedziała smutno pani Winnie. — Nie ma pan wcale wyrozumiałości dla słabych i nieszczęśliwych.

Nastąpiła pauza.

— I przypuszczam — powiedziała wreszcie — że pan stanie się również człowiekiem pochłoniętym przez interesy, który niema czasu dla nikogo, ani dla niczego. Czy pan już zaczął pracować?

— Jeszcze nie — odpowiedział. — Rozglądam się dopiero.

— Nie mam najmniejszego pojęcia o interesach — przyznała się. — Jak się do tego trzeba zabrać?

— Nie mogę powiedzieć, żebym to już wiedział — odrzekł Montague ze śmiechem.

— Czy chciałby pan zostać protegowanym mojego męża? — zapytała.

Propozycja była trochę nieoczekiwana, ale odpowiedział z uśmiechem:

— Nie miałbym nic przeciwko temu, ale coby on ze mną uczynił?

— Tego nie wiem — odpowiedziała. — Wiem tylko, że może wszystko zrobić w mieście. I jeśli go o to poproszę, wskaże panu, jak zrobić moc pieniędzy. — I pani Winnie dodała szybko: — Jestem pewna, że on faktycznie może to zrobić dla pana.

— Nie wątpię w to zupełnie — odpowiedział Montague.

— Nie powinien pan obawiać się wykorzystywania

okazyj, które same się panu narzucają. Musiałby pan chodzić po New-Yorku tak długo, póki pan wejdzie w te sprawy. Ludzie będą wkrótce mieli dość wykorzystywania pana.

— Byli dla mnie bardzo mili — powiedział. — Ale gdy będę przystępował do interesów, będę się musiał opancerzyć.

Pani Winnie siedziała zatopiona w myślach.

— Uważam, że wszystkie interesy są okropne — powiedziała. — Tyle ciężkiej pracy i zgryzot. Dlaczego nie można się obejść bez tego?

— Są rachunki, które trzeba płacić — odpowiedział Montague.

— To jest właśnie ten nasz wstrętny ekstrawagancki tryb życia — zawołała. — Czasami pragnęłabym nigdy nie posiadać pieniędzy.

— Znużyłoby to panią prędko — odpowiedział. — Żałowałaby pani tego domu.

— Ani trochę — odpowiedziała szybko. — Mówię panu szczerą prawdę, nie zwracam wcale uwagi na tego rodzaju rzeczy. Wolałabym prowadzić życie proste bez tych wszystkich trosk i odpowiedzialności. I pewnego dnia uczynię to. Naprawdę. Będę miała małą farmę na wsi, zdala od ludzi. Będę tam mieszkała i hodowała kury i warzywa, będę miała własny ogród kwiatowy, który będę sama pielęgnowała. Będę prowadziła życie proste i spokojne.

W tem miejscu pani Winnie zatrzymała się i zawołała:

— Pan się ze mnie śmieje!

— Bynajmniej — odpowiedział Montague. — Ale nie mogę zapomnieć o reporterach.

— O to panu chodzi! — powiedziała. — A więc nie można mieć pięknych marzeń, ani postępować zgodnie ze swemi uczuciami, ze względu na reporterów!

Gdyby Montague był spotkał panią Winnie na początku swego pobytu w mieście, jej tęsknota do prostego życia wywarłaby na nim wrażenie. Uważałby to za nieunikniony znak czasu. Ale, niestety, teraz już wiedział, że czarująca pani domu miała więcej kłopotów i trosk ze sobą samą, niż ktokolwiek, kogo w swym życiu spotykał — i to wszystko z własnego urojenia ! Pani Winnie paliła papierosy wyrabiane specjalnie dla ich domu i gdy go poczęstowała, zauważył, że na ustnikach znajdował się herb starego domu książęcego Montmorency! A gdy otrzymuje się od pani Winnie list na kopercie koloru lawendy widnieje pieczęć, pochodząca z przed trzystu lat! Można było być pewnym, że gdyby pani Winnie zabrała się do hodowania kur, zostałyby one specjalnie sprowadzone z Chin, albo z Patagonji, a kurniki byłyby zbudowane dokładnie na wzór kurników, znajdujących się w starym zamku Montmorency, który zwiedzała w swoim samochodzie.

Pani Winnie była czarująca, i rozmowa toczyła się lekko i przyjemnie. Montague słuchał jej ze współczuciem pełnem szacunku. Opowiadała mu następnie o tem, jak pani Carolina Smythe zebrała niedawno swych przyjaciół w jednym ze swoich pałaców, aby zorganizować przytułek dla kotów. Następnie przeszła na tematy spirytystyczne. Niedawno była na seansie spirytystycznym, na którym obecni byli poważni profesorowie i damy z towarzystwa, w oczekiwaniu materjalizacji duchów. Ponieważ były to jej pierwsze kroki w tej niezbadanej dziedzinie, szczęśliwa była jak dziecko, które znalazło klucz od szafy z konfiturami.

— Zapytywałam sama siebie — mówiła — czy mam śmiać się, czy drzeć. Co pan sądzi o tem?

— Jeśli mi pani opowie, co pani tam widziała, będę mógł wyrobić sobie w tej sprawie zdanie.

— Z początku zaczęły wirować stoliki. Zapewniam

pana, że nic nie robi większego wrażenia, jak widok stolika, który się sam porusza. Potem zaczęto wywoływać duchy. Co za niezwykle wrażenie sprawia widok ludzi, którzy rozmawiają z duchami! Prostu cała drżałam. A to medjum, które wprowadzono w trans... jeden z obecnych opowiedział mi, że pewnego razu pojawił mu się ojciec, aby go zawiadomić o swej śmierci na morzu. Czy zdarzało się panu słyszeć podobne rzeczy?

— Tak, w naszej rodzinie zdarzył się podobny wypadek.

— Zdaje mi się, że w każdej rodzinie, ale wywarło to na mnie wielkie wrażenie. Nie spałam całą noc, oczekując, że ukaże mi się mój ojciec. Umarł na apopleksję. Wydawało mi się, że słyszę jego sapanie.

Wstali i przeszli do ogrodu zimowego. Pani Winnie ukazała wzrokiem na rycerza w zbroi.

— Oczekiwałam, że ukaże mi się duch tego człowieka... Wydaje mi się, że nie będę w stanie brać udziału w innych seansach. Ktoś powiedział mężowi, że obiecałam tym ludziom pieniądze i mój mąż rozgniewał się bardzo. Obawia się, że dostanie się to do gazet.

Montague ledwo się powstrzymał od śmiechu na myśl, jak trudno musi być arystokratycznemu i poważnemu bankierowi powstrzymywać swą żonę od tych wszystkich rzeczy, które mogą spowodować wzmianki w gazetach. Pani Winnie oświeciła fontannę i siedząc na krawędzi basenu, patrzyła na swoje rybki. Montague przygotowany był na pytanie „czy dopuszcza możliwość obcowania ryb z duchami“, ale myśli młodej kobiety przyjęły inny kierunek.

— Pytałam doktora Parry, jakiego zdania jest o tych zjawiskach. Czy pan go zna?

Doktor Parry był proboszczem kościoła świętej Cecylii na Fifth Avenue, do którego uczęszczało najbardziej

doborowe towarzystwo. Montague znał wielu z pośród jego parafjan.

— Nie zdarzyło mi się jeszcze spędzić niedzieli w New-Yorku, ale Alicja zna go.

— Pójdziemy kiedyś razem... Ale co się tyczy duchów...

— Cóż on o tem mówi?

— Pytanie to niepokoi go najwidoczniej. On powiada, że to niebezpieczny grunt, ale ja rozmawiałam z moim „Swami“ i ten ani trochę się nie stropił. Przyzwyczajeni są do duchów, ponieważ wierzą, że dusze powracają na ziemię. Oczywiście, nie przestraszyłabym się, gdybym ujrzała jego ducha. Ma takie piękne oczy. Dał mi książkę z hinduskiemi legendami, gdzie jest mowa o młodej księżniczce, która umarła z miłości. Dusza jej wcieliła się w tygrysicę. Pewnego razu powróciła w nocy na ziemię, aby porwać ukochanego, który wzgardził jej miłością. Uniosła go w świat cieni. To opowiadanie wywołuje drżenie. Kiedy je przeczytałam, wydawało mi się, że w ciemnościach pojawi się straszna tygrysica z zielonemi pałającemi oczyma...

Montague z trudem tylko mógł sobie wyobrazić tygrysicę w zimowym ogrodzie pani Winnie. Mogłaby jedynie istnieć w przenośni. W każdym z nas drżenie drapieżne zwierzę, budzi się ono czasami i wówczas słyszymy jego wycie, mrozące krew.

Pani Winnie ubrana była w suknię z przejrzystej tkaniny. W czerwonych różach, upiętych na sukni, mniej było życia, niż w barwie jej twarzy. Subtelny, drażniący zapach jej perfum wywoływał drżenie wewnętrzne. Nachyliła się ku niemu. Ruchy jej białych rąk były miękkie i harmonijne, a głos brzmiał ciepło i namiętnie.. Trudno było oprzeć się jej czarowi. Montague poczuł, że lekkie drżenie przebiegło po całym jego ciele, jak drobna fala po powierzchni jeziora. Być może dotknął

jej nawet, gdyż umilkła nagle, patrząc w dal. Nastąpiło krótkie milczenie. Słyszeć było tylko szmer fontanny i miarowy oddech pięknej marzycielki.

Następnego dnia Oliver zapytał brata:

— Gdzie byłeś wczoraj wieczór?

— U pani Winnie.

— Oho! — przeciągnął Oliver. Następnie dodał z powagą i zastanowieniem:

— Podtrzymuj stosunki z panią Winnie. Narazie jest to najlepsze, co możesz uczynić.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Otrzymawszy od swej przyjaciółki zaproszenie do jej ławki na nabożeństwo w kościele Św. Cecylji, Montague udał się tam wraz z Alicją najbliższej niedzieli. Pani Winnie przysłała do kościoła w towarzystwie swego kuzyna. Biedny Charlie powrócił o tyle do sił fizycznych i moralnych, że mógł jeszcze czynić próby w poszukiwaniu „swego szczęścia“. Ściskając rękę Alicji, obejmował ją czułymi spojrzeniami, wyrażając tem swą wdzięczność. Wydawał się głęboko wzruszony, że Alicja zgadza się tolerować go obok siebie.

Kościół Św. Cecylji był miejscem bardzo ciekawem. Uczęszczanie do kościoła stanowiło dla całego wyższego towarzystwa uświęcony obyczaj i taką samą funkcję towarzyską, jak uczęszczanie na operę. Był to ze zbytkiem urządzony kościół, wyłożony marmurem, drogocennymi rzeźbami w drzewie i klejnotami, lśniącymi w kościelnym półmroku. Przed bramą zatrzymywały się arystokratyczne pojazdy. Zameżne kobiety i panny wychodziły z pojazdów, szeleszcząc jedwabnymi spódnicami. Ich suknie, rękawiczki i bielizna były bez zarzutu. Każda z nich trzymała w ręku wytworny modlitewnik.

Za nimi postępowali uroczyście panowie w nowych

zakietach i cylindrach. Mężczyźni z wielkiego świata muszą być zawsze gładko ogoleni, nosić nowe rękawiczki i ubierać się jak z igły, ale w tym momencie elegancja ich rzucała się szczególnie w oczy: nastrój dnia świątecznego czynił ich takimi. Biada odstępcom, poganom i niewiernym, których oczy zamknięte są nazawsze przed światłością bożą i którzy nie znają upajającego uczucia dnia niedzielnego, — tej radości, gdy człowiek wyjdzie uperfumowany z wanny i poczuje się wolnym po sześciu strasznych dniach, spędzonych w wirze świeckiego życia. Po nabożeństwie następował spacer po Fifth Avenue, w którym brali również udział parafjanie sąsiednich kościołów. Była to cała wystawa mód, i pół miasta przychodziło ją oglądać.

Rewolucyjne doktryny religii chrześcijańskiej nie niepokoiły eleganckiej publiczności kościoła Św. Cecylji. Na obcego widza wywarłyby olbrzymie wrażenie groźby wiekuistej klątwy, wielkie słowa o bogatych i biednych, o uchu igielnem i liljach, które nie przędą. Ale bywalcy kościoła Św. Cecylji widzieli w nich tylko hyperbole, podobnie, jak ów markiz francuski, który wyobrażał sobie, że wszechmogący dobrze zastanowi się, zanim rzuci przekleństwo na człowieka jego sfery. Były to wszystko frazesy, znane wszystkim od samego dzieciństwa i nie zwracano na nie najmniejszej uwagi. Ostatecznie owe wielkie doktryny były na miejscu jedynie w ustach bóstwa, i komentowanie ich przez zwykłych śmiertelników byłoby zbytnią zarozumiałością.

Dlatego też rozstrzyganie tych zagadnień pozostawiano tym, w których obowiązki to wchodziło: pastorom — kaznodziejom i urzędnikom kościelnym. Nie trzeba było się ich obawiać, gdyż nie byli oni ani obrazoburcami, ani krzykaczami, lecz naodwrot, byli to ludzie dobrze wychowani i taktowni. Biskup, zarządzający okręgiem stolicy był osobą bardzo reprezentacyjną. Przyjęty do

najlepszego towarzystwa, był członkiem najbardziej ekskluzywnych klubów.

Ławki w kościele wynajmowano i posiadanie własnej ławki uważane było za konieczność. Ludzie, którzy obcy byli jeszcze „towarzystwu“, lecz pragnęli dostać się do niego, z reguły przyjeżdżali każdej niedzieli do kościoła i z oddali pełnemi uszanowania uśmiechami witali swych znajomych z wysokiego świata, upajając się nadzieją, że osiągną kiedyś swój cel. Uważano za rzecz słuszną, że obcej osobie nie wolno tu siedzieć, jeśli ktoś z właścicieli ławek nie zaproponuje jej gościny. Jeśli jednak obcy wyglądał dostatecznie przyzwoicie, to zawsze jakiś gorliwy służący kościelny potrafił znaleźć mu miejsce. Co się zaś tyczy osób, nie odpowiadających tym wymaganiom, to trafiały się one bardzo rzadko, gdyż proletariusze omijali drzwi kościoła Św. Cecylii. W dodatku kościół miał dostateczną ilość pieniędzy, aby utrzymywać na Wschodzie „misję“, której członkowie od młodych lat przygotowywali się do walki ze zdemoralizowaniem klas niższych. Ćwiczyli się tam w wytrzymałości, zanim dostawali się do prawdziwego kościoła. Towarzystwo szanowało kierowników duchownych i dalekie było od myśli wywierania na nich jakiegokolwiek nacisku; młodzi pastory sami znali doskonale prawo „doboru naturalnego“, według którego miejsca w świątyniach arystokratycznych nie otrzymywali ci z pośród nich, których sposób myślenia lub krój ubrania okazywały się niezupełnie odpowiednie. Ale pewnego razu zdarzył się zabawny wypadek: w New-Yorku ukończono budowę wspaniałego kościoła i zaproszono do niego młodego pastora, znanego ze swego krasomówstwa. Całe towarzystwo zebrało się na poświęcenie świątyni... i z zakłopotaniem zmuszone było wysłuchać prawdziwej mowy oskarżycielskiej przeciwko własnym szaleństwom i grzechom. Czy warto doda-

wać, że następnej niedzieli kościół był pusty i trwało to do tej pory, póki nie otrzymał innego przeznaczenia i sprzedany został z licytacji.

Muzyka w kościele Św. Cecylji była tak piękna, że Alicja nazwała ją „grzeszną“. Pani Winnie roześmiała się z jej obaw i zaproponowała, że zaprowadzi ją do sąsiedniego kościoła, gdzie grała pełna orkiestra i harfa, i muzyka operowa, gdzie były kadzidła i modlitwy na klęczkach i konfesjonały. Mnóstwo ludzi bawiło się w niebezpieczną grę, wpadając pod wpływy „romanizmu“, jak niemądre dzieci, które bawią się nad brzegiem przepaści. W owym kościele „kapłan“ podczas nabożeństwa nosił sutannę z trenem długości kilku metrów, ozdobioną drogocennymi kamieniami wartości wielu tysięcy dolarów. Od czasu do czasu przechodził na czele wspaniałej procesji do bocznych ołtarzów kościoła, aby obecni mogli z bliska obejrzeć jego kosztowny ubiór. Wywołało to ożywione spory w świecie kościelnym. Wydano moc broszur, omawiających zjawiska tego rodzaju, co dało bogaty materiał dla różnych intryg i kłótni.

Montague i Alicja nie skorzystali z propozycji pani Winnie: woleli sprawić sobie pospolitą przyjemność i przejechać się koleją podziemną. Ludzie należący do towarzystwa znali jedynie Madison i Fifth Avenue, gdzie znajdowały się ich pałace, ich kościoły i hotele, dzielnicę wielkich magazynów, dzielnicę teatrów i park. Przebywanie w innych częściach stolicy ryzykowali jedynie w samochodach. Gdy przejezdni zapytywali ich o giełdę, o Akwarjum, muzea, Tammany Hall i Ellis Island, starzy mieszkańcy arystokratycznej dzielnicy now-yorskiej zapytywali ze zdumieniem:

— Moi drodzy, na co wam to wszystko? Ja całe życie tu spędziłem i nie byłem tam ani razu.

Na usługi turystów istniały olbrzymie autobusy na

trzydzieści miejsc, które kursowały pomiędzy Battery i Harlem. Jeździli na nich przewodnicy, wykrzykujący tubalnym głosem nazwy osobliwości miasta. Złe języki twierdziły, że towarzystwo autobusowe urządziło w dzielnicy chińskiej specjalną palarnię opjum, a w Bowery „jaskinie gry“, które oglądali naiwni wycieczkowicze z Oklahomy i Kalamazoo. Rozumie się samo przez się, że ludziom, którym los przyznał zaszczyt należenia do wyższego towarzystwa, nie wypadało jeździć autobusem. Nie wolno im było korzystać z kolei podziemnej, aby „odpoczywać“ wśród strasznego huku w tym tunelu z kamienia i żelaza.

Montague i Alicja wyszedłszy z wagonu poszli jak najzwyczajniejsi śmiertelnicy ku grobowcowi Granta. Był to wysoki budynek marmurowy, wznoszący się nad zatoką Hudsonską, bynajmniej nie arcydzieło sztuki, ale można było pocieszyć się myślą, że nawet ów wielki człowiek nie miałby nic przeciwko niemu. Budynek przypominał krąg sera położony na skrzyni od mydła. Owe przedmioty użytku domowego nie ubliżały ani trochę pamięci najskromniejszego z bohaterów, jacy istnieli kiedykolwiek w historii ludzkości.

Z góry rozpościerał się wspaniały widok na rzekę, najładniejszy w New-Yorku. Niestety psuł go bardzo obrzydliwy rezerwoar gazowy, znajdujący się w pośrodku krajobrazu. Ale brzydota posiadała głębokie znaczenie symboliczne. Charakteryzowała całe miasto, które wyrosło zupełnie przypadkowo, bez żadnego kierunku. W tem olbrzymiem, nieforemnem i niewygodnem mieście nie można było ujrzeć nic pięknego co nie byłoby zepsute jakąś skazą. U podnóża zbiega River Drive znajdowała się okropna stacja towarowa. Po drugiej stronie rzeki — ładne ogrodzenie, zeszcpeczone kamieniolomami, oblepionemi w dodatku szyldami i reklamami. Jeśli trafił się ładny dom, wisiało na nim nieuchronnie ogło-

szenia z olbrzymiemi literami. Widoki ładnych alej szpeciły nieuchronnie wozy ciężarowe z marnemi kłaczami. Na trawniku pięknego parku rysowała się nieuchronnie postać włóczęgi w łachmanach. Nigdzie nie widać śladu organizacji ani porządku. Każdy walczył dla siebie, odpychając innych, jak się dało. Niweczyło to wrażenie tej potęgi, jaką mógł dać widok olbrzymiego miasta. Było to potworne marnotrawienie energii, podobnie, jak przy wybuchach wulkanu. Mężczyźni i kobiety umierali tam wskutek niepomiernej pracy.

Przy wyjściu z kościoła Montague spotkał sędziego Ellisa, który mu powiedział:

— Wkrótce będę musiał z panem pomówić.

Montague dał mu swój adres. Następnego dnia otrzymał od sędziego zaproszenie na obiad w klubie.

Klub sędziego znajdował się w jednym z imponujących gmachów na Fifth Avenue. Zbudowany był natchmianem po wojnie domowej. Powróciwszy do swych ognisk rodzinnych, wychudzeni i zgłodniaли bohaterowie wzięli się do roboty. Ci, których sprawy dobrze poszły, wybudowali ten dom, aby w nim odpoczywać. Widząc ich teraz, jak drzemali w głębokich fotelach skórzanych, trudno było przypuścić, że byli ongiś wygłodniałymi bohaterami. Obecnie byli to dyplomaci, mężowie stanu, finansiersi, radcy prawni, biskupowie lub wielcy działacze finansowi. W przeciągu lat przekształcili się w klasę rządzącą olbrzymiego miasta. W domu tym wszystko było imponujące i uroczyste, a wokół krążyli bezszelestnie lokaje.

Montague opowiedział sędziemu o tem, co widział w New-Yorku, z kim się zaznajomił, o ojcu, o wojnie, o ostatnich wyborach, o przebiegu swych spraw. Rozmawiając w ten sposób zabrali się do lunchu. Wreszcie, gdy byli już przy cygarach, sędzia odkaslnął i powiedział:

— Teraz pomówię z panem o pewnej sprawie. —
Montague słuchał z uwagą.

— Jeden z moich przyjaciół, — mówił sędzia, — poprosił mnie, bym mu znalazł adwokata, zdolnego do przeprowadzenia ważnej sprawy. Mówilem o tem z generałem Prentice'em i on zgadza się ze mną, że pan może się tej sprawy podjąć.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, — powiedział Montague.

— Jest to sprawa bardzo delikatna. Tyczy się ona ubezpieczenia na życie. Czy miał pan już kiedyś do czynienia z ubezpieczeniami?

— Nie. Nigdy jeszcze.

— Ja też tak sądziłem. Widzi pan, istnieją sprawy, które są mało znane szerokiej publiczności i które, powiedziałbym, nie są zupełnie zwykłe. Nie chcę używać ostrzejszego wyrażenia. Mój przyjaciel ubezpieczony jest na wielkie sumy, lecz nie jest zupełnie zadowolony z celu, na które przeznaczane są jego pieniądze. Co się zaś tyczy mnie, to moja sprawa staje się jeszcze bardziej drażliwa, ponieważ jestem członkiem zarządu towarzystwa, na które najbardziej się uskarża. Rozumie pan, co za kombinacja?

— Doskonale rozumiem. Co to za towarzystwo?

— „Wierność“, — odpowiedział sędzia.

Młodemu adwokatowi przypomniał się natychmiast Freddie Vandam, którego poznał w zamku Havensów. Było to właśnie towarzystwo Freddie'go.

— Pierwsza rzecz, o którą pana poproszę, — powiedział sędzia, — to niezależnie od tego, czy pan podejmuje się tej sprawy, czy nie, aby nie było przytem wzmianki o mnie. Moja sytuacja jest następująca: na ogólnem zebraniu zarządu sprzeciwiałem się sposobowi działania, który wydawał mi się ryzykownym, lecz na moje sprzeciwu nie zwrócono uwagi. Gdy mój przyja-

cil zwrócił się do mnie o radę, poradziłem mu, by podał skargę: tylko, że biorąc pod uwagę moją sytuację, nazwisko moje nie powinno być wymieniane. Pan rozumie o co mi chodzi?

— Tak jest. Chętnie podejmę się być ostrożnym.

— Wspaniale. Widzi pan, błąd działalności polega, krótko mówiąc, na tem: towarzystwo gromadzi olbrzymie sumy, należące prawnie do właścicieli polis. Lecz, nie bacząc na to, towarzystwo powstrzymuje dywidendy. Z dochodu korzysta zarówno dane towarzystwo, jak inne, z niem związane. Na tem właśnie, według mnie, polega niesprawiedliwość i tutaj kryje się niebezpieczeństwo.

— Oczywiście! Ale w jaki sposób może nadal trwać taki stan rzeczy? — zapytał Montague, zdumiony tą informacją, pochodzącą z wiarygodnego źródła.

— To już dawno tak trwa, — odpowiedział sędzia.

— W takim razie, jakże to pozostaje w tajemnicy?

— Jest to wiadome każdemu, kto jest poinformowany w sprawach ubezpieczeniowych. Jeśli nikt otwarcie przeciwko temu nie protestował, to dzieje się to dlatego, że siły zainteresowane w tem, aby na wieki przeciągać to bezprawie, są zbyt poważne, żeby ktokolwiek wystąpił przeciwko nim z podniesioną przyłbicą.

Montague zdwoił uwagę.

— Słucham pana, słucham, — powiedział.

— Sytuacja jest jasna: mój przyjaciel, pan Hasbrook, chce rozpocząć proces przeciwko towarzystwu „Wierność“, aby zmusić je do zwrócenia jego udziału. Pragnie on, aby proces był szybko prowadzony i żeby doszedł do Sądu Najwyższego.

— Czy w New-Yorku byłoby trudno znaleźć adwokata, który podjąłby się tej sprawy?

— Nie, nie powiem, żeby było trudno. W New-Yorku zawsze znajdują się adwokaci, gotowi podjąć się każdej

sprawy .Ale należałoby szukać człowieka, który byłby w stanie oprzeć się temu kolosalnemu naciskowi, jaki będzie na niego wywierany, ot, na czem polegałaby trudność.

— Pan mnie zdumiewa, panie sędzio, — powiedział Montague.

— Ach, panie Montague, wszystko to dzieje się dlatego, że w naszym mieście istnieje najściślejszy związek pomiędzy różnemi siłami finansowemi. Ale niewątpliwie istnieją również towarzystwa, których interesy są biegunowo sprzeczne z interesami instytucyj, które te towarzystwa kontrolują. Mogliby oni poruczyć tę sprawę własnym adwokatom, ale wówczas możnaby im łatwo zarzucić, że ci są przez nich opłacani. Dla mojego przyjaciela ważnem jest, aby proces wydawał się właśnie tem, czem jest w rzeczywistości, to znaczy sprawą jednostki niezależnej, która jednocześnie ze swemi interesami broni interesów wielu ubezpieczonych. Z tego właśnie powodu potrzebny mu jest adwokat, niezależny od nikogo, który mógłby zupełnie swobodnie poświęcić wszystkie swoje starania obronie interesów swego klienta. Dlatego też pomyślałem o panu.

— Podejmuję się prowadzenia tej sprawy, — powiedział Montague.

— Obowiązkiem moim jest uprzedzić pana o ważności decyzji, którą pan powziął. Spotkać się pan może oko w oko z potężnymi wrogami, działającymi bez żadnych skrupułów. Możliwe jest, że będą panu przeszkadzali, że nawet postarają się poderwać zaufanie do pana i tak dalej. Możliwe też, że podniosą sprawę pana uczciwości, lub roztrząsać będą w gazetach powody, któremi się pan kieruje. Wszystkie środki będą dobre, aby wyrzucić na pana presję. W każdym razie sprawa, do której pan się zabiera, należy do tych, które zwykle zniechęcają początkujących adwokatów.

Przy tych słowach Montague pobladł zlekka.

— Czy mogę mieć pewność, że fakty tak się przedstawiają, jak pan to wyłożył i że popełniono krzywdzącą niesprawiedliwość? — zapytał.

— Tak, może pan być zupełnie przekonany o tem, — odpowiedział sędzia.

Montague zacisnął pięść i uderzywszy nią w stół, zawołał:

— Zgadzam się!

Kilka minut przesiadzieli w milczeniu, następnie sędzia zaczął znowu:

— Urządę panu spotkanie z panem Hasbrookiem. Aby uniknąć nieдомówień, muszę panu wyjaśnić, że on jest dostatecznie bogaty, by godnie opłacić pana pracę. Oczekuje on od pana niemało i powinien odwdziżyć się panu odpowiednio.

— Jeszcze niedostatecznie zorientowałem się w newyorskiem życiu i wolałbym, by pan sam określił wysokość honorarjum, które mam od niego zażądać.

— Sądzę, że gdybym był na pana miejscu, zażądałbym 50 tys. dolarów zadatku. Myślę, że zgodzi się na tę sumę.

Montague o mało nie podskoczył. Pięćdziesiąt tysięcy!...

Zakreśliło mu się w głowie lecz przypomniawszy sobie swe postanowienie, że będzie prowadził sprawę bezstronnie, kiwnął poważnie głową i powiedział:

— Doskonale. Dziękuję panu. — Po chwili dodał: — Postaram się okazać godnym mego wynagrodzenia i bronić interesów mego klienta aż do całkowitego zadośćuczynienia.

— Pozostaje więc panu wypróbować swoje zdolności. Oczywiście, ja mogłem ręczyć jedynie za pańską lojalność i odwagę, — powiedział sędzia.

— Ponieważ przyjechałem dopiero niedawno, więc ja-

snem jest, że przestudjowanie sprawy będzie wymagało pewnego czasu, — powiedział Montague.

—No, oczywiście. Zobaczy pan zresztą, że pan Hasbrook zaznajomiony jest dobrze z naszym prawodawstwem. Część roboty już zrobił. W tej sprawie o wiele łatwiej jest znaleźć doradców, niż człowieka, który zgodziłby się ująć tę sprawę w swe ręce.

— Co pan chciał przz to powiedzieć? — zapytał Montague.

— Tak, tak, który zgodziłby się sięść na konia i wystrzelić, — i w tem miejscu słynny sędzia zaczął opowiadać jedną anegdotę po drugiej.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! *Pięćdziesiąt tysięcy dolarów!* Montague musiał uczynić wysiłek, aby nie wykrzyknąć tej cyfry na głos, idąc po ulicy. Nie wierzył swemu szczęściu. Gdyby miał do czynienia z osobą mniej znaną, niż sędzia Ellis, mógłby pomyśleć, że wyśmiewają się z niego. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów było to więcej, niż przeciętny adwokat prowincjonalny zarabiał przez całe swoje życie. A suma ta dopiero stanowiła zadatek w jednym procesie. Gdy przyjechał do New-Yorku otrzymanie zarobku wydawało mu się trudną sprawą. Nagle stanęła przed nim możliwość zarobku i zdawało mu się, że otworzyły się przed nim wszystkie drogi. Czuł się, jakby mu skrzydła wyrosły.

Pozostawało mu jeszcze podzielić się ze swą radością z rodziną. Przypuszczając, że brat zaniepokoiłby się, gdyby mu objaśnił całą wagę tej sprawy, Allan ograniczył się tylko do powiedzenia, że sędzia polecił go bogatemu klientowi w sprawach ubezpieczeniowych. Oliver, który nie mógł nawet podejrzewać sprawy, wykrzyknął radośnie:

— Widzisz, mówiłem ci przecież, że niema nic łatwiejszego nad zarobienie w New-Yorku pieniędzy. Trzeba tylko mieć znajomości.— Co się zaś tyczy Alicji, trak-

towała ona zawsze kuzyna, jako wielkiego człowieka, któremu wystarczyło poruszyć najmniejszym palcem u ręki, aby tłumy publiczności dobijać się zaczęły do jego kancelarji.

Ale narazie kancelarja nie była jeszcze otwarta, i należało teraz przystąpić do tego pierwszego kroku. Trzeba było się urządzić, kupić książki i zasiąść do studjowania prawodawstwa ubezpieczeniowego. Dlatego też następnego dnia udał się koleją podziemną do handlowej części miasta.

Montague zetknął się tam po raz pierwszy z prawdziwym New-Yorkiem. Dotychczas nie widział nawet śladu tego miasta. Tam gdzie mieszkał umiano jedynie spać i bawić się. Tutaj zaś było pole bitwy, na którym ludzie walczyli o swe istnienie. Uderzyła go ślepa zaciętość tej walki.

Miasto zamknięte było niby w pułapce w jednym kącie wąskiej małej wyspy. Nikt nie mógł przewidzieć, że nastąpi ciasnota. Mieszkańcy zaczęli kopać dwadzieścia tuneli, aby wybrnąć z tej sytuacji, ale wzięli się do pracy dopiero wówczas, gdy poczuli ostatecznie, że niema innego wyjścia. Obecnie zwiększająca się z każdym dniem ciasnota osiągnęła ostatnie granice. W dzielnicach handlowych cena ziemi dochodziła czasami do 4-ch dolarów za cal kwadratowy. W przeciągu kilku miesięcy wznoszono zdumiewające domy, dosiegające chmur, — 15, 20 i 25 pięter, nie mówiąc już o pięciu lub sześciu piętrach podziemnych, wykuwanych w skale. Jeden z domów miał czterdzieści dwa piętra i sięgał wysokości 200 metrów. Olbrzymy te przedzielone były wąskimi uliczkami, na których panował niebywały ścisk. Nieco dalej, na ulicach szerszych tłoczyły się pojazdy, ciężkie samochody towarowe i elektryczne tramwaje, zmuszone do posuwania się krok za krokiem w tej ciasnocie. Na skrzyżowaniach ulic tworzyły się burzliwe zatory.

Domy te przypominały olbrzymie ule, kipiące pracą i życiem. Nieskończona ilość wind podnosiła się i opuszczała co chwilę z niebywałą szybkością. Wszyscy spieszyli się dokądś. Ten gorączkowy ruch był zaraźliwy, ogarniał nawet tych, którzy nie mieli dokąd się spieszyć. Człowiek idący wolnym krokiem stawał się przeszkodą dla innych: zaczynano go na wszystkie strony popychać i obrzucać wściekłymi spojrzeniami.

Na krańcach wyspy ludzie pracowali dla samego miasta, w centrum zaś odbywała się praca dla całego świata. Każdy poszczególny pokój w tym gęszczu domów stanowił komórkę gigantycznego mózgu, przewody telefoniczne były systemem nerwowym, przekazującym myśli i przeżycia całego kontynentu. Cały ten szum działał jeszcze więcej oszalamiająco na rozum ludzki niż na słuch: było to wycie tysięcy wodospadów Niagarskich. Była tu giełda, na której wszystkie kraje robiły interesy i urząd płatniczy, w którym obracano codziennie setkami milionów. Dalej szły banki, owe kolosalne rezerwoary, do których ściekało złoto z całej Ameryki. Było to serce ogromnej sieci kolejowej, telegrafu, telefonów, kopalń, fabryk i hut. Były tu banki handlu wewnętrznego, transportu morskiego, drogocennych kamieni, towarów kolonialnych i miedzi. W jednej z sąsiednich dzielnic, gdzie sztyldów żydowskich było więcej niż w całej Palestynie, znajdował się bank fabrykacji gotowych ubrań. W innych dzielnicach znajdowały się kantory wydawnictw i gazet oraz magazyny.

Obraz ten był szczególnie uderzający z dachu drapaczy chmur, skąd rozciągał się widok na dachy niezliczonych domów i skąd ludzie wyglądali, jak mrówki. A jeśli w zimowy wieczór patrzyło się na miasto z portu, to oświetlone milionami światel wydawało się zaczarowanym zjawiskiem. Otaczał je nieprzerwany pierścień doków z promami, gigantycznymi kranami, gdzie okręty,

przybywające ze wszystkich zakątków świata, wyladowywały towary wprost w gigantyczną paszczę stolicy.

Wszystko to nie było przez nikogo planowane, powstało samo z siebie, przypadkowo, i ludzie starali się jedynie wykorzystać jaknajlepiej ten stan rzeczy. O kilka kroków od miejsca, gdzie w piwnicach o stalowych ścianach przechowywano setki milionów, zabezpieczających interesy całego kraju, znajdowały się ubogie warsztaty, pokoje umeblowane, składy i fabryki. Wieczorem, jakby na sygnał, cała ta ogromna maszyna stawała i ludzie, których wyrzucała na ulicę, tłoczyli się w przejściach, aby znaleźć się jaknajprędzej w domu. Przy mostach, na promach i na kolejach rozgrywały się rozdzierające sceny: falujące tłumy kobiet i mężczyzn wyły, przeklinały, popychały się i obdarzały wzajemnie uderzeniami. Wszelki szacunek dla jednostki ludzkiej znikał całkowicie. Tramwaje brano szturmem i odbywały się przytem starcia, przypominające grę w football: konduktorzy i policjanci puszczali w ruch pięści, lecz byli bezsilni wobec oszalałych ludzi. Kobietom robiło się słabo, depatano je nogami. Mężczyznom rozdzierano ubrania na strzępy, łamano nieraz ręce i zębra. Obcy obserwator tej zażartej walki wzdrygał się mimowoli i zadawał sobie pytanie: „jak długo jeszcze może istnieć to miasto, którego mieszkańcy siłą rzeczy dochodzili do zwierzęcego egoizmu czasów przedhistorycznych?”

Montague czułby się bardzo samotny i słaby wśród tego huraganu, gdyby nie myśl o 50 tys. dolarów, która podtrzymywała jego siły. Znalazł generała Prentice'a i pod jego kierownictwem wybrał sobie lokal. Urządził go i zaopatrzył się w niezbędne książki. Następnego dnia przyjął w nim pana Hashbrooka.

Był to nerwowy chudy człowiek o nieprzyjemnym wyrazie twarzy, lecz bardzo uświadomiony w sprawach ubezpieczeniowych. Pełen był myśli o swoich stratach,

i jeśli nawet połowa tego, o czym zapewniał, miała miejsce, to dawno już nastąpiła pora, by wtrąciły się w to władze sądowe.

Narada trwała przez cały dzień. Omówili sprawę wszechstronnie i umówili się co do tego, jak ją prowadzić. Pod koniec pan Hasbrook zauważył, że nie umówili się jeszcze wcale w sprawie wynagrodzenia pieniężnego. Młody adwokat wziął na odwagę i przemówił:

— Sądzę, że wzięwszy pod uwagę ważność tej sprawy oraz inne okoliczności, zadatek w sumie 50 tys. dolarów nie wyda się panu wygórowanym.

Mały człowiek nie drgnął nawet.

— Doskonale. Wyślę panu natychmiast pieniądze

I rzeczywiście, następnego dnia posłaniec przyniósł Montague'owi umówioną sumę w formie czeku na jeden z największych banków. Montague umieścił ją na swoim koncie i uważał, że cały świat leży u jego nóg.

Pograżył się w pracy. Całe dnie spędzał w swojej kancelarii, a gdy wracał do hotelu, zamykał się w swym pokoju. Pani Winnie była w rozpacz, otrzymując z jego strony odmowy na zaproszenia, by przyjechał i uczył się gry w bridge'a, a pani Vivie Patton napróżno próbowała zaprosić go na wesołą wycieczkę na week-end. Nieślusznem byłoby twierdzenie, że spędzał noce na pracy, podczas, gdy inni spali, z tej prostej przyczyny, że inni nie mieli najmniejszego zamiaru spać, ale mógłby śmiało twierdzić, że zagrzebał się w prawodawstwie ubezpieczeniowym, podczas gdy inni ucztowali i tańczyli. Napróżno Oliver starał się dowodzić, że jeden klient i tak mu nie wystarczy, i że dla początkującego adwokata ukazywanie się w towarzystwie jest nie mniej ważne niż wygranie procesu. Montague tak był zaabsorbowany sprawą, że nie zrobiło na nim nawet wrażenia, gdy pewnego poranku rozpieczętował list zapraszający z wielomówiącem zdaniem:

„Pani Devon prosi pana o zaszczyt przybycia do niej...” Zrozumiał z listu, że wytrzymał sławetną „próbę”, i że teraz już ostatecznie i nieodwołalnie przyjęty został do wyższego towarzystwa.

BIBLIOTEKA NAUKOWA I BELETRYSTYCZNA
ROZDZIAŁ DWUNASTY
A. GUMPOLOWICZA, Kraków, Bracka 9.

Montague był teraz kapitalistą i dlatego też stróżem wrót oportunistów. Wydawało się, że ludzie, którzy pragnęli tam wstąpić, dowiedzieli się o tem jakąś drogą okultystyczną i prawie odrazu zaczęli oblegać Montague'a.

W tydzień potem, gdy Montague otrzymał swój czek, major Thorne, którego spotkał w wieczór swego przyjazdu na zebraniu Loyal Legionu, zawezwał go do telefonu i prosił o pozwolenie zobaczenia się z nim. I tego samego wieczoru przyszedł do Montague'a do jego pokoju i po krótkiej pogawędce o starych czasach, zaczął mu wykladać swoją sprawę. Major posiadał wnuka, młodego inżyniera-mechanika, który w ciągu kilku lat pracował nad bardzo ważnym wynalazkiem — nad sposobem ładowania węgla na okręty, przy jednoczesnem ważeniu go. Zbyteczne jest dodawać, że było to zadanie bardzo skomplikowane, lecz rozstrzygnięte pomyślnie. Patent na ten wynalazek był już otrzymany i model dla wypróbowania go zbudowany. Okazało się jednak, że nieoczekiwaną trudność stanowiło zainteresowanie wynalazkiem osób oficjalnych, stojących na czele towarzystw okrętowych. Nie było żadnych wątpliwości co do praktyczności wynalazku lub oszczędności, jakie za sobą pociągnie. Lecz urzędnicy przytaczali bezsensowne argumenty, stale odwlekali sprawę i proponowali ceny, nieodpowiednie aż do śmieszności. Z tego powodu młody wynalazca powziął myśl zorganizowania towarzystwa dla budowy tych maszyn i wynajmowania ich.

— Nie wiedziałem, czy pan znajdzie potrzebną do tego sumę, — powiedział major Thorne, — lecz sądziłem, że być może jest pan w stosunkach z osobami, które uda się namówić, by wzięły udział w tej sprawie. Jeśli ktoś weźmie się do tego interesu, będzie mógł zdobyć na nim majątek.

Montague zainteresował się sprawą, zaczął rozpatrywać plany, przyniesione przez przyjaciela i oświadczył, że obejrzy model i pomówi o propozycji z innemi osobami. Z tą odpowiedzią major wyszedł.

Pierwszą osobą, z którą zdarzyło się Montague'owi pomówić o wynalazku, był Oliver. Zastał go przypadkiem na lunchu w jego klubie. Klub ten nazywał się „Całą noc“ i był lokalem hulaszczęj młodzieży i cygauerji ze środowiska milionerów, która postawiła sobie za prawo nie kłaść się spać wcześniej niż o świcie. Oliver przypuszczał, że klub ten nie jest odpowiedni dla jego brata. Lecz Montague'owi pozwolono zjeść tam lunch w towarzystwie Olivera i Reggie Manna, którzy zaszli tam przypadkowo po wizycie u panny Ridgley - Cliveden, opowiadającej o podróży cudzoziemskiego księcia. Oliver opowiedział przy okazji zabawną historję o tem, jak panna R. - C. biła się na pięści ze swoją pokojówką.

Montague wspomniał o wynalazku mimochodem, nie przypuszczając bynajmniej, by brat jego mógł mieć w tej sprawie wyrobione zdanie. Lecz Oliver miał zupełnie określone stanowisko:

— Boże drogi, czyżbyś ty, Allanie, dał się namówić do wzięcia udziału w tego rodzaju historji?

— Ale cóż ty o tem wiesz? — zapytał Montague. — Może się to okazać rzeczą bardzo dochodową.

— W samej rzeczy, — zawołał Oliver. — A co ty możesz się znać na tem? Będiesz jak dziecko w rękach innych osób i niema wątpliwości, że cię ograbią. Poco

masz iść na ryzyko, kiedy nie masz po temu najmniejszej potrzeby.

— Muszę umieścić gdziekolwiek moje pieniądze, — powiedział Montague.

— Lepiej, żebyś roztrwonił wszystkie swoje pieniądze na wodę sodową, niż żebyś kupował udział w podobnej sprawie, — oświadczył Oliver. — Poczekaj trochę, ja już potrafię umieścić twoje pieniądze i zobaczysz, że nie będzie żadnego ryzyka.

— Nie przychodziło mi nawet na myśl zabierać się do sprawy, dopóki nie będę jej pewny, — odpowiedział Montague. — Ci, których zdaniem kierowałbym się, wzięliby w tem oczywiście również udział.

Oliver zamyślił się na chwilę. — Będiesz dziś jadł obiad z majorem Venablem, prawda?

A gdy brat odpowiedział twierdząco, ciągnął dalej:

— Doskonale, w takim razie pomów z nim. Major jest już od czterdziestu lat kapitalistą i jeśli zechce wziąć udział w tej sprawie, będziesz wiedział, że warta jest zachodu.

Major Venable przywiązał się bardzo do Montague'a. Być może staremu gentlemanowi przyjemnie było mieć nowego znajomego, z którym można było plotkować i który nie słyszał jeszcze wszystkich jego anegdot. Postawił kandydaturę Montague'a do klubu „Miljonerów“, w którym sam mieszkał i zapoznał go z niektórymi członkami klubu. Wychodząc, Montague obiecał bratu, że pomówi z majorem o tej sprawie.

„Miljonerzy“ był to najpokaźniejszy klub w mieście, — klub, który wielcy bogacze wybudowali jedynie dla siebie. Mieścił się blisko parku. Był to wspaniały pałac z białego marmuru, wartości miliona dolarów. Montague poczuł, że właściwie nie znał wcale majora, dopóki go tam nie ujrzał. Major górował nad wszystkimi zawsze i wszędzie, ale w tym klubie przekształcał się w „edi-

tion de luxe“ samego siebie. Tutaj była jego kwatera główna. Przez cały rok zatrzymywał dla siebie szereg pokoiów. I atmosfera i całe otoczenie było jakgdyby częścią jego samego. Montague'owi wydawało się, że twarz majora stawiała się coraz bardziej czerwona, a purpurowe żyły na twarzy purpurowiały z każdym dniem. Być może jednak wydawało się to dlatego, że gors u koszuli starego gentlemana błyszczał jeszcze silniej w świetle lamp elektrycznych? Major przywitał Montague'a we wspianiałym hallu, wielkości pięćdziesięciu stóp kwadratowych, z podłogą z bizantyjskiego marmuru, pozłacanym sufitem i szerokimi schodami z brązu, które prowadziły na górną galerję. Major przeproszał za swe aksamitne pantofle i kulejący chód — zaczyna mu znów dokuczać przekłeta podagra. Pokuśtykał jednak na wszystkie strony i przedstawił swego przyjaciela pozostałym miljonerom, a następnie za ich plecami opowiadał przeróżne skandaliczne historie o każdym z nich.

Major był prawdziwym typem starej arystokratycznej niebieskiej krwi. Osoba jego stanowiła „noblesse oblige“ dla tych, którzy znajdowali się w zaczarowanym kole jego bliskich przyjaciół, lecz, niestety, nie dla tych, którzy byli poza tem kołem. Montague nie widział nigdy w życiu, aby ktoś odnosił się tak źle do służby, jak major Venable. „Ej, wy tam, — wołał, gdy okazywało się, że podano do stołu coś nie wedle jego życzenia, — nie mogliście zrobić już nic lepszego, niż podawać mi półmisek w takim stanie? Wynoście się i przyslijcie mi kogoś, kto potrafi podawać do stołu“. I dziwne, cała służba przyznawała mu zupełne prawo do besztania ich i wszyscy biegli ze zdumiewającą szybkością, aby wypełnić jego rozkazy. Montague zauważył, że cały personel klubowy wyłaził ze skóry, wykazywał najwyższą gorliwość wszędzie, gdzie tylko major się zjawiał. A gdy siedział przy

stole, wydawał rozporządzenia w ten sposób: „Podajcie mi teraz dwa „dry Martinis“. Potrzebne mi są w tej chwili, rozumiecie? I słuchajcie-no, nie utknijcie tam gdzie po drodze. Potrzebne mi są dwa cocktaile. Tylko prędzej, biegiem. Na jednej nodze“.

Obiad był dla majora Venable'a ważnem zdarzeniem, najważniejszym w jego życiu. Montague zrzekł się skromnie wszelkich wskazówek i siedział obserwując, jak jego przyjaciel wydawał rozporządzenia. Podano im małeńkie ostrygi, zupę cebulową, szparagi, cietrzewia, wino z własnych prywatnych zapasów majora, a następnie sałatę romaine. W sprawie każdego z tych dań major wydawał specjalne polecenia. Wśród rozmowy robił na ten temat uwagi.

— Doskonała gęsta zupa. Zupa cebulowa jest bardzo pożywna. Może pan pozwoli jeszcze zupy? Myślę, że burgund jest za zimny. Burgundzkie wino nie powinno być nigdy zimniejsze ponad pięćdziesiąt stopni. Oni zawsze zanadto wysmażają ptaka. Kucharz Robbie Wallinga jest jedynym, któremu udaje się zawsze dziczyzna.

Wszystko to mówione było oczywiście wśród roztrząsań na temat zebranych w klubie miljonerów. Oto Hawkins, adwokat ich korporacji, przemądry człowiek, zimny jak trup. Był kandydatem na stanowisko posła, bardzo zdolny człowiek. Przez długi czas był zaufanym doradcą starego Wymana i przekupywał dla niego burmistrzów. A ten, co siedzi obok niego przy stole to Harrison, wydawca „Star“, gazety administracyjnej, konserwatywnej i pozytywnej. Harrison zamierza zostać ministrem... To niezły mały człowieczek. Narobi dostatecznego hałasu w Waszyngtonie. A ten wysoki pan, który w tej chwili wszedł, to Clarke, magnat stalowy. A tam siedzi Adams, również słynny adwokat, wybitny reformator... sprawiedliwość społeczna i podobne historie. Był tajnym przedstawicielem trustu naftowego i pojechał do

Trentynu, aby sprzeciwić się pewnym reformom, zabrał ze sobą w drogę walizkę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. — Jeden z moich przyjaciół dowiedział się o tem, — powiedział major i zaśmiał się wesoło z odpowiedzi znakomitego prawnika: „Skądże mogłem wiedzieć, a może musiałbym zapłacić za swoje śniadanie“. A ten gruby człowiek obok niego, to Jimmie Featherstone, ten który otrzymał w spadku olbrzymi majątek.

— Biedny Jimmie, rozlatuje się w kawałki, — oświadczył major. — Od czasu do czasu udaje się na posiedzenie zarządu. Opowiadają o nim i o starym Danie Waterman historję, od której włosy stają dęba na głowie. Pewnego razu wstał i wygłosił długie przemówienie, ale Waterman przerwał mu: „Przecież na poprzednim zebraniu dowodził pan akurat czegoś przeciwnego panie Featherstone“. — „Czyżby? — powiedział Jimmie zmieszany. — „Nie rozumiem, dlaczego to mogłem powiedzieć?“ — „No, to ja panu powiem, panie Featherstone, jeśli pan mnie o to pyta“, — powiedział stary Dan. A Dan jest okrutny, jak dziki zwierz i nie lubi zatrzymywać się długo na posiedzeniach. — „Przyczyna tkwi w tem, że zeszłego razu pan był jeszcze bardziej pijany niż teraz. Gdyby pan zjawiał się w jednakowym stopniu pijaństwa na wszystkie posiedzenia dyrektorów naszej linii kolejowej, posunęłoby to sprawę znacznie na przód“.

Doszli do sałaty romaine. Służący podszedł z przybo-rem do sporządzania sosu. Stary gentleman, wjrzawszy go, zapomniał o Jimmie Featherstone.

— Pociście mi przynieśli ten aparat? — zawołał major. — Niepotrzebny mi. Zabierajcie to i podajcie ocet i oliwę.

Służący wybiegł przerażony, a major mruczał dalej pod nosem. Nagle rozległ się za nim głos:

— Co to z panem dzisiaj, Venable? Gdera pan.

Major podniósł oczy:

—Hallo, stary żarłoku, — powiedział, — jak się pan miewa ostatnimi czasy?

Stary żarłok odpowiedział, że miewa się bardzo dobrze .Był to tłusty mały człowieczek o skurczonej, pomarszczonej twarzy.

— Mój przyjaciel, pan Montague, pan Symmes, — powiedział major.

— Bardzo mi przyjemnie pana poznać, panie Montague, — odpowiedział pan Symmes, spojrzawszy z ponad okularów.

— Czem pan jest zajęty w ostatnich dniach? — zapytał major.

Tamten uśmiechnął się wesoło.

— Niewiele mam zajęcia, — odpowiedział. — Uwodzę z przyzwyczajenia żony mych przyjaciół.

— Która jest najostatniejsza?

—Niech pan przeczyta gazety, to się pan dowie, — zaśmiał się Symmes. — Mówiono mi, że jestem śledzony.

Przeszedł na inny koniec sali, uśmiechając się do siebie, a major powiedział:

— To jest Maltby Symmes. Słyszał pan o nim?

— Nie, — odpowiedział Montague.

—Często piszą o nim w gazetach. Dostał się niedawno pod sąd .Nie mógł zapłacić rachunku za swoje wino.

— Członek klasy miljonerów? — zaśmiał się Montague.

— Tak, gazety zrobiły z tego prawdziwy kawał, — powiedział major. — Symmes przetrwonil kilka majątków. Ostatnim był majątek jego matki — jedenaście milionów .Zdaje się, że był swego czasu miłym starym kawalerem.

Zjawila się oliwa i ocet, i major zajął się przygotowywaniem sałaty. Była to cała ceremonja i Montague przyglądał się jej z wesołym zainteresowaniem. Z po-

czątku major zebrał wszystkie potrzebne materiały, przejrzał je wszystkie i nad każdym pogderał. Następnie wsypał do octu po łyżce stołowej pieprzu i soli i polał tem sałatę. Później należało bardzo wolno i ostrożnie polewać sałatę oliwą, mieszając ją i przewracając tak, aby wszystkie liście przesiąkły oliwą. Być może dlatego, że zagłębił się w opowiadanie o eskapadach Maltby'ego Symmesa, stary gentleman długo mieszał sałatę, krzątając się nad nią, jak kuropatwa nad swemi pisklętami. Przerywał sobie po każdym zdaniu.

— Przez pewien czas była Leonora, gwiazda opery, i dał jej około dwieście tysięcy dolarów w akcjach kolei żelaznej. (Wie pan, że właściwie sałata romaine nie powinna być podawana w salaterce, lecz na czworokątnym płaskim półmisku, tak żeby koniuszki listków mogły pozostać suche). A gdy się pokłócili, artystka dowiedziała się, że ten stary oszust okpił ją... akcje nie były nigdy zapisane na jej nazwisko. (Wie pan, nie używa się widelca). Ale ona podała go do sądu i umówił się z nią wreszcie, że odda jej mniej więcej połowę wartości. (Jeśli sos jest zrobiony tak, jak trzeba, nie powinno zostać ani kropli oliwy na dnie salaterki).

Ta ostatnia uwaga wskazywała, że przygotowania doprowadzone zostały do końca. Długie kędzierzawe liście przewróciły się miłośnie po raz ostatni, a służący stał w oddaleniu z uwagą pełną czci. Major położył dwa trzy listki na mały srebrny talerzyk, przeznaczony dla Montague'a.

— A teraz, — powiedział, triumfując, — niech pan spróbuje sałaty. Jeśli jest dobra, nie powinna być ani za słodka, ani za gorzka, lecz w miarę.

I przyglądając się z niepokojem, jak Montague próbuje sałatę, powiedział:

— Jeśli jest choć odrobinę gorzkawa, niech pan po-

wie, to odeślemy ją do kuchni. Już dostatecznie często mówiłem im o tej sałacie.

Lecz sałata nie była gorzka, i major zaczął sobie nakładać, poczem służący zabrał salaterkę.

— Mówiono mi, że sałata ta jest jedyną rośliną, którą otrzymaliśmy w spadku od Rzymian, — powiedział staruszek, żując zielone kędzierzawe liście. — Jest o tem mowa u Horacjusza, wie pan. Zapomniałem powiedzieć, że wszystko to działo się w dniach młodości Symmesa. Ale gdy syn jego dorósł, ożenił się z chórzystką. Powiedział mi raz, że miał przeszło pięćset kobiet w swoim życiu.

Po sałacie major wypił jeszcze jeden cocktail. Na początku obiadu Montague zauważył, że ręce jego drżały, i oczy łzawiły się. Ale teraz po obfitej libacji, był silny i, jeśli to możliwe, jeszcze więcej przepełniony anegdotami. Montague pomyślał sobie, że teraz właśnie nadeszła pora do pomówienia o sprawie. Gdy podano kawę, zapytał:

— Czy niema pan nic przeciwko temu, abyśmy po obiedzie pomówili o pewnej sprawie?

— Jeśli to pana tyczy, to nie mam nic przeciwko temu, — powiedział major. — O cóż chodzi? Co pan ma nowego?

Montague opowiedział mu o propozycji swego przyjaciela i opisał wynalazek. Major wysłuchał spokojnie do końca. Po krótkim milczeniu Montague zapytał:

— Co pan o tem sądzi?

— Wynalazek jest nic nie wart, — rzucił krótko major.

— Skąd pan to wie? — zapytał Montague.

— Stąd, że gdyby posiadał jakąkolwiek wartość, towarzystwa wykorzystałyby go dawno, niezapłaciwszy wynalazcy ani centa.

— Ależ on ma patent, — powiedział Montague.

— Co tam patent, — odrzekł major. — Co znaczy patent dla adwokatów? Wzięliby wynalazek i wykorzystaliby go od Maine'u do Texasu. A gdyby wynalazca dochodził swych praw sądownie, skomplikowaliby mu sprawę takimi zagmatwaniami sztuczkami i kruczkami technicznymi, że po dziesięciu latach nie ujrzałby końca procesu zrujnowałby się przez ten czas dziesięć razy.

— Czy to się naprawdę zdarza? — zapytał Montague.

— Czy się zdarza! — zawołał major. — Dzieje się to tak często, że można właściwie powiedzieć, iż nie zdarza się inaczej. Najwidoczniej, ludzie, którzy uczynili panu tę propozycję, próbują pana oszukać.

— To niemożliwe, — odpowiedział Montague. — Propozycja ta pochodzi od mego przyjaciela.

— Mam doskonały system — nigdy nie wdawać się w interesy z przyjaciółmi.

— Ale niechże pan posłucha, — oświadczył Montague. — I zaczął tak długo dowodzić, że rozmówca jego przekonał się o błędności swego przypuszczenia. Wówczas major, pomilczawszy ze dwie minuty, zawołał niespodzianie:

— Zrozumiałem już. Teraz widzę, dlaczego ten wynalazek nie nadaje się dla nich.

— O cóż chodzi?

— Towarzystwa węglowe... dają okrętom nieściskłą wagę i nie chcą, aby wążono węgiel dokładnie.

— Ależ to niema sensu, — powiedział Montague. — Przecież towarzystwa okrętowe nie chcą korzystać z tego wynalazku.

— Tak, — powiedział major. — To zrozumiałe. Ich urzędnicy dzielą się między sobą. — I zaśmiał się wesoło, widząc zdumienie Montague'a.

— Czy pan wie coś o tej sprawie? — zapytał Montague.

— Absolutnie nic, — odpowiedział major. — Jestem,

jak Niemiec, który zamknął się w swej świadomości wewnętrznej i wywnioskował kształt słonia z zasad pierwotnych. Gra wielkich przedsiębiorstw jest mi znana. I powiadam panu, jeśli wynalazek jest dobry, a towarzystwa nie chcą go brać, to przyczyna leży właśnie w tem. I gotów jestem założyć się z panem, że gdyby pan przeprowadził śledztwo, to nic podobnego nie wyszłoby na jaw. Zeszłej zimy jechałem okrętem na południe, i gdy zbliżyliśmy się do portu, widziałem jak z okrętu wyrzucono za burtę tonnę lub może dwie dobrych produktów. Zacząłem tę sprawę badać i dowiedziałem się, że jeden z urzędników towarzystwa okrętowego, który posiadał farmę i dostarczał okrętom produktów żywnościowych wydał rozkaz, aby przy każdym rejsie wyzbywać się takiej a takiej ilości produktów.

Montague wpadł w przygnębienie.

— Co mógłby major Thorne poradzić przeciwko tej kombinacji? — zapytał.

— Nie wiem, — odpowiedział major, wzruszając ramionami. — Należałoby pomówić z adwokatem, z takim adwokatem, który zna się na tych sprawach. Hawkins mógłby wymyślić, co na to poradzić. Zdaje mi się, że poradziłby panu przeprowadzić strajk wśród ładowaczy węgla, związać w ten sposób ręce towarzystwom okrętowym i doprowadzić je do zgody z panem.

— Pan żartuje! — zawołał Montague.

— Bynajmniej, — oświadczył major, śmiejąc się znowu. — Stale się to praktykuje. W New-Yorku istnieje trust budowlany. Usunął on ze swej drogi wszystkich swoich konkurentów właśnie zapomocą strajku, przeprowadzonego na ich budowlach.

— Ale jakże oni to mogli zrobić?

— Najłatwiejsza rzecz w świecie. Przywódca robotników jest człowiekiem o wielkiej władzy i bardzo małym zarobku. A jeśli nie zechce sprzedać swoich, to istnieją

jeszcze inne sposoby. Mógłbym pana zaznajomić z osobą, która znajduje się teraz w tym pokoju. W przedsięwzięciu jego wybuchł wielki strajk w bardzo niedogodnym dla niego momencie. Ale człowiek ten wyszedł przewodniczącego związku, który pojechał z kobietą do hotelu. Biedaczysko zgodził się na wszystko i przerwał strajk.

— Wydaje mi się, że strajkujący działają niekiedy na swoją korzyść — powiedział Montague.

— Czasami tak, — uśmiechnął się major. — Ale i dla tych wypadków istnieje ustalony proceder. Wówczas wynajmuje pan agentów, którzy prowokują rozruchy, wzywa pan policję i wsadza pan wódzów do więzienia.

Montague nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Program wydawał się wyczerpujący.

— Ot, co, — ciągnął poważnie major. — Radzę panu jak pański przyjaciel i mówię z punktu widzenia człowieka, który ma w kieszeni pieniądze. Miałem je tam zawsze, lecz musiałem wiele pracować nad tem, aby je utrzymać w kieszeni. Przez całe moje życie otaczali mnie ludzie, którzy według ich słów pragnęli dla mnie dobra. A sposoby do których przybiegali, aby mi to dobro wyświadczyć, polegały na tem, żeby moje prawdziwe pieniądze zamienić na arkusze papieru z wydrukowanymi na nich fantastycznymi ozdobami, orłami i chorągwiami. Oczywiście, jeśli popatrzeć na to z drugiej strony, wynalazek jest bezwątpienia mądry. Teraz właśnie kwitnie handel, a my żyjemy w wielkim kraju, w którym zasługi osobiste ceni się najwięcej. Wszystko pozostałe zaś przedstawia się jaknajlepiej. Cała różnica, wie pan, polega jedynie na tem, czy człowiek konia kupuje, czy też go sprzedaje.

Montague zauważył ze zdumieniem, że tego rodzaju buntownicze mowy charakterystyczne były dla ludzi tych dumnych wyżyn. Była to jedna ze swobód, którą przy-

swoili swej sytuacji. Wydawcy, biskupi, działacze państwowi i wszyscy ich pozostali zwolennicy powinni byli wierzyć we wszystko, co było szacownego i godnego szacunku nawet w intymnej atmosferze ich klubu, — słuch ludu stawał się temi czasy strasznie chwytki. — Ale gdy człowiek dostał się do środowiska finansistów-gigantów, można było sądzić, że znajduje się w towarzystwie rewolucjonistów. Rozsadzali szczyty gór i ciskali jedno na drugie. Gdy jeden z takich starych koni bojowych ruszył z miejsca, zaczynał opowiadać o takich djabelskich sprawach i paskudztwach, że mogły wstrząsnąć duszę nawet najbardziej zażartego miłośnika brudów. Rozumie się samo przez się, że mowa była zawsze o kimś innym. Lecz gdybyście spróbowali przycisnąć rozmówcę do ściany i gdyby on sądził, że może wam zaufać, — przyznałby się, że czasami i on również walczył z wrogiem jego bronią. Ale oczywiście, trzeba było zrozumieć, że cały ten radykalizm polegał jedynie na słowach. Majorowi, na przykład, nigdy nie przyszło nawet na myśl, aby przedsięwziąć cośkolwiek przeciwko temu złu, o którym opowiadał. Gdy rozmowa dochodziła do tego, aby działać, proponował postępować tak, jak on postępował przez całe swoje życie, t. j. nie ruszając się z miejsca, siedzieć mocno na małym stosie nagromadzonych pieniędzy.

—Niech pan spojrzy na ten stary worek pieniędzy w kącie sali, — powiedział major. — To człowiek, którego powinien pan sobie zapamiętać, stary Henry S. Grimes. Słyszał pan o nim?

— Nie przypominam sobie dokładnie.

— To wuj Laury Hegan. Otrzyma ona kiedyś i jego pieniądze... Ale Boże drogi, jak on się ich trzyma, dopóki żyje. Jeśli pan się z nim bliżej zapozna, zobaczy pan, że boi się on własnego cienia. To wydaje się już tragiczne. Wynajmuje mieszkania w dalekich głuchych ulicach,

i myślę, że ekamituje stamtąd miesięcznie więcej ludzi, niż mogłoby się pomieścić w tym budynku.

Montague spojrział na samotną postać przy stole, postać o małej pomarszczonej twarzy, przypominającej łasicę. Wkoło szyi zawiązaną miał serwetkę.

— To poto, aby gors pozostał czysty i na jutrzejszy dzień, — wyjaśnił major. — Ma w rzeczywistości około sześćdziesięciu lat, lecz możnaby pomyśleć, że ma już całe osiemdziesiąt. Trzy razy dziennie przychodzi tu do sali jadalnej, lecz całe jego pożywienie składa się z sucharów Grahama i mleka, po spożyciu których wstaje od stołu i siedzi nieruchomo w fotelu w przeciagu godziny. Taki tryb życia przepisali mu lekarze... wszyscy święci, ratujcie mnie. — Stary gentleman zamilkł i śmiech wstrząsnął jego purpurowemi policzkami.

— Niech pan tylko pomyśli, — powiedział, — lekarze próbowali postępować w ten sposób również i ze mną. Ale nie, moi państwo: — gdyby Bob Venable miał jeść suchary Grahama i mleko, wyspałby do niego arszeniku zamiast cukru. Oto jak wygląda życie wielu z pośród tych bogatych ludzi. Wyobrażacie sobie, że żyją wśród luksusu, a w rzeczywistości są to ludzie chorzy na wątrobę, o słabych żołądkach, których pakuja do łóżka o godzinie dziesiątej wieczór z gorącym okładem na brzuch i flanelową szlafmycą na głowie.

Obaj rozmówcy wstali i przeszli do palarni. Lecz nagle otwarły się jedne z drzwi i weszła przez nie grupa mężczyzn. Na czele ich znajdowała się niezwykła postać, wielkie potężne cielsko o okrutnej twarzy.

— Hallo, — zawołał major. — Wszystkie wielkie straszdyła są dziś obecne. Odbędzie się chyba zebranie gubernatorów.

— Kto to? — zapytał Montague.

— To? To jest Dan Waterman.

Dan Waterman. Montague przyjrzał mu się uważniej

niz komukolwiek i teraz dopiero spostrzegł podobieństwo jego do fotografii, które widział. Waterman — kolos finansowy, krezus miedzi i złota. Ileż to trustów organizował Waterman. I ile kalamburów puszczonego na jego rachunek.

— A kto są pozostali? — zapytał Montague.

— Ee, poprostu drobni miljonerzy, — brzmiała odpowiedź.

„Drobni miljonerzy“ szli za Watermanem, jak członkowie gwardji przybocznej. Jeden z nich, niewielkiego wzrostu i gruby, biegł prawie, aby nie pozostać w tyle za wielkimi krokami Watermana. Gdy doszli do szatni, usunęli służbę i jeden z nich pomógł wielkiemu człowiekowi włożyć palto, drugi trzymał jego kapelusz, trzeci laskę, a dwu innych próbowało z nim mówić. Ale Waterman zapiął dokładnie palto, następnie chwycił kapelusz i laskę i, nie powiedziawszy do nikogo ani słowa, wyskoczył za drzwi.

Było to jedno z najzabawniejszych widowisk, jakie Montague widział w swem życiu. Ze śmiechem udał się do palarni. Gdy major Venable zasiadł w wielkim fotelu i odgryzłszy koniuszek cygara, zapalił je, co za tama wspomnień przerwała się w nim.

Dan Waterman był z tego samego pokolenia co i major, i Venable znał całe jego życie i wszystkie jego przyzwyczajenia. Takim, jakim go Montague ujrzał w tej chwili, Waterman był zawsze: porywczy, władczy, surowy, traktujący nogami każdą opozycję. Najpotężniejsi ludzie w mieście drżeli pod jego przenikliwym spojrzeniem. Dawniej w całej Wall Street unosił się dym od starć pomiędzy nim a najpotężniejszym jego przeciwnikiem.

I major zaczął opowiadać o konkurencie Watermana i o jego życiu. Król komunikacji miejskiej, stary Wyman, stworzony został przez niego. Waterman był poli-

tycznym kierownikiem finansistów, stał na czele partji demokratycznej w stanie i w całym państwie. Wydał pewnego razu ćwierć miljona dla przywódcy Tammany Hall i stracił miljon na samą kampanję wyborczą. W dniu, gdy okręgowi organizatorzy zjawiali się po otrzymanie funduszków wyborczych, widzieli stół długości czterdziestu stóp, cały pokryty banknotami po sto tysięcy dolarów. Mógłby być najbogatszym człowiekiem w Ameryce, gdyby nie wydawał swych pieniędzy równie szybko, jak je zdobywał. Posiadał najślynniejszą stajnię wyścigową, a dom jego na Fifth Avenue był, według pogłosek, najzbytłowniejszym pałacem włoskim na świecie. Wydano przeszło trzy miljony na jego wykończenie. Wszystkie sufity przywiezione zostały w niekniętym stanie z pałaców zagranicznych, które kupował i rozwał. Major opowiedział, jak tego rodzaju człowiek zatracą wszelkie pojęcie o wartości pieniędzy. Siedział pewnego razu z Watermanem przy lunchu, gdy wszedł wydawca jednej z jego gazet i powiedział: „Mówiłem, że będzie pan musiał dać osiem tysięcy dolarów, a pan przysłał czek na dziesięć tysięcy“. — „Wiem o tem, — odpowiedział Waterman z uśmiechem, — ale wydawało mi się trudniej napisać osiem niż dziesięć“.

— Stary Waterman lubi też wyrzucać pieniądze, — ciągnął dalej major. — Powiedział mi pewnego dnia, że wydaje pięć tysięcy dolarów dziennie tylko na swoje zwykłe wydatki. A nie wchodzi tu jeszcze jacht wartości miljona dolarów i wydatki na jego utrzymanie.

— Znam też innego człowieka, który stracił miljon dolarów na granitowy most, aby mógł przybijać do brzegu i widywać się ze swoją kochanką. Była to dama bardzo znana w towarzystwie, ale biedna i nie odważał się wzbogacić jej w obawie skandalu. Dlatego musiała mieszkać w marnej willi za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i gdy inne dzieci wysmiewały się z jej dzieci, że miesz-

kają w biednej willi, te odpowiadały: „Ale zato my mamy własny most“. — A jeśli mi pan nie wierzy...

Major obejrzał się nagle i zauważył boya, który przyniósł mu pudło cygar i stał w pobliżu, udając, że segreguje gazety na stole.

— A to co takiego, mój panie! — zawołał major. — Zachciało ci się podsłuchiwać! Wynoś się stąd w tej chwili, ty nicponiu jeden!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Jeszcze jeden tydzień dobiegał końca i nadeszło zaproszenie od Lester Toddsów, aby ich odwiedzić w majątku w New Jersey. Montague zagrzebał się w swoich książkach, lecz brat wyciągnął go gorącymi protestami. „Niech djabli wezmą jego proces! Czyżby chciał zmarnować całą swoją karierę z powodu jakiegoś jednego klienta? W każdym razie powinien widywać się z ludźmi, z którymi należy się liczyć. A Toddsowie należą właśnie do tego rodzaju ludzi: posiadają olbrzymie pieniądze i cieszą się wielkim wpływem w świecie ubezpieczeniowym. Jeśli Montague chce być adwokatem w sprawach ubezpieczeniowych, to nie może poprostu odmówić ich zaproszeniu. Freddie Vandam też u nich będzie“. — i Montague uśmiechnął się na wiadomość, że Betty Wyman będzie tam również. Zauważył, że zawsze składało się tak, że brat jego jeździł z wizytą na week-end tam, gdzie miała być Betty i gdzie nie było jej dziadka.

A więc służący Montague'a spakował jego rzeczy, a pokojówka Alicji — jej walizki. I pojechali do oddalonego przedmieścia Jersey. Jak wicher pomknęli samochodem po szerokiej drodze ku pałacowi na szczycie góry. Mieszkał tam wyniosły Lester Todds, a na sąsied-

nich wzgórzach rozrzucone były budynki samych ultra bogaczy, którzy schronili się do tej samotnej miejscowości. Byli nadzwyczaj „odosobnieni“ i udawali, że patrzą z pogardą na męskie towarzystwo. Posiadali swe własne przyjemności i rozrywki przez okrągły rok. Latem odbywał się u nich na otwartym powietrzu pokaz koni, a jesienią polowano w dziwacznych ubiorach na lisy. Lester Toddsowie byli zapalonymi prześladowcami wszelkiego rodzaju dziczyzny w różnych lasach i prywatnych zwierzyńcach. Jeździli wszędzie zależnie od sezonu, od Florydy i Północnej Caroliny do Ontario, zbaczając przypadkowo ku Norwegji, Nowego Brunświku i Kolumbji Brytyjskiej. W swym majątku posiadali całą górę z dziewiczym lasem, troskliwie ochranianym.

A w pałacu ich zbudowanym w stylu renesansowym, który niedbale nazwali „leśniczówką“, można było znaleźć takie przedmioty, jak stół wartości dziesięciu tysięcy dolarów z krzesłami po dwa tysiące dolarów każde i zupełnie zwyczajne na pozór dywany po dziesięć tysięcy i dwadzieścia tysięcy dolarów. O wszystkich tych cenach można się było łatwo dowiedzieć z mnóstwa artykułów w gazetach opisujących dom, które zebrane zostały w albumie i leżały w hallu. W soboty popołudniu pani Todds przyjmowała sąsiadów w szarej pastelowej sukni. Na gorsie sukni widniały wyszyte jedwabiem pawie z drogocennymi kamieniami na każdym piórze i brylantami - soliterami zamiast oczu. A wieczorem bywały tańce i pani domu zjawiała się w sukni z wyszytymi na niej kilkoma setkami brylantów, i stawiała na dywaniku, usianym brylantami.

Montague zdecydował, że jest to najbardziej wyszukane koło z tych, które widział dotychczas. Jedli więcej, pili więcej i intrygowali jawniej niż wszyscy inni. Uczył się powoli specjalnego żargonu, którym mówiono w wielkim „świecie“, lecz ci ludzie posiadali tak wielką

ilość swoistych wyrażen, że czuł się wśród nich, jakby zagubiony.

Była tu pani Harper, która przybyła z Londynu przez Chicago. Jej żargon zdumiał Montague'a jeszcze bardziej. Goszczenie u siebie pani Harper należało do niezwykłych przywilejów. U siebie przyjmowała ona z pompą, przypominającą przyjęcia u królowej Wiktorji. Utrzymywała z pół tuzina domów i posiadała w Szkocji sto tysięcy akrów lasów dla polowania. Specjalnością jej było kolekcjonowanie klejnotów, które należały ongiś do romantycznych i legendarnych królowych. Na balu u Toddsów zjawiała się w naszyjniku brylantowym, który pokrywał cały przód jej stanika, tak że dosłownie ubrana była w blaski. Przybyła z nią jej przyjaciółka, angielfka, pani Percy, która towarzyszyła jej w tryumfach po dworach i wielkich miastach Europy. Nosila na sobie słynny łańcuszek do lornetki, w którym znajdowało się po jednym egzemplarzu najrzadszych i najcenniejszych drogich kamieni. Pani Percy miała suknię z złotej tkaniny, pokrytej koronkami weneckimi, stanowiącemi cały majątek. Suknia ta wywołała olbrzymią sensację, póki nie rozeszła się pogłoska, że była to tylko kopja tualety, którą pani Harper nosila na balu u księżny w Londynie. Lady z Chicago za nic w świecie nie zjawilaby się dwa razy w tym samym stroju.

Alicja bawiła się u Toddsów bardzo wesoło. Wszyscy mężczyźni zakochali się w niej, w szczególności pewien młodzieniec, nazwiskiem Fayette; ten rzucił się do jej nóg. Posiadał wielki majątek, lecz niestety uzyskał go w ten sposób, że uciekł z bogatą dziewczyną (była ona obecna w liczbie gości) i dlatego z praktycznego punktu widzenia adoracja jego nie była pożądaną dla Alicji.

Montague musiał sam zorientować się w tem, gdyż brat jego zajęty był wyłącznie Betty Wyman. Całe towarzystwo żartowało z tego, jak zręcznie tych dwoje

znikało w przerwach pomiędzy jedzeniami. Montague w drodze powrotnej poczuł się w obowiązku zwrócić się do brata z kilku przyjacielskimi pytaniami.

— Jesteśmy o tyle zaręczeni, o ile to możliwe, — odpowiedział mu Oliver.

— A kiedy masz nadzieję ożenić się z nią?

— Boże drogi, — powiedział, — nie wiem. Stary nie dałby jej teraz ani grosza.

— A ty nie mógłbyś jej utrzymać?

— Ja? Boże mój, Allan, czyż ty naprawdę przypuszczasz, że Betty zgodziłaby się żyć w biedzie?

— A ty pytałeś ją o to?

— Nie mam jej poco pytać. Dziękuję. Nie mam najmniejszej ochoty mieszkać w chacie z kobietą wychowaną w pałacu.

— Co w takim razie zamierzasz?

— Betty ma bogatą ciotkę, która jest w zakładzie dla warjatów. Następnie i ja robię pieniądze, jak ci wiadomo. Zresztą i na starego przyjdzie nareszcie koniec. A tymczasem, jak wiesz, spędzamy przyjemnie czas.

— Widocznie nie jesteś tak bardzo zakochany, — powiedział Montague, na co brat odpowiedział wesoło, że zakochani są o tyle, o ile im się to podoba.

Rozmowa ta miała miejsce w poniedziałek wieczór w wagonie kolei żelaznej. Zauważywszy, że brat znowu się nachmurzył, Oliver zapytał:

— Zdaje mi się, że znowu chcesz zagłębić się w swoje książki. Musisz odstąpić mi jeden wieczór w tym tygodniu. Będziemy na obiedzie, który posiada olbrzymie znaczenie.

— Gdzie? — zapytał Montague.

— O, to jest długa historia, — powiedział Oliver. — Opowiem ci to kiedyś. Ale przedewszystkiem musimy się umówić w sprawie następnego tygodnia. Nie zapom-

niałeś chyba, że jest to tydzień Bożego Narodzenia, i nie pozwolimy ci przez cały czas pracować.

— Ale to niemożliwe! — zawołał Montague.

— Właśnie, że możliwe, — powiedział twardo Oliver. — Przyjąłem dla ciebie zaproszenie od Eldridge Devonów.

— Na cały tydzień?

— Na cały. I będzie to dla ciebie najważniejsze z tego, coś dotychczas uczynił. Pani Winnie zamierza zabrać nas wszystkich samochodem. Zawrzesz tam mnóstwo niezbędnych dla ciebie znajomości.

— Oliver, ja poprostu nie mogę jechać, — protestował Allan w rozpacz. W przeciągu kilku minut dowodził, i wyjaśniał bratu co ma do roboty. Lecz Oliver poprzestał na przekonaniu, że tam gdzie są chęci, jest i możliwość. Niemożliwe jest odmówić zaproszeniu na spędzenie Bożego Narodzenia u Eldridge Devonów.

I rzeczywiście, okazało się, że Montague mógł pojechać. Pan Hasbrook zawiadomił Montague'a, że znaczną część roboty już zrobił i że prześle mu papiery. I gdy Montague przyszedł tego ranka do kancelarji, już je tam zastał. Była to paczka zawierająca kilka tysięcy stron. Przejrzawszy je, ujrzał ku swemu najwyższemu zaskopotaniu, że było to całkowicie gotowe pozwanie do sądu, ze wszystkimi potrzebnymi załącznikami i danymi. W papierach tych było pracy nie mniej niż za dzieśnięć — piętnaście tysięcy. Montague siedział zupełnie oszołomiony, przewracając kartki przepisane starannie na maszynie. Mógł oczywiście pozwolić sobie na wyjazd na Boże Narodzenie, jeśli wszyscy jego klienci będą z nim tak postępowali, jak ten.

Czuł się nieco dotkniętym, gdyż jeszcze przedtem przygotował sobie coś niecoś z tego, co znalazł w przysłanych papierach i dumny był z tego trochę. Widocznie w sprawie tej nie miał być niczem innym, jak tylko

figurantem. Podszedł do telefonu, wywołał pana Hasbrooka i zapytał go, co jego zdaniem powinien uczynić z temi papierami?

Czy ma poprostu przyjąć te papiery jako wskazówki, któremi ma się kierować? Nikt nie mógłby odpowiedzieć z większym szacunkiem, niż pan Hasbrook. Papiery przysłane zostały Montague'owi do wykorzystania. Może uczynić z niemi co zechce. Może je zużytkować, lub też użyć jako podstawę dla swej własnej pracy. W ten sposób Montague uważał za możliwe posłać swą zgodę na otrzymane przed chwilą formalne zaproszenie od Eldridge Devonów.

Tegoż samego dnia zawezwał go do telefonu Oliver i zawiadomił, że nazajutrz odbędzie się obiad, i że zajdzie po brata o godzinie ósmej wieczorem. — Będzie to u Evansów, — dodał Oliver. — Znasz ich?

Montague słyszał o tem nazwisku, jako o przedstawicielu całej grupy zachodnich kolei żelaznych. — Czy o nim mówisz? — zapytał.

— Tak, — odpowiedział brat, — oni są dziwacy, ale tam są pieniądze. Przyjadę po ciebie wcześniej i wszystko ci wytłumaczę.

Lecz wyjaśniło się to wcześniej. Następnego dnia po południu zjawila się u Montague'a klientka. Była nią pani Winnie Duval. Okazuje się, że znowu ktoś zapisał jej jakieś pieniądze. Na papierach było mnóstwo pieczęci z czerwonego laku, i prosiła nowego adwokata, aby się tem zajął.

— Mam nadzieję, — powiedziała, — że weźmie pan większą sumę dla zachęty do dalszej pracy. Ten spadek to drobnostka, sto tysięcy, czy też więcej, po zapomnianej ciotce z Zachodu.

Rozmowa o interesach została ukończona i gdy pani Winnie zapytała Montague'a, czy ma już zaproszenie na

dzisiejszy wieczór, posłużyło to za powód do wspomnienia o Evansach.

— O nieba, — zawołała ze śmiechem pani Winnie, — Ollie pana tam zawozi? Będziecie się wesoło bawili...

— Pani ich zna? — zapytał Montague.

— Broń Boże, — brzmiała odpowiedź. — Nikt ich nie zna, ale każdy wie o nich. Mój mąż spotyka się ze starym Evansem, oczywiście tylko przy interesach i uważa, że to jest porządny człowiek. Ale rodzina... Boże drogi...

— Jak liczna jest ich rodzina?

— Cóż, jest tam stara lady, dwie córki dorosłe i syn. O synu powiadają, że to wspaniały chłopak, stary wziął go w swoje ręce i kazał pracować w sklepach. Ale co się tyczy córek, zdecydował, że to nie jego sprawa, umieścił je w francuskim pensjonacie i, powiadam panu, są to najbardziej oszlifowane wzory istot ludzkich, jakie pan kiedykolwiek w życiu spotkał.

Wydało się to Montague'owi ciekawem.

— Ale nacóż są oni potrzebni Oliverowi? — zapytał ze zdziwieniem.

— Nie oni są mu potrzebni, ale on im. Starają się zapamiętać przedostać do wielkiego świata. Przyjechali do miasta właśnie dlatego, żeby się dostać do „towarzystwa“.

— Chce pani przez to powiedzieć, że płacą Oliverowi?

— Tego nie wiem, — odpowiedziała pani Winnie ze śmiechem. — Niech pan zapyta Ollie'go. Otacza ich mnóstwo osób, które zwykle krążą wokół bogaczy i zbierają, co się da.

Na twarzy Montague'a przebijało cierpienie. Spostrzegła to i wyciągnęła doń rękę nagłym ruchem.

— O, obraziłam pana.

— Nie, — powiedział, — to nie jest ściśle. Nie obraziłem się, ale niepokoi mnie mój brat.

— Pod jakim względem?

— Otrzymuje niewiadomo skąd moc pieniędzy i nie wiem co to ma znaczyć.

Pani Winnie siedziała kilka minut w milczeniu i obserwowwała go.

— Czy on nie miał nic, kiedy tu przyjechał? — zapytała.

— Nie wiele.

— Dlatego o to pytam, — ciągnęła dalej, — że jeśli nie miał dużo pieniędzy, to bardzo mądrze pokierował swojemi sprawami. Myśmy wszyscy sądzili, że posiada majątek.

Znowu zapanowało milczenie. Następnie pani Winnie powiedziała niespodziewanie:

— Wie pan, pan ma inny stosunek do pieniędzy, niż my w New-Yorku. Czy pan wie o tem?

— Nie jestem zupełnie przekonany, — odezwał się. — Co pani chce przez to powiedzieć?

— Pan traktuje pieniądze w sposób przestarzały. Według pana, człowiek powinien zarabiać pieniądze, powinny one być dowodem, że coś robił. A z nas nikt nie zapracował swych pieniędzy. Poprostu otrzymaliśmy je. I nigdy nie wpada nam do głowy myśl, że inni powinni pieniądze zarabiać. Interesuje nas tylko, czy mają pieniądze, czy też nie.

Montague nie powiedział tej kobiecie, jak mądrą wydaje mu się jej uwaga. Obawiał się, że byłoby niedelikatne nie zgodzić się z nią.

— Evansowie byli o wiele zabawniejsi dawniej niż teraz, — zaczęła pani Winnie po chwili. — Kiedy zjawili się rok temu w mieście, byli poprostu dziwaczni. Znajdował się z nimi młody Anglik, który był ich sekretarzem, najmłodszy syn jakiejś zbankrutowanej starej rodziny. Mój brat znał jednego z ich krewnych na Zachodzie i ten opowiadał, co to były za tortury. Młody

Anglik siedział zazwyczaj przy stole i robił uwagi pod adresem członków rodziny: „Łyżeczkę do lodów niech pani trzyma w prawej ręce, panno Mary“. — „Nigdy nie należy prosić o dodatkową porcję zupy, panie Robertcie“, — „Panno Anno, niech pani zawsze trzyma łyżkę od zupy trochę dalej od siebie, o tak jest lepiej“.

— Zdaje mi się, że będzie mi ich żal, — powiedział Montague.

— O, niema ich pan czego żałować, — odpowiedziała szybko, — dobiją się tego, czego chcą.

— Tak pani sądzi?

— Bezwątpienia dobiją się. Mają pieniądze, jeżdżą zagranicę i uczą się. I będą się dobijali swego, póki im się nie uda. Cóż mogą robić innego? Prócz tego, mój mąż twierdzi, że stary Evans staje się siłą na Wschodzie. Tak, że wkrótce nikt nie ośmieli się ich obrażać.

— Czyżby to tak wpływało? — zapytał Montague.

— Ja myślę, że wpływa, — zaśmiała się pani Winnie. — Okazało się niedawno.

I opowiedziała o pewnej znakomitej lady, która ośmieliła się obrazić córki wielkiego magnata. Magnat zemścił się w ten sposób, że zepchnął męża tej lady z wysokiego stanowiska służbowego. Jest to system, którym posilkują się często wielcy finansiści. Mówi się, że walka to sprawa mężczyzn, ale najczęściej okazuje się, że sprężyną działającą są intrygi kobiece. Złarzało się, że na Wall Street, na giełdzie następował popłoch, a wywołany był kłótnią dwóch wpływowych bogaczy o kochankę. Jeśli pan dowie się, że ktoś dostał się nagle na wysokie stanowisko, to znaczy, że żona jego sprzedała się, aby pchnąć naprzód męża.

Pani Winnie odwiozła Montague'a do miasta swoim samochodem. Zaczął przebierać się do obiadu. Gdy przyszedł Oliver, brat zapytał go:

— Czy to ty starasz się wprowadzić Evansów do towarzystwa?

— Kto ci o nich opowiadał? — zapytał Oliver.

— Pani Winnie.

— Co ona ci mówiła?

Montague powtórzył mu jej słowa i brat jego był najwidoczniej zadowolony.

— Sprawa nie wygląda tak poważnie, — odpowiedział. — Pomagam im od czasu do czasu.

— Co dla nich robisz?

— Ot, daję im różne rady, najczęściej mówię dokąd pójść i co włożyć. Kiedy po raz pierwszy przyjechali do New-Yorku, ubrani byli jak papugi, wyobraź sobie, — Oliver roześmiał się. — Daleki jestem od znęcania się nad nimi. A gdy słyszę, że inni się z nich śmieją, dowodzę im, że Evansowie z pewnością osiągną swój cel i okażą się niebezpiecznymi wrogami.

— Oni ci płacą za to wszystko?

— Ty nazwiesz to może płacą, — odpowiedział brat. — Stary od czasu do czasu przepisuje na mnie jakieś akcje.

— Przepisuje na ciebie akcje? — powtórzył Montague, i Oliver wyjaśnił mu o co chodzi.

Był to jeden ze zwyczajów, ustalonych w towarzystwie, w którym ludzie nie muszą zarabiać swych pieniędzy. Otrzymujący nie powinien nic tracić i nie ryzykować. Tylko ten inny kupuje akcje na jego nazwisko i gdy pójdą w górę, posyła mu czek na gotówkę. Wiele osób, które obraziłyby się na bezpośrednią propozycję pieniędzy, zgadza się z przyjemnością na to, że potężny przyjaciel zaproponował im przepisanie na ich nazwisko setki akcji. Był to sposób łapówki praktykowany w „wielkim świecie“. Sposób ten pożyteczny był w stosunkach z poważnymi ludźmi, których dobre zdanie o tych lub innych akcjach było pożądane, lub też działa-

czami politycznymi i prawodawcami, których głosy mogły pomóc do zrobienia kariery. Każdy kto chciał dostać się do „towarzystwa“, musiał rozrzucić wokół wiele takich „podarków“.

— Oczywiście, — dodał Oliver, — specjalnem pragnieniem całej rodziny Evansów jest, bym przekonał Robbie'ego Wallinga, żeby ich przyjmował. Myślę, że gdyby mi się to udało, mógłbym dostać od nich całe pół miliona.

Na wszystko to Montague odpowiadał tylko:

— Rozumiem, rozumiem.

A więc tak się urządzano w New-Yorku. Oto dlaczego można było płacić trzydzieści tysięcy dolarów za pokój i trzydzieści tysięcy za ubrania. Nic dziwnego, że lepiej spędzić tydzień Bożego Narodzenia z Eldridge Devonami, niż zagłębiać się w studjowaniu ksiąg prawniczych.

— Jeszcze jedno pytanie, — powiedział Montague. — Poco chcesz mnie zapoznać z Evansami?

— Cóż, — odpowiedział brat. — Tobie to nie zaszkodzi: będzie cię nawet bawiło ich towarzystwo. Widzisz, oni słyszeli, że mam brata, i prosili mnie, żebym cię przywiózł do nich. Nie mogłem cię przecież wiecznie ukrywać.

Cała ta rozmowa miała miejsce podczas jazdy za miasto. Dom Evansów znajdował się na Riverside Drive. Gdy Montague wysiadł z powozu i ujrzał oświetlony dom, wydał okrzyk zdumienia. Dom był wielki, jak olbrzymie więzienie.

— O, tak, oni mają dosyć miejsca, — powiedział ze śmiechem Oliver. — Ja im to urządziłem. To jest stary pałac Lamsona.

Mieli i „miejsce“ i wszystkie upiększenia snobizmu. Montague uchwycił to jednym spojrzeniem. Była tu i służba w spodniach do kolan, z jaskrawo czerwonymi

wypustkami i złotymi sznurami, i marmurowe balkony i kominki i fontanny. Były i obrazy francuskich mistrzów i prawdziwe gobeliny flamandzkie. Schody pałacu były kręcone, a stopnie pokryte były białym aksamitnym specjalnie tkanym dywanem, który trzeba było często zmieniać. Na ostatniej platformie leżał dywanik z białego kaszmiru, który pochodził z przed sześciuset lat, i t. d.

Następnie zjawiała się cała rodzina. Wysoki, suchy, olbrzymiego wzrostu człowiek, o opalonej, twardej twarzy, z potarganemi siwemi wąsami — był to Jack Evans. Pani Evans — niewielkiego wzrostu, pulchna, lecz o dobrej twarzy i niezbyt wielkiej ilości brylantów. I obie panny Evans, wyniosłe i wysmukłe, wystrojone z perfekcją.

„Do diabła, to zupełnie przyzwoici ludzie“ — oto pierwsza myśl Montague'a. Wszyscy byli zupełnie przyzwoici, dopóki nie otwierali ust. Kiedy przemówili, widać było odrazu, że Evans był kopaczem złota, a jego żona kucharką, że Anna i Mary mają grube głosy i że wszyscy oni nigdy i w żadnym wypadku nic nie mówili i nie robili w sposób naturalny.

Zaprowadzono gości do wspaniałej sali jadalnej w stylu Henryka II, z historycznym okapem nad kominkiem, zapożyczonym z pałacu w Fontainebleau i czterema olbrzymiemi obrazami alegorycznemi: „Poranek“, „Wieczór“, „Południe“ i „Północ“, wiszącemi na ścianach. Nie było więcej gości i stół nakryty na sześć osób wydawał się minjaturową zabawką w wielkiej sali. Montague wzdrygnął się i pojął nagle z przerażeniem, co to znaczy nie należeć do „towarzystwa“. Posiadać wszystkie te wspaniałości i nie mieć nikogo, ktoby je mógł podziwiać. Posiadać salę jadalną w stylu Henryka II, salony w stylu Ludwika XVI i bibliotekę w stylu Ludwika XIV i widzieć, że wszystko to stoi pustką. Nie mieć ni-

kogo, z kim możnaby było przejechać się i porozmawiać, do kogo możnaby było pójść z wizytą, z kim możnaby grać w karty, chodzić do teatru i do opery, dzielić się wrażeniami. Gorzej jeszcze — zwracać uwagę i wywoływać śmiech. Mieszkać w olbrzymim pałacu i wiedzieć, że cała horda sług pod pozorami niewolniczego szacunku wyśmiewa się ze swych państwa. Widzieć to, i żyć wśród tego z dnia na dzień. Wiedzieć, że poza domem rozpościera się rozszerzający się wciąż krąg drwin i pogardy — „towarzystwo“ z wszystkimi swymi „pasorzytami“, naśladowcami i wielbicielami.

I oto ktoś rzuca wyzwanie, bierze do ręki miecz i występuje z zamiarem przełamania opozycji. Montague przypatrywał się małej rodzinie z czterech osób i zastanawiał się, kto z nich jest motorem tego rozpaczliwego przedsięwzięcia. Doszedł do tego drogą wyłączenia. Nie mógł to być sam Evans. Dla każdego było jasnem, że stary ten człowiek był beznadziejny dla stosunków towarzyskich. Nic nie było w stanie zmienić jego wielkich owłosionych rąk lub chudej pomarszczonej szyi, albo jego niepokonanej chęci rozwalania się na krześle i składania na krzyż długich nóg. Twarz i zachowanie się Jacka Evansa wywoływały natarczywie obraz ścieżki górskiej i naładowanego muła, dymu ognisk i zapachu szynki i bobu. Przez siedemnaście długich lat Evans tułał się po pustyniach i zboczach dzikich gór. Przyroda położyła swą pieczęć na jego ciele i duszy.

Tego dnia był przy obiedzie bardzo nieśmiały. Lecz z czasem Montague poznał go dobrze. Gdy stary przekonał się, że Montague nie należy do natrętów, odkrył przed nim swą duszę. Evans trzymał się mocno swej rudy złotej, gdy ją znalazł i złamał swych rywali, którzy starali się mu ją odebrać. Zakupił koleje żelazne, które chciały go zgniebić. A teraz pojawił się na Wall Street, aby walczyć z ludźmi, którzy chcieli zrujnować jego ko-

leje. Ale nie bacząc na to wszystko zachował w piersi kobiecie serce i widok jawnego nieszczęścia i nędzy był dlań nie do zniesienia. Należał do ludzi, którzy potrafią trzymać w bocznej kieszeni paczkę banknotów dziesięciotyśięcznych i oddać ją, jeśli przekonani są, że nie obrażą tem obdarowanego. Z drugiej strony, opowiadano, że pewnego razu, dowiedziawszy się, iż jeden z konduktorów obraził na jego linji kobietę - pasażerkę, zerwał się z miejsca, zahamował pociąg i kazał owego człowieka wyrzucić na drogę wśród nocy w oddaleniu trzydziestu mil od najbliższego miasta.

Nie, to kobiety z jego rodziny rwały się do „towarzystwa“, jak sam powiedział Montague'owi ze swym ponurym śmiechem. Nie przeszkadzało mu ani trochę, że przewano ich Nowobogackimi. Kiedy nie czuł się dobrze, mógł zawsze wyjechać i odpocząć na łonie przyrody. Ale kobiety z jego rodziny ukąsiła jakaś mucha. Stary dodał ze smutkiem, że jedna z niewygód zbogacenia się polega na tem, że kobiety nie mają co robić. Jednak i pani Evans również nie była temu winna. „Sarey“, jak ją nazywał pan domu, siedziała podczas obiadu obok Montague'a i ten widział, że przy najmniejszej zachęcie lady gotowa jest stać się znowu prostą i potulną kobietą. Montague dał po temu powód, ponieważ był przyjezdnym i wypowiedział pogląd, że New-York jest miejscem niesłychanych ekstrawagancij i że trudno jest urządzić się w nim. Pani Evans pochwyciła jego słowa i okazało się, że jest to dobroduszna z natury i miła kobieta, której wielkiem pragnieniem jest jadać kaszę kukurydzową i miód, naleśniki i chleb obsmażany w szpiżu, oraz inne podobnie rozsądne potrawy. A jej kucharz każe jej jadać paté de foie gras i wykarmione na mleku kurczęta z Gwinei oraz biscuits glacés torteni. Oczywiście, nie opowiadała tego wszystkiego przy obiedzie. Przeciwnie, czyniła jaknajwiększe wysiłki, aby do-

brze przeprowadzić swą rolę. Rezultatem było to, że Montague wyniósł od nich choć jedno zabawne wspomnienie.

Pani Evans opowiadała mu, że New-York uważa za okropne miejsce dla młodzieży, i że obawia się przywieźć tutaj swego syna.

— Mężczyźni tutejsi, — powiedziała, — nie znają żadnej moralności. — I dodała poważnie: — Doszłam do wniosku, że wszyscy mężczyźni na Zachodzie są z natury swojej stworzeniami ziemnowodnemi.

Gdy Montague nachmurzył brwi i wyraził wątpliwość, zapytała:

— Czy pan nie jest tego samego zdania?

Odpowiedział odrazu, że nigdy jeszcze o tem nie myślał. Dopiero po kilku godzinach pojął z rozmowy z panną Anną o co właściwie chodziło:

— Spotkaliśmy się dzisiaj przy lunchu z lady Stonebridge, — powiedziała młoda panna. — Czy pan ją zna?

— Nie, — odpowiedział Montague, który nigdy nie słyszał tego nazwiska.

— Uważam, że te arystokratyczne angielskie kobiety mówią najwstrętniejszym żargonem, — mówiła dalej Anna, — czy pan to zauważył?

— Tak, zauważyłem, — odpowiedział Montague.

— I co za głęboki cynizm. Czy pan wie, że lady Stonebridge zbiła zupełnie z tropu moją matkę. Powiedziała jej, że nie wierzy wcale w małżeństwo i uważa, że wszyscy mężczyźni są z natury poligamistami.

Później Montague zaprzyjaźnił się z panią „Sarey“ i pewnego dnia po obiedzie, siedząc z nią w salonie w stylu „Petit Trianon“, zapytał znienacka:

— Niech pani powie, na Boga, dlaczego tak chcecie dostać się do „towarzystwa“?

Biedna lady westchnęła głęboko i starała się udawać, że oburzona jest tem pytaniem. A następnie, spostrze-

gając, że Montague nie żartuje i że przycisnął ją do muru, przyznała się:

— To nie ja, to moje panny: Mary, a w szczególności Anna.

Porozmawiali na ten temat poufnie, co było dla pani Sarey wielką ulgą, gdyż była zupełnie samotna. Co się jej tyczy, to i ona chciałaby tego, ale nie dlatego, żeby „towarzystwo“ było jej potrzebne, lecz dlatego, że „towarzystwo“ jej nie chce. Wybuchnęła nagłym gniewem i zacisnęła pięści, oświadczając, że Jack Evans nie gorszy jest od tych, co chodzą po ulicach New-Yorku. I dowiedzą się oni o tem, zanim on sobie z nimi da rady. A potem ma zamiar zasiąść w domu, żyć w komforcie i cerować skarpetki męża.

Zacząła opowiadać Montague'owi jak ciężką była droga sławy. Istniały setki osób, które gotowe były zaznać się z nimi, o! ale co to za rabusie. Można było cały dom przepelnić pieczeniarczami i „żółtymi“, ale nie, lepiej poczekać. Wiele się nauczyli, przebywając za granicą. Pewna bardzo arystokratyczna lady zaprosiła ich na obiad i rozpałyły się ich nadzieje. Lecz, niestety, podczas gdy siedzieli przed kominkiem, ktoś zaczął zachwycać się pierścieniem ze szmaragdem na palcu pani Evans, — pierścień kosztował trzydzieści tysięcy dolarów. Zdjęła go z palca i podała obecnym do obejrzenia. — pierścionek zniknął i nie otrzymała go z powrotem.

Inna lady zaprosiła Mary na partję bridge'a i, chociaż Mary prawie zupełnie nie grała, pani domu najspokojniej w świecie oświadczyła jej, że przegrała tyśiąc dolarów. A słynna lady Stonebridge istotnie posłała po nią i zawiadomiła, że może wprowadzić ją w pewne najbardziej wybrane koła towarzyskie, jeśli zgodzi się zawsze do niej przegrywać. Przed zamążpójściem pani Evans pochodziła z bardzo skromnej irlandzkiej rodziny. Lady Stonebridge wzięła od niej pięć tysięcy dola-

rów za to, że wyzyska wszystkie swoje wpływy w Królewskim Kolegium Heraldycznym, aby dowiedziono, iż pani Evans pochodzi w prostej linii ze starego szlacheckiego rodu Magennis, którzy byli wpływowymi lordami w XIV stuleciu. A Oliver powiedział, że ten imponujący dokument nic im nie pomoże.

A więc w drodze wyłączania pozostały tylko panny Evans. Przyjaciele Montague'a żartowali z niego nie mało, gdy się dowiedzieli, że zapoznał się z Evansami i pytali ze śmiechem, czy nie ma zamiaru ożenić się z panną Evans. Major Venable wręcz zapewniał Montague'a, iż niema najmniejszej wątpliwości, że każda z tych dwu panien zgodzi się bez wahania wyjść za niego. Montague śmiał się i odpowiedział, że Mary jest wcale niebrzydka, ma miłą twarz i dobry charakter, ale młodsza jest o dwa lata od Anny. A on nie może przezwyciężyć obawy, że lata uczynią z niej drugą Annę.

Bo właśnie Anna była motorem całej rodziny. Anna obmyśliła i zakroiła plan wielkiego szturmu, wybrała pałac Lamsona i oderwała całą rodzinę od pierwotnych skał Nevady. Sama była zimna jak góra lodowa, nieubłagana i bezlitosna dla innych i dla siebie samej. Przez całe siedemnaście lat ojciec jej tulał się i kopał ziemię w górach, i jeśli okaże się potrzebne, ona również gotowa była przez siedemnaście lat podkopywać się pod mury „towarzystwa“.

Potem, gdy Montague pomówił od serca z jej matką i ta odkryła mu swą duszę, panna Anna Evans zaczęła odnosić się do niego bardzo wyniośle, z czego wynioskował, że stara lady opowiedziała jej o rozmowie i że córka zła jest na niego za jego śmiałość. Ale z Oliverem Anna była szczera, i Oliver opowiadał bratu, jakie plany budowała, co zamierzała i co studjowała, przyczem co tydzień wychodziła z nowymi projektami. Potrafiła zapomocą podkupienia przyciągnąć cichaczem na swą

stronę kilka osób z prawdziwego towarzystwa. Jeśli potrzebowała jakiejś specjalnej usługi, zwracała się do dobrego staruszka i zawsze osoba, która okazała jej usługę, otrzymywała znaczną pomoc pieniężną. Notowała sobie wszystkie osoby z towarzystwa: dowiadywała się o wszystkich ich słabostkach, o ukrytej potajemnej stronie intymnego życia i pracowała cierpliwie, starając się znaleźć klucz: — jakąś rodzinę, któraby była nieprzystępna towarzysko, lecz której sytuacja finansowa zmusiłaby ją do przyjęcia propozycji Evansów i ostatecznego wprowadzenia ich w „świat“. Później już Montague przypominał sobie to wszystko ze zdumieniem i zainteresowaniem, poczynawszy od tych dni, kiedy to w gazetach pojawiać się zaczęły wiadomości, opisujące tualety księżny Arden née Evans, błyszczącej jak jasna gwiazda na tle sezonu wielkiego świata Londynu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Montague napisał do majora Thorna list, zawiadamiając go, że nie udało mu się zainteresować kogokolwiek jego propozycją i że on osobiście nie posiada środków na przeprowadzenie tej sprawy. Następnie, zgodnie z radą swego brata, pozostawił swe pieniądze w banku i postanowił czekać.

— Wkrótce nawinie się jakaś sposobność, — mówił Oliver, gdy wracali do domu od Evansów. I zawiadomił go, że sposobności tej można oczekiwać z dnia na dzień. Dalej milczał tajemniczo i nie chciał odpowiadać na pytania brata. Zapewniał go tylko, że nie znajduje się to w żadnym stosunku do ludzi, którym złożyli niedawno wizytę.

— Myślę, — powiedział Montague, — że nie trud-

no ci przypuścić, iż Evans mógłby się okazać nie godnym zaufania.

Oliver zaśmiał się, powtórzywszy słowa brata „mógłby się okazać“. Następnie zaczął opowiadać o wielkim budowniczym kolei żelaznych na Zachodzie, którego córka wyszła niedawno za mąż. Po ślubie jej odbyła się wspaniała uroczystość weselna. Niektórzy młodzieńcy z pośród gości weselnych sądząc, że ojciec jest rozczułony, zapytali o jego zdanie w sprawie papierów giełdowych. Poradził im kupić akcje swojej kolei. Zrobili składkę i kupili. W miarę tego, jak kupowali, ojciec sprzedawał i ta mała przygoda kosztowała młodzieńców siedem i pół miliona.

— Nie, nie, — dodał Oliver, — nie włożyłem ani dolara w żadne przedsiębiorstwo Evansa i nigdy nie włożę. Evansowie są dla mnie poprostu pobocznym dochodem, na wszelki wypadek, — powiedział niedbale.

Jakieś dwa dni później, gdy Montague siedział przy śniadaniu, brat zawiadomił go telefonicznie, że za chwilę będzie u niego i że udadzą się razem do miasta. Montague domyślił się odrazu, że chodzi o coś poważnego, gdyż Oliver nie wstawał nigdy tak wcześnie.

Wzięli powóz i wówczas Oliver wyjaśnił:

— Nastąpiła decydująca chwila, teraz czas na nas, byśmy dali nurka i wypłynęli z majątkiem.

Nie mógł powiedzieć więcej, gdyż dał słowo, że utrzyma wszystko w zupełnej tajemnicy. Tylko czterech ludzi w całym kraju wiedziało, o co chodzi. Była to nieoczekiwana sposobność. W dawnych czasach Oliverowi zdarzyła się już trzy razy taka sposobność i za każdym razem pomnażał swój kapitał. Nie stał się milionerem poprostu dlatego, że nie miał dostatecznej ilości pieniędzy. Brat powinien uwierzyć mu na słowo i oddać się całkowicie do jego rozporządzenia.

— Co chcesz, żebym robił? — zapytał poważnie Montague.

— Chcę, żebyś wziął do ostatniego dolara wszystko co masz i co możesz dziś rano wydostać, i żebyś mi oddał wszystkie pieniądze na zakup akcyj.

— Kupić, żeby grać na różnicę, czy nie tak?

— Oczywiście, — powiedział Oliver, lecz widząc, że brat nachmurzył się, dodał: — Zrozumie, posiadam najbardziej pewne wiadomości o tem, jak będą dziś stały niektóre akcje.

— Najlepsi znawcy w sprawie akcyj robią często pomyłki w tego rodzaju interesach, — powiedział Montague.

— Ale tu nie chodzi o czyjekolwiek zdanie, — brzmiała odpowiedź, — ja wiem, jak będą stały akcje.

— Ale skądże możesz wiedzieć, że twoi informatorzy nie oszukują cię, lub że się nie mylą?

— Moje wiadomości pochodzą od osoby, która wygra tylko wówczas, kiedy ja wygram.

— To znaczy, — powiedział Montague, — że wiadomości są kradzione.

— Wszystko na Wall Street jest kradzione, — brzmiała stanowcza odpowiedź.

Zapadło długie milczenie. Powóz jechał szybko.

— No i cóż? — zapytał wreszcie Oliver.

— Mogę sobie przedstawić, — powiedział Montague, — że człowiek może liczyć na to, iż podniesie ceny na pewne akcje i sądzić, iż jest w stanie to uczynić, a jednak w rezultacie okaże się, że się omylił. Należy tu wziąć pod uwagę tyle wpływów, tyle przypadkowości... zdaje mi się, że idziesz na ryzyko.

Oliver zaśmiał się.

— Rozumujesz, jak dziecko, — brzmiała jego odpowiedź. — Przypuśćmy, że ja niepodzielnie rozporządzam jakimiś funduszami i zdecydowałem się puścić

je w ruch dla gry na giełdzie. Czy nie sądzisz, że w takim wypadku mógłbym wiedzieć dość dokładnie, jak będą stały jakie akcje?

— Tak, — powiedział zwolna Montague, — gdyby taka rzecz była do pomyślenia.

— Gdyby była do pomyślenia, — zaśmiał się brat. — Przypuśćmy teraz, że mam zaufaną osobę, dajmy na to, sekretarza, i płacę mu dwadzieścia tysięcy rocznie, a on dostrzegłby możliwość otrzymania stu tysięcy w ciągu godziny. Czy nie sądzisz, że spróbowałby skorzystać z tego?

— Tak, — odpowiedział Montague, — ale co ty masz z tem wspólnego?

— Dobrze. Przypuśćmy teraz, że ta osoba chce zrobić coś na wielką skalę i potrzebny jej jest do tego wielki kapitał. Rozumiesz? Wątpliwe, czy zdecydowałaby się szukać pieniędzy na Wall Street, gdzie śledzą ją tysiące oczu. Cóż może być naturalniejszego, niż poszukanie człowieka, który obraca się w towarzystwie i cieszy się zaufaniem osób, posiadających dużo pieniędzy w gotówce?

Montague siedział głęboko zamyślony.

— Rozumiem, — powiedział wolno. — Rozumiem.

Następnie utkwivszy oczy w Olivera, zawołał poważnie:

— Jeszcze jedno pytanie.

— Nie pytaj więcej o nic, — protestował brat. — Powiedziałem ci, że dałem słowo.

— Musisz mi coś powiedzieć, — oświadczył Montague. — Czy Robbie Walling wie o tej sprawie?

— Nie, nie wie, — brzmiała odpowiedź.

Ale Montague znał swego brata oddawna i dobrze, i umiał czytać w jego oczach. Wiedział, że to kłamstwo. Nareszcie rozwiązał tajemnicę. Montague wiedział, że

drogi jego i brata rozejdą się. Nie podobały mu się sprawy tego rodzaju. Przyjechał do New-Yorku nie poto, aby się stać spekulantem giełdowym. Ale jak trudno było to powiedzieć i jak strasznie było stanąć twarzą w twarz z takim zagadnieniem i być zmuszonym rozstrzygać je w przeciągu kilku minut w powozie.

Oddał się całkowicie w ręce brata i miał teraz w stosunku do niego obowiązki, z których nie mógł się wywiązać. Oliver pokrywał jego wydatki i robił dla niego wszystko, co mógł. Wziął na siebie troski i kłopoty, i wszystko to szczerze i z całkowitem zaufaniem, licząc na to, że brat będzie szedł z nim ręką w rękę. A teraz, w krytycznej chwili powinien spojrzeć mu w twarz i powiedzieć: „Nie podoba mi się twoja gra. Nie pochwalam twego sposobu życia“. — Jak ciężko jest posiadać wyższy kodeks moralny, niż kodeks przyjaciół.

Rozumiał, że jeśli odmówi, będzie musiał zerwać ostatecznie. Nie może żyć w dalszym ciągu w kole, do którego go wprowadzono. Pięćdziesiąt tysięcy wydawało mu się olbrzymiem honorarjum, ale wystarczyło tygodnia czy dwóch, aby się przekonał, że jest ono niewspółmierne. Musiałby otrzymać wiele takich honorarjów, gdyby w dalszym ciągu żyli na tej samej stopie, co teraz i gdyby Alicja chciała zrobić karierę w „świecie“ i przyjmować swoich przyjaciół. A prosić Alicję, by wyrzekła się teraz tego wszystkiego „i pojechać do domu, byłoby nawet ciężiej niż spojrzeć teraz bratu prosto w twarz.

Następnie pojawiła się pokusa. Życie było walką, a to był sposób walczenia i zwyciężania. Jeśli odrzuci ten szczęśliwy przypadek, pochwycą go inni. Faktycznie, odmawiając, sam oddaje im w ręce swoje szanse. Wielki człowiek, kimkolwiek on jest, manipuluje akcjami dla własnych zysków. Czy mógłby ktoś ze zdrowym rozsądkiem zrzekać się sposobności wyrwania mu z rąk choć

pewnej części zdobyć? Montague widział, że chęć odmowy wygasła w nim.

— No i co? — zapytał brat.

— Oliver, — powiedział Montague, — czy nie uważasz, że powinienbym wiedzieć więcej, abym mógł sam osądzić.

— Nie mógłbyś nic osądzić, gdybym ci nawet powiedział wszystko, — oświadczył Oliver. — Trzebaby długiego czasu, abyś się mógł zapoznać ze wszystkimi okolicznościami, tak jak ja się zapoznałem. Powinieneś mi wierzyć na słowo. Wiem z całą dokładnością, że sprawa jest pewna i bezpieczna.

Rozpiął nagle palto, wyjął jakieś papiery i podał bratu depeszę. Nadana była w Chicago i brzmiała: „Gość niezwłocznie oczekiwany. Henryk“.

— To znaczy, kupuj Transcontinental dzisiaj rano, — powiedział Oliver.

— Rozumiem, — powiedział Montague. — Więc ta osoba jest w Chicago.

— Nie, — brzmiała odpowiedź. — To jego żona. On depeszuje do niej.

— Ile masz pieniędzy? — zapytał Oliver po krótkim milczeniu.

— Mam większość moich pięćdziesięciu tysięcy i około trzydziestu tysięcy, które przywieźliśmy z sobą.

— Ile możesz otrzymać natychmiast?

— Mógłbym otrzymać wszystko. Ale część pieniędzy należy do matki, nie chciałbym ruszać jej pieniędzy.

Brat miał zamiar protestować, lecz Montague zatrzymał go:

— Dam ci całe pięćdziesiąt tysięcy, które zarobiłem, — powiedział. — Nie mam prawa ryzykować więcej.

Oliver wzruszył ramionami.

— Jak chcesz, — odpowiedział. — Może już nigdy w życiu nie nadarzy ci się taka szczęśliwa sposobność.

Porzucił tę rozmowę, słuszniej mówiąc, próbował ją porzucić. Po kilku minutach jednak, powrócił znów do niej z tym rezultatem, że gdy dojeżdżali już do banku, Montague zgodził się wziąć dla tej sprawy sześćdziesiąt tysięcy.

Zatrzymali się przed bankiem.

— Jeszcze jest zamknięty, — powiedział Oliver, — ale kasjer odda ci tę przysługę. Powiedz mu, że potrzebne ci są pieniądze przed otwarciem giełdy.

Montague wszedł do banku i otrzymał swe pieniądze, sześć nowiutkich papierków po dziesięć tysięcy dolarów. Schował je do najgłębszej wewnętrznej kieszeni. Mimo chodem zdziwiła go trochę i wspaniałość budynku i szybkość, z jaką przyjmowano i wypłacano takie wielkie sumy. Następnie pojechali do banku Olivera i ten podjął stamtąd sto dwadzieścia tysięcy dolarów. Wówczas zapłacili za powóz i poszli pieszo wzdłuż Broadway'u na Wall Street. Pozostawał jeszcze kwadrans do otwarcia giełdy, i potoki dostatnio wyglądających ludzi ciągnęły ze wszystkich tramwajów i pociągów do swych biur.

— Gdzie jest twój makler? — zapytał Montague.

— Nie mam maklera, w każdym razie nie mam dla takiego interesu, jak ten, — odpowiedział Oliver.

Zatrzymali się przed jednym z wielkich budynków.

— Tutaj, — powiedział Oliver. — Kantor Hammonda i Streetera, drugie piętro na lewo. Wejdź tam, wywołaj jednego z właścicieli firmy i przedstaw się pod fałszywym nazwiskiem.

— Co? — zawołał Montague.

— Naturalnie, przyjacielu, nie możesz im przecież wymieniać swego nazwiska. Co ci za różnica?

— Nigdy nie przychodziło mi na myśl coś podobnego, — powiedział Montague.

— No to niech ci teraz na myśl przyjdzie.

Ale Montague zaprzeczył ruchem głowy:

— Nie, tego nie zrobię, — oświadczył.

Oliver wzruszył ramionami:

— Niech i tak będzie. Powiedz mu, że nie chcesz wymienić swego nazwiska. Oni wezmą twoje pieniądze.

— A przypuścimy, że nie wezmą?

— To poczekaj na mnie przy wyjściu i zawiozę cię wtedy w jakieś inne miejsce.

— Co mam kupić?

— Dziesięć tysięcy akcji Transcontinental Common po rannej cenie giełdowej, i powiedz, żeby czekali twojego telefonicznego zlecenia, kiedy mają sprzedawać. Potem zaczekaj, póki po ciebie nie przyjdę.

Montague zacisnął zęby i wypełnił otrzymane instrukcje. Za drzwiami z napisem: „Hammond and Streeter“ wyszedł mu na spotkanie młodzieniec o miłej twarzy i zaprowadził go do swego, uprzejmego pana Streetera. Montague przedstawił mu się, jako przyjezdny z południa, pragnący kupić akcje. Pan Streeter zaprowadził go do wewnętrznego lokalu, usiadł przed biurkiem i położył przed sobą kilka papierów.

— Pana godność, proszę? — zapytał.

— Nie chciałbym wymieniać mego nazwiska.

Pan Streeter odłożył pióro:

— Pan nie chce wymieniać swego nazwiska?

— Nie, — odpowiedział spokojnie Montague.

— Dlaczego? — zapytał pan Streeter. — Nie rozumiem.

— Niedawno przyjechałem do tego miasta, — powiedział Montague. — Nie jestem przyzwyczajony do operacji giełdowych. Wolalbym pozostać incognito.

Pan Streeter przyjrzał mu się uważnie:

— Skąd pan przyjechał? — zapytał.

— Ze stanu Mississipi, — brzmiała odpowiedź.

— Gdzie pan mieszka w New-Yorku?

—Mieszkam w hotelu.

— Musi pan podać jakieśkolwiek nazwisko.

— Wszystko mi jedno jakie, — odpowiedział Montague. — John Smith, jeśli pan sobie życzy.

—Nigdy nie robimy czegoś podobnego, — oświadczył makler. — Wymagamy, aby nasi klienci podawali swe nazwiska. Istnieją przepisy.

—Bardzo mi przykro, — powiedział Montague. — Kupiłbym gotówką.

— Ile akcyj pan chce kupić?

— Dziesięć tysięcy, — brzmiała odpowiedź.

Pan Streeter stał się poważny.

— To poważna transakcja, — powiedział.

Montague milczał.

— Co pan chce kupić?

— Transcontinental Common.

— Dobrze, — powiedział makler po chwili milczenia. — Postaramy się zadowolić pana, ale musi pan to uważać za ściśle...

— Za ściśle poufne, — dopowiedział Montague.

Pan Streeter wypisał blankiet i Montague obejrzawszy go, zobaczył, że musi wpłacić sto tysięcy dolarów.

— To omyłka, — powiedział. — Mam przy sobie tylko sześćdziesiąt tysięcy.

— O, — oświadczył makler, — będziemy oczywiście zmuszeni wpisać na pana dziesięć procent od sta.

Montague nie był przygotowany na taki obrót sprawy, ale zrobił w myśli rachunek:

— Jak obecnie stoją te akcje? — zapytał.

— Pięćdziesiąt dziewięć i pięć ósmych, — brzmiała odpowiedź.

— Ale w takim razie sześćdziesiąt tysięcy jest więcej, niż dziesięć od sta według ceny giełdowej.

— Tak — zgodził się pan Streeter. — Ale mając do

czynienia z przyjezdnymi, musimy oczywiście mieć nie mniej niż sześć punktów zabezpieczenia.

— Rozumiem — powiedział Montague, i nagle z prze-
razającą jasnością stanęła przed nim ta dzika gra, w któ-
rą wciągał go jego brat.

— Dobrze — odpowiedział szybko. — W takim razie
proszę mi kupić sześć tysięcy akcji.

W ten sposób zakończyli tranzakcję. Papier został
podpisany i pan Streeter wziął od Montague'a sześć no-
wiutkich dziesięciotysięcznych banknotów. Następnie,
odprowadzając go do drugiego pokoju, makler powie-
dział mimochodem z uśmiechem:

— Mam nadzieję, że poradzono panu dobrze. My
osobiście skłonni jesteśmy odnosić się do transcontin-
talnych z niezbyt wielkiem zaufaniem. Położenie ich
nie jest zbyt pewne.

Słowa te nie posiadały wielkiego znaczenia, lecz Mon-
tague nie wiedział o tem i dotknęły go nieprzyjemnie.
Odpowiedział jednak niedbale, że wszyscy muszą liczyć
się z przypadkami i usiadł na jednym z krzeseł dla kli-
entów. Poczekalnia w kantorze Hammond and Stre-
eter miała charakter małej sali czytelnianej z rozsta-
wionemi rzędami krzeseł i wielką czarną tablicą na
frontowej ścianie. Wypisane były na niej kolumnami
pierwsze litery nazw największych akcji, a nad niemi
na małych zielonych kartkach wypisane były wczor-
ajsze ceny giełdowe. Z jednej strony znajdował się
aparat, notujący zmiany kursu, a obok niego stało
dwóch urzędników w oczekiwaniu pierwszego dzwonka
z giełdy.

Na krzesłach siedziało dwadzieścia czy trzydzieści
osób, starych i młodych. Większość ich byli to stali by-
walcy, ofiary gorączki giełdowej. Montague obserwo-
wał ich i słyszał urywki ich rozmów, prowadzonych pół-
głosem w skomplikowanym i nieprzyjemnym żargonie.

Czuł się w najwyższym stopniu upokorzony i było mu przykro, gdyż sam zaraził się gorączką giełdową i nie mógł sobie z tem poradzić. Przykry dreszcz przebiegał po jego plecach, a ręce były zimne. Jak zaczarowany utkwiał oczy w maleńkie cyfry. Stanowiły one jakąś zewnętrzną, ogromną i straszną siłę, której nie można było ani kontrolować, ani nawet pojąć — jakąś bezlitosną, niszczycielską siłę w rodzaju błyskawicy lub burzy morskiej. Sam oddał się w jej władzę i mogła uczynić z nim co chciała. „Tr. C. 59 5/8“, przeczytał na małej zielonej karteczce. A on miał wszystkiego tylko sześć punktów w przeciągu piętnastu minut... Gdyby ta wieża Babel runęła do 53 5/8 — wówczas całe sześćdziesiąt tysięcy Montague'a przepadłyby do ostatniego centa. Wielkie honorarjum, dla którego pracował z takim zapalem, i z którego ogromnie się cieszył — wszystko to zniknie, a wraz z tem pewna część jego spadku.

Chłopiec wsunął mu do ręki małą broszurkę o czterech stronach — jeden z niezliczonych biuletynów, które kantory i różne przedsiębiorstwa rozdają za darmo. Tytuł „Transcontinental“ przyciągnął jego uwagę i przeczytał: „Zebranie dyrektorów Transcontinental R. R. odbędzie się w południe. Poufnie przepowiadają, że dywidenda, otrzymywana kwartalnie, nie zostanie wypłacona, tak jak nie było jej w poprzednich trzech kwartałach. Wśród posiadaczy akcji wielkie niezadowolenie. Akcje stoją zdecydowanie słabo; niema żadnego poparcia wewnętrznego i spadły o trzy punkty właśnie wczoraj przed zamknięciem, naskutek wiadomości o dalszych środkach kontroli państwowej na Zachodzie i szeroko rozpowszechnianych pogłosek o zatargach wśród dyrektorów“.

Zegar wybił dziesiątą i wskazówki posunęły się dalej, a automatyczny wskaźnik rozpoczął swą długą wędrówkę. W transcontinentalnych było ożywienie. Rozpo-

częła się burzliwa praca. Wiele tysięcy akcyj zmieniało swych posiadaczy i ceny ich wahały się. Gdy Oliver w pół godziny później wszedł do kantoru, akcje stały 59 3/8.

— Wszystko to jest dobre — powiedział Oliver — ale nasz czas nastąpi dopiero po południu.

— A przypuśćmy, że nas do południa wykreślą — powiedział Montague.

— To niemożliwe — odpowiedział Oliver — przez cały ranek będą szły miejscowe zakupy.

Siedzieli jeszcze przez jakiś czas zdenerwowani i niepokojni. Wówczas Oliver poddał myśl, czy brat jego nie zechciałby przejść się i popatrzeć na Wall Street. Skierowali się ku Broad Street. Tutaj na samym początku ulicy rzucał się w oczy gmach skarbu, w którym znajdowało się całe złoto rządowe. Na wieży gmachu stał karabin maszynowy. Publiczność nie wiedziała o tem, lecz finansiści wiedzieli i zdawało się, że stłoczyli wszystkie swoje kantory i banki tutaj, pod jego osłonę. Tam, głęboko pod ziemią ukryte były papiery Trustu naftowego na dwieście milionów, w ogromnej stalowej piwnicy, której drzwi sporządzone były tak kunsztownie, że można je było obrócić na zawiasach za jednym dotknięciem palca. A naprzeciwko gmachu skarbu widniał ogromny budynek w greckim stylu — giełda. W dole, na platformie, na przestrzeni oddzielonej sznurami i wysypanej piaskiem stał tłum ludzi, którzy popychali się, krzyczeli, trатовali wzajemnie. Był to tak zwany „curb“, gdzie można było kupić lub sprzedać niewielką ilość papierów procentowych i wszelkie spekulankie akcje, węglowe i kopalń złota. Podczas deszczu i upału zawsze się tutaj zbierali ludzie. W oknach sąsiednich budynków stali inni ludzie, którzy krzyczeli im przez megafony ceny giełdowe, lub sygnalizowali im znakami głuchoniemych. Niektórzy z tych

maklerów nosili barwne kapelusze, aby ich można było odróżnić. Unosiła się nad nimi atmosfera spekulacji — wszędzie widać było niespokojne rozgorączkowane oczy, nerwowe gesty, ponure, wyczerpane troską twarze. W świecie tym dziewięciu na dziesięć skazanych było zgóry na zrujnowanie i porażkę.

Oliver i Montague zdobyli przepustki wstępu na galerję giełdy. Można było patrzeć stamtąd wdół na salę o przestrzeni stu czy dwustu stóp kwadratowych. Podłoga sali pokryta była jak śniegiem skrawkami podartych papierów, a w powietrzu rozlegały się wrzaski i okrzyki. Zebrało się tu około dwu tysięcy mężczyzn i młodzieńców. Niektórzy szwendali się, nie robiąc nic i gawędząc. Ale większość tłoczyła się wokół jakiegoś maklera, popychając się, włączając jedni na drugich, podskakując, machając rękami i krzycząc głośno. „Miejsce“ na tej giełdzie kosztowało 95 tysięcy dolarów. A więc żadnego z tych ludzi nie można było uważać za biednego. Ale tem nie mniej, zjawiali się oni tutaj dzień po dniu, aby odgrywać swą rolę na tej wstrętnej arenie: wymyślali tysiące drobnych podstępów, aby się nawzajem oszukać i okłamać, cieszyli się drobnymi zwycięstwami i pędzili życie podobne falom, bijącym o brzegi — prawdziwy symbol krzątanimy ludzkiej. Chwilami ogarniała ich prawdziwa pasja i zamieniali się w wyjących demonów, podskakujących na jednym miejscu, krzyczących, dławiących się, rozdzierających sobie wzajemnie ubrania na strzępy. I widz wzdrygał się, uważając ich za ofiary jakichś dziwnych i strasznych czarów, które ich zmuszały do walki i wzajemnego dręczenia się, dopóki nie dojdą do stanu całkowitego wyczerpania i znużenia.

Ale ci, którzy cały swój majątek włożyli w „transcontinentalne“ odczuwali to tylko mglisto, ponieważ i oni sprzedali dusze czarownikowi i poddali się jego czarom.

I oni mieli nadzieję, bali się, męczyli wraz z całym tłumem. Montague nie miał potrzeby pytać, gdzie jest jego „tablica“, gdyż tłum stu osób tłoczył się wokół niej, tworząc miejscami nazewnątrz małe wiry i prądy.

— Coś dobrego dzieje się dzisiaj — powiedział ktoś Montague'owi do ucha.

Ciekawie było obserwować. Ale były i trudności. Nie rozdawano tu tablic. Dlatego widok tego ożywienia doprowadził ich do ostatecznego niepokoju — coś się stało z ich akcjami. Nawet Oliver był jawnie zdenerwowany — gra była jednak niebezpieczna. Mogła zająć wielką omyłką, morderstwo, trzęsienie ziemi. Wybiegli obaj na ulicę i skierowali się do najbliższego kantoru maklera, gdzie pierwsze spojrzenie rzucone na tablicę, pokazało im, że „transkontynentalne“ stoją na 60. Westchnęli radośnie i znowu zasiedli, by czekać.

Było to koło pół do dwunastej. Za kwadrans dwunasta akcje podniosły się o jedną ósmą, a kwadrans później, jeszcze o jedną ósmą. Obaj chwycili się w podnieceniu za ręce. Może już nadszedł ich czas?

Najwidoczniej nadszedł. W minutę później akcje podskoczyły na 61, potem jeszcze o trzy ósme. Szmer podniecenia rozległ się w kantorze i starzy bywalcy podnieśli się ze swych krzeseł. Akcje podniosły się jeszcze o jedną czwartą. Montague usłyszał, jak ktoś za nim powiedział do swego sąsiada: „Co to ma znaczyć?“ — „Pan Bóg wie“ — brzmiała odpowiedź. Lecz Oliver szepnął bratu do ucha:

— Ja wiem, co to znaczy: sam zarząd kupuje.

Ktoś kupował i to kupował wściekle. Wskaźnik automatyczny najwidoczniej odrzucił nabok wszystkie pozostałe sprawy i całą swą uwagę skupił na „transkontynentalnych“. Było to podobne do gry w piłkę, kiedy jedna strona nieprzerwanie zwycięża i najbardziej obojętny widz zaczyna się podniecać, gdyż nikt nie może

zostać obojętnym wobec powodzenia. A gdy akcje zaczęły się podnosić wciąż wyżej i wyżej, mała fala podniecenia podniosła się wraz z niemi i w pokoju rozległy się szepty, dreszcz przechodził z jednego człowieka na drugiego. Niektórzy obserwowali i dziwili się, czy to długo będzie trwało i czy nie należałoby kupić nieco tych akcyj. Następnie notowano jeszcze jeden punkt zwyżki, i żalowali, że nie kupili przedtem, i wahali się, czy kupić jeszcze teraz. Ale dla innych, takich jak Montague i jego brat, którzy posiadali te akcje, było to zwycięstwo i w dodatku świetne zwycięstwo. Pulsy ich były wciąż szybciej, w miarę każdej nowej zmiany cyfr. Od czasu do czasu przypominali sobie o swej wygranej i znajdowali się pomiędzy nadzieją a strachem. Nastąpiła mała przerwa i urzędnicy pilnujący tablicy mieli sposobność odpocząć nieco. Akcje stały ponad 66. Montague znajdował się „na aksamicie“, używając obrazowego wyrażenia Wall Street. Wygrana jego doszła do sześćdziesięciu tysięcy dolarów i nawet gdyby akcje spadły i musiałby je likwidować, i tak nicby nie stracił.

Chciał już sprzedawać i zrealizować swój dochód, lecz brat uchwycił go silnie za rękę.

— Nie, nie — powiedział. — Pójdzie jeszcze wyżej.

Niektórzy wyszli na śniadanie do restauracji, gdzie mogli mieć na stole telefon i podtrzymywać łączność. Lecz bracia nie myśleli o jedzeniu. Siedzieli, wyobrażając sobie posiedzenie dyrektorów i obawiając się mimo wszystko jeszcze mnóstwa rozmaitych przypadków. Sprawy mogły się jeszcze pogorszyć i cała ich wygrana mogła zniknąć jak wczesny śnieg, a wraz z nią i cały ich kapitał. Oliver drżał jak liść, lecz nie chciał ruszyć się z miejsca.

— Trzeba być wytrwałym — szeptał do brata.

Oliver wyjął zegarek i spojrzał nań. Było już po drugiej.

— To może potrwać do jutra — szeptał.

Lecz nagle rozszalała się burza. Wskaźnik oznaczył — wobec transakcji na pięć tysięcy akcji — podniesienie o półtora punktów, a następnie jeszcze o półtora punktów, po transakcji na dwa tysiące. Następnie akcje nie zatrzymywały się już. Podniosły się o dziesięć punktów w przeciągu piętnastu minut... I oto runęła wieża Babel w kantorze i w wielu tysiącach innych kantorów na Wall Street i na całym świecie. Montague wstał i zaczął chodzić tam i napowrót, gdyż naprężenie stało się nie do zniesienia.

Przed drzwiami wewnętrznych pokojów kantoru usłyszał, jak ktoś krzyczał w telefon:

— Na Boga, czy nie możecie się dowiedzieć, co się stało?

Po chwili inny człowiek wpadł do pokoju, zadyszany z dzikimi oczyma. Głos jego rozległ się w całym kantorze:

— Dyrektorzy ogłosili trzymiesięczną dywidendę... trzy procent od stu i specjalne wydawanie dywidendy w wysokości dwóch procent.

Oliver chwycił brata za rękę i rzucił się wraz z nim ku drzwiom.

— Idź do swego maklera — powiedział — i jeśli akcje zatrzymały się — sprzedaj je. W każdym razie sprzedaj przed zamknięciem giełdy.

Następnie pomknął szybko do swej własnej kwatery.

Koło pół do czwartej Oliver przyszedł do kantoru Hammond and Streeter, zadyszany z potarganemi włosami i pomiętem ubraniem. Nie posiadał się z zachwytem. Montague podniecony był prawie tak samo jak on — czuł się zupełnie wyczerpany po strasznym napięciu, jakie przeżył.

— Po jakiej cenie sprzedałeś? — zapytał go brat.

Montague odpowiedział:

— Ogółem biorąc po 78 $\frac{3}{8}$. — Pod koniec nastąpił jeszcze jeden nagły skok, lecz sprzedał już wszystko co miał, nie czekając na dalsze wypadki.

— A ja dostałem 85 — powiedział Oliver. — O bogowie!

Okazało się, że w kantorze było kilku nieszczęśliwych graczy, pan Streeter był jednym z nich. Z żółcią i gorączką patrzyli na promieniejące twarze dwóch szczęśliwców, ale ci dwaj nawet tego nie spostrzegli. Wyszli, tańcząc prawie z radości, i wypili parę kieliszków dla pokrzepienia nerwów.

Pieniądze mogli otrzymać dopiero następnego dnia zrana. Zysk Montague'a wynosił około ćwierć miliona. Z tych pieniędzy będzie musiał oddać dwadzieścia tysięcy na rzecz nieznanego, który udzielił wskazówek. Uważał, że zysk jego był dostateczną nagrodą za sześć godzin pracy tego wyczerpującego dnia.

Brat jego otrzymał dwa razy więcej, ale gdy jechali do domu, rozmawiając pełnym lęku szeptem o wszystkim co zaszło, i dając sobie nawzajem słowo, że zachowają całkowitą tajemnicę, Oliver zacisnął pięść i uderzył nią w kolano:

— Klnę się na Boga — zawołał. — Gdybym nie był głupcem i nie odkładał trochę pieniędzy na zabezpieczenie, mógłbym teraz mieć milion.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Po takim zwycięstwie nie można było nie czuć się w odpowiednim nastroju do świętowania uroczystości Bożego Narodzenia, do muzyki, tańców i wszystkiego, co piękne.

Takiem pięknem zjawiskiem była pani Winnie, gdy

wyszła na jego spotkanie. Ubrana była w swój najpiękniejszy płaszcz automobilowy z prawdziwego białosnieżnego gronostaju tak wspaniałego, że dokądkolwiek w nim jechała, ludzie odwracali się i patrzyli za nią długo, nie odrywając oczu. Ze swą żywą cerą i błyszczącymi oczyma była ucieleśnieniem radosnego zdrowia.

Siedziała w swym wielkim samochodzie, któremu całkowicie odpowiadał jej strój gronostajowy. Samochód ten był jakby niewielkim hotelem prywatnym. Znajdowały się w nim siedzenia dla sześciu osób, ruchome szerokie fotele i tapczany do spania, małe biurczko i umywalnia, elektryczny kandelabr, który zapalano w nocy. Wyłożony był cały południowo - amerykańskiem czerwonym drzewem i obity hiszpańską i marokańską skórą. Znajdował się w nim telefon dla porozumiewania się z szoferem, mała lodownia i wielki kosz z przyborami do lunchu. Słowem, można było spędzać całe godziny, odkrywając wciąż nowe zabawki w tym zaczerwowanym samochodzie. Sporządzony został specjalnie dla pani Winnie kilka lat temu i gazety donosiły, że kosztował trzydzieści tysięcy dolarów. Wówczas była to ostatnia nowość, ale teraz „każdy“ mógł sobie kupić taki sam. W takim samochodzie można było wygodnie siedzieć i śmiać się i podróżować z szybkością pociągu błyskawicznego bez żadnych wstrząsów i podskakiwań.

Ulice miasta migwały przed oczyma, jak zaczarowane. Przejechali przez park i wzdłuż brzegu rzeki. Była to wybrukowana aleja z pięknymi i potężnymi domami, ciągnącymi się po obu stronach. Dalej rozpoczynał się obszar tysiąca mil wielkich posiadłości zamiejskich. — Były tu lasy i jeziora; były ogrody i oranżerie, z rzadkimi roślinami i kwiatami; parki z jeleniami, skubiącymi trawę, i dumnie przechadzającymi się pawiami. Droga prowadziła wdół i w górę po wzgórzach, które wydawały się jedną nieprzerwaną polaną. A na naj-

wyższych miejscach widniały pałace wszystkich możliwych kształtów i stylów.

Takie wielkie posiadłości można było spotkać wszędzie naokoło miasta w odległości od trzydziestu do sześćdziesięciu mil. Było ich ze dwa czy trzy tysiące i niewiarygodne sumy pieniędzy wydane zostały na ich upiększenie. Można tu było ujrzeć sztuczne jeziora o powierzchni dziesięciu tysięcy akrów, ogrody z dziesiątkami tysięcy krzewów różanych i lilje japońskie, wartości ćwierci miljona. Była tam jedna posiadłość, w której hodowano za miliony dolarów rzadkie drzewa, przywiezione ze wszystkich końców świata. — Wszyscy ci bogaci ludzie, którzy nie mieli nic do roboty, zabawiali się w ten sposób, że ciągle zmieniali w swych posiadłościach wszystko odnowa, — nawet widok przed swemi oknami, tak jak się zmienia dekoracje w teatrze. W New-Jersey rodzina Heganów zbudowała zamek na szczycie góry, i przeprowadziła specjalną kolej elektryczną dla zwożenia materiałów budowlanych. Znajdowała się tu również posiadłość pewnego króla tytuniowego, na którą wydano trzy miliony dolarów, przedtem jeszcze, zanim gotowy był plan budowy. Były w niej sztuczne jeziora i rzeki, fantastyczne mosty, i posągi. Prócz tego z kaprysu właściciela założono tam niemało malutkich wzorowych plantacyj i folwarków. W Pocantico Hill znajdowała się posiadłość króla naftowego, obejmująca około czterech mil kwadratowych. Przeprowadzono tam wzorowe drogi długości trzydziestu mil. Przywieziono również do jego ogrodów wiele rzadkich roślin i wynajęto sześćset osób dla ich pielęgnowania. Były tam również place gry w golfa oraz miniaturowe Alpy, wśród których najbogatszy człowiek świata próbował przywrócić swe utracone zdrowie. Przez cały dzień uzbrojeni strażnicy i tajni agenci krążyli po całej posiadłości. A na wieży znajdował się

reflektor, aby można było wśród nocy zalać światłem całą okolicę.

W jednej z takich posiadłości mieszkał spadkobierca słynnej rodziny Devonów. Kuzyn jego osiadł w Europie, twierdząc, że Ameryka nie jest miejscem odpowiednim dla gentlemanów. Obaj posiadali nieruchomości w Nowym - Yorku, wartości stu milionów, i pobierali daninę od milionowej ludności pracującej miasta. Zgodnie ze swą rodzinną polityką, dokupywali sobie wciąż nowe majątki ziemskie. Byli dyrektorami większych linii kolejowych, dochodzących do miasta, i zgóry mogli się dowiadywać o zamierzonych przedsięwzięciach. — Gdy tylko przeprowadzono nową linię podziemnej kolei zamiejskiej, obiecującej milionom mieszkańców wyswobodzenie z ciasnoty, — ziemie, leżące wzdłuż drogi okazywały się już zakupione, zabudowane nowymi domami, w których odnajmowano mieszkania, a właścicielami tych domów byli zawsze Devonowie, do których należało pozatem немало hoteli miejskich, domów dla ludzi niezamożnych w dalekich brudnych uliczkach, jak również domów, stojących bez użytku. Devonowie nawet sami nie wiedzieli, co do nich należy. Mieszkali w swoich pałacach albo zagranicą, a w stolicy, w ich biurach wielka machina dla zbierania pieniędzy pracowała całą parą.

Eldridge Devon zajmował się dla rozrywki upiększaniem swego pałacu podmiejskiego i samochodami. Sprzedał nagle wszystkie swoje konie, a stajnie zamienił na garaże z ogromną ilością samochodów. Kupował bez przerwy nowe motory i opowiadał o ich zaletach. Co zaś tyczy się Hudson Cliffu — tak się nazywała jego posiadłość — powziął świetną myśl urządzenia tam pensjonatu dla gentlemanów, z tem, aby się sam opłacał, dostarczając wszystkich przedmiotów niezbędnej potrzeby, a również przedmiotów zbytku dla

stołu właściciela po cenach nie droższych od rynkowych. Jeśli wziąć pod uwagę ceny, które płacił zazwyczaj kupcom — pomysł jego był dość rozsądny. Ale Devon zachwycał się jak dziecko, pokazując Montague'owi swoje oranżerie z rzadkimi kwiatami i owocami, oraz swoją wzorową mleczarnię z marmurowymi żłobami i służbą w białych chałatach i gumowych rękawiczkach. Devon był niewielkiego wzrostu, bardzo tęgi, o czerwonych policzkach.

Do Hudson Cliff zjechało wielu znajomych Montague'a, oraz inni, których dotychczas jeszcze nie spotykał. Zabawiali się oni na różne znane mu już sposoby. W wigilję urządzono uroczystość dla dzieci, a w pierwszy dzień Bożego Narodzenia wspaniały bal kostjumowy. Na uroczystości te przyjeżdżało niemało gości z Nowego Yorku i posiadłości sąsiednich. Oddając wizyty, Montague zaznajomił się z właścicielami innych pałaców, zbudowanych również na szczytach wzgórz. Ale najważniejsze było to, że i tutaj grano również w bridge'a, — tak jak grano w bridge'a na wszystkich wieczorach, w których zdarzało mu się brać udział. Tutaj pani Winnie, odnosząca się do niego bardzo przychylnie, i starająca się najwidoczniej aby Allan zastąpił Olivera w jego roli przywódcy towarzystwa, podkreśliła, że nie przyjmie od niego żadnych uchylań się od gry w bridge'a. Zmuszony był więc dwa poranki zrzędu przesiedzieć z nią w jednym ze słonecznych salonów, wnikając gorliwie w tajemnice gry. Ponieważ Montague okazał się pojętym uczniem, uprzedzono go, że teraz już może grać poważnie.

I tu Montague zetknął się z nowem zjawiskiem społecznem, być może najbardziej znamiennem i najbardziej oburzającym ze wszystkich. Niedawno doświadczył na sobie, w jaki sposób można otrzymać wiele pieniędzy, nie zarobiwszy ich, i w związku z tem żywe były

jeszcze nieprzyjemne wspomnienia — lęk i naprężenie, paląca namiętna żądza i straszne, rozstrajające nerwy, podniecenie. Miał nadzieję, że już nieprędko będzie musiał przejść przez podobną próbę. I nagle stanęła przed nim perspektywa nieskończonego powtarzania się tego samego.

Gdyż na tem właśnie polegał sens bridge'a. Ludzie płacili za to, że otrzymywali pieniądze, nie zarabiając ich. Choroba weszła im w krew i nie mogli już więcej żyć bez podniety wygrania i nadziei na wygraną. Dlatego, gdy kończyły się ich trudy i zajęcia, i mogli odpocząć i zabawić się, zbierali się razem i męczyli się nawzajem sztuczną walką, naśladować straszną i potworną grę interesów finansowych. Na Wall Street Oliver pokazał bratu słynnego gracza, który wygrywał czasem sześć lub osiem milionów jednego dnia. Człowiek ten grał przez całe rano na giełdzie, a wieczór spędzał w domu gry dla miljonerów. Oto jak stała sprawa z bridge'em. Był to wrzód „towarzystwa“, wkradł się do wszystkich warstw społeczeństwa — i wyższych i niższych. Bridge psuł rozmowy przyjacielskie i wszelkie przyjazne stosunki, — a skończy się na tem, że zniesie nawet wszelką przyzwoitość i zamieni najlepszych ludzi w ordynarnych graczy. Tak mówiła pani Billy Alden, która przyjechała w liczbie gości.

Pani Billy nie lubiła pani Winnie Duval i rozmowę z Montague'em rozpoczęła od pytania, dlaczego pozwala demoralizować się przez tę kobietę. Następnie dobra lady zaczęła opowiadać mu, w co zamienił się teraz bridge. Jak ludzie grają w bridge'a na wszystkich linjach kolejowych od Nowego Yorku do San Francisco, i w samochodach, podróżując po całym świecie.

— Pewnego razu, — powiedziała, — wzięłam ze sobą kółko znajomych i pojechaliśmy do Sandy Hook na wyścigi o puchar Ameryki. Gdy wracaliśmy z przystani,

ktoś zawołał: „Kto wygrał?“ — Odpowiedź brzmiała: „Narazie pani Billy, ale będziemy jeszcze grali wieczorem“. — Innym razem zawiozłam kółko przyjaciół nad morze Śródziemne, do ujścia Nilu. Przejechaliśmy obok Wenecji, Kairu, piramid i kanału Suezkiego, ale nikt ani razu nawet nie spojrział na nie — grali w bridge'a. Pan myśli, że ja żartuję, ale mówię panu dosłownie, jak było. Znam pewnego człowieka, który jechał z Nowego Yorku do Filadelfji, zaczął po drodze grać z nieznanymi ludźmi i dojechał z nimi do samej Florydy, aby nie przerywać gry.

Montague dowiedział się później o pewnej szanowanej i znanej działaczce społecznej, która straciła zdrowie i majątek przez grę w bridge'a w New - Porcie. Spędzała teraz zimę na południu, ale i tam grała w bridge'a. Grano w bridge'a nawet w sanatorjach, dokąd posyłano ludzi, by leczyli się z wyczerpania nerwowego. Gra owa do tego stopnia rujnowała zdrowie kobiet, że doktorzy znali już symptomy choroby i zanim postawili diagnozę, pytali: „Czy pani gra w bridge'a?“ Bridge zmałował nawet odpoczynek niedzielny, — gra w karty tego dnia weszła w powszechny zwyczaj.

Bridge, tak jak go grano w „towarzystwie“, był grą bardzo rujnującą: można było łatwo jednego wieczoru i wygrać i przegrać parę tysięcy dolarów. Nie wszyscy mogli ryzykować takimi sumami, lecz jeśli ktokolwiek nie grał, wykreślono go z listy osób zapraszanych. A z chwilą, gdy ktoś wziął udział w grze, etykieta wymagała, by trwał w niej aż do końca. Opowiadano, że istniały młode dziewczyny, które zastawiały srebra rodzinne, lub sprzedawały swoją cześć, aby płacić długie karciane. Pewien bardzo znany młodzieniec ukradł klejnoty pani domu, zastawił je, a następnie przyniósł kwity i oświadczył, że jej goście ograli go. Istniały kobiety, które przyjmowano w najlepszym towarzystwie,

które jednak prowadziły za wygrane pieniądze prawdziwie awanturnicze życie. Istniały panie domu, które przyjmowały bogatych gości i obdzierały ich. Montague nie mógł nigdy zapomnieć uczucia przykrego zdziwienia, gdy z początku pani Winnie, a potem Oliver przestrzegali go, by nie grał z pewną arystokratyczną damą, którą spotykał w większości arystokratycznych salonów, dlatego, że jest znaną oszustką w grze.

— Drogi przyjacielu, — zaśmiał się jego brat, gdy Montague zaprotestował: — mamy przysłowie: „oszukiwać w kartach, jak kobieta“.

I następnie Oliver opowiedział mu o swem pierwszym doświadczeniu w grze karcianej, kiedy usiadł do gry w pokera z kilkoma czarującymi dziewczynami. Wymieniały mu nazwy swoich kart i zgarniały wygraną, ale kart nie pokazywały, a on był zbyt uprzejmy, żeby na to nalegać. Następnie dowiedział się, że jest to zwykły system i dlatego nigdy już nie grał z kobietami w pokera. I Oliver wskazał bratu jedną z tych dziewczyn. Siedziała, piękna jak obrazek i zimna jak marmur, z napół wypalonym papierosem w ręku, a na stole obok niej stała szklanka whisky z sodą, w której był kawałek lodu. Następnie Oliver pokazał mu ogłoszenie, które brzmiało: „Szczęście wasze się zmieni“, zawiadamiające, gdzie można pożyczyć pieniądze pod zastaw drogich toalet i futer.

W przeciągu dziesięciu dni, które spędzili u Devonów, pani Winnie troszczyła się tylko o to, aby Montague spędzał przyjemnie czas. Przy stole pani Winnie siedziała zawsze obok niego. Zauważył, że jakby nasutek umowy damą jego okazywała się zawsze pani Winnie. Nikt nie rozmawiał z nim o tem, ale wiedząc jak bezlitośnie obrabia się tu cudze sprawy, zaczął się czuć bardzo niezręcznie.

Nadszedł wreszcie czas, gdy poczuł, że troskliwość

pani Winnie dusi go prawie. I pewnego razu, natychmiast po lunchu uciekł, i udał się sam na długą przechadzkę. Na przechadzce tej miała go spotkać przygoda. Spadł głęboki śnieg, połyskujący na słońcu. Powietrze było rzeźkie i Montague wchłaniał je głęboko. W przeciągu godziny, jeśli nie więcej, wspinał się po pagórkach. Wiał ostry wiatr, i ujrzał, że rzeka zbieiała od piany. Gdy spuścił się w dół ku dolinie, wiatr ustał.

Tutaj w miejscu gęsto zalesionem przyciągnął uwagę Montague'a jakiś dziwny dźwięk, silny, wstrząsający ziemią. Przypominało to dźwięk odległego wybuchu. Montague zatrzymał się na chwilę, a następnie poszedł dalej, rozglądając się na wszystkie strony. Za skrzyżowaniem drogi ujrzał wielkie drzewo, które upadło wprost wpoprzek szosy. Trochę dalej, za drzewem leżało jeszcze coś. Rzucił się tam biegiem, i ujrzał dwa koła samochodowe, sterczące w górę.

Montague wskoczył na pień drzewa i momentalnie zrozumiał wszystko, co zaszło. Widocznie wielki samochód, który wyjechał z za ostrego zakrętu, skręcił pospiesznym na bok, aby wyminąć niespodziewaną przeszkodę, i wpadł do rowu.

Montague'a ogarnęło przerażenie, gdyż ujrzał człowieka, leżącego pod samochodem. Rzucił się ku niemu, lecz natychmiast zatrzymał się — ujrzał, że leżący wokół śnieg, przesiąknięty jest krwią. Piersi człowieka były zupełnie zmiażdżone i straszne oczy wyłaziły prawie z orbit.

Przez chwilę Montague stał jak skamieniały i patrzył na ten przeraźliwy obraz. Lecz z drugiej strony samochodu usłyszał jęk i rzucił się w stronę głosu. Drugi człowiek leżał w rowie i poruszał się słabo. Montague rzucił się mu na pomoc.

Ów drugi człowiek ubrany był w ciężkie futro niedźwiedzie. Montague uniósł go nieco i ujrzał, iż był to

stary człowiek z raną na czole i twarzą białą jak kreda. Montague pomógł mu oprzeć się plecami o wał przydrożny. Człowiek otworzył oczy i jęknął.

Montague klęknął przy nim i śledził jego ruchy. Czuł się zupełnie bezradny i nie mógł wymyślić nic innego prócz tego, że rozpiął futro rannego i obtarł z twarzy krew.

— Whisky! — wyjęczał nieznajomy.

Montague odpowiedział, że nie ma przy sobie whisky, lecz starzec powiedział mu, że wódka znajduje się w samochodzie. Ściana wału była dostatecznie stroma, tak że Montague mógł podpełznąć pod samochód i wydostać butelkę. Ranny wypił trochę i bladeść ustąpiła częściowo z jego twarzy. Twarz ta wydawała się Montague'owi znajomą, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją widział.

— Ilu was było? — zapytał Montague.

Starzec odpowiedział: — Dwóch.

Montague obszedł samochód dookoła i przekonał się, że drugi człowiek, widocznie szofer, jest już martwy. Następnie wyszedł pośpiesznie na drogę i zebrał kilka wiązek chróstu i prętów, położył je na samym środku drogi przed zakrętem, tak żeby inne samochody mogły je zdala ujrzeć. Ukończywszy tę czynność, powrócił do nieznajomego i obandażował mu głowę swoją chustką do nosa, aby zatamować krew.

Wargi starca zacisnęły się mocno, widocznie cierpiał bardzo.

— Zginałem, — jęczał, — to już mój koniec. Ja wiem, to ostatni cios.

Następnie przytknął oczy i położył się.

— Czy nie mógłby pan sprowadzić doktora?

— W pobliżu niema domów, — powiedział Montague. — Ale mogę pobiec dalej.

— Nie, nie, — przerwał mu starzec z trwogą. —

Niech mnie pan nie zostawia samego. Ktoś nadejdzie. O, ten głupiec szofer! Dlaczego nie jechał wolno, jak mu kazałem. Oni tak zawsze robią, wszyscy chcą pokazać swoją brawurę.

— Szofer nie żyje, — powiedział spokojnie Montague.

Starzec uniósł się na łokciu: — Nie żyje? — wyszeptał.

— Tak, — odpowiedział Montague. — Leży pod samochodem.

Starzec z dzikim przerażeniem chwycił Montague'a za rękę.

— Nie żyje, — powtórzył. — O, mój Boże! a to przecież mogłem być ja na jego miejscu...

Nastąpiło krótkie milczenie. Nieznajomy dyszał ciężko i zaszeptał znowu:

— Zginałem. Nie zniosę tego... To już za wiele.

Unosząc starca, Montague zauważył, że jest drobny i wątłej budowy. Teraz zaś czuł, że ręka, która się go uczepiła, drżała silnie. Pomyślał, że stary nie doznał widocznie innych obrażeń, tylko ma rozstrojone nerwy.

I w kilka chwil później przekonał się o tem, gdy nieznajomy pochylił się nagle ku przodowi i uczepił się go ze zdwojoną siłą, wpijając w niego szerokie, przerażeniem wypełnione oczy.

— Czy pan wie, co to znaczy bać się śmierci? — powiedział, chwytając z trudem oddech. — Czy pan wie, co to znaczy bać się śmierci?

I następnie, nie czekając na odpowiedź, mówił dalej z pośpiechem:

— Nie, nie, pan tego nie może wiedzieć. Myślę, że niema na świecie drugiego człowieka, któryby to tak wiedział, jak ja. Niech pan pomyśli: przez całe dziesięć lat nie zaznałem ani jednej minuty, w której nie bałbym się śmierci. Ten strach kroczy za mną wszędzie,

nigdy mnie nie opuszcza. A gdy się go na chwilę wyzbywam, słyszę, jak śmierć chichocze nademną, bo ona dobrze wie, że nie mogę od niej nigdzie uciec.

Ciężki oddech przerwało głośnie chichotanie. Czepiał się rękoma Montague'a, jak przestraszone dziecko i patrzył na niego dzikim wzrokiem. Montague siedział, przybity przerażeniem.

— Tak, — mówił szybko starzec, — Bóg widzi, że powiedziałem prawdę. Pierwszy raz w życiu mówię o tem. Gdybym tego nie ukrywał, ludzie śmieliby się ze mnie, bo oni wszyscy zapewniają, że nie boją się śmierci. Ale ja nie śpię ani jednej nocy. A strach, jak szatan siedzi przy mojem łóżku. Leżę i wsłuchuję się w uderzenia własnego serca: słyszę, jak bije i myślę o tem, jakie jest słabe, jakie ma cienkie ścianki i jakie to straszne, że życie zależy od takiego organu. Jestem przekonany, że pan nie przeżywał nic podobnego.

Montague zaprzeczył ruchem głowy.

— Widzi pan, pan jest młody. Pan jest zdrowy, wszyscy są zdrowi oprócz mnie. I wszyscy mnie nienawidzą. Nie mam ani jednego przyjaciela na całym świecie.

Montague był bardzo zakłopotany tym nieoczekiwanym wybuchem wynurzeń. Starał się powstrzymać starca, gdyż nieprzyjemnie mu było wysłuchiwać tego wszystkiego: przykro było korzystać z tego, że ktoś stracił nad sobą panowanie. Lecz niemożliwe było powstrzymać nieznajomego, był zupełnie wyprowadzony z równowagi i głos jego brzmiał wciąż głośnie i głośnie.

— Każde moje słowo jest prawdą, — wykrzykiwał dziko, — i nie mogę już dłużej znieść tego. Kiedyś byłem młody i silny i mogłem troszczyć się sam o siebie. Mówiłem sobie wówczas: „Zdobędę pieniądze i nazwisko i będę władcą nad innymi ludźmi“. Ale byłem sza-

leńcem i zapomniałem o swoim zdrowiu. A teraz pieniądze całego świata nie mogą mi go przywrócić. Dałbym dziesięć milionów dolarów, żeby posiadać zdrowe ciało, jak wszyscy inni ludzie, a ot co mam... — Przycisnął ręce do piersi. — Niech pan popatrzy na to, — zawołał histerycznie. — To jest ciało, z którym mam żyć. Nie jest ono w stanie trawić żadnego pokarmu i nie mogę go rozgrzać, niema w niem nic zdrowego: wszystko jest chore. Coby pan na to powiedział, gdyby pan nie spał całą noc i powtarzał sobie, że pańskie zęby gniją i pan nie może temu zapobiec, włosy panu wypadają i nikt nie jest w stanie tego powstrzymać. Jest pan starym wyczerpanym człowiekiem, rozpada się pan poprostu, i wszyscy pana nienawidzą, wszyscy wyczekują pańskiej śmierci, żeby się od pana uwolnić. Doktorzy przychodzą ale wszyscy są szarlatanami. Kiwają głowami, wypowiadają długie zdania, ale sami wiedzą, że nie mogą panu nic pomóc. Potrzebne im są jednak duże honorarja. I wszystko, co oni robią, jeszcze bardziej pana przeraża i powiększa pańską chorobę.

Montague'owi nie pozostawało nic innego, tylko siedzieć i wysłuchiwać tej żalosnej przemowy. Próby uspokojenia starca podniecały go tylko.

Dlaczego to wszystko musiało się zwać właśnie na mnie? — jęczał dalej. — Chcę być takim, jak wszyscy inni ludzie, chcę żyć. A zamiast tego, podobny jestem do człowieka, wokół którego krąży głodne stado wilków... Oto, do czego jestem podobny! Taka jest przyroda: głodna, okrutna i dzika. Pan myśli, że pan wie, co znaczy życie? Wydaje się panu piękne i miłe i przyjemne, — wszystko to wówczas, gdy jest pan na szczycie. Ale teraz ja, który opuściłem się na samo dno, ja widzę, co to jest życie. Jest to coś w rodzaju koszmaru, który przybliży się do pana, aby pana schwycić i zdusić, a pan nie może oddalić się od niego. Jest pan bezradny, jak

zapędzony do kąta szczur... jest pan przeklęty, wszyscy są przeklęci!

Głos nieszczęśliwego człowieka przeszedł w krzyk rozpacz. Upadł, zwinawszy się w kłębek przed Montague'iem, drżąc i szlochając. Montague wzdrygał się zlekka, przybity przerażeniem.

Nastąpiło długie milczenie, wreszcie nieznajomy uniósł swą zapłakaną twarz. Montague podtrzymał go.

— Niech pan się napije jeszcze trochę whisky.

— Nie, — odpowiedział starzec, — wolę nie pić. Doktorzy nie pozwalają mi pić whisky, — dodał po chwili. — To wszystko przez moją wątrobę. Tylu rzeczy mi zabraniają, że muszę wszystkie zakazy zapisywać do notatnika. I to wszystko nic mi nie pomaga. Niech pan pomyśli: muszę żyć, karmiąc się sucharami grahama i mlekiem. Od dwóch lat już nie brałem nic do ust prócz sucharów grahama i mleka.

I wówczas Montague przypomniał sobie nagle, gdzie już widział tę starą pomarszczoną twarz. Człowiek ten był wujem Laury Hegan i major pokazał mu go w sali jadalnej klubu miljonerów... Stary Henryk S. Grimes, który ma naprawdę dopiero sześćdziesiąt lat, a któremu można dać osiemdziesiąt... Ten który posiada w ciemnych brudnych uliczkach domy z taniemi mieszkaniami i eksmituje z nich miesięcznie więcej ludzi, niżby się pomieściło we wszystkich salach budynku klubowego.

Montague nie dał po sobie poznać, że zna starca, siedział w dalszym ciągu, podtrzymując go. Mała wstążeczka krwi ukazała się z pod chustki i spłynęła po policzku. Montague poczuł, jak stary zadrżał, gdy dotknął palcem jego rany.

— Duża rana? — zapytał.

— Niebardzo, — odpowiedział Montague. — Nałożą dwa albo trzy szwy, nie więcej.

— Niech pan pośle po mojego lekarza domowego, —

powiedział starzec. — Znajdzie pan jego bilet wizytowy w moim portfelu. Co to?...

Zdała na drodze słyszeć było głosy.

— Hallo! — zawołał Montague.

Po chwili przybiegło ku nim dwóch ludzi w kostumach samochodowych. Zatrzymali się i z przerażeniem patrzyli na widok, który przedstawił się ich oczom. — Zgodnie z radą Montague'a odszukali szybko kłodę drzewa, którą podłożyli pod przewrócony samochód. — Unieśli go na tyle, aby wyciągnąć stamtąd ciało szofera. Montague skonstatował, że jest już zimne. Zwrócił się do starego Grimesa:

— Dokąd pan jechał? — zapytał.

Stary wahał się.

— Jechałem do Harrisonów, — powiedział wreszcie.

— Do Harrisonów? — zapytał Montague (spotkał ich kilka razy u Devonów).

Grimes zauważył, że nazwisko to znane jest Montague'owi.

— Pan zna ich? — zapytał.

— Znam, — odpowiedział Montague.

— To niedaleko, — powiedział starzec. — Chyba będzie najlepiej, żebym tam pojechał. — Następnie zawahał się przez chwilę, i schwyciwszy Montague'a za rękę, przyciągnął go do siebie i szepnął: — Niech pan słucha, nie będzie pan nic mówił?..

Montague, zrozumiałwszy o co chodzi, odpowiedział:

— To pozostanie między nami, — i poczuł dreszcz wstrętu do tej nieszczęsnej starej kreatury.

Wniesiono Grimesa do samochodu, a ponieważ zatrzymano się trochę, aby przykryć pledem trup szofera, starzec zapytał z rozdrażnieniem czemu nie jadą. W przeciągu całych dziesięciu czy piętnastu minut jazdy siedział, przyciskając się do Montague'a i podrygując ze strachu przy każdym zakręcie drogi.

Dojechali do posiadłości Harrisonów. Lokaj utracił odrazu swą niewzruszoną minę na widok wielkiego tłomoka futra niedźwiedziego, który Montague niósł na ręku.

— Proszę posłać po panią Harrison, — powiedział Montague i złożył swój ciężar na kanapie w hallu. — Proszę posłać natychmiast po doktora, — dodał, zwracając się do drugiego lokaja.

Pani Harrison weszła.

— To jest pan Grimes, — oświadczył Montague, lecz natychmiast usłyszał okrzyk przestachu, odwrócił się i ujrzał Laurę Hegan, ubraną w kostjum spacerowy, zaróżowioną od mroźnego powietrza.

— Co to znaczy? — zapytała.

Wyjaśnił jej co się stało, i dziewczyna rzuciła się na pomoc starcowi. Następnie Montague zaniósł Grimesa na górę i czekał na dole, póki nie nadszedł doktor.

Dopiero, gdy Montague szedł do domu, zaczął myśleć o Laurze Hegan i o tem, jaka ładna była w swoim futrze. Zapytywał sam siebie, czy los będzie go zawsze zbliżał do Laury Hegan wówczas, gdy coś innego odciąga jego uwagę.

W domu zawiadomił wszystkich o swej przygodzie i przez cały dzień patrzono na niego, jak na bohatera. Zmuszony był udzielać wywiadów różnym reporterom gazetowym, ale wszystkim odmówił pozwolenia na sfotografowanie siebie. Wydawało się, że wszyscy u Devonów znali starego Grimesa, i Montague pomyślał sobie, że nieszczęsny starzec miał rację: nie posiadał widocznie ani jednego przyjaciela na świecie.

Gdy Montague następnego rana zeszedł na dół, znalazł w gazetach szczegółowy opis całego wypadku i dowiedział się, że Grimesowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, otrzymał jedynie powierzchowną ranę głowy. Montague uznał jednak, że należy pojechać do starego

1 dowiedzieć się o jego zdrowie. Pojechał wcześniej, jeszcze przed lunchem.

Laura Hegan wyszła na jego spotkanie, ubrana w białą poranną suknię. Potwierdziła wiadomości gazetowe i powiedziała, że wuj śpi teraz spokojnie. Ale nie powiedziała, że jego doktor domowy przyjechał pospiesznie z dwiema pielęgniarkami, i że biednemu milionerowi zabroniono nawet jego sucharów grahama i mleka. Zamiast tego powiedziała, że wuj podkreślał specjalnie dobroć Montague'a i prosił, żeby mu podziękować. Montague był na tyle cyniczny, że nie uwierzył jej.

Po raz pierwszy nadarzyła się mu sposobność pomówienia z panną Hegan. Zachwycił się jej miłym, pieszczotliwym głosem z bardzo słabym akcentem południowym. Cieszyło go, że mówi nie naruszając czaru swej jasnej i szlachetnej urody. Montague spędził tam tyle czasu, na ile pozwalała etykieta, i przez całą drogę powrotną myślał o Laurze Hegan.

Po raz pierwszy spotkał kobietę, z którą — czuł to — chciałby zapoznać się bliżej, kobietę opanowaną, posiadającą również własny pogląd na życie. Lecz zbliżenie do niej było niemożliwe, gdyż była bogata. Faktu tego nie można było pominąć i Montague nie próbował nawet tego robić. Spotykał już kobiety z wielkim majątkiem, wiedział jak one same i cały pozostały świat odnoszą się do tego. Być może w głębi duszy pragnęły one być jeszcze czemś innym, niż stróżami szkatuły z pieniędzmi, lecz pragnienie to było niewykonalne. Pieniądze związane były z niemi nierozłącznie i musiały ich bronić od wszystkich, którzy na nie czyhali. Montague przypominał sobie jedną po drugiej bogate dziewczyny: niektóre z nich niedawno dopiero wprowadzone zostały w świat — eleganckie, wiotkie, jak motylki, a pod zewnętrznym pięknem dusza każdej z nich szorstka była jak kolczuga. Przez całe życie uczono je, by trakto-

wały siebie, jako przedstawicielki pieniędzy, a każdego, kto się do nich zbliżał, jako awanturnika, pragnącego te pieniądze zdobyć. W każdym słowie, które wymawiały, w każdym spojrzeniu i ruchu można było tę myśl wyczytać. I Montague pomyślał o Laurze Hegan, o ogromnym majątku, który otrzyma w spadku, wyobraził sobie życie, które ją oczekiwało: rezydentów, pasorzytów i pochlebców, którzy będą ją osaczali, wyrachowane matki, łagodne siostry, kuzynki, które będą intrygowały, aby zdobyć jej zaufanie! Dla człowieka biednego, pragnącego jednak zachować swą godność, mógł być tylko jeden wniosek: dla niego jest niedostępna.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Montague powrócił do miasta i znowu pograżył się całkowicie w swoje książki. Alicja zaś poświęcała swobodne chwile na śledzenie przygotowań do nowej toalety, w której miała podtrzymać honor rodziny na wspaiałym balu u pani Devon. Zdarzenie to miało mieć miejsce następnego tygodnia, i całe towarzystwo było podniecone, podobnie jak dzieci przed Bożem Narodzeniem. Wszyscy znajomi Montague'a zostali zaproszeni i wszyscy przyjechali za wyjątkiem tych, którzy byli w żałobie. Pełno było rozmów i plotek o tych, którzy nie zostali zaproszeni, o ich niezadowoleniu i rozdrażnieniu.

Oznaczonego wieczoru drzwi domu pani Devon otwały się wcześniej, lecz mało kto przyjechał przed godziną dwunastą w nocy. Zgodnie z wymaganiami mody, należało być pierwiej w operze, a w dodatku jeszcze z pół tuzina osób miało proszone obiady. Szczęśliwy był ten, który następnego dnia nie zachorował na wątrobę,

gdyż o pierwszej w nocy podano u pani Devon wspa-
niałą kolację, — a o godzinie czwartej drugą kolację.
Aby przygotować wszystkie te potrawy, sprowadzono
tuzin dodatkowych kucharzy na tydzień przedtem, gdyż
znakomite ladies szczyliły się tem, że niedopuszczały
nigdy, aby dostawcy sporządzali kolację dla ich gości.

Montague'a nie opuszczało nigdy zdumienie na wi-
dok tego cudu społecznego, którego ucieleśnieniem by-
ła pani Devon. Zjawił się na balu i wmieszał się w gę-
stwą tłum. Jeśli nie liczyć przypadkowej rozmowy,
którą wszczął z jednym z tajnych agentów, przyjmując
go za gościa, wszystko poszło mu pomyślnie. Ale w prze-
ciągu całego czasu, gdy migały przed jego oczyma wy-
strojone damy i przedstawiano go im lub też gdy tań-
czył z niemi, — rozglądał się bezustanku wokoło i zdu-
miewał się. Wielkie schody i sala zamienione zostały na
podzwrotnikowe ogrody z palmami, pnąciami się roślin-
nami, azaljami, różami i wielkimi wazonami purpuro-
wych orchidej, z tysiącami świateł. (Powiadano, że na
bal ten spotrzebowano cały zapas kwiatów w kraju aż
do Atlanty włącznie). A w poczekalni można było uj-
rzeć malutką starą lady, stojącą w altance z orchidej.
Ubrana była w suknię o królewskiej purpurze, obszytej
srebrem i opasanej kolczugą z drogich kamieni. Jeśli
wierzyć gazetom, brylanty obecnych dam oceniano na
dwadzieścia milionów dolarów.

Montague był zupełnie oszołomiony całym tym prze-
pychem. W kotyljonie brało udział dwieście bogato wy-
strojonych dam i ich partnerów: wesole widowisko, zu-
pełnie jak w czarodziejskiej bajce lub starej balladzie
z czasów rycerskich. Podczas tego tańca cztery razy
rozdawano oznaki kotyljonowe. Na tańczących sypały
się najróżniejsze drogocенności i przedmioty sztuki,
jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej. Sama pani
Devon zniknęła wcześniej, ale muzyka i zabawy trwały

prawie do rana i przez ten cały czas hall i wszystkie pokoje wielkiego pałacu tak były przepełnione gośćmi, że ledwo można było się poruszać.

Następnie każdy wracał do domu i rozmyślał nad tem, że z całego tego blasku i wspaniałości, ze wszystkich tych wysiłków ludzkich nie pozostało absolutnie nic, prócz wspomnienia. Aby jednak należycie wnikać i wyjaśnić sobie tę bezużyteczność, należało zrozumieć, że bal ten był po prostu jednym z tysięcy innych, był wzorem, który każdy będzie się starał naśladować. Był to specjalny dzwon, oznajmiający towarzystwu, że „sezon“ został otwarty. Po tym balu otwierały się jakby tamy szaleństwa i wylewały się potoki rozrzutności. Od tej chwili rozpoczynał się kołowrót zabaw. Każdego wieczoru można było brać udział w trzech bankietach, gdyż obiad i dwie kolacje był teraz w zwyczaju na wszystkich przyjęciach, a dzień wypełniony był wizytami i herbatkami oraz koncertami dziennymi.

Można było czynić wybór z pośród „mnóstwa“ zaproszeń, ale zawsze i wszędzie spotykało się osoby, stanowiące kółko pani Devon. A wszystko to, — nie licząc jeszcze dziesiątka tysięcy poszukiwaczy i naśladowców w samym Nowym-Yorku, nie licząc mnóstwa innych miast, gdzie było tysiące kobiet, które nie miały nic innego do roboty, niż naśladowanie stolicy. Montague'owi trudno było przedstawić sobie obraz tego potoku spustoszenia — było to coś oszałamiającego uczucia i grzmiącego w uszach, podobnie jak Niagara.

Ale znaczenie tego wszystkiego nie ograniczało się do kręgu osób, biorących udział. Rezultaty można było obserwować w całym kraju. Istniały całe hordy kupców i fabrykantów, którzy dostarczali tego, co u nich kupowano, i którzy mieli tylko jedyne dążenie: skłonić ludzi, by kupowali jaknajwięcej. I oni to wymyślili tak zwane „mody“ — niewielkie ekscentryczności w kroju

i materjale, dzięki czemu każdy przedmiot wychodził szybko z użycia. Dawniej były tylko dwa sezony, teraz zaś było ich cztery. Dzięki wystawom i witrynom magazynów, oraz milionom ogłoszeń, publiczność wpadała w zasadzkę. Żółta prasa poświęcała całe strony opisom: „Stroje Czterystu“. Były żurnale z wieloma tysiącami czytelników, istniejące tylko po to, aby propagować te „ideje“. I wszędzie, we wszystkich klasach społeczeństwa, mężczyźni i kobiety wyczerpywali swe umysły i serca i wytężali swą energję, aby nadażać za tem widmem mody. Masę ludzi wpadało przez to w biedę, a młodzież, — nadzieja przyszłości, — również oszukana została przez modę. Po wsiach żony biednych farmerów przerabiały swe suknie, aby były „stylowe“, pokojówki w miastach nosiły imitacje drogich futer. Ekspedjentki, szwaczki sprzedawały się do domów publicznych za wstążeczki i imitacje klejnotów. Był to instynkt upiększania, zwyrodniały przez chciwe pożądanie pieniędzy. Jedynym miernikiem wyższości w mieście były pieniądze. Pieniądze były dowodem siły i każde naturalne pragnienie mężczyzny i kobiety zbrukane było wpływem pieniędzy. Absolutnie wszystko: przyjaźń, piękno, gościnność, radość muzyki i tańców, miłość — wszystko stało się poprostu środkiem przejawiania władzy pieniądza. Mężczyźni zajęci byli zdobywaniem ich w ilości wciąż większej i większej, a ich próżnującym żonom nie pozostawało w życiu nic, prócz współzawodnictwa w próżności. W ten sposób doszło do tego, że kobieta, która potrafiła marnotrawić olbrzymie sumy w sposób rzucający się najbardziej w oczy, a tem samem stawiała się istotnem narzędziem niszczenia pracy i życia innych ludzi, — była właśnie tą kobietą, którą oklaskiwano najwięcej i która przyciągała powszechną uwagę.

Najbardziej groźnem zjawiskiem w „towarzystwie“

był jego krańcowy, ślepy materjalizm. Gdy Montague przyjechał do Nowego - Yorku, znajdował się pod silnym wpływem literatury europejskiej. Miał nadzieję, że w „grand monde“ spotka dyplomatów i mężów stanu, działaczy naukowych i badaczy, filozofów, poetów i artystów. Lecz w „towarzystwie“ nie słyszano nawet o takich ludziach. Interesowanie się zagadnieniami intelektualnymi uważane tam było za objaw ekscentryczności i można było w przeciągu całych tygodni, bywając wszędzie, nie spotkać ani jednego człowieka, myślącego o zasadach ideowych. Jeśli ludzie ci czytali, to czytali jedynie mdłe powieści, a jeśli chodzili do teatru, to tylko poto, aby wysłuchać operetki. Jedynym produktem intelektualnym, na który „towarzystwo“ mogło wskazać, jako na swój własny, były ohydne, skandaliczne ulotki, używane przeważnie dla szantażu.

Od czasu do czasu jakaś ambitna młoda lady, należąca do śmietanki „towarzystwa“, próbowała stworzyć „salon“ na wzór europejski, i grupowała około siebie kilka osób, które uważały się za ludzi mądrych. Po większej części jednak inteligentni pracownicy w mieście trzymali się konsekwentnie na uboczu. I „towarzystwu“ pozostawało jedynie niewielkie kółko ludzi, których majątki w przeciągu dziesięciu czy dwudziestu lat stawały się historycznymi, i którzy zbierali się u siebie nawzajem w swych pałacach, najadali się po uszy, grali w karty i plotkowali, odziewając się w utkaną przez nich samych szatę dostojenstwa i wyłącznej wielkości.

Montague'owi zdarzało się myśleć, że być może nie należy winić ich samych. Nie oni podnieśli bogactwo do godności celu i ukoronowania całego życia — winne jest temu społeczeństwo, jako całość, którego część tylko oni stanowią. Nie jest ich winą, że w ich rękę znalazła się potęga, której nie mają na co użyć. Nie jest ich winą, że synowie ich i córki żyli na świecie, nie

doświadczywszy nigdy biedy i pozbawieni możności jakichkolwiek pożytecznych poczynąń. Według zdania Montague'a najbardziej pożałowania godną w tem wszystkim była sytuacja „drugiego pokolenia“, któremu sądzonem było zjawić się na scenie życia już w stanie zatrutym. Żadne zło, jakie mogli wyświadczyć światu nie dawało się porównać ze złem, które świat wyświadczył im, pozwoliwszy im rozporządzać pieniędzmi, których nie zarobili. Nazawsze odcięci byli od rzeczywistości i od możliwości zrozumienia życia, posiadali zdrowe ręce i żądni byli czynu, a nie mieli nic do roboty. Oto na czem polegało istotne znaczenie wszystkich tych orgij rozrutności, „wiru światowego życia“, jak go nazywają. Była to szalona gonitwa za nowemi wrażeniami, za podnietami, które mogłyby rozruszyć uczucia ludzi, nie interesujących się niczem na świecie. Oto dlaczego budowali pałace i szafowali zbyt kownemi bankietami i balami, pędzili po całym kraju w samochodach, podróżowali po całym świecie w jachtach parowych i własnych pociągach.

Lecz ostatecznie rezultat był taki, że nie bacząc na wszystkie ich wysiłki gonitwa ta była daremna — znużone nerwy nie reagowały. Niewysłowna, męcząca nuda — oto najjaskrawsza cecha życia wielkiego świata. Jakaś ekspedjentka mogła czytać z chciwą zazdrością o ich wielkich uroczystych przyjęciach, ale damy, biorące udział w tych przyjęciach, zasypiały prawie pod osłoną swych wachlarzy, ozdobionych drogocennymi kamieniami. Jako typowe potwierdzenie tego wszystkiego uważał Montague opowiadanie pani Billy Alden o jej przejażdżce z przyjaciółmi jachtem po Nilu. Jej towarzysze podróży ziewali, patrząc na sfinksa i grali w bridge'a pod cieniami piramid, liczyli krokodyły i proponowali skoczyć do wody dla „rozmaitości“.

Ludzie brali udział w tych bezustannych wirach za-

baw poprostu dlatego, że obawiali się pozostać w domu sami. Tułając się z miejsca na miejsce, poszliby jak stado owiec za jakimkolwiek przewodnikiem, który wymyśliłby im nową rozrywkę. Moznaby było zapłacić cały tom wyliczaniem ich „rozrywek“. Co tydzień zjawiały się nowe — i jeśli nie mogło ich wymyślić samo towarzystwo, to wymyślała je żółta prasa. Jedna kobieta wprawiała w swoje zęby brylanty, inna zaprzęgała do swego powozu parę zebr.

W New - Porcie urządzano: obiady „małe“ i „obiady w marynarkach“, a w Nowym - Yorku: „obiady na koniach“ i „tańce jarzyn“. Mówiono o modnych albumach, o wachlarzach z autografami, o gadających wronach, rzadkich gatunkach orchidej i o pieczeniu z jeleni północnych, o bransoletkach dla mężczyzn i o kółkach na nogi dla kobiet, o „skrzynkach próżności“ po dziesięć i dwadzieścia tysięcy dolarów każda; o ohydnych i strasznych ulubieńcach: kameleonach, jaszczurkach, żmijach. Pewna młoda dama nosiła żmiję na szyi nakształt naszyjnika. Niektóre zabijały swą nudę w ten sposób, że odwiedzały najbiedniejsze dzielnice miasta, inne wchłaniały nozdrzami spirytus, trzecie posiadały obrus, utkany cały z róż, a inne jeszcze nosiły naperfumowaną flanelę po szesnaście dolarów za yard. Ktoś urządził ślizgawkę na lodzie w sierpniu, a inny otworzył kursy dla studjowania Platona. Niektórzy urządzali zawody tenisowe w kostjumach kąpielowych, i fikali po obiedzie koziołki. Inni jeszcze otrzymywali od papy pozwolenie na zaprowadzenie własnej kaplicy, jak również własnego pastora. A inni jeszcze wymyślili urządzenie „obiadów ruchomych“ i przechodzili z jednej restauracji do drugiej. Cocktail i zakąskę jedli u Sherry, a zupę i maderę — u Delmonica, u Waldorfa zaś jedli zółwia morskiego i tak dalej.

Jedną z konsekwencji tego wściekłego tempa było

to, że zdrowie ludzi rujnowało się bardzo szybko. Znajdowano różnego rodzaju dziwaczne sposoby przywrócenia zdrowia. Jeden nie jadł nic innego prócz szpinaku, inny jadł tylko trawę. Jeden przeżuwał 32 razy łyżkę zupy, inny jadł co dwie godziny, inny tylko raz na tydzień. Niektórzy wychodzili wczesnym rankiem na spacer i chodzili boszo po trawie, a inni skakali po podłodze na czworakach, aby schudnąć. Pojawiło się leczenie zapomocą „oddychania“ i leczenie wodą, leczenie „nowymi myślami“, i „leczenie metafizyczne“. — Istniał automatyczny koń, na którym można było jeździć w pokoju z przyrządem, wskazującym przebytą odległość. Montague napotkał również kobietę, która mu opowiadała, że jeździ na elektrycznym wielbłądzie.

Wszędzie, gdzie tylko się poszło, można było spotkać nowych ludzi, którzy wydawali swoje pieniądze na różne nowe i niewiarogodne sposoby. Był człowiek, który zakupił kaplicę i zamienił ją na teatr, zaprosił zawodowych aktorów i namówił swych przyjaciół, aby przyszli popatrzeć, jak on będzie grał Szekspira. Gdzieś indziej znów kobieta ubierała się w ten sposób, że naśladowała figury ze słynnych obrazów i stroiła się w róże, liście wiśniowe i wieńce z lauru i bluszczu — prztem ubierała swe ulubione pieski w takie same kostjumy, odpowiadające jej strojom. Był człowiek, który za gwoździki wysokości czterech cali płacił pięć dolarów. Pewna młoda dziewczyna nosiła kapelusz, przybrany żywemi małemi rybkami, i balową suknię z mnóstwem żywych motylków, przyczepionych jedwabnemi nitkami. Inna miała znów kapelusz z tkanego srebra z piórami długości czterdziestu cali, zrobionemi ze srebrzystych pajęczynek. Istniał człowiek, który wynajął rotę żołnierzy, by przeprowadzali ćwiczenia i w ten sposób przygotowywali posadzkę dla tańców. A inny wznosił budynki, wartości trzydziestu tysięcy dolarów, poto, aby

odbyć w nim pierwszy bal swojej córki, a następnego dnia kazał ów budynek zburzyć. Był również człowiek, który hodował grzechotniki, i wypuszczał je następnie tysiącami, aby w ten sposób wypędzić wszystkich z posiadłości jednego z Wallingów w Karolinie Północnej. Istniało jeszcze indywiduum, które zbudowało sobie jacht ze wzorową fermą mleczarską, piekarnią, pralnią francuską i orkiestrą miedzianych instrumentów. Był również miljonowy jacht wyścigowy, z umieszczonemi na nim łodziami motorowemi i oddziałem celnych strzelców oraz dwoma lekarzami dla wpółzworowanego właściciela jachtu. Był też człowiek, który za trzy czwarte miliona kupił zamek na Renie, wydał tyleż na odbudowanie go i wypełnił go służbą, ubraną w kostjумы z XIV wieku. A inny posiadał kolekcję artystyczną, wartości pięciu milionów, tak dobrze ukrytą, że nikt jej nigdy nie widział.

Znaczenie szaleństw tego rodzaju przejawiało się najjaskrawiej u młodzieży z „towarzystwa“. Niektórzy z nich zabijali siebie i innych na wyścigach samochodowych po sto dwadzieścia mil na godzinę. Inni puszczali się na morze w łódkach motorowych, podobnych do skorupki, a z formy do ostrza noża. Cięli wodę z szybkością czterdziestu mil na godzinę. Niektórzy wynajmowali zawodowych bokserów i bili się z nimi. Inni urządzali walki psów, niedźwiedzi, lub walki bokerskie kangurów. Zawieziono Montague'a do młodzieńca, który całe swe życie poświęcił polowaniu na dzikie zwierzęta we wszystkich częściach świata i gotów był przedsięwziąć podróż naokoło świata, aby dodać jakiś nowy okaz do trofeów swego muzeum. Słyszał, że baron Rotschild zaproponował tysiąc funtów za „bongo“, wielkie trawożerne zwierzę, którego nie oglądał jeszcze nigdy żaden biały człowiek. I oto młodzieniec ów pojechał na cały rok w głąb Afryki i wziął ze sobą stu trzydziestu tubyl-

d'hotelowi, by przynoszono przed lunchem szampan do pokoju dzieciennego.

W pamięci Montague'a utkwiło małe zdarzenie, jako charakterystyka stosunku ludzi z towarzystwa do tych spraw. Major Venable powiedział przypadkiem i żartując, że w obecnych czasach damy powinny być ostrożniejsze, gdyż dzieci rozumieją teraz bardzo wiele. Pani Vivie Patton odpowiedziała na to w napadzie naglej powagi:

— Nie myślę... czyżby pan sądził, że dzieci posiadają poczucie moralności? Moje dzieci go nie mają.

I następnie, czarująca pani Vivie zaczęła opowiadać prawdę o swoich dzieciach. Są one z natury dzikusami. Robiły wszystko co chciały i nikt nie mógł ich powstrzymać. Major odpowiedział na to, że teraz cały świat robi to, czego chce, i najwidoczniej nikt nie jest w stanie tego zmienić. Po tej żartobliwej rozmowie przeszli do innych spraw, ale Montague siedział milcząc, myślał o tem wszystkiem i zapytywał się w duchu, co się stanie ze światem, gdy władza przejdzie do rąk tego pokolenia rozpieszczonych dzieci, wyznających religję: robić tylko to, co mi się podoba.

Z początku ludzie robili poprostu to co im się podobało, robili nieprzymuszenie i nie zastanawiając się nad tem. Ale teraz, — Montague zauważył, — weszło to w zwyczaj, rozpowszechniony do tego stopnia, że rozwinęła się z niego cała filozofja. Powstał nowy kult, który znalazł swój wyraz w sztuce i literaturze. W Europie literatura ta trzymała się przez całe stulecie, a w Anglii w przeciągu jednego czy dwóch pokoleń. — Teraz zaś literatura tego rodzaju doszła już i do Ameryki.

Pewnego razu pani Vivie zaprosiła Montague'a na jeden z jej wieczorów artystycznych. Zastał tam panią Vivie i jej hrabiego (pan Vivie nie był widocznie zapro-

szony), jak również młodego poetę, o którego utworach opowiadano wiele w mieście. Poeta ten był wysokim zgrabnym młodzieńcem o bladej twarzy, smutnych czarnych oczach i czarnych kędziorach, opadających falisto na szyję. Siedział w kącie pokoju, urządzonego w stylu wschodnim, i trzymał w ręku rękopis, przepisany ładnem drobnem pismem na artystycznym papierze, uperfumowany delikatnymi perfumami i przewiązany jaskrawo - purpurową wstążką.

Młoda dziewczyna, cała w bieli, siedziała obok niego i trzymała świecę, podczas gdy czytał swe niewydane (gdyż nikt nie chciał ich wydać) wiersze. — A w przerwach pomiędzy czytaniem młody poeta mówił o sobie i o swoich utworach, — widocznie zjawiał się tutaj właśnie po to, aby mówić o sobie. Słowa jego płynęły szybkim potokiem, jaskrawym, błyskotliwym, nieprzerwanym. Montague starał się uchwycić jakąś myśl, lecz wszystko było takie mętne, że wreszcie zwątpił zupełnie, czy zrozumie cośkolwiek. Gdy przy pomyślał sobie to później, śmiał się sam z siebie, gdyż poeta ten nie miał ani jednej poważnej myśli — wszystko było jedynie jaskrawym terkotem i lśniącym fajerkierem. A słuchacze wpadali w zachwyt i szeptali:

— W tem jest coś satanicznego.

Hasłem szkoły poetów tego rodzaju było: „Niema na świecie nic złego ani dobrego, ale wszystko jest jedynie „zajmujące“. Wszystko na świecie jest nieokreślone. Czy można naprzykład twierdzić, że istnieje cnota? A czyż to nie oznacza, że każdemu wolno postępować tak jak mu się podoba?“.

Nie można się było także śmiać z tego młodego poety. Był on prawdziwym poetą: posiadał i ogień i namiętność i dar młodzieńczego entuzjazmu. Dwudziestoletni młodzieniec, przez ten krótki okres swego życia przeszedł już wszystko, znał całą gamę doświadczeń,

przyswoił sobie wszystkie zdobycze ludzkości — z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Doświadczył upojenia świętych, wrażeń męczenników, ale wraz z tem poznał również i całą głębię rozpusty i przestępstwa i zanurzał się w najciemniejsze czeluście piekła. — I wszystko to było zajmujące i współczesne. Ale teraz wzdycha do nowych światów wrażeń i doświadczeń — choćby nawet do bezwzajemnej miłości, któraby go doprowadziła do szaleństwa.

W tem miejscu właśnie Montague przestał śledzić myśl poety, a ten przeszedł do nowych tematów. Zaczął mówić z zachwytem o Baudelairze, a w szczególności o Oscarze Wilde. Angielski poeta, który siedział w więzieniu, uważany był za męczennika i bohatera i dlatego pamięć jego była świętą. Poeci starali się naśladować go w stylu i ideach. A kto nie zgadzał się z nim, na tego patrzano nie z pogardą, — uczucie pogardy jest nieestetyczne, — lecz unosząc zlekka brwi, co miało zgnębić przeciwnika.

Nie należy zapominać, że tych młodych poetów interesowało nie samo życie, lecz tylko pragnienie pisania pięknych wierszy o życiu.

Ale na jednego takiego poetę przypadało tysiące ludzi, żyjących życiem realnem. I oni to właśnie, przyswoiwszy sobie tego rodzaju poglądy, niszczyli swoje istnienie, chwytając się skrajów szat muzy w domach publicznych i wertepach rozpusty.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Młyn „wielkiego świata“ mełł w dalszym ciągu jeszcze przez miesiąc. Montague trzymał się na uboczu o tyle, o ile pozwalał mu jego brat. Ale Alicja bawiła się z całej duszy, spędzając całą noc i pół dnia na ba-

lach i przyjęciach. Oliver sprzedał przyjacielowi swój samochód wyścigowy.

— Teraz jestem już człowiekiem rodzinnym, — mówił.

Zamiast samochodu wyścigowego kupił dla Alicji limuzynę, choć oświadczyła, że nie jest jej potrzebna. — Jeśli chciała gdziekolwiek jechać, Charlie Carter prosił ją zawsze, by korzystała z jego pojazdu. Charlie po dawnemu nadszakał Alicji usilnie ze swą miłością, i Montague patrzył na to z uczuciem niezadowolenia.

Sprawa wielkiego procesu sądowego posuwała się naprzód. Po wielu tygodniach studjów nad sprawą i sprawdzenia faktów, Montague uznał, że zapanował nad nią w zupełności. Pamiętnych notatek pana Hasbrooka użył jako podstawy do pracy własnej, o wiele bardziej wyczerpującej. Zagłębiając się coraz bardziej w swój przedmiot, wykrył w towarzystwie „Fidelity“, zresztą w całej sferze ubezpieczeniowej i pokrewnych z nią dziedzinach bankowych i finansowych, wiele rzeczy, które oburzyły go do głębi. Nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób tego rodzaju okoliczności mogły mieć miejsce i mogły pozostawać ukryte przed oczyma publiczności, — tembardziej, że każdy człowiek na Wall Street, z którym o tem rozmawiał, wiedział o wszystkim i uważał to za dopuszczalne.

Dzięki papierom swego klienta posiadał wszystkie wiadomości o prowadzeniu ksiąg towarzystwa. Montague wziął ten suchy materiał i stworzył z niego protest, wkładając weń technienie życia. Pracował nad tem, nie żałując sił. Był w tem nietylko wysilek człowieka, pragnącego zarobić kilka tysięcy dolarów, było to wezwanie na korzyść milionów bezbronnych ludzi, których zaufania nadużyto. Był to pierwszy krok w długiej walce, która, jak przypuszczał młody adwokat, wyciągnie na światło dzienne olbrzymie zło.

Przeczytał swe oskarżenie panu Hasbrookowi i zadowolony był, że praca jego wywarła na nim wrażenie. Zresztą, klient jego obawiał się nieco, czy niektóre jego argumenty nie będą się wydawały zbyt radykalne w tonie, „z innego punktu widzenia“ — objaśnił pośpiesznie, lecz Montague uspokoił go pod tym względem.

I oto nadszedł dzień, gdy wielki okręt miał być spuszczonej na wodę. Wiadomość o tem rozeszła się widocznie szybko, gdyż w kilka godzin potem, jak złożono w sądzie papiery, odwiedził Montague'a reporter gazety i zawiadomił go, jakie silne podniecenie powstało w sferach finansowych, wprost, jakby bomba wybuchła. Montague wyjaśnił cel skargi sądowej i podał do wiadomości reportera kilka faktów, które według jego przekonania powinny były przyciągnąć powszechną uwagę dla tej sprawy. Ale gdy następnego rana wziął do rąk gazetę, zdumiony był, ujrawszy, że w kilku wierszach tylko mówiono o jego skardze, a wywiad z nim zastąpiono przez inny wywiad, przeprowadzony z urzędnikiem „Fidelity“, nazwiska którego nie wymieniono. Ale z wywiadu tego można było wyciągnąć wniosek, że napaść na towarzystwo podjęta została najwidoczniej w celach szantażu.

Był to jedyny objaw wzburzenia, jaki praca Montague'a wywołała na powierzchni wody, ale ryby na dnie znajdowały się w najwyższej trwodze, o czem miał się wkrótce dowiedzieć.

Tego samego wieczoru, podczas gdy zagłębił się z zapalem w swą pracę, brat wezwał go do telefonu.

— Przyjadę natychmiast do ciebie, — powiedział Oliver, — czekaj na mnie.

— Dobrze, — odpowiedział Montague i dodał: — Myślałem, że jesteś na obiedzie u Wallingów.

— Jestem teraz u nich, — brzmiała odpowiedź, — ale w tej chwili wyjeżdżam.

— Co się stało? — zapytał Montague.

— Piekło wybuchło i już, — brzmiała odpowiedź i zaległo milczenie.

Gdy w kilka chwil później zjawił się Oliver, nie zdążywszy jeszcze zdjąć kapelusza, zawołał:

— Allan, w imię nieba, powiedz, coś ty najlepszego zrobił?

— O co chodzi?

— Jakto, o co? A skarga sądowa?

— No więc co?

— Boże wielki! — zawołał Oliver, — czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, coś narobił?

Montague patrzył na brata ze zdumieniem:

— Obawiam się, że istotnie nie rozumiem, — powiedział.

— Jakto? Przewróciłeś cały świat do góry nogami, — zawołał Oliver. — Wszyscy twoi znajomi tracą rozum.

— Wszyscy moi znajomi? — powtórzył Montague, — a cóż ich obchodzi moja sprawa sądowa?

— Jakto, co ich obchodzi? Wymierzyłeś im przecież cios w same plecy, — krzyczał już prawie Oliver. — Nie chciałem uszom wierzyć, gdy mi to powiedziano. Robbie Waling jest poprostu wściekły. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się przeżyć czegoś podobnego.

— Wciąż jeszcze nic nie rozumiem, — oświadczył Montague, coraz bardziej zdumiony. — A cóż go może obchodzić moja sprawa sądowa?

— Jakto! — zawołał Oliver. — Przecież brat jego jest dyrektorem „Fidelity“. A jego własne interesy? Interesy wszystkich towarzystw... Wymierzyłeś cios wszystkim ubezpieczeniom.

Montague zaczerpnął oddechu.

— O, teraz już rozumiem, — powiedział.

— Jak mogła ci wpaść taka myśl do głowy? — za-

wołał Oliver z wściekłością. — Obiecałeś, że będziesz się mnie radził na początku sprawy.

— Zawiadomiłem cię, gdy brałem tę sprawę, — wstał szybko Montague.

— Wiem, — odpowiedział brat. — Ale nic mi nie objaśniłeś, a cóż ja się mogę znać na tem? Sądziłem, że mogę polegać na twoim zdrowym rozsądku.

— Bardzo mi przykro, — powiedział Montague poważnie. — Nie miałem najmniejszego pojęcia, że będzie taki rezultat.

— Właśnie tak mówiłem Robbie'emu, — oświadczył Oliver. — Boże wielki, co ja musiałem przeżyć.

Zdjął kapelusz i palto, położył je na łóżku, usiadł i zaczął mówić:

— Wskazałem mu na twoją niewygodną sytuację, ponieważ jesteś przyjezdnym i nie znasz zupełnie gruntu. Zdaje się, że on sobie wbił do głowy, że ty starałeś się zyskać jego zaufanie, aby na niego napaść. Myślę, że najważniejsza tu jest pani Robbie. Cały jej majątek ulokowany jest w towarzystwie ubezpieczeniowem.

Oliver otarł pot z czoła.

— O! — zawołał: — a wyobraź sobie teraz, co musi opowiadać stary Wyman i co teraz będzie miała biedna Betty. A następnie Freddie Vandam, — nie będzie wiedział, co robić z wściekłości. Muszę mu wysłać depeszę i wyjaśnić, że to wszystko było nieporozumienie, i że my odsuwamy się od tej sprawy.

I wstał, zamierzając wyjść. Ale na półdrogi do biurka, usłyszał głos Allana:

— Poczekaj!

Oliver odwrócił się i ujrzał, że brat jego silnie pobladł.

— Sądzę, — powiedział, — że mówiąc: „my się odsuwamy“, chciałeś przez to powiedzieć, że zrzekamy się procesu.

— Oczywiście, — brzmiała odpowiedź.

— A więc posłuchaj, — mówił dalej Montague bardzo poważnie, — ja wiem, że będzie ci bardzo przykro, a i ja bardzo żałuję, lecz lepiej będzie, jeśli odrazu z samego początku mnie zrozumiesz: za nic w świecie nie rzucę tej sprawy.

Oliverowi aż szczeka opadła.

— Allan! — zawołał, tracąc oddech.

Nastąpiło krótkie milczenie, a następnie wybuchła burza. Oliver znał swego brata dostatecznie, aby zrozumieć, że nieodwołalnie postąpi tak, jak mówi. Dlatego napadł na niego odrazu, z całej siły. Szalał, zaklinał, łamał ręce i winił brata, powiadając, że go gubi, że siebie samego i całą rodzinę wtrąca w przepaść. Będą się z nich wyśmiewali, będą ich znieważali. Wykreślą ich ze wszystkich list osób zapraszanych i wyrzucą ich z „towarzystwa“. Karjera Alicji jest skończona, wszystkie drzwi będą przed nią zamknięte. Jego własna karjera przepadnie, zanim się jeszcze rozpoczęła. Nie przyjmą go nigdy do klubów; zostanie bankrutem i nędzarzem. Oliver wymieniał jedną po drugiej wszystkie osoby, które poczują się znieważone, opisywał, jak postąpią te obrażone osoby: i Wallingowie, i Venablowie, i Havensowie, i Vandamowie, i Toddsowie i Wymanowie. Wszyscy oni stanowią jedną paczkę, a Montague rzucił bombę w samo centrum.

Montague'owi było bardzo ciężko patrzeć na wściekłość i rozpacz brata. Ale wykreślił już jasną swoją drogę i wiedział, że się nie cofnie.

— Przykro mi słyszeć, że wszyscy nasi znajomi są złodziejami, — powiedział, — ale to nie zmienia moich poglądów na złodziejstwo.

— Boże drogi! — zawołał Oliver. — Czy ty przyjechałeś do Nowego Yorku po to, aby prawić kazania? Montague odpowiedział:

— Przyjechałem tu po to, aby zajmować się praktyką adwokacką. A adwokat, który nie chce walczyć z niesprawiedliwością, jest zdrajcą swego zawodu.

Oliver machnął w rozpacz ręko ma. Cóż mógł odpowiedzieć na te słowa brata?

Ale następnie rozpoczął atak na nowo, wskazując bratu na sytuację, w jakiej się postawił w stosunku do Wallingów. Korzystał z ich gościnności, przyjmowali u siebie jego i Alicję, i uczynili dla nich wszystko co było możliwe, za co nie można odplacić żadnemi pieniędzmi na świecie! A teraz wymierzył im taki cios!

Jedyny jednak rezultat wszystkich jego słów polegał na tem, że Montague wyraził swój żal, iż wogóle miał cośkolwiek do czynienia z Wallingami. Jeśli sądzili, że mogą wykorzystać stosunki przyjacielskie poto, aby związać mu ręce w tego rodzaju sprawie, to znaczy, że są ludźmi, z którymi nie należało zawierać znajomości.

— Czy ty nie rozumiesz, że gubisz nietylko siebie? — krzyczał Oliver. — Czy wiesz, jak się to wszystko odbije na Alicji?

— To jest dla mnie najcięższe, — odpowiedział brat. — Ale przekonany jestem, że Alicja nie namawiała mnie, abym porzucił tę sprawę.

Montague stał twardo na swoim stanowisku, ale brat widocznie nie dopuszczał myśli, aby tak było w rzeczywistości. Chwilami Oliver jakgdyby ulegał, ale następnie, przypomniawszy sobie wszystko i wyobrażając sobie, co pomyśli ta lub inna osoba, oraz tę niemożliwą sytuację, jaka się wytworzyła, zaczynał na nowo z trwogą w głosie namawiać brata. Błagał go i złorzeczył i nawet płakał, a następnie znów opanowywał się, i siadał naprzeciwko brata, próbując trafić mu do przekonania.

I oto Montague, blady i zdenerwowany, lecz nieugięty, siedział i słuchał, podczas gdy brat rozpościerał przed nim obraz stolicy, tak jak ją pojmował. Było to

miasto rządzone przez potężne siły: siły pieniężne i wielkie majątki, rodziny, które panowały nad miastem przez całe pokolenia i patrzyły na Nowy - York z jego liczną ludnością, jako na należący do nich z prawa ich urodzenia. Panowali całkowicie nad miastem, trzymali w swych rękach koleje żelazne, telegrafy i telefony, banki, towarzystwa ubezpieczeniowe i trusty. Wszystko to należało do nich, podobnie jak i aparat polityczny i prawodawczy, sądy, gazety, kościoły i zakłady naukowe. A rządy ich były rabunkowe: wszystkie potoki zysków płynęły tylko do ich skrzyń. Przyjezdny mógł mieć w stolicy powodzenie tylko wówczas, jeśli pomagał ich sprawom, a nigdy nie wiodło mu się, jeśli nie mogli go wykorzystywać. Wybitnymi wydawcami lub biskupami byli jedynie ci, którzy wyznawali ich naukę. Wielkimi mężami stanu byli jedyni ci, którzy pomagali im tumanić publiczność. Każdego, kto odważył się iść przeciwko nim, wypędzali, deptali, rzucali na niego oszczerstwa, ośmieszali i rujnowali go.

I Oliver przeszedł do szczegółów. Wymieniał nazwiska potężnych osób, jedno po drugim, i wykazywał, co mogli zrobić. Ach, gdyby tak brat jego zgodził się być człowiekiem ich towarzystwa i brać rzeczy tak, jak się przedstawiają w rzeczywistości. Niech spojrzy na wszystkich znanych adwokatów. Oliver wymieniał ich jednego po drugim: zręczni wynalazcy sztuczek adwokackich, posiadali zato roczny dochód setek tysięcy dolarów. Z pośród adwokatów, którzy rzekli się współpracy w tej grze, nie można wymienić ani jednego, ponieważ nikt o nich nigdy nie słyszał. Było zupełnie jasne, co się stanie z Montague'em na skutek jego postępowania. Przyjaciele wyrzekną się go, jego klient otrzyma wynagrodzenie — tej wysokości, jaka się okaże niezbędna — i będzie się z niego śmiał.

— Jeśli nie możesz zdecydować się na udział w tej

grze, — krzyczał nieswoim głosem Oliver, — to możesz przynajmniej zrzec się tego procesu. Jest wiele innych dróg zdobywania środków materialnych. Jeśli się zgodzisz, raczej sam podejmę się utrzymywać cię, niżbym miał dopuścić, żebyś mnie zhańbił. Powiedz: zrobisz to? Rzucisz adwokaturę?

Montague zerwał się nagle i uderzył pięścią w stół.

— Nie, — zawołał, — klnę się Bogiem, że nie! Zrozum mnie raz na zawsze, — zaczął mówić w podnieceniu. — Pokazałeś mi Nowy - York takim, jak ty go widzisz, a ja nie wierzę, że to wszystko jest prawda, nie wierzę ani przez chwilę, ale powiem ci coś: pozostanę tutaj i sam wszystko poznam. A jeśli prawdą jest to, co ty mówisz, to mnie nie powstrzyma. Będę tu mieszkał i rzucę wyzwanie tym wszystkim ludziom. Pozostanę tutaj i będę walczył z nimi, póki nie umrę. Mogą mnie zrujnować — cóż, gotów jestem żyć i na poddaszu jeśli trzeba. Ale nie uspokoję się przedtem, zanim nie otworzę oczu narodu na to, co ci ludzie robią.

Montague stał przed bratem rozgorączkowany do ostatnich granic i straszny. Oliver odsunął się od niego. Nigdy przedtem nie widział u brata takiego wybuchu gniewu.

— Czy rozumiesz mnie teraz? — krzyczał Montague i Oliver odpowiedział z rozpaczą w głosie:

— Tak, tak!

— Widzę, że wszystko skończone, — dodał następnie wyczerpany, — ty i ja nie możemy iść razem.

— Nie, — zawołał namiętnie Montague, — nie możemy. I poco mamy się o to starać? Ty wybrałeś sobie rolę lizusa i obłudnika, a ja nie chcę tej roli. Czy myślisz, że ja się niczego nie nauczyłem od czasu, gdy tu przyjechałem?

Tak? Dawniej byłeś odważnym i mądrym, a teraz nie odważysz się odetchnąć bez obawy, jak odniosą się bo-

gate snoby do tego, co uczyniłeś. I chcesz, żebym ja sprzedał im moją karierę?

Zapadło długie milczenie. Oliver pobladł silnie. Nagle brat jego opanował się i powiedział:

— Bardzo mi jest przykro, nie chciałem pokłócić się z tobą, ale rozdrażniłeś mnie zanadto. Dziękuję ci za wszystko, co starałeś się dla mnie uczynić, i odwzajemczę ci się, jak tylko będę miał możliwość. Ale nie mogę już brać nadal udziału w tej grze. Usuwam ci się z drogi i możesz wyrzec się mnie wobec swych przyjaciół. Powiedz im, że się wściekłem, i niech zapomną o tem, że mnie kiedykolwiek znali. Wątpliwe, czy ciebie potępią z mojego powodu, za dobrze cię na to znają. A co się tyczy Alicji — pomówię z nią jutro i niech zdecyduje sama: czy chce grać rolę królowej w „towarzystwie“; wówczas niech się odda w twoje ręce, a ja ustąpię jej z drogi. Jeśli zaś pochwała mój postępek, w takim razie odejdziemy oboje, i ani ja, ani ona nie będziemy ci przeszkadzali.

Z tą decyzją rozstali się. Ale, jak większość decyzyj, przyjętych na gorąco, tak samo i ta nie została wypełniona dosłownie. Zbyt ciężko było Montague'owi pójść do Alicji i zaproponować jej taki wybór. Co zaś tyczy Olivera, to gdy przyszedł do domu i jeszcze raz przemyślał wszystko, co zaszło, dojrzał przebłyśki nadziei. Mógł przecież wyjaśnić każdemu, że nie odpowiada za szaleństwa swego brata. A następnie zobaczy co z tego wyjdzie. Ostatecznie w „towarzystwie“ istnieje niejedno kółko. I jeśli Robbie Wallingowie zechcą z nim zerwać, — cóż i oni posiadają dość wrogów. Mogą nawet istnieć ludzie, których interesy wygrywają na postępku Allana, i ci będą po jego stronie.

Montague postanowił napisać odmownie na wszystkie otrzymane zaproszenia i jednym uderzeniem rozciąć, wszystkie więzy, łączące go z towarzystwem. Ale

następnego dnia przyszedł do niego znowu brat z kompromisową propozycją. Nie, nie należy wpadać w drugą ostateczność, Oliver wyjaśni wszystko Wallingom. Teraz każdy powinien iść swoją drogą, jakby nic nie zaszło.

I w ten sposób Montague po raz pierwszy wystąpił w roli błędnego rycerza. Odwiedzał znajomych z dużą niepewnością, nie wiedząc, jak go ten czy ów przyjmie. Następnego wieczoru obiecał pojechać do teatru z Siegfriedem Harvey. Kolację jedli w oddzielnym pokoju u Delmonica. Tutaj przysła pani Winnie, promieniąca, prześliczna, jak kwitnąca jabłoń. Szeptem przemówiła do niego, powstrzymując oddech:

— O, straszny człowieku, co pan narobił?

— Czy polowałem w pani lasach? — zapytał szybko Montague.

— Nie, w moim nie... — powiedziała, — ale... — tu się zacięła.

— W lasach pana Duvala? — zapytał.

— Nie, — odpowiedziała, — ale w lasach... wszystkich pozostałych. Mąż mówił mi o tem dzisiaj. Wszędzie powstało straszne zamieszanie. Prosił, żebym się starała dowiedzieć, do czego pan zmierza i kto za panem stoi.

Montague słuchał jej ze zdziwieniem. Czy pani Winnie chce mu dać do poznania, że mąż prosił ją, by wyciągnęła od niego tajemnice zawodowe? Widocznie tak.

— Powiedziałam mężowi, że nigdy nie rozmawiam ze swoimi przyjaciółmi o interesach — odpowiedziała pani Winnie. — Jeśli chce, może sam pana o to zapytać. Ale jakkolwiek jest, co to wszystko znaczy?

Montague uśmiechnął się na tę naiwną niekonsekwencję.

— To znaczy, — powiedział, — że staram się uzyskać sprawiedliwość dla jednego z moich klientów.

— A będzie pan w stanie ostać się, podniósłszy przeciwko sobie tylu potężnych wrogów? — zapytała.

— Jestem na to przygotowany, — odpowiedział.

Pani Winnie nie odpowiedziała, tylko spojrzała na niego ze zdumieniem i zachwytem.

— Pan niepodobny jest do ludzi, którzy nas otaczają, — powiedziała po pewnym czasie. Z tonu jej Montague poznał, że istnieje przynajmniej jeden człowiek, który stoi po jego stronie.

Ale pani Winnie to nie całe towarzystwo. Montague'a bawiło obserwowanie, jak nagle zaczął wysychać potok zaproszeń dla Alicji. Trzeba było przejrzeć nie jedną listę znajomych, u których bywała. Freddie Vandam obiecał zaprosić ich do swoich posiadłości w Long Island, ale oczywiście teraz tego zaproszenia już nie przyśle. Podobnie, nigdy już nie ujrzą pałacu Lester i oddśów na szczycie góry w Jersey.

Następnych dni Oliver zajął się odwiedzeniem wszystkich swoich znajomych, wyjaśniając im swoją trudną sytuację. Powiedział im, że umywa ręce i, że przyjaciele jego mogą zrobić to samo, jeśli uznają za stosowne.

U Robbie Wallinga spędził burzliwe pół godziny na wyjaśnieniach, o czym nie uważał za stosowne wspominać swojej rodzinie. Robbie nie rozszedł się z nim ostatecznie z powodu ich wspólnych interesów na Wall-Street, ale — jak mówił — pani Robbie była tak oburzona, że lepiej, by Alicja nie spotykała się z nią. Następnie Oliver miał z Alicją dłuższą rozmowę i wyjaśnił jej stan rzeczy. Dziewczyna była niezwykle zdumiona, ponieważ czuła głęboką wdzięczność dla pani Robbie i przytem lubiła ją — nie mogła uwierzyć, by przyjaciółka mogła jej okazać tak ostrą niesprawiedliwość. Cała sprawa skończyła się bardzo przykrym epizodem. W kilka dni później Alicja spotkawszy w pewnym domu

panią Robbie, wzięła ją na stronę i starała się jej wyjaśnić, jak jest zrozpaczona i bezsilna.

Rezultat był taki, że pani Robbie wybuchnęła i obraziła ją, oświadczając w obecności wielu osób, że Alicja wdarła się do jej domu i nadużyła jej gościnności. W ten sposób biedna Alicja wróciła do domu cała we łzach i prawie w ataku histerycznym.

Wszystko to oczywiście było jakby oliwą, dolewana do ognia, niebiosa płonęły od wielkiego pożaru. Następnem zdarzeniem stał się artykuł w gazecie, zazwyczaj pełnej skandalicznych wiadomości. W artykule tym mówiło się z nieskończonym patosem o pewnej ultra światowej damie, która przyjęła u siebie rodzinę włóczęgów z dalekiego stanu, wprowadziła ją w najlepsze koła i doszła nawet do tego, że na ich cześć wydała wspaniały bal. Potem okazało się, że głowa tej rodziny w tajemnicy przygotowywała atak na interesy zawodowe ludzi, którzy okazali jemu i jego rodzinie gościnność. Następnie była mowa o tem, jak ta dobra lady wyrывała sobie włosy i zgrzytała zębami z oburzenia — i o burzliwej kłótni w publicznem miejscu.

Oliver pierwszy pokazał swej rodzinie tę gazetę. Ale aby przypadkiem nie opuścili tego artykułu, z pół tuzina nieznanych przyjaciół przysłało im egzemplarze gazety, w której artykuł został starannie podkreślony. A następnie zjawił się Reggie Mann, który jako powszechny doradca i zbieracz plotek udrapował się w lekki dymek sympatji i przyniósł im ostatnie wiadomości z wszystkich stron pola walki. W ten sposób mogli wiedzieć dokładnie, co każdy o nich mówił, kogo to bawiło, a kogo obrażało, kto miał zamiar zerwać z nimi znajomość, a kto chciał zaznajomić się.

Montague słuchał przez pewien czas jego gadaniny, następnie znużyło go to i wyszedł przejść się, aby uniknąć tych rozmów. Wpadł w nową pułapkę. Było cie-

mno i szedł wzdłuż Fifth Avenue, gdy nagle z jaskrawo oświetlonego magazynu jubilerskiego wyszła, kierując się ku swojej karecie, pani Billy Alden. Zatrzymała go okrzykiem:

— To pan, przyjacielu! Niechże pan powie, co pan narobił?

Próbował pozbyć się jej śmiechem, lecz ona wzięła go za rękę i rozkazała:

— Niech pan siada do karety i niech mi pan wszystko opowie.

W ten sposób Montague znalazł się w tłumie posuwającego się zwolna potoku pojazdów na Avenue z panią Billy, patrzącą na niego ironicznie i pytającą, czy nie czuje się, jak hipopotam w stawie napelnionym żabami.

Na żart jej odpowiedział pytaniem, pod jakim sztandarem ona walczy. Ale nie należało nawet pytać o to, gdyż każdy kto wojował z jednym z Wallingów, stawał się tem samem przyjacielem pani Billy. Powiedziała Montague'owi, że jeśli czuje się w niebezpieczeństwie, to powinien uczynić tylko jedno: zwrócić się do niej. Wdzieje na siebie kolczugę i wyjdzie na pole bitwy.

— Ale niech mi pan powie, jak panu przyszło do głowy zająć się taką sprawą? — zapytała.

Odpowiedział, że podjął się tej sprawy, która była bezwątpienia słuszna i nie podejrzywał nawet, że wywoła taką burzę.

Ale w tem miejscu zauważył, że słuchaczka jego patrzyła nań badawczo.

— Czyżby pan naprawdę chciał przekonać mnie, że to wszystko? — zapytała.

— Oczywiście, że wszystko, — odpowiedział zdumiony.

— Nie mogę jednak dojść dokładnie, co z pana za

człowiek. Boję się panu zaufać z powodu pańskiego brata.

— Nie wiem, co pani chce przez to powiedzieć, — odrzekł.

— Wszyscy sądzą, że w tem pozwaniu sądowem ukrywa się jakaś szacherka.

— O, — zawołał Montague, — teraz rozumiem, ale to ujawni się w swoim czasie. Pani mnie lepiej zrozumie, jeśli powiem, że z bratem moim miałem już z tego powodu nieskończoną ilość scen.

— Wierzę panu, — powiedziała wesoło pani Billy, — ale wydaje mi się dziwnem, aby człowiek tak odważny mógł nie rozumieć sytuacji. Mnie samej jest bardzo wstyd, że nie pospieszyłam panu z pomocą.

Kareta zatrzymała się przed domem pani Billy i ta zaprosiła go na obiad.

— Nie będzie u mnie nikogo prócz brata, — powiedziała, — robimy sobie dziś wieczorem odpoczynek i mogę panu wynagrodzić moją niedbałość.

Montague nie miał innego zaproszenia, i wszedł do domu pani Billy, urządzonego na wzór pałacu dożów. Zaznajomił się z panem „Davy“ Aldenem, gentlemanem niewielkiego wzrostu, o miękkich manierach, spełniającym szybko wszystkie rozkazy siostry. Podano im bardzo smaczny obiad z sześciu dań, poczem udali się do salonu, gdzie pani Billy usadowiła się w dużym miękkim fotelu, obok którego stała karafka whisky z porąbanym lodem.

Wzięła z tacy grube czarne cygaro, odgryzła koniusek i zapaliła. Następnie, usiadła znów wygodnie w fotelu i zaczęła opowiadać Montague'owi o Nowym - Yorku, o rodzinach, posiadających władzę, i rządzących miastem, i o tem, gdzie i jak zdobyli oni swój majątek, i kto był ich sojusznikiem, a kto wrogiem, oraz jakie kto posiadał specjalne tajemnice, ukryte w alkierzach.

Istotnie warto było przyjechać zdala, aby posłuchać opowiadań pani Billy. Myśli jej były pełne życia, a opisy bardzo obrazowe. Opowiadała o starym Danie Watermanie, porównując go do dzika, podgryzającego korzenie drzewa dębowego.

Następnie przeszła do Wallingów. Pani Billy sama weszła do tej rodziny. Wiedziała o nich absolutnie wszystko. Zaczęła też obrabiać wszystkich członków rodziny, każdego po kolei, jakby przeprowadzała sekcję anatomiczną i wystawiała ich wszystkich na pokaz Montague'owi.

— To są typowi burzua, — powiedziała, i w dodatku burzua niemieccy, nigdy nie przejawiali najmniejszej skłonności do wyrafinowania: jedli, pili i spychali innych ze swej drogi. Starsi byli chłopskimi gburami, a młodszy — oswojonymi mieszczuchami.

Pani Billy pociągnęła cygaro.

— Czy pan zna historję tej rodziny? — zapytała. — Założycielem jej był prosty stary przewoźnik promu. Tak dobrze radził sobie ze swymi konkurentami, że wkońcu stał się właścicielem wszystkich promów. W tym czasie przyszło komuś do głowy, aby przekupić władze prawodawcze i rozpocząć budowę kolei żelaznych, i ów przewoźnik zajął się tem. Były to dnie, kiedy po prostu brano wszystko siłą. Jeśli pan wmyśli się w to kiedyś, to zobaczy pan, że teraz otrzymują oni olbrzymie pieniądze za takie prawa wyjątkowe, które stary poprostu zagarnął siłą i zachował dla siebie. Istnieje naprzykład most, do którego nie mają najmniejszego prawa, mój brat zna tę sprawę dokładnie. Lecz oni zawarli ze swoją własną koleją kontrakt, na podstawie którego płacą im za każdego przejeżdżającego tamtędy pasażera. Roczny dochód ich z tego mostu jest większy od wartości mostu.

Kiedy weszłam do rodziny Wallingów, głową jej był

syn starego. Dowiedziałam się, że urządził wszystko tak, aby trzydzieści milionów dolarów przypadły w spadku jednemu z jego synów, a tylko dziesięć milionów memu mężowi. Trzeba przyznać, że kosztowało mnie wiele pracy, aby to wszystko zmienić. Jeździłam do starego, aby się z nim zobaczyć, drapałam go w plecy, laskotałam go, i wprawiałam w dobry humor. Oczywiście cała rodzina się wściekała, Boże drogi, jak oni mnie nienawidzili! Nasłali na mnie starego Ellisa, by mnie w jakiś sposób odsunął. Czy pan spotykał sędziego Ellisa?

— Spotkałem, — odpowiedział Montague.

— Cóż, ma pan jeszcze jednego obłudnika o miękkich kocich łapach, — powiedziała pani Billy. — W tych czasach był on lokajem Wallinga do jego interesów: dawał prawodawcom pieniądze i pilnował, aby koła maszyny były zawsze naoliwione. Jedną z pierwszych rzeczy, którą powiedziałam staremu, było to, że ponieważ ja nie proszę go aby przyjmował mego maitre d'hotela, więc i on nie powinien prosić mnie, bym przyjmowała jego lokaja, — w ten sposób wstęp do mojego domu był dla Ellisa zamknięty. A gdy zobaczyłam, że próbuje stanąć pomiędzy mną a starym, wpadłam w wściekłość, wymierzyłam mu policzek i wypędziłam z pokoju.

Pani Billy zatrzymała się i zaśmiała z całego serca przy tem wspomnieniu.

— To oczywiście rozśmieszyło starego aż do łez, — mówiła dalej. — Wallingowie nigdy nie mogli pojąć, jak potrafiłam do tego stopnia zdobyć sobie starego. Ale stało się to poprostu dlatego, że byłam z nim uczciwa. Oni zjawiali się do niego z płaczkliwemi minami, zapewniając, że troszczą się o jego zdrowie. Mnie zaś potrzebne były jego pieniądze i mówiłam mu o tem wprost.

Dzielna lady ujęła karafkę:

— Może napije się pan trochę szkockiej? — zapytała i nalala sobie. — Następnie podjęła swe opowiadanie:

— Kiedy przyjechałam po raz pierwszy do Nowego-Yorku, domy bogaczy były wszystkie jednakowe; wszystkie miały jakieś dziwne fasady z ciemnego kamienia. Przysięgłam sobie, że będę miała dom z wolną przestrzenią wokół. To właśnie dało początek tym pałacom, którymi zachwyca się teraz cały Nowy-York. Uwierzy pan temu z trudem, ale budowanie mego domu wywołało prawie że skandal! Jednak sensacja wywołana moją budowlą ubawiła starego. Pamiętam, jak pewnego razu poszliśmy na Fifth Avenue popatrzeć, jak idzie budowa. I stary wskazał swą wielką laską na drugie piętro, powiadając: „A to co takiego?“ Odpowiedziałam mu: „To jest safe, który będzie wmurowany w ścianę (było to wówczas również nowością). Będę przechowywała tam moje pieniądze“. „Aha, — zamruczał stary, — jak wybudujesz ten dom, nie zostanie ci już ani grosza“. — „Myślę właśnie nad tem, jakby to zrobić, żebyś go dla mnie nappełnił?“ — odpowiedziałam. I czy pan wie, przez całą powrotną drogę śmiał się z tych moich słów.

— Mieliśmy w tym czasie wielkie walki. Oprócz wszystkiego innego, miałam wprowadzić Wallingów do towarzystwa. Prześlizgiwali się tylko obok niego, gdy przyjechałam, lizali ludziom buty. Powiedziałam sobie: trzeba z tem skończyć, i postąpiłam tak, że wprowadziłam wszystkich w zdumienie. Urządziłam taki bal, że cały kraj pamięta o nim dotychczas, a wówczas nikomu nie śniło się nawet o takim przepychu. Ułożyłam listę wszystkich osób, z którymi chciałam utrzymywać znajomość w Nowym-Yorku i powiedziałam sobie: „Jeśli przyjdą, znaczy że są przyjaciółmi, jeśli nie przyjdą, — są wrogami“. I mogę pana zapewnić, że przyszli

wszyscy. A potem, nie było już nawet mowy o tem, czy przyjmować Wallingów do towarzystwa, czy też nie.

Pani Billy zatrzymała się i Montague zauważył z uśmiechem, iż teraz żałuje pewno, że tak postąpiła.

— O, nie, — powiedziała, wzruszywszy ramionami. — Uważam, że należy tylko mieć cierpliwość. Nienawidzę ludzi, i czasami myślę, że chciałabym wszystkich wytruć. Ale jeśli poczekam odpowiedni czas, to stanie się z nimi coś gorszego jeszcze od tego, com sobie mogła kiedykolwiek wyobrazić. Przyjdzie czas, że i Robbie'emu odemszczę za pana.

— Nie potrzebna mi jest żadna zemsta, — odpowiedział Montague. — Nie kłóciłem się z nimi, i żałuję jedynie, że korzystałem z ich gościnności. Nie wiedziałem, że są takimi marnymi ludźmi.

Pani Billy zaśmiała się cynicznie:

— Czegóż pan mógł oczekiwać od nich? — Nie mają za sobą nic prócz pieniędzy. Pójdą pieniądze — pójdą i oni. Zdobyć sobie pieniędzy nie są w stanie.

Lady zaśmiała się urywanym śmiechem i dodała:

— Te słowa przypominają mi wypadek z Davy, gdy zachciało mu się dostać do Kongresu. Opowiedz o tem, Davy.

Ale pan Alden nie znalazł natchnienia w tym temacie, i pozostawił opowiadanie siostrze.

— On był demokratą, wie pan, — powiedziała. — Poszedł pewnego razu do lidera i oświadczył mu, że chce dostać się do Kongresu. W odpowiedzi na to oświadczone mu, że będzie go to kosztowało czterdzieści tysięcy dolarów. Brata rozżłościła taka cena: — „Od innych nie braliście tyle pieniędzy, — powiedział, — dlaczego ja mam tyle płacić?“ A stary zaburczał na niego: — „Inni ludzie dają inne rzeczy. Jeden może nam oddać listonoszów, za innego płaci jakaś korporacja. A co pan może zrobić? Co pan ma oprócz

swoich pieniędzy?“ I Davy zapłacił pieniądze, czy nie tak, Davy?

A jednak, — mówiła dalej, — udało mu się lepiej, niż biednemu Devonowi. Od niego zażądali pięćdziesiąt tysięcy dolarów i oszukali go, bo i tak nie dostał się do Kongresu. Stało się to właśnie przedtem, zanim doszedł do wniosku, że Ameryka nie jest krajem odpowiednim dla gentlemana i że nie może w niej mieszkać. W tym miejscu pani Billy przeszła do opowiadań o Devonach. A po nich nastąpiła kolej na wiadomości o Havensach, Wymanach, Toddsach. Nastąpiła północ zanim pani Billy zdążyła ich wszystkich obrobić.

BIBLIOTEKA NAUKOWA I BELETRYSTYCZNA

A. GUMPLOWICZA, Kraków, Bracka 9.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Gazety nie mówiły już więcej o procesie Hasbrooka. Ale w kołach finansowych Montague zdobył znaczny rozgłos i dzięki temu otrzymał kilka nowych spraw.

Niestety, nie było już więcej klientów z honorarjami po pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pierwsza zjawiała się niezamożna wdowa z dokumentem, na podstawie którego mogłaby otrzymać większą część dużego miasta w Pensylwanji — ale niestety, dokument miał już około osiemdziesiąt lat. Następnie przyszedł biedny staruszek. Został poraniony przez tramwaj, i zapomocą oszustwa zmuszono go, by podpisał, że zrzeka się prawa do odszkodowania. Wreszcie, zjawił się oburzony obywatel, który miał zamiar wnieść sto skarg sądowych przeciwko trustom transportu za odmowy przewożenia jego rzeczy. Wszystko to były sprawy przypadkowe z niezwykle dalekimi szansami na powodzenie. I Montague zrozumiał, że ludzie ci przyszli do niego, jako do ostatniej deski ratunku, dowiedziawszy się widocznie o nim, jako człowieku o altruistycznych poglądach.

Była jedna sprawa, która go szczególnie zainteresowała, ponieważ zbiegła się złowieszczo ze straszną przepowiednią jego brata. Przyszedł do niego starszy gentleman, o bardzo wykwintnych manierach, przepełniony dostojeństwem, i zaczął mu opowiadać o zdumiewającym wypadku. Pięć czy sześć lat temu uczynił wynalazek, zorganizował towarzystwo z kapitałem trzech milionów dolarów dla wytwarzania swego wynalazku, i wybrany został na przewodniczącego tego towarzystwa. Wkrótce potem pewna grupa ludzi uczyniła mu propozycję, by wszedł do ich kompanji wyrabiającej samochody. Ale były to osoby, z któremi wynalazca nie chciał mieć żadnych stosunków — magnaci interesów transportowych, i gazowych, znani ze swego nieuczciwego sposobu działania. Odrzuciwszy ich propozycję, wynalazca przystąpił sam do organizowania towarzystwa samochodowego. Dowiedział się jednak wkrótce, że konkurenci jego korzystają ze wszystkich środków, aby odebrać mu jego wynalazek. Wykupywali na giełdzie jego papiery, opanowali jego towarzystwo, usunęli go ze stanowiska przewodniczącego i sprawa zakończyła się bankructwem i ruiną wynalazcy.

Montague zbadał uważnie sprawę, i przekonał się, że wszystko opowiedziane zostało zupełnie ściśle. Szczególnie zainteresował go fakt, że spotykał w „towarzystwie“ dwóch z pośród tych magnatów finansowych. W domu Siegfrieda Harvey'a poznał się nawet blisko z synem i spadkobiercą jednego z nich. Młodzieniec ów miał się ożenić za kilka tygodni, i gazety podawały, że ojciec jego podarował narzeczonej czek na milion dolarów. Montague pomyślał sobie, że był to być może ów milion, który odebrał wynalazcy.

Wieczorem, w przeddzień ślubu miał się odbyć obiad „kawalerski“ w klubie milionerów. Na obiad ten zaproszeni byli Montague i Oliver. Ponieważ Montague

zamierzał podjąć się sprawy wynalazcy, chciał odmówić temu zaproszeniu. Ale Oliver, który z dnia na dzień stawał się coraz śmielszy, oświadczył, że właśnie teraz bardziej niż kiedykolwiek należy, aby Montague patrzył prosto w twarz swym wrogom, jeśli nie dla samego siebie, to dla Alicji. W ten sposób Montague poszedł na proszony obiad, i miał możliwość wniknąć jeszcze głębiej w historję ukradzionych milionów.

Z początku wszystko szło doskonale. Była oddzielna wspaniała sala jadalna, urządzona z przepychem, z orkiestrą smyczkową, ukrytą w altance z zieleni. Stały nawet gorące cocktaile na drugim bufecie, przy samym wejściu, i gdy gościom podano czarną kawę, wszyscy już byli rozeweseleni. Po każdym toaście, goście rzucali kieliszki przez ramię na podłogę. Jak się okazało, obiad „kawalerski“ był pożegnaniem z poprzednim życiem i z dobrymi towarzyszami. Dlatego też śpiewano sentymentalne i humorystyczne piosenki, ułożone dla tej okoliczności, i przyjmowano je burzą śmiechu.

Słuchając ich uważnie, i czytając pomiędzy wierszami, można było odtworzyć sobie całą historję przygód młodego gospodarza. Posiadał dom na West - Side i jacht, na którym odbywały się orgje we wszystkich częściach świata. Przypominano pewną letnią noc w przystani Newportu, gdzie między innemi ktoś wpadł na świetną myśl zamrażania monet po dwadzieścia dolarów i wsuwania tych pokrytych lodem pieniędzy za gorsy rozbawionych dziewcząt. Był również słynny bankiet w pewnem studio Nowego - Yorku, na którym wniesiono olbrzymi pieróg, a z niego wyłoniła się napół ubrana kobieta, ze stadem kanarków, które ją otoczyły. Prócz tego mieli dziewczynę, która zazwyczaj tańczyła na stołach w przezroczystym kostjumie. Pewnego razu, w pijanym stanie zaczęła demolować restaurację na Broadway'u. Był też kuzyn z Chicago, jakiś dziki czło-

wiek, który uczynił swoją specjalnością pogromy tego rodzaju, a kochanki swoje kąpał w szampanie. Istniała widocznie nieskończona ilość miejsc w Nowym - Yorku, gdzie stale odbywały się podobne orgje — kluby prywatne, studia artystów. W piosenkach były również różne aluzje do wysokiej wieży, aluzje, których Montague nie mógł pojąć. Wiele rzeczy wyjaśniał mu starszy człowiek, siedzący obok niego po prawej stronie, który wydawał się trzeźwym, niezależnie od tego, ile wypił. I z miejsca poradził Montague'owi poważnie, by zwrócił uwagę na jedną z kochanek młodego gospodarza, która była „oszałamiającą“ dziewczyną i była właśnie wolna.

Nad ranem uroczystość przemieniła się w walki za pańników. Młodzieńcy rozebrali się, odsunęli stoły w kąt, tłukąc przy tem większość naczyń. W przerwach pomiędzy walkami pito, odłamując szyjki butelek szampana. Wszystko to zakończyło się około godziny czwartej rano, gdy większość gości leżała już na podłodze.

Montague powrócił do domu w powozie ze starszym gentlemanem, który siedział obok niego przy stole. Po drodze Montague zapytał go, czy tego rodzaju rzeczy często się zdarzają. Starszy pan, który należał do trustu stalowego, przytoczył mu w odpowiedzi mnóstwo opowiadań o podobnych zabawach, w których sam brał udział.

Następnego dnia, czyli ściślej mówiąc, tego samego rana, Montague i Alicja obecni byli na wspaniałym weselu. Gazety ogłosiły, iż wesele to jest wybitnem zdarzeniem tygodnia. Trzeba było z pół tuzina policjautów, aby odpierać tłum, cisnący się na ulicy. Obrzędu ślubnego dokonał w kościele Św. Cecylji biskup w purpurowych szatach. W kościele znajdowali się tylko wybrani, wszyscy wytwornie wystrojeni, a w powietrzu unosiła się taka mieszanina wspaniałych perfum, do

której nie można nawet porównać aromatów z dolin Arkadii. Pan młody doprowadzony został do należytego stanu, umyty i uczesany, i wyglądał bardzo ładnie, choć był nieco blady. Montague nie mógł nie uśmiechnąć się, patrząc na družbę pana młodego, który wyglądał tak uroczyście, i przypomniał go sobie, jak wyglądał kilka godzin przedtem, jako pijany zapaśnik, w blado - niebieskiej koszuli nocnej, rozdartej na plecach.

Montague wiedział już teraz, kogo należało unikać. Przyjęła ich uprzejmie pod swoje skrzydła pani Eldridge Devon, której majątek ulokowany w nieruchomościach nie mógł być naruszony dochodzeniem przeciwko towarzystwom ubezpieczeniowym. A następnego dnia rodzina Montague'ów miała przyjemność ujżenia swych nazwisk w liście uczestników wesela, i nawet kilka wierszy poświęcono toalecie Alicji. W „żółtej“ prasie można było przeczytać sprawozdanie o wyprawie panny młodej, o zdumiewających podarunkach, które otrzymała i o długim miesiącu miodowym, który miała spędzić na jachcie swego męża, jeżdżąc z nim po morzu Śródziemnem. A Montague pomyślał sobie, czy nie pojawią się jej widma poprzednich pasażerów jachtu, i czy byłaby równie szczęśliwa, gdyby wiedziała to wszystko, czego on się dowiedział.

Wspomnienia tego bankietu dały nie mało pokarmu myślom Montague'a. Wśród innych rzeczy, o których dowiedział się z piosenek, były aluzje i do Olivera, mającego widocznie pewne tajemnice, z którymi nie uważał za potrzebne dzielić się z bratem. Romanse z różnemi młodemi dziewczynami z półświatka leżały widocznie w obyczajach „młodszych braci“ bogaczy, i należy przypuszczać, że należały również i do obyczajów wielu z pośród starszych braci. Nieco później, Montague miał sposobność rzucić ciekawe spojrzenie na ten półświatek. Rozmawiał o tem z majorem Venablem i stary

gentleman, pogrzebawszy w swoim składzie plotek, wybrał cały szereg anegdot, od których włosy stawały dęba. Istniał pewien wszechmocny magnat, który zakochał się w żonie słynnego doktora, i ofiarował milion dolarów, czy coś około tego na budowę szpitala pod warunkiem, żeby był najwspanialszy w świecie, i żeby doktor ów wyjechał na trzy lata zagranicę dla badania tego rodzaju instytucyj w Europie. Dla starego nie istniały żadne świętości w życiu. Jeśli spodobała się mu jakaś kobieta, starał się odrazu zawładnąć nią. A damy z towarzystwa uważały siebie za zaszczyt być jego kochankami. Człowiek, który mówił i pisał o cierpieniach pewnego wielkiego narodu, wygnany został z kilku hotelów Nowego-Yorku tylko dlatego, że nie miał ślubu ze swoją towarzyszką życia według praw Południowej Dakoty. Ten sam magnat przyprowadzał wiele kobiet do różnych hotelów w mieście i nikt nie ośmielił się przeskadzać mu w tem.

Mieszkał w Nowym-Yorku i inny wielki król transportu. Utrzymywał on kochanki w Chicago, Paryżu, Londynie i nawet w Nowym-Yorku. Między innemi jedna z jego kochanek mieszkała zaraz za węglem jego pałacu i mieszkanie jej połączone było przejściem podziemnem.

Major opowiadał wesoło, jak ów magnat pokazał to przejście jednemu przyjacielowi i ten powiedział: „Jestem za gruby, żeby przejść tą drogą“. — „Wiem o tem, — brzmiała odpowiedź. — Dlatego właśnie pokazałem ci to przejście“. I major opowiadał jeszcze wiele anegdot, a wszystkie w tym rodzaju.

W kilka dni później, Montague otrzymał telegraficzne zawiadomienie od Siegfrieda Harvey'a, że musi się z nim koniecznie zobaczyć w pewnej sprawie i zaprasza go na lunch do „Noonday“ klubu. Montague poszedł, choć nie bez pewnych obaw, gdyż klub ten

znajdował się w gmachu Fidelity, w samej twierdzy wroga. Gmach był wspaniały, posiadał schody i halle z białego marmuru, ozdobionego bogato i szczerze bronzami. Montague'owi przyszło na myśl, że właśnie gdzieś w tym gmachu, znajdowali się ludzie, przygotowujący odpowiedź na jego oskarżenie, i zdumiewał się, jakich wyjaśnień mogli mu udzielić.

Siegfried i Montague zjedli lunch, rozmawiając o dojrzewających wypadkach, o polityce i o wojnie. A gdy podano kawę i zostali sami w pokoju, Harvey oparł się swem wielkiem ciałem o poręcz fotelu i powiedział:

— Przedewszystkiem, muszę pana uprzedzić, że mam panu do powiedzenia coś, o czem jest djabelnie trudno mówić. Boję się bardzo, że pan może wyciągnąć z moich słów mylne wnioski, jeśli mnie pan nie wysłucha do końca. Dlatego prosiłbym, aby mnie pan posłuchał parę minut.

— Zgadzam się, — odpowiedział Montague z uśmiechem. — Niech pan strzela odrazu.

Harvey stał się nagle poważny:

— Prowadzi pan sprawę przeciwko' temu towarzystwu. Ollie dostatecznie długo tłumaczył mi, że pan przedsięwziął śmiały krok i że zbrzydło panu już ostatecznie wysłuchiwanie od tchórzliwych osób namów do porzucenia rozpoczętej sprawy. Byłbym bardzo zasmucony, gdyby mnie pan choć na chwilę zaliczył do tego rodzaju osób. Przedewszystkiem, musi pan wiedzieć, że nie jestem bynajmniej zainteresowany w sprawach towarzystwa, a gdybym nawet był zainteresowany, nie miałoby to żadnego znaczenia. Nie mógłbym nigdy wykorzystywać mych przyjaciół dla spraw materialnych i nie dopuszczam do tego, aby pieniądze miały wpływ na moje życie towarzyskie. Postanowiłem wziąć na siebie ryzyko rozmowy z panem poprostu dlatego, że do-

wiedziałem się przypadkowo o pewnych rzeczach, o których pan, zdaje się nie wie. A jeśli tak jest, znalazł się pan w bardzo niewygodnej sytuacji. Ale w każdym razie proszę, aby pan zrozumiał, że nie kierują mną inne pobudki prócz przyjaźni i dlatego, niech mi pan wybaczy, jeśli wtrącam się do pana sprawy.

Kiedy Siegfried Harvey mówił, patrzył rozmówcy prosto w twarz swemi jasnemi niebieskiemi oczyma, i nie można było wątpić o jego uczciwości.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, — oświadczył Montague. — Proszę, niech pan powie, co pan ma do powiedzenia.

— Dobrze, uczynię to za chwilę. Pan podjął się prowadzenia sprawy, która pociąga za sobą wiele ofiar z pańskiej strony. Myślałem ze zdumieniem o tem, czy przychodziło panu kiedykolwiek na myśl, że są ludzie, którzy chcą pana wykorzystać?

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Montague.

— Czy pan zna tych, którzy za panem stoją? — zapytał Harvey. — Czy pan zna ich o tyle dobrze, aby być przekonanym, jakimi pobudkami kierują się w danym wypadku?

Montague zawahał się i pomyślał.

— Nie, — odpowiedział wreszcie. — Nie mogę twierdzić, że ich znam.

— W takim razie sprawy wyglądają właśnie tak, jak przypuszczałem, — odpowiedział Harvey. — Obserwowałem pana: pan jest uczciwym człowiekiem i z najlepszych pobudek bierze pan na siebie nieskończenie wiele kłopotów i nieprzyjemności. A jeśli się nie mylę, wykorzystują pana ludzie nieuczciwi, z którymi nie chciałby pan pracować, gdyby pan znał ich zamiary.

— Jakież mogą być ich zamiary?

— Istnieje kilka możliwości. Po pierwsze, skarga są-

dowa może być „strajkową“, t. zn. ktoś ma nadzieję, że towarzystwo wykupi się od niego dużą sumą pieniędzy. Tak właśnie myślą prawie wszyscy w tym wypadku. Ale ja jestem innego zdania. Sądzę, że raczej ktoś w samem towarzystwie chce podstawić administracji nogę.

— Któż to może być?

— Tego nie wiem. Niedostatecznie jestem obznajmiony ze stanem spraw w Fidelity. Zmienia się bez przerwy. Wiem tylko, że w towarzystwie tem są grupy ludzi, którzy walczą zaciekle o władzę, nienawidzą się wzajemnie i gotowi są uczynić wszystko na świecie, aby sobie nawzajem zaszkodzić. Pan wie, że czterdzieści milionów zysku daje im ogromną władzę. Ja osobiście skłonny byłbym raczej wyrzucić wszystkie czterdzieści milionów na giełdę, niż mieć dziesięć własnych milionów. I oto olbrzymy walczą w tych towarzystwach o władzę. I nie można powiedzieć, kto jest za, a kto przeciw: nigdy nie dowie się pan o istotnem znaczeniu tego, co odbywa się podczas tej walki. Może pan być jedynie przekonany, że gra idzie krzywemi drogami od początku do końca, i że nic, co się w niej odbywa nie jest tem, czem się wydaje.

Montague słuchał prawie oszołomiony, czując, jak ziemia ustępuje mu z pod nóg.

— Co pan wie o tych, którzy panu tę sprawę polecili? — zapytał nagle Harvey.

— Niewiele, — odpowiedział Montague.

Harvey zawahał się przez chwilę:

— Niech mnie pan pojmie, proszę, — powiedział. — Nie chcę bynajmniej wtrącać się do pańskich spraw, i jeśli pan nie zechce powiedzieć mi czegoś, zrozumiem to doskonale. Ale słyszałem, jakoby sprawa ta zainicjowana została przez Ellisa.

Montague zawahał się z kolei, następnie powiedział:

— To prawda, ale niech to zostanie między nami.

— Doskonale, — odrzekł Harvey, — ale to właśnie wzbudziło moje podejrzenia. Czy pan wie cokolwiek o Ellisie?

— Nic o nim nie wiedziałem, — odpowiedział Montague. — Ale od tego czasu dowiedziałem się nieco rzeczy.

— Wyobrażam sobie, — powiedział Harvey. — I oświadczam panu, że Ellis zamieszany jest w sprawy ubezpieczenia na życie i działa najbardziej wątpliwymi drogami. Wydaje mi się, że miałby pan zupełną rację, gdyby się pan odnosił do niego bardzo ostrożnie.

Montague siedział ze ściśniętymi rękoma i zmarszczonymi brwiami. Rozmowa z przyjacielem była dla niego jakby światłem błyskawicy. Ukazywała mu w panujących wokół ciemnościach olbrzymie widma groźby. — Znaczenie wszystkich jego nadziei zachwiało się: sprawa, nad którą pracował tak gorliwie, honorarjum pięćdziesięciu tysięcy dolarów, z którego był taki dumny. Czyżby to było możliwe, że go oszukano, i że wystawił się na głupca?

— Ale na Boga, jakże ja się mam dowiedzieć? — zawołał.

— Tego nie mogę panu powiedzieć, — odpowiedział przyjaciel. — I, prawdę mówiąc, nie bardzo jestem przekonany, aby pan mógł zrobić teraz cośkolwiek. — Wszystko co byłem w stanie zrobić, — to uprzedzić pana, na jakim gruncie pan stoi, aby pan mógł na przyszłość sam się wystrzeżać.

Montague z całego serca podziękował Harvey'owi za jego przysługę. Następnie, powrócił do swego biura i resztę dnia spędził na rozmyślaniach nad tem, czego się dowiedział.

To co usłyszał, zmieniało bardzo wiele. Przedtem wydawało mu się wszystko takie jasne, teraz zaś wszyst-

ko było niejasne. Był całkowicie przybity przez uczucie zupełnej jałowości swych wysiłków. Starał się zbudować dom na piasku. Nigdzie nie było twardego gruntu, na który mógłby stąpnąć nogą. Nigdzie nie było prawdy, była tylko walka sił, które słowami o prawdzie pokrywały swoje własne cele. I teraz ujrzał siebie, tak jak go widzieli inni: jako uczestnika w oszustwie, łotra, takiego jak wszyscy inni. Teraz czuł, że strącono go z pierwszego stopnia jego kariery.

Cała ta historia zakończyła się tem, że siadł w nocny pociąg do Waszyngtonu. A następnego rana rozmawiał z sędzią o swych sprawach. Montague postanowił działać ostrożnie, gdyż wciąż jeszcze nie miał dostatecznego gruntu dla podejrzeń. I z wielkim taktem i ostrożnością wyjaśnił Ellisowi, że doszły do niego pogłoski, jakoby wiele osób utrzymywało, że za skargą pana Hasbrooka stoją osoby zainteresowane. A to go bardzo niepokoi, ponieważ nic nie wie o swoim kliencie. Przyjechał do sędziego, aby go poprosić o radę w tej sprawie.

Nie można było odnieść się do sprawy bardziej uprzejmie, niż to uczynił ten wielki człowiek. Zamienił się cały w takt i życzliwość.

— Po pierwsze, — powiedział, — Montague uprzedzony został zgóry, że wrogowie napadną na niego, że będą rzucali oszczerstwa i uciekali się do różnych chytłych sposobów, aby na niego wpłynąć. I powinien zrozumieć, że pogłoski te wchodzić również w plan kampanji przeciwko niemu. Nie ma najmniejszego znaczenia, na ile bliski mu jest przyjaciel, który go o tem zawiadomił.

Sędzia wyraził nadzieję, że niczyje słowa, z czyichkolwiek ust będą pochodziły, nie wpłyną na Montague'a w tym sensie, jakoby on, sędzia, mógł poradzić Montague'owi uczynić coś, co nie byłoby w porządku.

— Nie — powiedział Montague — ale czy może mi

pan powiedzieć z całą pewnością, że za plecami pana Hasbrooka nie stoją osoby zainteresowane?

— Osoby zainteresowane? — zapytał sędzia.

— Chcę powiedzieć, osoby, związane z Fidelity, lub też z innemi towarzystwami ubezpieczeniowemi.

— No, nie — odpowiedział sędzia. — Oczywiście, że o tem nie mogę zapewniać.

Montague spojrział na niego ze zdumieniem:

— Czy pan chce powiedzieć, że pan nie wie?

— Chcę powiedzieć — brzmiała odpowiedź — że nie miałbym możności powiedzieć, gdybym nawet wiedział.

Montague spojrział na sędziego z najwyższem zdumieniem: nie był przygotowany na taką szczerość.

— Nigdy nie przychodziło mi do głowy — mówił sędzia dalej — że zagadnienie to mogłoby stanowić dla pana jakąś różnicę.

— Ale... — zaczął Montague.

— Proszę, niech mnie pan zrozumie, panie Montague — oświadczył sędzia. — Wydawało mi się jasnem, że sprawa ta jest słuszna i panu też się tak zdawało. I, wydaje mi się, że jeszcze jednej rzeczy miał pan prawo żądać: przeświadczenia, że pański klient ma zupełnie poważne zamiary. Ja miałem to przeświadczenie. Dla mnie nie miało najmniejszego znaczenia, że za plecami pana Hasbrooka mogą stać osoby zainteresowane. Przypuśćmy, na przykład, że istnieli ludzie, pokrzywdzeni przez administrację Fidelity, i pragnący ją ukarać. Czy możnaby usprawiedliwić adwokata za to, że zrzekł się słusznej sprawy, ponieważ wiedział o tych prywatnych pobudkach? Albo też dopuśćmy niezwykle wypadek — walkę grupową wewnątrz samego towarzystwa, o czem, jak pan powiada, wspominało panu. Cóżby się wówczas okazało? Okazałoby się, że złodzieje pobili się między sobą. A dlaczego publiczność nie miałaby wykorzystać takiej okazji? I gdyby pan widział

możność wykorzystania tej okazji dla słusznej walki, czyby pan jej odmówił?

Sędzia mówił w dalszym ciągu łagodnie, i jak mu się zdawało, przekonywująco, mówił subtelnie i w sposób porywająco demoralizujący. Pod temi słodko płynącemi słowami Montague czuł jedną myśl zasadniczą: sędzia jej nie wypowiedział i nawet nie uczynił do niej aluzji, lecz myśl ta przenikała całą jego mowę, tak jak nastrój przenika melodję. Młody adwokat otrzymał wielkie honorarjum i miał łatwą i dobrą sprawę. Jako człowiek światowy nie miał nawet prawa wglądać zbyt badawczo w sprawę. Słyszał plotki i czuł, że należy oburzać się na nie. I przyjechał poprostu poto, aby go pogłaskano po główce, uspokojono, i dano możność zatrzymania honorarjum, tak, by nie stracił przytem nic z własnego pojęcia o sobie.

Montague wyjechał, ponieważ zrozumiał, że go nie pojmą. W każdym razie, podjął się już tej sprawy i nic nie zyska, jeśli się jej zrzeknie. Ale po tej wizycie zrozumiał dwie rzeczy: pierwsze, że jego klient był osobą podstawioną, i istotnie złodzieje pobili się między sobą, drugie, że nie ma żadnej gwarancji, czy w pierwszym lepszym momencie nie pozostawią go bez pomocy w trudnej sytuacji.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Montague powrócił do domu, postanowiwszy, że teraz nie pozostaje mu nic innego, jak tylko być ostrożniejszym za drugim razem. Za tę omyłkę zaś będzie musiał dobrze zapłacić.

Miał się dopiero dowiedzieć, jaką ceną. Następnego dnia po jego przyjeździe zjawił się u niego interesant — pan John C. Burton, sądząc z biletu wizytowego. Oka-

zał się agentem kompanji, która wydawała skandaliczne ulotki plotkarskie. Przygotowywali teraz sprawozdanie „de luxe“ o najwybitniejszych rodzinach New-Yorku, zbytkowne wydawnictwo, którego prenumeratorami były jedynie śmietanka towarzystwa, po tysiąc pięćset dolarów za całą kolekcję. Czy pan Montague życzy sobie, aby wpisać jego nazwisko?

Pan Montague wytłomaczył bardzo uprzejmie, że ponieważ jest w New-Yorku prawie że obcy, byłoby zupełnie nie na miejscu włączanie jego nazwiska do takiej książki. Ale agent nie zadowolił się tem, zapewniając, że nawet i w tym wypadku mógłby mieć powody do wpisania się: mogą się przecież okazać specjalne okoliczności. Pan Montague, jako przyjezdny, nie pojmuje być może całego znaczenia takiej propozycji. Jeśli się poradzi z przyjaciółmi, zmieni przypuszczalnie zdanie i t. d. Wysłuchawszy całego łańcucha dostatecznie jasnych aluzji, i zrozumiawszy je, Montague wstał ostro i pożegnał agenta. Ale gdy pozostał sam, gniew jego opadł i pozostał tylko niepokój, który go zaczął męczyć. W kilka dni później, gdy kupił nowe wydanie ulotki, znalazł w niej rzeczywiście artykułik.

Stał na rogu ulicy, czytając tę wzmiankę gazeciarską. Mówiono w niej, że wojna w „wyższym świecie“ rozpała się coraz bardziej i coraz goręcej. Dodano, że pani de Graffenried grozi przejściem na stronę „przyjezdnych“. Następnie komunikowano, że pewien wspaniały młodzieniec z wysokiego świata obchodzi pośpiesznie wszystkich swoich przyjaciół i przeprasza ich za nieostrożność swego brata. Dalej mowa była o tem, że słynna dama wysokiego świata, żona bankiera, ujęła się za nim. Następnie szły trzy zdania, od których krew uderzyła Montague'owi do twarzy:

„Nie brak było domysłów i pogłosek, wywołanych jej podejrzaną gorączkowością. Zauważono, że po przy-

jeździe południowca o romantycznym wyglądzie, zainteresowania owej lady babistami i medjami znacznie ochłodły. I teraz „towarzystwo“ oczekuje rozwiązania bardzo interesującej sytuacji“.

Słowa te były jakby policzkiem dla Montague'a. Szedł przez ulicę, nie wiedząc co się z nim dzieje. Wydawało mu się, że takiej bezwstydney sprawy jeszcze mu New-York nie pokazywał. Szedł po ulicy zaciskając pięści i szeptał:

— Łotry!!

Ale Montague zrozumiał natychmiast, że jest bezsilny. Gdyby był u siebie w domu, wybilby poprostu wydawcę takiej ulotki, ale tu znajdował się w kraju wilków i nie był w stanie nic uczynić. Powróciwszy do swego pokoju, Montague usiadł przy biurku.

„Droga pani Winnie — pisał — przed chwilą przeczytałem załączony artykuł i nie mogę pani wyrazić, jak głęboko jestem zasmucony, że pani dobroć dla nas stała się powodem znieważenia pani. Na nieszczęście jestem bezbronny i nie mogę pani pomóc. Mogę jedynie postarać się o zaoszczędzenie pani dalszych nieprzyjemności. Niech mi pani wierzy, że my wszyscy doskonale panią zrozumiemy, jeśli pani postanowi, że teraz lepiej będzie, byśmy się z panią nie spotykali. I to ani trochę nie zmieni naszych uczuć dla pani“.

Montague posłał ten list przez posłańca i wrócił do domu. Nie więcej niż po upływie dziesięciu minut rozległ się dzwonek telefonu: okazało się, że to była pani Winnie.

— Otrzymałam pana liścik — powiedziała. — Czy jest pan zaproszony na dzisiejszy wieczór?

— Nie — odpowiedział.

— Doskonale, niech pan przyjedzie do mnie na obiad.

— Ależ, pani Winnie! — zaprotestował.

— Proszę pana, niech pan przyjedzie — nalegała. — Proszę o to!

— Ja nie zniosę, jeśli panią... — zaczął Montague.

— Proszę, niech pan przyjedzie — powiedziała po raz trzeci.

Montague odpowiedział:

— Dobrze.

Gdy Montague wszedł do domu pani Winnie, maitre d'hôtel zaprowadził go do windy, mówiąc:

— Pani Winnie prosiła, czy nie zechciałby pan pojechać na górę.

Pani Winnie przyjęła go z pałającymi policzkami i błyszczącym wzrokiem. Była piękniejsza niż kiedykolwiek, w swej miękiej sukni koloru kremowego, z purpurową różą na piersiach.

— Jestem dzisiaj zupełnie sama — powiedziała. — To też zjemy obiad w moich pokojach. Zagubilibyśmy się w ogromnej sali jadalnej.

Zaprowadziła go do swego salonu, w którym wielki pęk świeżych róż rozpościł delikatny zapach. Stół nakryty był na dwie osoby i dwa wielkie fotele stały przed kominkiem, na którym płonął ogień. Montague zauważył, że ręka jej nieco drżała, gdy wskazała mu jeden z foteli. Cały jej wygląd świadczył o silnem wzburzeniu. Rzuciła swym wrogom rękawicę!

— Zjemy przedtem obiad, a potem porozmawiamy — powiedziała pośpiesznie. — Bądźmy choć przez chwilę szczęśliwi.

I spieszyła się, by być szczęśliwą, z właściwą sobie nerwowością i ruchliwością. Mówiła o nowej operze, którą miano wkrótce wystawić, o wieczorze u pani de Graffenried i o balu u pani Ridgley-Clieveden. Opo-
wiadziała o szpitalu dla kalekich dzieci, który chciała ufundować, o rozwodzie pani Vivie Patten, o czem kursowały pogłoski. Przez ten czas sfinksowi lokaje poru-

szali się tam i zpowrotem, a półmiski zjawiały się i zniknęły. Pili czarną kawę w wielkich fotelach przed kominkiem. Stół został uprzątnięty, i służba zniknęła, zamknawszy za sobą drzwi.

Wówczas Montague odstawił filiżankę i siedział, utkwivszy ponury wzrok w ognisku. Pani Winnie obserwowała go. Nastąpiło długie milczenie.

Nagle usłyszał jej głos:

— Czyż panu naprawdę tak łatwo przychodzi rzec się naszej przyjaźni? — zapytała.

— Nie myślałem o tem, czy to przyjdzie łatwo, czy trudno. Chciałem panią poprostu ochronić.

— A czy pan sądzi, że przyjaciele moi nic dla mnie nie znaczą? — zapytała. — Czyż mam ich tak wielu? — I zacisnęła ręce nagłym namiętnym ruchem. — Czy pan sądzi, że ja pozwolę nastraszyć się do tego stopnia przez te wstrętne kreatury, żeby spełniać wszystko, czego zachcą? Nie ustąpię, choćby Lilja nie wiem co robiła!

Na twarzy Montague'a wyraziło się zdumienie.

— Lilja? — zapytał.

— Pani Robbie Walling! — zawołała pani Winnie. — Pan nie podejrzywał nawet, że to ona odpowiada za ten artykułik?

Montague drgnął.

— Oto jakimi drogami oni walczą! — zawołała pani Winnie. — Płacą tym łotrom, aby ich bronili. A potem puszczają w obieg najohydniejsze plotki o ludziach, których chcą znieważyć.

— Czy pani naprawdę tak przypuszcza? — zawołał Montague.

— Naturalnie — odpowiedziała. — Wiem, że to jest prawda. Wiem, że pani Robbie Walling zapłaciła piętnaście tysięcy dolarów za jakieś ohydne broszurki, które wydali. A co? Według pana ta ulotka sama zdobywa wszystkie plotki?

— Nie wiem — odpowiedział Montague. — Nie śniło mi się nigdy...

— Tak — przerwała mu pani Winnie — poczta przynosi mi codziennie listy ze złotymi monogramami. Zdarzało mi się widzieć, jak goście siadali i pisali plotki o paniach domu, znajdując się jeszcze w ich mieszkaniu. O, pan nie ma pojęcia, do czego dochodzi podłość ludzka!

— Miałem o tem pojęcie — odpowiedział Montague po krótkiem milczeniu. — I dlatego właśnie chciałem panią ochronić.

— Nie potrzebuję, żeby mnie ochraniano — zawołała energicznie. — Nie dam im tego zadośćuczynienia. Chcą zmusić mnie do tego, abym się pana wyrzekła, ale ja nie uczynię tego, cokolwiek będą mówili.

Montague siedział ze zmarszczonemi brwiami, utkwivszy oczy w ogień.

— Kiedy przeczytałem ten artykuł — zaczął mówić zwolna — nie mogłem znieść myśli o przykrości, jaką pani sprawi. Myślałem o tem, jak bardzo mógł ów artykuł wzburzyć pani męża.

— Mojego męża! — powtórzyła pani Winnie.

W głosie jej posłyszał twardą nutę.

— Mąż mój zawarł z nimi tranzakcję — powiedziała. — To jego zwykły sposób. Nie wydrukują już nic więcej, może pan być przekonany.

Montague siedział i milczał. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał od niej i to go zmieszało.

— Gdyby się wszystko miało skończyć na tem, — powiedział niezdecydowanie. — Ale nie mogłem tego wiedzieć. Sądziłem, że artykuł może wyprowadzić pani męża z równowagi z innych jeszcze przyczyn... że może wywołać nieprzyjemności pomiędzy nim a panią.

Nastało milczenie.

— Pan nie rozumie, — przemówiła wreszcie pani Winnie.

Nie odwracając głowy mógł widzieć jej ręce, które trzymała na kolanach. Poruszała niemi nerwowo.

— Pan nie rozumie, — powtórzyła.

Gdy przemówiła znowu, głos jej był cichy i miękki:

— Muszę panu wytłomaczyć... — powiedziała. — Byłam przekonana, że pan wie wszystko...

Znów nastąpiło milczenie. Pani Winnie wahala się i ręce jej drżały. Nagle zaczęła mówić pośpiesznie:

— Chcę, żeby pan wiedział wszystko. Nie kocham mojego męża. Nic mnie z nim nie wiąże. W sprawach, które dotyczą mnie, nie ma nic do powiedzenia.

Montague siedział nieruchomo, jak skamieniały. Był oszołomiony jej słowami. Czuł utkwiony w siebie uporczywy wzrok pani Winnie i widział gorący przypływ krwi, który zalał jej szyję i twarz.

— Byłoby nieuczciwie, gdyby pan nie dowiedział się wszystkiego! — szepnęła. Głos jej zamarł i znów nastąpiło milczenie. Montague jakby skamieniał.

— Dlaczego pan nic nie mówi? — zapytała wreszcie z zapartym tchem. Montague uchwycił nutkę trwogi w jej głosie.

Obejrzał się, spojrzał na nią badawcza i ujrzał jej zaciśnięte ręce i drżące wargi. Wstrząśnięty był do najwyższego stopnia. Widział, jak pierś jej oddychała ciężko i jak łzy napływały do jej oczu. Opadła nagle na fotel, zasłoniła twarz rękami i wybuchnęła nieprzytomnym płaczem.

— Pani Winnie, — zawołał Montague, zrywając się z miejsca.

Szlochanie trwało w dalszym ciągu. Widział, jak wstrząsało nią nerwowe drżenie.

— A więc pan mnie nie kocha?... — jęczała.

Montague drżał cały i stropiony był do reszty.

— Tak mi przykro — szepnął. — O, pani Winnie, nawet mi na myśl nie przychodziło.

— Wiem o tem, wiem! — wołała. — To moja wina! Byłam szalona. Wiedziałam o tem przez cały czas. Ale miałam nadzieję... Myślałam, że pan mógłby, gdyby pan wiedział...

I znowu dusiły ją łzy.

Montague stał, patrząc na nią. Czuł się zupełnie bezradny. Chwyciła się konwulsyjnie poręczy fotelu, i Montague położył swą rękę na jej dłoni.

— Pani Winnie... — zaczął.

— Nie, nie, — krzyczała w rozpacz. — Niech pan mnie nie dotyka!

Spojrzała na niego nagle i wyciągnęła ku niemu rękę.

— Czyż pan nie rozumie, że ja pana kocham? — zawołała. — Pan pogardza mną za to, ja wiem, ale cóż ja mogę zrobić? Przyznaję się panu przecież do mojej miłości. To jedyna satysfakcja, jaką sobie mogę sprawić. Zawsze kochałam. I myślałam... myślałam, że to tylko dlatego, że pan mnie nie rozumie. Gotowa byłam iść na przekór całemu światu. Było mi wszystko jedno, co kto wie i co kto mówi. Myślałam, że moglibyśmy być szczęśliwi... myślałam, że nareszcie będę wolna. O, pan nie może sobie przedstawić do jakiego stopnia jestem nieszczęśliwa i jaka samotna, jak ja pragnęłam uciec od nich. I miałam nadzieję, że pan... że pan mógłby...

Oczy jej zalały się znowu łzami, a głos stał się podobnym do głosu małego dziecka:

— Czy pan nie przypuszcza, że mógłby mnie pan czasem pokochać? — jęczała.

Głos jej do tego stopnia poruszył Montague'a, że zadrżał cały. Ale twarz jego nabrała jeszcze więcej powagi.

— Pan mną pogardza, dlatego, że panu to powiedziałam, — zawołała.

— Nie, nie, pani Winnie, — odpowiedział Montague.

— Więc dlaczego?... — szeptała. — Czy byłoby tak trudno mnie pokochać?

— Byłoby bardzo łatwo, — odpowiedział. — Ale nie śmiem pozwolić sobie na to.

Spojrzała na niego ze skargą w oczach.

— Pan jest taki zimny, taki bezlitosny! — zawołała.

Montague nic nie odpowiedział, a ona siedziała i drżała.

— Czy kochał pan kiedy jakąś kobietę? — zapytała.

Nastąpiło długie milczenie. Montague usiadł znowu.

— Niech pani mnie posłucha, pani Winnie, — przemówił wreszcie.

— Niech pan mnie tak nie nazywa! — zawołała. — Proszę, niech pan do mnie mówi — Ewelino.

— Dobrze, — odpowiedział. — Ewelino, nie chciałem sprawiać pani przykrości. Gdybym podejrzewał cośkolwiek, nigdybym już więcej nie widywał się z panią. Opowiem pani coś, czego nie opowiadałem jeszcze nikomu. Wówczas pani mnie zrozumie.

Siedział kilka chwil, pogrążony w ponurych rozmyślaniach.

— Pewnego razu, — zaczął, — gdy byłem jeszcze młody, kochałem kobietę... pewną Kwarteronkę *). Było to w Nowym Orleanie. Taki jest u nas zwyczaj. One mają swój świat, a my troszczymy się o nie i o ich dzieci, i wszyscy o tem wiedzą. Byłem bardzo młody, miałem koło osiemnastu lat, a ona była jeszcze młodsza. Ale w tym okresie zrozumiałem, co to jest kobieta i co znaczy miłość. Zrozumiałem, jak one mogą cierpieć. Umarła przy porodzie, dziecko umarło również.

Głos Montague'a stał się cichy. Pani Winnie siedzia-

*) Kwarteronka — kobieta, w której płynie jedna czwarta krwi indyjskiej.

ła z zaciśniętymi rękoma i nie spuszczała z niego wzroku.

— Widziałem, jak umierała, — mówił dalej. — I nigdy nie zapomnę tego. Zdecydowałem wówczas, że złe postąpił, że już nigdy więcej, dopóki będę żył, nie ofiaruję mej miłości kobiecie, jeśli nie będę mógł poświęcić jej całego mego życia. Widzi pani, boję się teraz miłości. Nie chcę tak bardzo cierpieć, ani sprawiać innym cierpienia. I gdy ktoś mówi ze mną tak, jak pani mówiła, przypomina mi się znów wszystko i wspomnienia te sprawiają, że cofam się i cierpię.

Zamilkł, a pani Winnie powstrzymała oddech.

— Niech pan mnie zrozumie, — powiedziała i głos jej drżał. — Nie prosiłabym pana o żadną porękę. Zapłaciłabym sama wszystko, co byłoby do zapłacenia... ja się nie boję cierpienia.

— Ale ja nie chcę, aby pani cierpiała, — powiedział.

— Nie mam nic na świecie, co by mi było drogie, — zawołała. — Odeszłabym stąd, gotowam zrzec się wszystkiego, byleby tylko być z takim człowiekiem, jak pan. Nie jestem niczem związana, nie mam żadnych obowiązków.

Przerwał jej: — Pani ma męża.

Zawołała z nagłą wściekłością: — Mój mąż!

Po krótkim milczeniu zapytała:

— Czyżby panu nie opowiadano nic o moim mężu?

— Nic, — odpowiedział.

— To niech pan zapyta innych! — zawołała. — A tymczasem, niech pan mi wierzy: nie mam w stosunku do mego męża żadnych obowiązków.

Montague utkwiał wzrok w ogniu.

— Ale niech pani pomyśli o mojej sytuacji: mam matkę, kuzynkę.

— O, niech pan już nie mówi więcej, — zawołała kobieta nadrywającym się głosem. — Niech pan powie, że

pan mnie nie kocha, w tem tkwi cały sens. I już nigdy nie będzie mnie pan szanował! Byłam szalona. Wszystko zmarnowałam. Straciłam pana przyjaźń, którą mogłam zachować.

— Nie, — powiedział.

Ale pani Winnie mówiła dalej porywczo:

— Postąpiłam przynajmniej uczciwie, — niech mi pan odda choć tę sprawiedliwość. Dlatego mam właśnie tyle niepokojów i zmartwień. Mówię wszystko, co myślę i muszę płacić za wszystkie swoje błędy. Nie umiem postępować z zimną krwią i wyrachowaniem, choćby dlatego niech pan mną nie pogardza.

— Nie mógłbym pogardzać panią, — powiedział Montague. — Przykro mi, że sprawiłem pani cierpienie.

Pani Winnie siedziała, wzniosłszy w górę oczy, w ponurej zadumie:

— Niech pan o tem już nie myśli, — powiedziała z goryczą. — Poradzę sobie jakoś ze sobą samą. Nie warta jestem, aby się pan kłopotał z mego powodu. Czy pan sądzi, że nie wiem, jak pan się odnosi do tego towarzystwa, w którym ja żyję? A ja, część tego towarzystwa, tłukę skrzydłami, jak w klatce i staram się wyswobodzić, ale nie mogę. Zostanę w niem aż do śmierci. Myślałam, że mogę wykraść dla siebie choć trochę radości! Nie może pan wyobrazić sobie, do jakiego stopnia jestem samotna. I jak puste jest moje życie! Pan się boi uczynić mnie nieszczęśliwą: to okrutny żart, ale niech i tak będzie, jeśli nie może być inaczej! O nic nie proszę: o żadne obietnice, ani ofiary! Wezmę na siebie całe ryzyko, i przyjmę na siebie wszystkie kary!

Uśmiechała się przez łzy, uśmiechała gorzkim uśmiechem. Obserwował ją. Zwróciła się znów ku niemu, oczy ich spotkały się, i znowu ujrzał, jak krew uderzyła jej do twarzy i do szyi. Jednocześnie, zaczęło się w nim bu-

dzić dzikie zwierzę. Wiedział, że im krócej będzie pocieszał panią Winnie, tem lepiej będzie dla nich obojga.

Montague wstał, aby odejść i miał już na ustach słowa pożegnania. Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

Pani Winnie zerwała się. — Kto to? — zawołała.

Drzwi otworzyły się i wszedł pan Duval.

— Dobry wieczór, — powiedział uprzejmie i skierował się ku niej.

Pani Winnie zarumieniała się z gniewu i spojrzała na niego ostro.

— Dlaczego wchodzisz bez zameldowania? — zawołała.

— Przepraszam bardzo, — odpowiedział. — Ale znalazłem to w dzisiejszej pocztce.

I Montague, który wstał, aby się skłonić, ujrzał w rękach pana Duvala wycinek z gazety z obrażającym artykułem. Zauważył, że pan Duval drgnął, i zrozumiał, że nie wiedział przedtem o jego obecności.

Duval przeniósł spojrzenie z Montague'a na swoją żonę i dopiero teraz zauważył jej łzy i wzburzenie.

— Przepraszam, — powiedział. — Widzę, że wszedłem niewporę.

— Zupełnie słusznie, — odpowiedziała pani Winnie.

Uczył ruch, aby odejść, ale pierwszej jeszcze pani Winnie przemknęła obok niego i wyszła z pokoju, zatraskując drzwi.

Duval popatrzył za nią badawczo, następnie spojrzał na Montague'a i roześmiał się.

— Doskonale, doskonale, — powiedział. A następnie, hamując swe rozbawienie, dodał: — Dobry wieczór panu.

— Dobry wieczór, — odrzekł Montague.

Montague drżał zlekka, Duval zauważył to i uśmiechnął się uprzejmie.

— Ot i ma pan materiały, z których powstają sce-

ny, — powiedział. — Ale proszę, niech się pan nie niepokoi, między nami nie będzie scen.

Montague nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

— Muszę przeprosić Ewelinę, — mówił dalej Duval. — Wszedłem zupełnie przypadkowo z powodu tego wycinku. Wogóle nie wchodzę nigdy bez meldowania. Na przyszłość może się pan tu czuć, jak u siebie w domu.

Montague zaczerwienił się po uszy wskutek tych słów.

— Panie Duval, — powiedział, — niech pan mi wierzy, że pan jest w błędzie.

Duval spojrzał na niego badawczo: — O, nie trzeba, nie trzeba, — powiedział ze śmiechem. — Porozmawiajmy ze sobą, jak ludzie z towarzystwa.

— Powiadam panu, że pan jest w błędzie, — powtórzył znowu Montague.

Duval wzruszył ramionami.

— Doskonale, — powiedział, — jak pan sobie życzy. Chciałbym poprostu, żeby wszystko było dla pana jasne. Życzę panu wszelkich rozkoszy z Eweliną. Nie mogę jej nie zarzucić — pan ją kocha. Dla mnie dość jest, że ją posiadałem, i że się przesyciłem. Ma pan wolne pole do działania. Tylko niech jej pan nie pozwala popełniać szaleństw i niech jej pan nie pozwala robić głupstw przy ludziach, jeśli się to panu uda. I jeszcze, niech pan jej nie pozwala wydawać za dużo pieniędzy — i tak kosztuje mnie milion dolarów rocznie. Dowidzenia, panie Montague.

I wyszedł. Montague, który stał jak bałwan, słyszał jego urywany śmiech na schodach, aż do samego hallu. Wreszcie i Montague zabierał się do wyjścia, ale posłyszawszy, że pani Winnie wraca, poczekał na nią. Weszła, zamknęła za sobą drzwi i zwróciła się do niego.

— Co on panu mówił? — zapytała.

— Był bardzo wesoły, — powiedział Montague.

Uśmiechnęła się z okrucieństwem. — Wyszłam namiętnie z pokoju, — oświadczyła. — Chciałam, żeby pan go zobaczył, żeby pan zobaczył, co to za człowiek, i jakie mam w stosunku do niego obowiązki. Mam nadzieję, że pan to widział?

— Tak, widziałem, — odpowiedział.

Chciał wyjść, ale wzięła go za rękę. — Porozmawiajmy trochę, proszę pana, — powiedziała.

Zaprowadziła go znów do kominka. — Niech pan posłucha, — mówiła. — On już nie przyjdzie tutaj. Wyjeżdża dziś wieczorem, myślałam, że już wyjechał. Powróci dopiero za miesiąc, albo za dwa. Nikt nie będzie nam już przeszkadzał.

Podeszła blisko do niego i patrzyła mu w twarz. Otarła już łzy i oczy jej znowu błyszczały. Była piękniejsza, niż zawsze.

— Napadłam na pana z nienacka i zaskoczyłam pana, — powiedziała z uśmiechem. — Nie wiedział pan, jak się do mnie ustosunkować. Wstyd mi jest. Myślałam, że pan mnie będzie nienawidził. Ale nie chcę już więcej być nieszczęśliwą. Teraz mi już wszystko jedno. Cieszę się, że się wygadałam.

Pani Winnie uniosła ręce i ujęła go za klapę marynarki.

— Ja wiem, że pan mnie kocha, — powiedziała. — Widziałam to w pana oczach przed chwilą, zanim on wszedł: pan tylko poprostu nie chce sobie pozwolić. Ma pan tyle wątpliwości i tyle obaw. Ale zobaczy pan, że ja jestem warta kochania, i pan nauczy się mnie kochać. Pokocha mnie pan mimowoli: będę taka miła i dobra, tylko niech pan nie odchodzi.

Pani Winnie stała tak blisko niego, że oddech jej muskał mu policzki.

— Drogi mój, niech pan mi obieca, że pan nie prze-

stanie bywać u mnie, — szeptala. — Ja nie mogę żyć bez pana!

W Montague'u drżał każdy nerw. Czuł się, jak człowiek, pojmany w sieci. Pani Winnie w całym swoim życiu zawsze zdobywała to, czego chciała, a teraz chciała jego. Wydawało jej się niemożliwe myśleć o czemś innym.

— Niech pani posłucha, — zaczął miękko.

Lecz ona dojrzała sprzeciw w jego oczach i zawołała:

— Nie, nie, nie trzeba! Ja nie mogę żyć bez pana! Niech pan tylko pomyśli, ja kocham pana! Cóż ja mogę więcej powiedzieć? Nie mogę uwierzyć, że jestem panu obojętna: pan mnie kocha. Widziałam to w pana oczach. A jednak, pan się mnie boi: dlaczego? Niech pan popatrzy na mnie. Czy nie jestem ładna? I czy miłość kobiety jest taką drobnostką, że pan ją może tak łatwo odrzucić i tak łatwo podeptać? Dlaczego pan chce odejść? Czyż pan nie rozumie? Nikt nie wie, że jesteśmy tu we dwoje, nikogo to nie obchodzi. Może pan tu przyjść zawsze, kiedy pan zechce. To jest moje mieszkanie, moje! I nikt nic nie pomyśli. Wszyscy tak robią. Czego tu się bać?

Objęła jego szyję rękami i tak przytuliła się do niego, że czuł na swej piersi bicie jej serca.

— O, nie zostawiaj mnie pan samej tej nocy! — wykrzyknęła.

Słowa te zabrzmiały w jego duszy jak dzwon alarmowy.

— Muszę już iść, — powiedział.

Odsunęła głowę i patrzyła na niego badawczo. Ujrzała trwogę i ból w jej oczach.

— Nie, nie, — krzyknęła, — proszę tego nie mówić! Nie zniosę tego, pomyśl pan, co uczyniłam! Spójrz pan na mnie! Miej litość nade mną!

— Pani Winnie, — powiedział, — proszę mieć litość nade mną!

Ale poczuł, że go jeszcze silniej obejmuje. Wziął ją za przeguby rąk i odsunął ze spokojną siłą. Ręce jej opadły i utkwiała w nim oczy z wyrazem grozy.

— Muszę odejść — powtórzył.

Ruszył ku drzwiom. Milcząc, śledziła go oczyma.

— Żegnam panią — powiedział. Wiedział, że nie może więcej powiedzieć. Jego współczucie byłoby tylko oliwą, dolewana do ognia. Widział, że poruszyła się, a kiedy otworzył drzwi, opadła na fotel z rozpaczliwym łkaniem. Cicho zamknął drzwi za sobą i odszedł.

Zeszedłszy ze schodów, odnalazł swój kapelusz i palto, i wyszedł tak, że nikt go nie widział. Szedł po piątej Avenue — i nagle ukazał się przed nim gigantyczny blok św. Cecylji, wznoszący się wysoko ku niebu. Zatrzymał się i spojrzał nań — wydał mu się ogromną wzburzoną falą uczuć. I pierwszy raz w życiu zdawało mu się, że zrozumiał, dlaczego ludzie wzniesli tę wysoką masę kamieni!

Potem wrócił do domu.

Zastał Alicję, ubierającą się na bal i czekającego na nią Olivera. Przeszedł do swego pokoju i zdjął palto. Oliver podszedł do niego i nagle wyciągnawszy rękę ku jego plecom zdjął z nich jakąś zdobycz.

Ostrożnie ją wyciągał, zmierzył długość, przez cały czas uśmiechając się podstępnie. Następnie podniósł ją ku światłu, żeby rozpoznać kolor.

— Czarny — wykrzyknął — czarny jak węgiel! — I spojrzał na brata, mrużąc figlarnie oczy. — O, Allan! — roześmiał się.

Montague nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Minął prawie tydzień od początku wielkiego postu i zabawy wielkomiejskie musiały ulec przerwie, a „wyższemu światu“ nie pozostawało nic innego, jak przenieść miejsce swej działalności do klubów prowincjonalnych, do Kalifornji, Hot Springs i Palm Beach. Pani Karolina Smythe zaprosiła Alicję, aby przyłączyła się do jej wycieczki do Palm Beach. Montague przeciwny był temu, gdyż widział, że Alicja zmizerniała i jest zdeenerwowana po trzech miesiącach nieprzerwanych zabaw dniem i nocą. Prócz tego wyjazd na Florydę pociągał za sobą wydatek dziesięciu czy piętnastu tysięcy dolarów na nowe toalety, które nie będą się już nadawały na lato, gdyż do tego czasu staną się niemodne i „passé“.

W ten sposób Alicja pozostała w domu, żeby odpocząć. Ale dziewczyna stała się już zbyt popularna, aby ją pozostawiono w spokoju. Po kilku dniach przyszło drugie zaproszenie, tym razem w imieniu generała Prentice'a i jego rodziny. Mieli zamiar odbyć podróż koleją. Przejazdżka miała trwać miesiąc. Mieli do rozporządzenia swój własny pociąg i jechało z nimi towarzystwo złożone z dwudziestu pięciu osób. Zamierzali zajechać po drodze do Kalifornji i do Meksyku, to znaczy, odbyć „okrężną przejażdżkę“, jak to się nazywało. Alicja pragnęła ogromnie jechać i Montague zgodził się. Gdy dowiedział się potem ku swemu przerażeniu, że w liczbie zaproszonych znajduje się Charlie Carter, prosił Alicję, by zrzekła się tej przejażdżki, ale ona nie chciała, a Montague nie miał serca nalegać.

Tego rodzaju podróże koleją stanowiły najnowszą rozrywkę bogaczy. Rok temu nikt nie słyszał nawet o tem, a teraz co miesiąc wyjeżdżało z New - Yorku piętnaście takich pociągów. Można było zobaczyć jednocześnie tu-

zin pociągów - hoteli w Palm Beach. Niektórzy mieszkali przez cały czas w pociągu, przeprowadzano dla nich specjalne linje zapasowe w ładnych miejscowościach, jeśli pragnęli zatrzymać się tam. Pewien bogaty człowiek zbudował olbrzymi samochód - pociąg, który mieścił sześćdziesiąt osób.

Pociąg Prentice'ów składał się z czterech wagonów, jeden z nich był „wagonem - biblioteką“, obity cały południowo amerykańskim czerwonym drzewem. Znajdowały się w nim również organy. W pociągu była łazienka i salon fryzjerski, oraz wagon bagażowy, w którym stały dwa samochody dla wycieczek i spacerów.

Od czasu epizodu z panią Winnie, Oliver wywnioskował widocznie, że Montague jest jednym ze świeżo „wtajemniczonych“. Wkrótce pozwolił mu zajrzeć przełotnie do tych kart swego życia, o których wspominały piosenki „wieczoru kawalerskiego“.

Oliver miał zamiar pójść z Betty Wyman do teatru. Ale dziadek Betty powrócił niespodziewanie z podróży, i Oliver zaprosił do teatru brata.

— Miałem zamiar zrobić Betty kawał, — powiedział. — Chciałem jej pokazać jeden z moich minionych romansów.

Grano tłómaczoną z francuskiego farsę, w której niewierność małżeńska męża stanowiła przyczynę wielu nieoczekiwanych przygód. Pokojówkę grała młoda aktorka. Była taka miła i zgrabna, i śmiech jej był taki wesoły, że wyróżniała się zpośród pozostałych aktorów. Nawet Montague'owi podobała się najbardziej ze wszystkich.

— Chodźmy, przedstawię cię jej, — powiedział Oliver.

Zapukał do jednych z drzwi długiego korytarza, i otworzyła się przed nimi niewielka garderoba aktorki.

Siedziała w niej przed lustrem dziewczyna w halce i gorsecie.

— Allan, — to jest Rozalja, — powiedział Oliver.

Rozalja upuściła puderniczkę i zerwała się z okrzykiem:

— Ollie! — Rzuciła mu się natychmiast na szyję. — O, nieszczęsny człowieku, — zawołała. — Dlaczego już do mnie nie przychodzisz? Czy nie dostałeś wszystkich moich listów?

— Dostałem niektóre, — odpowiedział. — Ale byłem bardzo zajęty. — A to jest mój brat, pan Allan Montague.

Dziewczyna kiwnęła Montague'owi głową, ale nie wypuszczała z objąć Olivera.

— Dlaczegoś przestał do mnie przychodzić?

— No, no, — zaśmiał się Oliver. — Przyprowadziłem ze sobą brata, żebyś się przyzwocio zachowywała.

— Nic mnie twój brat nie obchodzi, — oświadczyła dziewczyna. — Powiedz, dla czego tak okrutnie ze mną postępujesz?

— Mówiłem ci już, że jestem bardzo zajęty. Co porabia Toodles?

— O, Toodles jest zachwycona: ma nowego kochanka. Podarował jej broszkę z brylantami.

Nagle rozległ się piorunujący głos:

— Drugi akt się zaczyna!

Bracia zeszli do parteru.

— Czy to nie skarb? — zapytał Oliver.

— Bardzo ładniutka, — zgodził się Montague. — Jak się z nią zapoznałeś?

— Była przedtem chórzystką i wyostałem jej małą rolę ze słowami.

— W jaki sposób to zrobiłeś?

— Za pieniądze, — brzmiała odpowiedź. — Za pie-

niądze można prawie wszystko zrobić. Byłem w niej zakochany. W ten sposób poznaliśmy się.

Po skończonem przedstawieniu bracia wstąpili do garderoby po Rozalję i poszli razem na kolację. Po drodze przyłączyła się do nich druga młoda chórzystka, Toodles.

Szli przez Broadway — „wielką białą drogę“ — jak lud nazwał tę część Broadway, przez którą szli. Przy samym początku ulicy wznosił się ogromny hotel, błyszczący światłami, wspaniałemi marmurami i bronzem. Ściany i sufity ozdobione były malowidłami słynnych artystów. Sala restauracyjna przepelniona była o tej porze gośćmi. Wszędzie rozlegały się śmiechy, brzęk naczyń i dźwięki kilku orkiestr, trudzących się bohatersko wśród powszechnego hałasu. Oliver i Montague znaleźli wreszcie wolny stolik, i podczas gdy Oliver zamawiał jajka mrożone i przepiórki z lawendą ogrodową, Montague rozglądał się wokół i słuchał gadaniny Toodles, byłej szwaczki z Rivington Street.

Oliver powiedział, że „otrzymał“ Rozalję, kupując dla niej rolę ze słowami, i Montague'owi przypomniały się mimowoli orgje, o których słyszał na obiedzie kawalerskim. Przy najbliższym stoliku siedział młodzieniec, o którym Toodles powiedziała, że jest synem bogatego fabrykanta gotowych ubrań. Ma na utrzymaniu wiele dziewcząt, mówiła. Ta oto, podobna do królowej, co siedzi przy jego stoliku, również śpiewa w chórze. A dalej nieco siedział młodzieniec o twarzy anioła i wyglądzie księcia krwi: otrzymał on w spadku milion i uciekł ze szkoły, a teraz jest znakomitością w świecie teatralnym. Ładniutka, małego wzrostu dziewczyna w zielonej sukni, siedząca przy nim, to Violeta Faue, grająca rolę modelki w nowej sztuce, która cieszy się wielkiem powodzeniem. W dodatku do niedzielnej „gazety sportowej“, którą tu czytano, fotografia jej zaj-

mowała całą stronę. I Rozalja, zwracając się do Olivera, powiedziała:

— Dlaczego ty mi tego nigdy nie zrobisz?

— Może i zrobię — odpowiedział ze śmiechem. — Ile to kosztuje?

I gdy się dowiedział, że można ten zaszczyt kupić za marne piętnaście tysięcy, oświadczył:

— Zrobię to, jeśli będziesz miła.

Od tej chwili ostatnie ślady znużenia znikły z twarzy Rozalji i z jej rozmów.

Gdy wypito cocktail z szampana, Rozalja i Oliver zaczęli intymną rozmowę. Montague zwrócił się do Toodles, chcąc dowiedzieć się szczegółowiej, w jaki sposób kobiety z teatru stają się zdobyczą „drugiego pokolenia“.

— Aktorka otrzymuje dziesięć do dwudziestu dolarów tygodniowo — mówiła Toodles. — To jej ledwo starcza na toalety. Sytuacja jest beznadziejna: traci całe tygodnie na repetycje, a jeśli sztukę zdejmą ze sceny — nie dostaje nic. Ma psie życie, a klucze do wolności i bogactwa znajdują się w rękach bogaczy, którzy zawsze odwiedzają teatry i bez przerwy osaczają dziewczyny. Posyłają im liściki, lub rzucają na scenę bukiety ze swemi biletami wizytowymi, może nawet z pieniędzmi, ukrytymi w bukiecie. Istnieją również artyści — miljonerzy i cyganerja, abonujący miejsca w pierwszych rzędach na wszystkie premjery. Otwierają oni rachunek u kwiaciarki, krawców i cukierników i dają carte blanche wielu dziewczętom, które nie sprzeciwiają się ich żądaniom. Zdarza się, że zawierają umowę z dyrektorem teatru, i wówczas, dziewczyna, która odrzuciła ich względy, może zobaczyć nagle, że szanse jej są w niebezpieczeństwie. Czasami ludzie ci finansują nawet niektóre sztuki, aby jakaś ich faworyta mogła się wysunąć.

Toodles zwróciła się do Olivera i Rozalji, a Montague usiadł na boku i rozglądał się w zamyśleniu. Obok niego stał długi stół, przy którym siedziało ze dwanaście osób. Montague patrzył na kubły z szampanem i na nieskończony szereg fantastycznych z pozoru potraw, oraz na uczujących z ich rozognionemi twarzami, gorączkowemi oczyma i głośnym śmiechem. Nad całym tym szumem i hałasem unosiły się głosy orkiestry, wyjącej, niby wiatr górski podczas burzy. Muzyka była dzika i chaotyczna i wywoływała nie dające się opisać uczucie trwogi i niepokoju. Gdy przychodziło na myśl, że to samo odbywa się również w tysiącach innych restauracyj, wydawało się, że cały ten potok rozrzutności prześcignął nawet rozrzutność wysokiego świata.

Ktoś powiedział, że gdyby postawić rzędem wszystkie hotele New-Yorku, starczyłoby ich do samego Londynu. A w nich obsługuje się codziennie setki tysięcy gości — całą hordę, przybywającą tu z całego świata w poszukiwaniu uciech i podniety. Byli tu turyści i ludzie z „prowincji“, z czterdziestu pięciu stanów. Byli właściciele farm z Texasu, królowie tartaków z Maine'u i kopalń z Nevady. U siebie w domu musieli pilnować swej reputacji, brali też pod uwagę rodziny. Ale tutaj, gdy zanurzyli się w wir Tenderloinu, ukryci byli przed całym światem. Przyjechali z kieszeniami, nabitemi pieniędzmi, a hotele i restauracje, domy gry, pokoje bilaradowe i domy publiczne — wszystko to czekało na nich. Konkurencja doszła do takiego hazardu, że pewien magazyn krawiecki i pewien bank nie zamykały się przez całą dobę, z wyjątkiem jednej niedzieli.

Wszędzie pod nogami rozstawione były sieci rozpusty. Starszy lokaj w hotelu był „sternikiem“, dla „nurkowania“, innemi słowy dla zaciągania do domów publicznych, a specjalny agent polecał domy gry. Piękna kobieta, uśmiechająca się do was na przechadzce w parku,

była to „Madame“, to znaczy stręczycielka. Młody człowiek o miłej powierzchowności, stojący przed barem i rozmawiający z wami, stał na straży i wyławiał klientów dla kantoru lichwiarza, obok hotelu. Montague'a uderzyła ogromna ilość służby w liberji, kręcąca się wokół niego, której dawał „na piwo“, za drobne usługi. Nie zwrócił na to uwagi, że chłopcy w toaletach i umywalniach nie mówili ani słowa po angielsku. Nie mógł tego wiedzieć, że co noc rewidowano ich i odbierano im wszystko, co posiadali, ponieważ Grek, który ich wynajmował, płacił hotelowi rocznie piętnaście tysięcy za ten swój przywilej.

Specjalizacja doszła do tego stopnia, że istniały domy publiczne, zajmujące się swemi sprawami wyłącznie przez telefon, i posyłające kobietę w powozie pod każdy wskazany adres. Były też domy schadzek bardzo wysokiego rzędu ze wspaniałymi pokojami i usługą pokojówek i lokai. W tym świecie rozpusty równość płci została całkowicie uznana. Istniały domy gry, pokoje bilardowe, palarnie opjum i pokoje do „picia“, przeznaczone specjalnie dla kobiet. W „pomarańczowym pokoju“ jednego z wielkich hotelów mogliście zobaczyć bogate kobiety wszystkich warstw i typów, trzymające w ręku ozdobne karty win. W tym jednym pokoju sprzedawano dziennie przeszło dziesięć tysięcy szklanek wina. A hotel płacił Devonom miljon dolarów rocznego czynszu. Niedaleko stąd znajdowały się domy publiczne dla murzynów, należące również do Devonów, gdzie we wczesnych porannych godzinach można było widzieć, jak upijały się bogato ubrane białe kobiety.

W tym kipiącym kotle rozpusty było wiele sposobów zdobywania pieniędzy i można było napotkać wiele dziwnych i nieprawdopodobnych istnień ludzkich. Pewnego razu w „towarzystwie“ wskazano Montague'owi kobietę, która była „tatuowaną lady“ w cyrku.

Znajdowała się tam i inna, była współniczka szulera na okrętach transoceanicznych, i jeszcze jedna lady, która swego czasu zmywała garnki w obozie górników. Właściciel jednego z większych hoteli był dawniej złodziejem-włamywaczem, który pracował z powodzeniem. Istniał również właściciel wielkiego magazynu, który rozpoczął swą karierę od świadomego przechowywania rzeczy kradzionych. W każdej grupie tych uczujących można było wskazać bardzo dziwne typy: oto multimiljoner, który sprzedawał ludowi zgniłe konfitury. Oto inny — wynalazca „syropu uspakajającego“ z opium dla dzieci. Oto rozmowny stary gentleman, który zmarnotrawił cały „żółty psi fundusz“ różnych instytucji kolejowych. Oto, wreszcie, ładny szofer, który uprowadził bogatą spadkobierczynię. Pewnego razu wielki uczony wynalazł nowy rodzaj bielizny i chciał ofiarować ludziom swój wynalazek. Ale oto tu siedzi człowiek, który ukradł wynalazek uczonego i dorobił się na nim milionów! A oto medjum spirytystyczne, które zbiło majątek na zwarjowanym starym fabrykancie. A oto właściciel wielkiej gazety, który dorobił się na ogłoszeniach o „randkach“, po dolarze za wiersz. Tu mamy znów fabrykanta cygar, którego miłą twarz można widzieć na wszystkich reklamach — rozpoczął swą karierę jako fabrykant ołowiu, i aby nie płacić cła, nadawał całemu obrobionemu materiałowi formę posągów i woził je w postaci dzieł sztuki.

Ale jakkolwiek podłe i straszne były źródła, z których powstały te majątki, nie były one podlejsze i straszniejsze od celów, na które je wydawano. Pani Vivie Patton wspomniała Montague'owi o „klubie Dekameron“, którego członkowie zbierali się u siebie nawzajem i rywalizowali ze sobą w opowiadaniach nieprzyzwoitych i drastycznych historyj. Strathcona opowiedział Montague'owi o pewnem towarzystwie wytwor-

nych ladies i gentlemanów, którzy urządzali subtelne i wyrafinowane uroczystości, na których zjawiali się w kostjumach z czasów minionych, naśladowując pewne postacie historyczne w ich rozpuście i orgjach na dworach i obozach. Kursowały pogłoski o „nocach Kleopatry“ na jachcie w New-Porcie. Pewien spekulant z Wall Street rozpoczął swe życie, jako górnik, a gdy jego kupcy przyjeżdżali do miasta, wynajmował szybkojezdny powóz, brał ze sobą skrzynię szampana oraz pół tuzina prostytutek i spędzał noc, jeżdżąc po okolicy. Człowiek ten mieszkał teraz w jednym z wielkich hotelów w New-Yorku i urządzał w swych pokojach walki kogutów z nagrodami, oraz krwawe walki pomiędzy ludźmi; a czasami również „walki królewskie“, t. zn., że z sufitu zwisała brylantowa szpilka do krawatu, a półtuzina murzynów walczyło zaciekle, aby zdobyć upragnioną nagrodę.

Powiedzenie, że wśród klas posiadających rozpusta szalała jak dzuma, nie będzie przesadne. I nie było takiego wysokiego stanowiska, do którego nie przenikałaby. Nawet mężowie stanu stawali się jej niewolnikami, i wpływała ona zarówno na wielkie majątki, jak i na różne sfery społeczne. Niektóre z objawów rozpusty były straszne w swych następstwach i gubiły swe ofiary w krótkim czasie.

A z New-Yorku, tego ośrodka bogactwa i kultury kraju, rozpusta rozpowszechniała się na wszystkie zakątki państwa. Rozwoziły ją trupy aktorów i komiwojażerów. Przejmowali ją kupcy i turyści, przyjeżdżający do miasta. Roznosiciele książek sprzedawali pornograficzne obrazki i książki, których wydawanie i rozpowszechnianie stało się prawdziwym przemysłem. Istniały tanie tygodniki, kosztujące dziesięć centów rocznie — rzucano je przez okna pokojówek. Istniały francuskie romasne w złotych okładkach, niezwykle

wyuzdane — dla pani domu. Ciekawe jest, że w pociągach, jadących do najbliższych okolic, odwiedzanych przez ludzi z wysokiego świata, chłopcy sprzedający tego rodzaju literaturę mieli wielki zbył.

Według teorii bogaczy, istnieją dwa światy, zupełnie odrębne od siebie. Istnieją dwie kategorie kobiet: jedne istnieją dla zabawy, a następnie porzuca się je, ale kobiety z drugiej kategorii należy szanować i ochraniać. Takie kobiety, które się nazywa prostytutkami i utrzymankami istnieją, ale kulturalni i subtelni ludzie nie mówią o nich, i to ich nie obchodzi. Montague znał zresztą dobrze przysłowie, że jeśli obserwować łańcuch niewolnika, to drugi jego koniec odnajdzie się na rękę jego władcy, i Montague zdecydował, że Tenderloin mści się na Fifth Avenue. Ludzie bogaci nie tylko zarażali swoje żony i dzieci chorobami, pochodzącymi z rozpusty, lecz wnosili również do swoich domów maniery i ideały rozpusty.

Montague uderzony był tem, co zastał w towarzystwie new-yorskiem: paleniem, pijaństwem i hazardową grą kobiet, jak również gruboskórnym i cynicznym poglądem na życie oraz niemoralnemi opowiadaniem najordynarniejszych historyj. I oto tutaj, w tym półświatku podszedł do głównego źródła demoralizacji. Nagle, jak promień objawienia, przemknęła przez jego głowę myśl: przegroda pomiędzy dwoma światami runie.

Mógł wyobrazić sobie ten proces w tysiącnych formach. Brat jego chciał zaprowadzić Betty Wyman do teatru, aby jej pokazać Rozalję. To znaczy, że Betty wiedziała o tej przygodzie miłosnej i szeptała i dzieliła się wrażeniami ze swemi przyjaciółkami. I tego, czego ją Oliver nauczył jako pannę, nie zapomni gdy będzie jego żoną.

Montague'owi przychodziły na myśl wypadki, kiedy

te dwa światy zderzały się ze sobą na wieczorach i przyjęciach. Tylko ludzie starsi trzymali się jakoś na ubożu. Patrzyli z niezmiernej wysokości na aktorki, jako na kobiety niższej kasty, ponieważ zmuszone były pracować na swe utrzymanie. I gdy Montague rozmawiał z biedną chórzystką, która sprzedawała się za niewielką częśćkę rozkoszy, poczuł, że o wiele łatwiej jest przebaczyć jej, niż kobiecie, urodzonej w bogactwie i pogardzającej tymi, którzy jej tych bogactw dostarczają.

Na największe współczucie zasługiwała taka, która nie należała do żadnej z tych dwu kategorii: dziewczyna nie sprzedająca się i walcząca przez cały czas, żyjąc wśród tej szalonej rozpusty. Istniały tysiące porządných kobiet, nawet i na scenie, sama Toodles była niegdyś taką.

— Długo szłam prostą drogą — powiedziała Montague'owi, śmiejąc się wesoło. — Żyłam za dziesięć dolarów tygodniowo. Kiedy pojechałam na tournée, dawali mi szesnaście dolarów. Niech pan sam pomyśli, czy możliwe jest wyżywić się, płacić za hotel i mieć wszystkie potrzebne toalety — wszystko to za szesnaście dolarów na tydzień! A czasem nie było pracy przez całe pół roku! I wtedy... czy pan zna Cyryla Chambersa, słynnego malarza kościelnego?

— Słyszałem o nim — powiedział Montague.

— Otóż, gdy grałam w tym teatrze na Broadway, zimą, przysyłał mi przez całe sześć miesięcy co wieczór bukiet orchidej, który kosztował z pewnością najmniej siedemdziesiąt pięć dolarów. Mówił, że otworzy mi rachunki we wszystkich magazynach, w których zechcę, jeśli spędzę z nim następne lato w Europie. Mówił, że mogę wziąć ze sobą matkę lub siostrę — byłam wtedy taka naiwniutka, taka niedoświadczona, myślałam, że to znaczy, że on nie ma względem mnie żadnych złych zamiarów.

Toodles uśmiechnęła się na to wspomnienie.

— Pojechała pani? — zapytał Montague.

— Nie — odpowiedziała. — Pozostałam tutaj, na wystawie kwiatowej, która spaliła się. Poszłam wtedy do mego poprzedniego dyrektora, żeby go prosić o pracę, a on mi powiedział: „Mogę pani płacić tylko dziesięć dolarów tygodniowo. Ale dlaczego pani jest taka nie-mądra?“ — „Co pan chce przez to powiedzieć?“ — zapytałam, a on odpowiedział: „Dlaczego pani nie znajdzie sobie bogatego wielbiciela? Płaciłbym pani wtedy sześćdziesiąt dolarów tygodniowo“. Oto jakich rzeczy wysłuchuje się na scenie.

— Nie rozumiem tego — powiedział Montague, zdumiony. — Czy on miał nadzieję, że otrzyma od pani wielbiciela pieniądze?

— Nie wprost, ale pośrednio — wytłomaczyła Toodles. — Taki wielbiciel kupuje bilety odrazu na cały sezon, może zaabonować miejsca w pierwszym rzędzie, jeśli interesuje się dziewczyną, która bierze udział w przedstawieniu. A prócz tego przyprowadza swych przyjaciół, aby ją zobaczyli. Zaczynają o niej mówić i staje się znaną.

— I to pomaga jej na deskach scenicznych? — zapytał Montague.

— O, i jak jeszcze! — zawołała Toodles.

Toodles była wesoła i lekkomyślna. Przez to tragedia jej życia wydawała się Montague'owi jeszcze bardziej ponura. Siedział, pogrążony w czarnych myślach, zapomniawszy o swoich towarzyszach, o blasku i szumie restauracji.

Pośrodku tej sali znajdował się olbrzymi bufet i wystawione były na nim na pokaz różne półmiski z potrawami. Były tu indyki pieczone i szynka, i różne pieczenie, i puddingi, i torty oraz zamrożone ciasta. Ale wszystko to było zbyt fantastycznie przystrojone

i upiększone. Na indyczkach widniały najróżniejsze papierowe rozetki, szynka zalana była żelatyną, piczenie i puddingi miały postać owoców i kwiatów.

I wszystko to, wszystkie ozdoby i potrawy zmieniano codziennie. Każdego ranka można było widzieć całe szeregi służby, która wносиła potrawy. Montague'owi przypomniała się uwaga Betty Wyman, kiedy się po raz pierwszy poznali, w sprawie bitej śmietanki, ułożonej w różne figury, i słowa jego brata: „Gdyby Allan tu był, pomyślałby zaraz o tym człowieku, który bił tę śmietankę i nadawał jej kształt rozmaitych figur, o tem, ile czasu stracił na to niepotrzebnie, podczas gdy mógłby przez ten czas siedzieć i czytać „Prostotę życia“.

Montague myślał teraz o tem: patrzył i dziwił się tym wszystkim niewolnikom, służącym w olbrzymiej świątyni rozkoszy. Spojrzał na lokajów — bladych, o wpadniętej piersi, i wyobraził sobie tłum niższych służących, którzy nie wychodzą nigdy na światło dzienne. Tych, którzy myli naczynia, wynosili śmiecie. Tych, którzy palili węglem w piecach i dostarczali ciepła i siły. Pracowali, zamknięci w ciemnych piwnicach, wiele pięter pod powierzchnią ziemi i przeznaczeniem ich było służyć na wieki zmysłom ludzkim. Jak straszny musi być ich los, jaka niewiarygodna korupcja! A wszystko to prawie są cudzoziemcy, którzy przyjechali tu w poszukiwaniu szczęścia i wolności!

Od tego obrazu, jako punktu wyjścia, myśl jego przeniosła się na tłum pracowników we wszystkich częściach świata, których przeznaczeniem było stwarzać to, co niszczą ci ucztujący. Na kobiety i dzieci w niezliczonych warsztatach, wyciskających pot; kobiety, które tkwały sukna, kroiliły i zeszywały je; dziewczyny, wyrabiające sztuczne kwiaty, lub napychające papierosy, albo też zbierające winogrona; na górników, wyrrywających z ziemi węgiel i drogie metale; na tych ludzi, którzy trwali

mężnie na dziesiątkach tysięcy latarni morskich, którzy walczyli z żywiołami na dziesiątkach tysięcy okrętów, aby przywozić do kraju przedmioty, które mają zostać zniszczone. Krok za krokiem, w miarę tego, jak wzrastał potok szaleństwa, a energja ludzka zwrócona została na wytwarzanie przedmiotów zbytku i demoralizacji — krok za krokiem wzrastała nędza i poniżenie wszystkich tych niewolników Mamona. I któż mógł wyobrazić sobie, co oni o tem wszystkiem pomyślą — z chwilą, gdy zaczęną myśleć!

I wówczas, jak niespodziane światło, błysnęło w głowie Montague'a wspomnienie tej mowy, którą słyszał na rogu ulicy wieczorem, w dzień swego przyjazdu do New-Yorku. Usłyszał znów turkot kolei powietrznej i przenikliwy głos mówcy, widział jego znużoną i głodną twarz i zwarty tłum, patrzący na niego. I przypomniał sobie słowa majora Thorne'a:

— To oznacza nową wojnę domową!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Minęły dwa tygodnie od dnia wyjazdu Alicji i zbliżał się dzień, w którym sprawa pana Hasbrooka miała się znaleźć na wokandzie sądu. W poprzedzającą sobotę miał się odbyć bal, organizowany przez long-islandzki klub myśliwski w półpościu. Siegfried Harvey zaprosił znajomych, by spędzili u niego weekend, i Montague przyjął zaproszenie. Pracował bardzo intensywnie, wykańczając ostatecznie swe przemówienie i sądził, że nieźle mu zrobi krótki odpoczynek.

Montague i Oliver pojechali w piątek po południu i pierwszą osobą, którą spotkali była Betty Wyman. Montague nie widział jej już dawno, a miała coś nie coś do opowiedzenia. Ponieważ Montague przestał wi-

dywać się z panią Winnie od czasu epizodu w jej domu, znajomi zaczęli podejrzewać zerwanie i plotkom nie było końca. A pani Betty chciała dowiedzieć się wszystkiego dokładnie i wiedzieć, jakie są teraz pomiędzy nimi stosunki.

Ponieważ Montague odmówił jej jakichkolwiek wyjaśnień, więc i ona powiedziała mu zuchwale, że nie wtajemniczy go we wszystko, co słyszała. Przez cały czas rozmowy Betty nie spuszczała z niego drwiących oczu i jasne było, że uważa za dowiedzione coś najgorszego. Jasnem było również, że dzięki temu Montague wydał jej się bardziej interesującym. Montague odczuwał bardzo dziwne wrażenie, gdy rozmawiał z Betty Wyman. Była zachwycająca, było w niej coś wyzywającego, niedającego się określić, a tymczasem jej poglądy na życie były jakieś starcze.

— Mówiłam panu przecież, że nie nadaje się pan do roli kota domowego — powiedziała mu.

Następnie zaczęła mówić o jego sprawie i drażniła go zamieszaniem, jakie wywołał.

— Czy pan wie — powiedziała. — Ollie i ja byliśmy przerażeni: myśleliśmy, że mój dziadek się wścieknie i że przepadliśmy już. Ale tak czy inaczej sprawy przybrały inny obrót. Niech pan nie mówi tego nikomu, ale wydaje mi się, że dziadek trzyma pana stronę.

— Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby tak było w istocie, — powiedział Montague ze śmiechem. — Odsłucham się dowiedzieć, kto trzyma moją stronę.

— Mówił o tem niedawno, — opowiadała mu Betty. — Słyszałam, jak mówił do kogoś, że czytał pana argumenty, i że wydają mu się słuszne.

— Bardzo mi miło to słyszeć! — oświadczył Montague.

— I mnie było przyjemnie, — odpowiedziała. — Powiedziałam mu potem: „Zdaje mi się, że nie wiesz, że

Montague jest bratem mojego Ollie“. A on odpowiedział mi na to, że nie przypuszczał, aby w rodzinie Ollie'go mógł się znaleźć jakiś człowiek, posiadający tyle zdrowego sensu.

Betty mieszkała u swojej ciotki w pobliżu i wyjechała przed obiadem. W samochodzie, który po nią zjechał, znajdował się sam stary Wyman, powracający z miasta do domu. Ponieważ rozpoczęła się zameć śnieżna, wszedł do domu i grzał się przy ogniu, podczas gdy samochód jego zamieniano na zamknięty z garażu Harvey'a. Montague'a nie zapoznano z nim. Stał więc w cieniu i obserwował starego: taki malutki człowiek, o żywej i ruchliwej twarzy, mocno pomarszczonej. Trudno było pomyśleć, że to drobne ciało mieściło w sobie jeden z najpotężniejszych kierowniczych umysłów kraju. Wyman był człowiekiem nadzwyczaj nerwowym i drażliwym, surowym i nieubłagany. Na Wall Street nienawidzono go i bano się najbardziej ze wszystkich. Był popędliwy i okrutny. — „Na zebraniach, na których jestem obecny, pierwaj się głosuje, a potem dopiero wszczyna dyskusję“ — było jednym z jego powiedzeń, które zakomunikowano Montague'owi. Gdy Montague obserwował go tak, stojącego u ognia, rozcierającego sobie ręce, i gawędzącego wesoło — wydało mu się nagle, że stoi za kulisami i że danym mu jest przywilej, którego nie posiadają zwykli śmiertelnicy — oglądania wielkości królewskiej w codziennym stroju.

Tego wieczoru, po obiedzie, Montague rozgadał się ze swym gospodarzem w palarni, przeszedł do sprawy Hasbrooka i opowiedział o swej wyprawie do Waszyngtonu i o swej rozmowie z sędzią Ellisem.

Harvey miał mu również cośniecoś do zakomunikowania.

— Rozmawiałem z Freddie Vandamem — powiedział.

— I cóż on mówił? — zapytał Montague.

— Ano, — odpowiedział Harvey ze śmiechem, — zbyt jest opowiadać panu, że jest strasznie oburzony. Pan wie, Freddie nauczony był przez swego ojca patrzeć na Fidelity, jak na pewnego rodzaju własność. Mówi zawsze: „moje towarzystwo“, i zachowuje się bardzo arbitralnie i władczo w stosunku do Fidelity, uważając za obrazę osobistą, jeśli ktoś na to towarzystwo napada. Ale było dla mnie jasnem, że on również nie wie, kto stoi za plecami Hasbrooka.

— Czy Ellis o tem wiedział? — zapytał Montague.

— Tak — odpowiedział Harvey. — Tego się Freddie dowiedział. Twierdzi on, że Ellis od wielu lat żyje na rachunek Fidelity, otrzymuje ogromną pensję, nie robiąc absolutnie nic i podjął tam prawie trzy ćwierci miliona dolarów za mało warte ubezpieczenie.

Montague zdumiał się.

— Tak, tak — zaśmiał się Harvey. — Ale właściwie, to jeszcze głupstwo. Bieda polega na tem, że Freddie Vandam widzi tylko tego rodzaju rzeczy. I dlatego nigdy nie będzie w stanie rozwiązać zagadki. Wie, że ta czy inna klika wewnątrz towarzystwa intryguje, aby zdobyć jakieś zyski dla siebie, albo, żeby wykorzystać je dla swoich celów. Ale on nigdy nie wnika w samą treść i nie widzi tego, jak wielcy reżyserowie pociągają sznureczki za kulisami. Przyjdzie czas, że wyrzucą go zupełnie za nawias i wówczas dopiero zrozumie, jak z nim zagrali. Oto na czem polega rozwiązanie sprawy Hasbrooka. Wie pan, oni poprostu chcą go nastraszyć groźbą, że sprawy towarzystwa będą rozgłoszone w sądzie i w gazetach.

Montague siedział przez pewien czas w głębokiej zadumie.

— Co pan sądzi o Wymanie, jaki jest jego stosunek do tej sprawy? — zapytał wreszcie.

— Nic nie wiem — odpowiedział Harvey. — Przy-

puszczają, że to właśnie on opiekuje się Freddie'm. Ale czy można powiedzieć coś dokładnie w takiej płątaniu?

— Tak, wszystko to jest jakiś niepojęty galimatjas, — potwierdził Montague.

— Coś bezdenne — oświadczył Harvey. — Niech pan posłucha, co mi pewnego razu powiedział Vandam.

Harvey wymienił jednego z dyrektorów Fidelity, mającego reputację filantropa. Usłyszawszy, że żona jednego z jego młodszych partnerów omal nie umarła przy porodzie, i że doktor oświadczył mężowi, iż drugiego porodu nie przeżyje, zapytał: „Dlaczego nie zabezpieczył jej pan na życie?“ Tamten odpowiedział, że próbował to zrobić, ale towarzystwo odmówiło mu. — „Ja to panu urządzę“ — oświadczył filantrop. Wówczas napisano nowe podanie, dyrektor poszedł do Freddie Vandam'a i otrzymał polisę na podstawie rozporządzenia władzy wykonawczej. Po siedmiu miesiącach żona umarła i Fidelity wypłaciła mężowi całe sto czy dwieście tysięcy dolarów.

— Oto jakie rzeczy dzieją się w świecie ubezpieczeniowym, — dodał Harvey.

Wysłuchawszy tego opowiadania, Montague pojechał z nim do powiatowego klubu, dla uzupełnienia zabawy. Wszystko było tam urządzone na wielką skalę i wspaniale. Być może winne temu były ponure myśli Montague'a, ale ani kwiaty, ani muzyka, ani piękne toalety nie mogły go rozweselić, widział jedynie obżarstwo i pijanństwo i wszystko to raziło go w większym jeszcze stopniu, niż dawniej.

Następnie miał nieprzyjemne zdarzenie. Spotkał Laurę Hegan, i przypomniawszy sobie, jak serdecznie go przyjęła, gdy ją po raz pierwszy odwiedził, podszedł do niej i chciał rozpocząć wesołą rozmowę. Lecz ona odkloniła mu się z lodowatą uprzejmością, tak zwięźle od-

powiadała na jego pytania, i tak nieoczekiwanie ostro odwróciła się od niego, że była prawie niegrzeczna. Odszedł natychmiast, niezmiernie zdziwiony. Ale potem przypomniały mu się plotki, które krążyły o nim i o pani Winnie i domyślił się, że tem tłumaczy się postępowanie panny Hegan.

Epizod ten rzucił cień na cały jego pobyt u Harvey'a. W niedzielę wyszedł sam na przechadzkę po okolicy wśród zamieci śnieżnej, pełen wstrętu dla przeszłości i złych przeczuć na przyszłość. Montague nienawidził tego świata pieniędzy, w którym wszystko co jest najgorszego w istotach ludzkich, wypływa na powierzchnię. Nienawidził tego wysokiego świata, i pragnął, aby noga jego nie przestępowała nigdy jego granic. I tylko dzięki usilnemu chodzeniu — chodzeniu aż do zmęczenia, zdołał wreszcie zapanować nad sobą.

Powrócił do domu, gdy zaczynało się już ściemniać i zastał tam depeszę, przesłaną mu z New-Yorku:

„Oczekuj mnie na Pennskim dworcu w Jersey City o dziewiątej godzinie wieczór. Alicja“.

Depesza ta wypędziła oczywiście wszystkie inne myśli z jego głowy. Nie miał nawet czasu zawiadomić o tem Olivera: musiał wskoczyć do samochodu i pędzić z całych sił, aby zdążyć na najbliższy pociąg, idący do miasta. Przez cały czas długiej zimnej drogi na promie i w powozach rozważał i obmyślał zagadkę powrotu Alicji. Towarzystwo, z którem wyjechała, miało powrócić nie wcześniej jak za dwa tygodnie, a dopiero dwa dni temu otrzymał list z Los Angeles, w którym była mowa, że przypuszczalnie całe towarzystwo pozostanie jeszcze o tydzień dłużej. I nagle Alicja przyjeżdża już do domu.

Montague dowiedział się, że w oznaczonej przez Alicję godzinie przychodzi ekspres z zachodu, widoczne więc było, że Alicja nie jedzie w prywatnym pociągu

Prentice'ów. Ekspresz spóźnił się o pół godziny i Montague chodził tam i zpowrotem po peronie, powstrzymując niecierpliwość. Wreszcie długi pociąg wjechał na stację i ujrzał Alicję, idącą po platformie. Była sama!

— Co to znaczy? — były pierwsze słowa, z jakimi zwrócił się do niej.

— To długa historia — odpowiedziała. — Chcę wrócić prędko do domu.

— Chcesz powiedzieć, że całą tę długą drogę przebyłaś sama? — zapytał zdumiony.

— Tak — odpowiedziała. — Całą drogę.

— Co to ma znaczyć... — zaczął.

— Nie mogę ci tutaj opowiadać — przerwała mu. — Poczekaj aż znajdziemy się oboje w spokojnem miejscu.

— Ale, — nalegał. — A Prentice'owie? Puścili cię samą do domu?

— Nie wiedzieli o niczem, — odpowiedziała. — Uciekłam.

Montague tembardziej nic nie rozumiał. Ale gdy zamierzał zadać jej jeszcze kilka pytań, położyła mu rękę na ramieniu.

— Proszę cię, Allan, poczekaj trochę, — powiedziała. — Denerwuję się, kiedy o tem mówię. To wszystko stało się przez Charlie Cartera.

Jakby promień światła błysnął w głowie Montague'a. Z zapartym tchem zawołał:

— O!

Nie powiedział nic więcej, dopóki, przeprawiwszy się promem, nie znaleźli się w powozie.

— A teraz, — poprosił, — opowiedz mi wszystko.

Alicja zaczęła:

— Byłam wyprowadzona z równowagi, — powiedziała. — Ale zrozum, Allan, miałam potem cały tydzień do namysłu, i mogłam wszystko obmyślić. Teraz nie przejmuję się tem już. Proszę cię, nie denerwuj się:

biedny Charlie nie jest winien, nie miał sił powstrzymać się. Ja sama jestem winna. Powinnam była słuchać twojej rady i nie mieć z nim nic do czynienia.

— Mów dalej, — powiedział Montague i Alicja opowiedziała o wszystkim, co zaszło.

Towarzystwo udało się oglądać różne widoki, Alicję bolała głowa, i pozostała w wagonie. Charlie Carter przyszedł do niej i zaczął oświadczać się w miłości.

— On już dawniej prosił, żebym wyszła za niego za mąż, — powiedziała. — To było na samym początku naszej podróży. Odmówiłam mu. Potem już nie dawał mi nigdy spokoju. A tym razem zachowywał się w straszny sposób: rzucił się na kolana i płakał, i mówił, że nie może żyć bezemnie. Tyle mu tłumaczyłam i nic nie pomagało. Wreszcie, chwycił mnie i nie chciał puścić. Wpadłam w złość i byłam przerażona. Musiałam mu zagrozić, że będę wołała o pomoc, dopiero wtedy mnie puścił. No i widzisz, jak to było.

— Widzę, — odpowiedział poważnie Montague. — Mów dalej.

— Cóż, zdecydowałam potem, że nie mogę zostawać tam, gdzie będę go widziała. Wiedziałam, że on nigdy nie odjedzie sam bez urządzenia sceny. Gdybym poprosiła panią Prentice, aby go odesłała, wyszedłby skandal i to popsułoby wszystkim przejażdżkę! Dlatego wyszłam i dowiedziałam się, że wkrótce odchodzi pociąg na Wschód, potem spakowałam swoje rzeczy i zostawiłam list dla pani Prentice. Wymyśliłam całą historję: napisałam, że dostałam depeszę o chorobie twojej matki, i że nie chcąc psuć wszystkim zabawy wyjeżdżam sama. Nic lepszego nie mogłam wymyślić. Nie bałam się jechać, bo byłam przekonana, że Charlie nie może mnie dogonić.

Montague nic nie odpowiedział. Siedział zacisnąwszy mocno rękę.

— Może wydawać się, że był to szalony krok z mojej strony, — powiedziała Alicja nerwowo. — Ale zrozum, że byłam zdenerwowana i nieszczęśliwa. Zdawało mi się, że cała przejażdżka mi zbrzydła i chciałam dostać się do domu. Rozumiesz?

— Tak, — odpowiedział Montague, — rozumiem i cięszę się, że powróciłaś.

Gdy przyjechali do domu, Montague połączył się telefonicznie z Harvey'ami, poprosił do telefonu brata i zawiadomił go o tem, co zaszło. Oliver aż krzyknął ze zdumienia.

— To ci miła przygoda! — powiedział, a potem dodał ze śmiechem: — Mam nadzieję, że teraz szanse biednego Charlie ostatecznie upadły.

— Cieszę się, że przyszedłeś do tego wniosku, — powiedział Montague, wieszając słuchawkę.

Epizod ten zdenerwował Montague'a bardzo. Ale nie miał czasu myśleć o tem. Następnego dnia, o godzinie jedenastej rano naznaczona była w sądzie jego sprawa i wszystkie myśli skupiały się na niej. W przeciągu ostatnich trzech miesięcy sprawa ta stała się jedynym istotnem zainteresowaniem w jego życiu, jedynym jego celem, dzięki któremu znosił wszystko inne, co go odpychało. Przygotował się, jak atleta przygotowuje się do wielkiej walki. Gdy wyszedł tego ranka na miasto, każdy nerw jego drżał rzeźko i żywo. Poszedł do swego biura i tutaj, wśród listów, ujrzał list od pana Hasbrooka. Otworzył go pośpiesznie i przeczytał zawiadomienie krótkie, jasne i stanowcze, jak cięcie mieczem.

„Mam zaszczyt zawiadomić pana, że otrzymałem zadowalniającą mnie całkowicie propozycję od towarzystwa Fidelity. Wszedłem z niem w porozumienie i cofam swoją skargę sądową. Z wdzięcznością za pańskie usługi, pozostaję szczerze oddany i t. d.“

Montague przerażony był tym listem, jak uderzeniem

gromu. Siedział w niewysłownem pomieszczeniu, ręce jego osłabły i list opadł przed nim na stół.

Wreszcie, gdy mógł się już poruszać, wziął do rąk słuchawkę telefonu i powiedział swemu sekretarzowi, aby połączył go z panem Hasbrookiem. Montague czekał. A gdy rozległ się dzwonek telefonu, pomyślał, że usłyszy zaraz głos Hasbrooka i poprosi go o wyjaśnienia. Zamiast tego usłyszał głos swego sekretarza:

— Stacja mówi, proszę pana, że numer ten jest wyłączony.

Montague zawiesił słuchawkę i siedział znów nieruchomo. Podstawiona osoba zniknęła!

Zdarzenie to oznaczało dla Montague'a zmianę w całym jego życiu. Runęły wszystkie jego nadzieje. Nad czemkolwiek pracowałby teraz, o czemkolwiekby myślał — karjera jego przepadła.

Płonął cały uczuciem doznanej zniewagi. Oszukali go, zrobili z niego głupca. Wyzyskali go i potem odrzucili precz. A teraz nic nie mógł uczynić: był zupełnie bezbronny. Ale najbardziej denerwowała go świadomość przygniatającej wielkości sił, które uczyniły z niego marionetkę. Oburzała również świadomość całkowitej bezradności wszystkich wysiłków, skierowanych przez niego, lub kogoś innego przeciwko tym siłom. Podobne były do żywiołowych sił kosmicznych; trzymały w swych pazurach cały świat, i zwykły śmiertelnik był tak samo zdany na ich łaskę, jak drobinka plewy na łaskę burzy. Przez cały dzień siedział w swoim biurze, przypominając sobie to jedno, to drugie, i rozpalając swój gniew. Przychodziły na niego nastroje, gdy chciał rzucić wszystko, strząsnąć pył miasta ze swoich nóg, powrócić do domu i przypomnieć sobie, co znaczy być gentlemanem. A następnie napadał go znów nastrój wojowniczy, i chciał poświęcić całe swe życie temu, aby ukarać ludzi, którzy go znieważyli. Znajdzie innego

posiadacza polisy Fidelity, któremu mógłby zaufać. Podejmie się tej sprawy bezpłatnie, doprowadzi ją do końca i zmusi gazety, aby o nim mówiły — zmusi ludzi, aby zwrócili uwagę na to, co on będzie mówił.

Wieczorem dopiero udał się do domu z goryczą i bólem w duszy. Zastał brata, który siedział w jego gabinecie i oczekiwał go.

— Hallo! — powiedział Montague i zdjął palto, przygotowując się w myśli do jeszcze jednego poniżenia: opowiedzenia bratu o swem niepowodzeniu i wysłuchania jego nieuniknionego: „Mówiłem ci przecież!“

Ale Oliver sam miał mu do zakomunikowania coś niecierpiącego zwłoki. Przystąpił odrazu do rzeczy:

— Powiedz mi, Allan, co takiego zaszło pomiędzy wami, pomiędzy tobą a panią Winnie?

— Co chcesz powiedzieć? — zapytał ostro Montague.

— Chodzi o to, — odpowiedział Oliver, — że wszyscy mówią o kłótni pomiędzy wami.

— Nie było między nami żadnej kłótni — oświadczył Montague.

— Dobrze, więc co było?

— Nic.

— Widocznie musiało coś być! — zawołał Oliver. — Skądby się wzięły te gadania?

— Jakie gadania?

— O was obojgu. Spotkałem przed chwilą panią Vivie Patton. Zażądała odemnie przysięgi, że zachowam w tajemnicy to, co mi powie, i opowiedziała, że pani Winnie mówiła komuś, jakobyś ty do tego stopnia ubliżając jej się narzucał, że musiała odmówić ci prawa wstępu do swego domu.

Montague podskoczył jak oparzony.

— O! — zawołał, tracąc oddech.

— Tak mówiła — powtórzył Oliver.

— To kłamstwo! — zawołał Montague.

— To samo powiedziałem pani Vivie, — oświadczył brat. — To niepodobne zupełnie do ciebie.

Montague zaczerwienił się cały.

— Nie to chciałem powiedzieć, — zawołał. — Chciałem powiedzieć, że pani Winnie nie mogłaby nigdy powiedzieć czegoś podobnego.

— O! — odrzekł Oliver, i wzruszył ramionami. — Może nie mówiła tego, — dodał. — Ale wiem, że jest wściekła na ciebie za coś. Wszyscy o tem mówią. Oświadcza wszystkim, że nigdy nie przemówi do ciebie ani słowa... I chciałbym wiedzieć dlaczego ty tak postępujesz, że robisz sobie wroga z każdego, z kim się stykasz?

Montague nie odpowiedział nic, drżał cały z gniewu.

— Coś ty jej zrobił? — pytał dalej Oliver. — Czy nie możesz mi tego powiedzieć w zaufaniu?

Montague podskoczył nagle.

— O, Oliver — zawołał. — Zostaw mnie samego! Wyjdź stąd!

Wyszedł do sąsiedniego pokoju, zatrzaskał za sobą drzwi i zaczął chodzić tam i zpowrotem, jak zwierzę w klatce.

To było kłamstwo! Kłamstwo! Pani Winnie nie mogła powiedzieć czegoś podobnego. Nigdy temu nie uwierzy — to brudna plotka z pokojów służbowych.

A potem ogarnął go znów poryw wściekłości. Co go obchodzi — czy to jest prawda czy nie, i co go wogóle to wszystko obchodzi! Co go obchodzi, czy popełnił ktoś wszystkie te ohydne i podłe czyny, które mu przypisują? Wszak były to rzeczy, o których wszyscy mówili! To były rzeczy, którym wszyscy wierzyli! W których wszyscy byli zainteresowani! Oto co było miernikiem całego „towarzystwa“, jego ideałów! Oto, jak ci ludzie spędzali czas, powtarzając brudne plotki jeden o drugim. Żyli w atmosferze podejrzeń i cynizmu, z nie-

kończącą się szeptaniną na ucho, plotkami i niskimi intrygami.

Przypływ wściekłości zawrzał w nim i porwał go, — wściekłości przeciwko towarzystwu, do którego wszedł, i przeciwko sobie za rolę, jaką w nim odegrał. Wszystko naraz stanęło mu w oczach, i znienawidził wszystko: ludzi, których poznał, to co oni robili, i to wszystko, co chcieli, aby on robił. Nienawidził próżniactwa i rozrzutności, nienawidził pijaństwa i rozpusty, podłości i snobizmu.

Odwrócił się nagle i otworzył drzwi do pokoju, w którym siedział jeszcze Oliver. Stojąc w progu, zawołał:

— Oliver, rzucam wszystko!

Oliver wytrzeszczył na niego oczy.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał.

— Chcę powiedzieć, — wołał Montague, — że mam już dosyć „wysokiego świata“. Nie zniosę tego dłużej. Odchodzę. Ty możesz w dalszym ciągu żyć po swojemu, ale ja nie mam zamiaru uczynić ani jednego kroku więcej z tobą. Mam już dosyć tego i sądzę, że Alicja również. Uwalniamy się z twoich rąk: odchodzimy.

— Co masz zamiar robić? — pytał Oliver, oddychając z trudem.

— Zrzekam się tych drogich pokoiów już od jutra. I przestaję wyrzucać pieniądze na niepotrzebne mi rzeczy. Przestanę przyjmować zaproszenia i spotykać się z osobami, które mi się nie podobają, i których nie chcę znać. Próbowałem prowadzić twoją grę — próbowałem gorliwie, ale gra ta mi nie odpowiada. I wychodzę z niej, dopóki nie jest jeszcze zapóźno. Postaram się znaleźć proste i skromne mieszkanie, w którym osiadę i pójdę na miasto poszukać, czy nie znajdzie się w New-Yorku możliwość, by człowiek zarobił sobie uczciwy kawałek chleba.

P. R O M A N O W

3 PARY JEDWABNYCH POŃCZOCZ

Cena zł. 5.—

„Trzy pary pończoch“ — to niewątpliwie najwybitniejsze dzieło znakomitego pisarza rosyjskiego. Subtelne i wytrawne znawstwo duszy kobiecej, obok świetnej znajomości mizernej duszyczki przeciętnego mieszcza-
nina święcą w tej książce rzetelny triumf. Poprzez wartką, barwną opowieść, gęsto przetykaną mistrzowskimi rakietami dowcipnej obserwacji, przeziiera cały tragizm sytuacji współczesnego inteligenta.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

U P T O N S I N C L A I R

B O S T O N

Całość I/IV cena zł. 22.—

Pisarz niezłomnej walki, który — zawsze na szanścu — zwalcza krzywdy, tępi nadużycia i przygważdża wszelką obłudę.

André Levinson, „Nouvelles Littéraires“.

Nikt jeszcze tak wspaniale nie opisał zawrotnego tempa życia współczesnej Ameryki i nikt tak nieustraszenie nie obnażył całego zepsucia i deprawacji cywilizacji amerykańskiej.

„Black Wood Magazine“.

Poprzednio ukazały się:

NAFTA

KRÓL WĘGIEL

KATAKLIZM

Tom I/II cena zł. 18.—

cena zł. 12.—

cena zł. 2.—

T O W A R Z Y S T W O W Y D A W N I C Z E „R Ó J“

S A R A L E V Y

O MÓJ GOJU!

Cena zł. 5.—

Jest to opowieść o tem, jakimi drogami kroczyć musi miłość Żydówki, która zakochała się w chrześcijanie, by wreszcie dobić do szczęśliwej przystani. Słusznie książka ta zyskała kolosalny sukces w Paryżu i na całym świecie, powodując liczne namiętne dyskusje w prasie, a nawet repliki w formie powieściowej. Nie oszczędzając ani jednych ani drugich, autorka potrafiła umiejętnie podchwycić cechy charakterystyczne głównych postaci, i podać je w lekkiej, dowcipnej, a nierzadko zjadliwie ironicznej formie.

Frankfurter Zeitung.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

S Y G R Y D A U N D S E T

Sumienie współczesnej kobiety.

Dwie nowe powieści

autorki

KRYSTYNY CÓRKI LAWRANSA

W I O S N A

Cena zł. 8.—

„Jest to napisana z zawodną przenikliwością historia małżeńska, jakich istnieją może tysiące, ale z których żadna nie została opowiedziana w sposób tak istotny.“

(Augsburger Neueste Nachrichten).

P A N I H J E L D E

Cena zł. 7.—

W żadnej może książce Sygrydy Undset konflikt między obowiązkiem a miłością nie został przedstawiony w równie prosty i wzruszający sposób. Tajemnica tej prostoty, tej naiwnej bezpośredniości przeżycia — to tajemnica geniusza Sygrydy Undset.

(Georg Ellendorf).

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

H. G Ó R S K A

N A D

C Z A R N Ą W O D Ą

Cena zł. 6.—

Książka ta — to wspomnienia ze świetlicy dla młodzieży proletarjackiej przy ul. Czerniakowskiej. Dzieje organizacji tej świetlicy, zawdzięczającej wiele pracy samej młodzieży i dzieje zmagania tej młodzieży z przeciwnościami losu — zostały tu opowiedziane nie przez oschłego nauczyciela czy wychowawcę, lecz przez najrzetelniejszego tej młodzieży przyjaciela i towarzysza. Dlatego książka ta uderza przede wszystkim prawdziwością i szczerością przeżyć, a to jest bardzo rzadka zaleta.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

W I L H E L M S P E Y E R

KAROLINKA TROCHĘ ZWARJOWANA

Cena zł. 6.—

...Trzeba stwierdzić, że rzadko nam się zdarza czytać książkę, któraby z tak godnym podziwu umiarem i werwą ujmowała wszystkie elementy współczesnego życia. Postać Karolinki, — młodej, wesołej, wysportowanej i nie traktującej życia zbyt poważnie, jest może najlepszym i najdowcipniejszym ujęciem tego, co najbardziej nam się podoba w dzisiejszej kobiecie. W zawrotnym tempie akcji, pędzącej, jak auto Karolinki, z szybkością 130 km. na godzinę, autor z doskonałym temperamentem i prawdziwym humorem naszkicował szereg plastycznych, świetnie ujętych postaci, jak młody Amerykanin Stanley Fisher i jego matka, „bawiąca się” na kontynencie, jak zakochany Holk i owiany dużą dozą sentymentu mąż Karolinki.

Dodać wypada, iż bardzo dobry przekład p. W. Rogowskiej w niczem nie umniejsza walorów tej nawiąskroś współczesnej książki.

Dr. J. P. Zajączkowski.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“



